
MARY
BALOGH

Męczyzna doskonały

Przekład
Maria Górna



Redakcja stylistyczna Joanna
Egert-Romanowska

Korekta
Katarzyna Pietruszka

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Foniok

Ilustracja na okładce
Wydawnictwo Amber

Druk
Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału
Simply Perfect

Warszawa 2008. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp z o.o.
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27
tel. 620 40 13,62081 62

www.wydawnictwoamber.pl

1

Claudia Martin miała za sobą ciężki dzień w szkole.

Najpierw mademoiselle Pierre, jedna z dochodzących nauczycielek, tuż przed śniadaniem przekazała przez posłańca wiadomość, że dostała ciężkiej migreny i nie będzie mogła tego dnia przyjść do pracy, więc Claudia, jako właścicielka i dyrektorka szkoły, musiała oprócz własnych przedmiotów poprowadzić też większość zajęć z francuskiego i muzyki. Francuski nie sprawiał jej większych problemów, ale muzyka stanowiła spore wyzwanie. Co gorsza, księgi rachunkowe, które zamierzała uzupełnić, korzystając z niezbyt wypełnionego planu zajęć, teraz leżały odłożym, a czas, jaki przeznaczyła na to, żeby się z nimi uporać, szybko się kurczył.

Później, zaraz przed drugim śniadaniem, gdy dobiegły końca poranne lekcje i dyscyplina nieco zelżała, Paula Hern uznała, że nie podoba jej się, jak patrzy na nią Molly Wiggins, więc musiała głośno i dobitnie wyrazić swoje niezadowolenie. A ponieważ ojciec Pauli, poważany przedsiębiorca, był bogaty jak Krezus, o czym ona sama nie dawała nikomu zapomnieć, a Molly była najmłodszą - i najbardziej zahukaną - z uczennic kształconych charytatywnie i nawet nie wiedziała, kto jest jej ojcem, to oczywiście Agnes Ryde rzuciła się bronić pokrzywdzonej, w uniesieniu zapominając o poprawnym akcencie i powracając do robotniczej gwary. Claudia musiała zająć się tą sprawą i wyegzekwować mniej lub bardziej szczerze przeprosiny od zamieszanych w awanturę dziewcząt, a potem wyznaczyć stosowne kary dla wszystkich z wyjątkiem najmniej winnej Molly.

Jakąs godzinę po tym zajściu, kiedy właśnie panna Walton miała wyjść z młodszymi dziewczętami do opectwa Bath, gdzie chciała przeprowadzić nieformalną lekcję o historii sztuki i architektury, nastąpiło istne oberwanie chmury i powstało kolejne zamieszanie, bo dziewczynkom trzeba było znaleźć jakieś zastępcze zajęcie pod dachem. Claudia nie musiała wprawdzie zajmować się tym osobiście, ale przez drzwi klasy, w której zmagala się z francuskimi czasownikami nieregularnymi, irytująco dokładnie słyszała głośne narzekania junierek. Straciwszy cierpliwość, wyszła w końcu na korytarz i powiedziała im, że jeśli chcą wyrazić jakieś zażalenia w sprawie nagłego deszczu, to mogą je osobiście przedstawić Bogu podczas wieczornych modlitw, ale tymczasem mają być cicho, póki nie znajdą się za zamkniętymi drzwiami swojej sali.

Potem, po zakończeniu popołudniowych zajęć, kiedy dziewczęta poszły do pokojów, żeby przyczesać włosy i umyć ręce przed obiadem, zacięła się gałka w drzwiach jednej z sypialni. Osiem dziewcząt zatrzasnęło się w środku, zmuszonych czekać, aż pan Keeble, szkolny portier i wiekowy staruszek, wczłapie po schodach, żeby je uwolnić, i naprawi gałkę. Dziewczęta tak głośno chichotały, piszczwały i stukały w drzwi, że aż panna Thompson uznała za konieczne udzielić im reprimendy na temat cierpliwości oraz zachowania godnego młodej damy. Niestety, żeby ją usłyszały przez drzwi, musiała podnieść głos, co sprawiło, że było ją słychać prawie w całej szkole, w tym także w gabinecie Claudii.

To zdecydowanie nie był dobry dzień, jak Claudia powiedziała Eleanor Thompson i Lili Walton - nie spotykając się zresztą z ich strony z żadnym zaprzeczeniem - kiedy już po oswobodzeniu „więźniarek” mogły wreszcie we trzy spokojnie usiąść przy herbacie w prywatnej bawialni dyrektorki. Oby jak najmniej takich dni.

Ale teraz - szczyt wszystkiego!

Jakby jeszcze było mało, akurat teraz w saloniku dla gości na parterze czekał na nią jakiś markiz.

Markiz, na miłość boską!

Tak głosiła lamowana srebrem wizytówka, którą trzymała w dwóch palcach: markiz Attingsborough. Portier przed chwilą przyniósł jej tę wizytówkę z miną kwaśną i wielce niezadowoloną - co zresztą było u niego normalnym wyrazem twarzy, zwłaszcza gdy jakiś mężczyzna, niebędący nauczycielem, chciał wdrzeć się na jego terytorium.

- Markiz. - Claudia podniosła wzrok znad bileciku ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na obie nauczycielki. - Czego on tu szuka? Czy coś powiedział, panie Keeble?

- Ani on nie mówił, ani ja nie chciałem wiedzieć, psze pani - odparł portier. - Ale jakby mnie kto pytał, to jakiś nicpoń. Uśmiechnął się do mnie.

- Istotnie, niewybaczalny grzech - powiedziała sucho Claudia, a Eleanor się roześmiała.

- Być może ma córkę, którą chce oddać do szkoły - wysunęła przypuszczenie Lila.

- Markiz? - Claudia uniosła brwi, a Lila lekko się speszyła.

- Być może, droga Claudio, ma dwie córki - zauważyła Eleanor z błyskiem w oku.

Claudia parsknęła śmiechem, potem westchnęła, upiła jeszcze łyk z filiżanki, po czym niechętnie wstała.

- No cóż, chyba muszę iść do niego i przekonać się, o co chodzi - rzekła. - To bardziej sensowne niż siedzieć tutaj i snuć próżne domysły. Ale że też akurat dzisiaj przytrafia mi się coś takiego... Markiz.

Eleanor znowu się zaśmiała.

- Biedak - rzuciła. - Współczuję mu.

Claudia nigdy nie przepadała za arystokratami. Uważała, że to stado aroganckich, wyrachowanych i wrednych nierobów, choć nie tak dawne małżeństwa dwóch jej współpracownic i serdecznych przyjaciółek z utytułowanymi dżentelmenami uświadomiły jej, że być może i wśród tej sfery zdarzają się całkiem znośni, a nawet szlachetni ludzie. Ale wcale jej nie bawiło, że ktoś z tego grona wdziera się do jej małego światka, zwłaszcza pod koniec tak ciężkiego dnia.

Ani przez moment nie wierzyła, że ów markiz ma jakąś córkę, którą chciałby umieścić w jej szkole.

Wyprzedziła pana Keeble'a na schodach, bo nie chciała iść jego ślamazarnym tempem. Przyszło jej do głowy, że może powinna najpierw wstąpić do siebie, żeby sprawdzić, czy prezentuje się przyzwoicie, bo miała przeczucie, że po wszystkich przejściach dzisiejszego dnia jest istnym obrazem nieszczęścia. Ale zadziornie uznała, że nie będzie się specjalnie starać dla jakiegoś markiza.

Zanim dotarła do drzwi saloniku dla gości, aż kipiała całkiem nieuzasadnionym wzburzeniem. Nieważne, o co mu chodzi -jak on śmie wdzierać się na prywatny teren i przeszkadzać!

Zerknęła na trzymaną w dłoni wizytówkę.

- Markiz Attingsborough? - powiedziała takim samym tonem, jakim wcześniej karciła Paulę Hern, tonem, który mówił wyraźnie, że nie robią na niej wrażenia ani bogactwa, ani tytuły.

- Do usług szanownej pani. Panna Martin, jak się domyślam? - Markiz stał pod oknem, po drugiej stronie pomieszczenia. Skłonił się elegancko na powitanie.

Oburzenie Claudii jeszcze wzrosło. Na pierwszy rzut oka trudno, oczywiście, oceniać czyjś charakter, ale doprawdy, jeśli ten człowiek miał w ogóle jakąś niedoskonałość, to dobrze się z tym ukrywał. Wysoki wzrost, szerokie ramiona, wąskie talia i biodra. Długie, zgrabne nogi. Gęste, ciemne i lśniące włosy, przystojna twarz, na niej miły uśmiech, a w oczach błysk humoru. Ubrany z nienaganną elegancją, ale bez przesadnej zbytkowności. Choć prawdopodobnie same tylko wypastowane do lustrzanego połysku oficerki warte były fortunę; Claudia nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jeśli stanie dokładnie nad czubkami butów i spojrzy w dół, to będzie mogła się w nich przejrzeć - i zobaczyć swoją przyklapniętą fryzurę oraz wymięty kołnierzyk sukni.

Splotła przed sobą dłonie, które już sięgały do kołnierzyka, żeby go poprawić. W jednej ręce wciąż trzymała wizytówkę.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytała, celowo pomijając zwyczajowe „milordzie”, bo wszelkie tytuły uważała za pretensjonalną bzdurę.

Uśmiechnął się do niej i - jeśli to w ogóle możliwe - ideał stał się jeszcze doskonalszy: miał perfekcyjnie równe białe zęby. Claudia powiedziała sobie, że za żadne skarby nie ulegnie urokowi tego człowieka.

- Przychodzę do pani w roli posłańca - oznajmił. - Od lady Whitleaf.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni fraka i wyjął z niej zapieczętowaną kartkę papieru.

- Od Susanny? - Claudia postąpiła o krok w jego stronę.

Susanna Osbourne uczyła w jej szkole do zeszłego roku, kiedy to wyszła za mąż za wicehrabiego Whitleafa. Claudia cieszyła się szczęściem Susanny, która nie tylko znalazła dobrą partię, ale też poślubiła mężczyznę z miłości; z drugiej jednak strony, smutkiem napawały ją rozstanie

z przyjaciółką i utrata zdolnej współpracownicy oraz doskonałej nauczycielki. W ciągu czterech ostatnich lat pożegnała w podobny sposób - i z tej samej przyczyny - trzy przyjaciółki i nauczycielki. Czasem trudno jej było egoistycznie nie żałować tej straty.

- Kiedy dowiedziała się, że jadę na parę dni do Bath, żeby odwiedzić matkę i ojca, którzy tu przyjechali do wód, poprosiła, żebym zajął do pani i przekazał od niej pozdrowienia - wyjaśnił. - I dała mi ten list, pewnie po to, żeby panią przekonać, że pod nikogo się nie podszywam.

W jego oczach znowu rozbrzmiał uśmiech; markiz przeszedł przez pokój i podał jej list. Rzecz jasna, nie mógł mieć oczu w jakimś nieciekawym, szaroburym kolorze - lub innym, równie nijakim. Nie, oczywiście były najczystszej błękitnej barwy, prawie jak letnie niebo.

Susanna prosiła go, żeby przekazał jej pozdrowienia. Ale z jakiej racji?

- Whitleaf jest kuzynem mojej kuzynki - wytłumaczył. - Czy może raczej, przyszywanej kuzynki. To skomplikowana sprawa, jak zwykle w rodzinie. Lauren Butler, wicehrabina Ravensberg, jest dla mnie jak kuzynka, bo jej matka wyszła za szwagra mojej ciotki i od dzieciństwa bardzo się przyjaźnimy. A Whitleaf jest dla Lauren kuzynem pierwszego stopnia. Tak więc w pewnym sensie i jego, i jego żonę traktuję jak rodzinę.

Jeśli on jest markizem, a jego ojciec jeszcze żyje, pomyślała Claudia z niepokojem, to w takim razie kim jest jego ojciec? Ale przysłała go Susanna, więc nie wypada poprzestać na oziębłej uprzejmości.

- Dziękuję, że pofatygował się pan osobiście, żeby dostarczyć mi ten list - rzekła. - Jestem panu ogromnie zobowiązana. Może napije się pan herbaty? - W myślach błagała, żeby odmówił.

- Nie będę pani robił kłopotu, madam. - Uśmiechnął się znowu. - Z tego, co wiem, za dwa dni wybiera się pani do Londynu, prawda?

Ach! Pewnie Susanna mu o tym powiedziała. Pan Hatchard, jej londyński agent, znalazł zatrudnienie dla dwóch starszych dziewcząt, kształconych charytatywnie, ale był dziwnie tajemniczy w tej sprawie, nawet gdy wprost zapytała go w ostatnim liście, kim są owi przyszli pracodawcy. Uczennice, płacące chesne, miały rodziny, które zajmowały się nimi po ukończeniu szkoły. Claudia zaś zastępowała rodzinę pozostałym i nigdy nie wypuściła spod swoich skrzydeł dziewczynki, która nie miałaby gdzie mieszkać i pracować lub gdy istniały jakiegokolwiek poważniejsze wątpliwości co do przyszłych pracodawców.

Eleanor zasugerowała, żeby Claudia osobiście wybrała się do Londynu wraz z Florą Bains i Edną Wood i dokładnie sprawdziła domy, w których dziewczęta miały objąć posadę guwernantek, i w razie czego wycofała zgodę na zatrudnienie wychowanek. Do końca roku szkolnego zostało jeszcze wprawdzie kilka tygodni, ale Eleanor gotowa była zastąpić Claudię w zarządzaniu szkołą podczas jej nieobecności, która zresztą nie potrwa pewnie dłużej niż tydzień, może dziesięć dni. Claudia zgodziła się pojechać także dlatego, że miała pewną ważną sprawę do omówienia z panem Hatchardem.

- Owszem - odpowiedziała markizowi.

- Whitleaf chciał wysłać powóz, żeby mogła pani dojechać bez kłopotu - powiedział - Ale zapewnilem go, że nie ma potrzeby się tym kłopotać.

- Oczywiście, że nie ma - zgodziła się Claudia. - Już wynajęłam powóz.

- Za pozwoleniem łaskawej pani odwołam go - odparł. - Ja też tego dnia będę wracał do miasta i z przyjemnością zaproponuję pani swój wygodny powóz oraz opiekę na czas podróży.

O, litości, niech Bóg broni!

- Nie ma takiej konieczności, łaskawy panie - odrzekła stanowczo. - Już wszystko załatwiłam.

- Wynajęte powozy znane są z braku resorów i niewygody - argumentował. - Niechże pani się zgodzi.

- Być może nie zdaje sobie pan sprawy, że w podróży będą mi towarzyszyć dwie uczennice - powiedziała.

- Tak, wiem - potwierdził. - Lady Whitleaf mnie o tym poinformowała. Czy będą mieć językiem? Albo, co gorsza, chichotać? Młode osóbkę często mają do tego skłonności.

- W tej szkole uczymy dziewczęta, jak się zachować w towarzystwie - odparła surowo. Zbyt późno dostrzegła błysk w jego oku i zrozumiała, że tylko sobie zażartował.

- Nie wątpię - rzekł. - I nie śmiałybym nie wierzyć pani zapewnieniom. Proszę mi wobec tego pozwolić, żebym towarzyszył wszystkim trzem paniom aż do samych drzwi domu lady Whitleaf. Będzie pod wrażeniem moich dobrych manier i na pewno wystawi mi korzystną opinię wśród krewnych i znajomych.

Teraz już plótł kompletne bzdury. Ale czy wypadało odmówić? Desperacko szukała jakiegoś silnego argumentu, który by go zniechęcił. Nic jednak nie przychodziło jej do głowy, a w każdym razie nic takiego, co nie byłoby zarazem nieuprzejme czy wręcz niekulturalne. Ale szczerze mówiąc, wolałaby przejechać tysiąc mil w powozie bez resorów, niż wybrać się do Londynu w jego towarzystwie.

A właściwie... dlaczego?

Czyżby przytłaczała ją wspaniałość arystokratycznego tytułu? Sama siebie ofuknęła za tę myśl.

Więc... może chodzi o jego męskość? Była nieprzyjemnie świadoma, że jej gość aż kipi męskością.

Przecież to śmieszne. Oto po prostu uprzejmy dżentelmen proponuje przysługę starzejącej się pannie, która przypadkiem jest przyjaciółką żony kuzyna jego przyszywanej kuzynki - mój Boże, cóż za karkołomne powinowactwo. Ale w dłoni ma przecież list od Susanny. Susanna najwyraźniej mu ufa.

Starzejąca się panna? Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, nie było między nimi aż tak wielkiej różnicy wieku. Czy to nie ciekawe? Stał przed nią mężczyzna po trzydziestce, w kwiecie wieku i urody, a ona...

Przyglądał się jej z uniesionymi brwiami i uśmiechem w oczach.

- No, dobrze - rzuciła rażno. - Ale bardzo możliwe, że pożałuje pan swojej propozycji.

Na to jego uśmiech stał się jeszcze szerszy i poirytowana Claudia zaczęła się zastanawiać, czy urok tego człowieka nigdy nie gaśnie. Tak, jak podejrzewała, był czarujący w każdym calu, a wobec tego - zupełnie niegodzien zaufania. Będzie musiała bardzo pilnować swoich dziewcząt w drodze do Londynu.

- Mam głęboką nadzieję, że nie - odrzekł. - Proponuję wyruszyć dość wcześnie.

- Taki właśnie miałam zamiar - oznajmiła. - Dziękuję panu, lordzie Attingsborough. Bardzo pan uprzejmy.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Martin. - Znowu nisko się skłonił. - Czy mógłbym w zamian prosić o drobną przysługę? Chciałbym obejrzeć pani szkołę. Muszę przyznać, że pomysł, aby kształcić dziewczęta, wydaje mi się absolutnie fascynujący. Lady Whitleaf z ogromnym entuzjazmem opowiadała o tej placówce. Jak rozumiem, sama kiedyś tu uczyła.

Claudia powoli wciągnęła powietrze przez nos. Cóż go mogło skłonić do zwiedzania szkoły, jeśli nie próżna ciekawość - lub coś jeszcze gorszego? Instynktownie pragnęła odmówić. Ale przecież właśnie zgodziła się przyjąć od niego przysługę, i to całkiem sporą - nie miała wątpliwości, że jego powóz będzie o niebo wygodniejszy niż ten, który wynajęła; że na każdych rogatkach i w każdej gospodzie, gdzie zatrzymają się na odpoczynek, będą traktowane z nieporównanie większym szacunkiem. No i przecież to przyjaciel Susanny.

Ale mimo to, doprawdy!

Wcześniej wydawało jej się, że tego dnia nie może jej spotkać już nic gorszego. Jak widać, myliła się.

- Naturalnie. Sama pana oprowadzę - odparła szorstko, odwracając się do drzwi. Nim zdążyła je otworzyć, markiz wyciągnął rękę do klamki. Na krótką chwilę owionęła ją chmura kuszącego zapachu wody kolońskiej, niewątpliwie drogiej. Otworzył przed nią drzwi i z uśmiechem przepuścił ją przed sobą.

Przynajmniej lekcje już się na dzisiaj skończyły, pomyślała, i wszystkie dziewczęta są w jadalni na obiedzie.

Ale i to nie było prawdą, jak sobie zaraz uświadomiła, otwierając drzwi do sali plastycznej. Zbliżała się akademia na zakończenie roku szkolnego i właśnie trwały różnego rodzaju przygotowania i próby, jak zresztą codziennie już od tygodnia.

Kilka dziewcząt wraz z panem Uptonem przygotowywało dekoracje na scenę. Na dźwięk otwieranych drzwi wszystkie odwróciły się w ich stronę i szeroko otworzyły oczy na widok dostojnego gościa. Claudia była zmuszona dokonać prezentacji mężczyzn. Podali sobie ręce, po czym markiz podszedł do malowanej dekoracji i zadał parę całkiem sensownych pytań. Pan Upton rozpromienił się w uśmiechu, a kiedy wychodzili, dziewczęta wlepiały w lorda zachwycone spojrzenia.

Przeszli do sali muzycznej, gdzie trafili na próbę chóru, który pod nieobecność mademoiselle Pierre ćwiczył madrygały z panną Wilding. Właśnie w chwili, gdy Claudia otworzyła drzwi, chór okropnie zafałszował. Dziewczęta zaczęły chichotać, a panna Wilding zaczerwieniła się ze wstydu.

Claudia, unosząc brwi, przedstawiła nauczycielkę markizowi i wyjaśniła, że prawdziwa kierowniczka chóru jest dziś nieobecna. Gdy to

mówiła, zdenerwowała się sama na siebie, że wydało jej się konieczne wyjaśnianie czegokolwiek.

- Śpiewanie madrygałów - powiedział markiz - to wspaniała rzecz, ale czasem bywa ogromnie frustrujące, prawda? Nie jest łatwo, kiedy ma się obok siebie tylko jedną osobę, która śpiewa to samo, a wokół sześć czy osiem innych, wyśpiewujących na cały głos coś zupełnie innego. A kiedy w dodatku ta jedna osoba zmyli ton, to jest się bez żadnych szans. Muszę wyznać, że sam za szkolnych czasów nigdy nie opanowałem tej sztuki. Zaraz na pierwszej próbie ktoś zasugerował mi, żebym spróbował się do stać do drużyny krykieta, która przypadkowo miała treningi w tym samym czasie.

Dziewczęta roześmiały się, wyraźnie odprężone.

- Założę się, że macie w repertuarze coś, co potraficie zaśpiewać bezbłędnie - ciągnął markiz. - Czy mogę mieć zaszczyt usłyszeć jeszcze jeden utwór? - zwrócił się do panny Wilding.

- Może *Kukulkę*, proszę pani - zaproponowała Sylvia Hetheridge, a inne dziewczęta ją poparły.

I zaśpiewały wszystkie pięć zwrotek bez jednego błędu czy fałszu, a perliste kukanie rozbrzmiewało donośnie w każdym refrenie piosenki.

Kiedy skończyły, jak za pociągnięciem sznurka wszystkie zwróciły się w stronę markiza, jakby był co najmniej członkiem rodziny królewskiej; on zaś z uśmiechem na ustach zaczął klaskać.

- Bravo! - zawołał. - Nie mam słów, żeby opisać wasz talent, nie mówiąc już o wdzięcznych głosikach. Nareszcie wiem, że dobrze zrobiłem, pozostając przy krykiecie.

Dziewczęta śmiały się i wpatrywały w niego jak urzeczone, gdy wraz z Claudią opuszczał salę.

W sali do tańca zastali pana Huckbery'ego, który z grupką uczennic ćwiczył wyjątkowo skomplikowany układ, zaplanowany na akademię. Markiz przywitał się z nim, uśmiechnął do dziewcząt, z podziwem wypowiedział o ich tańcu i tak je oczarował, że nim wyszedł, wszystkie uśmiechały się i - rzecz jasna - wpatrywały w niego z podziwem.

Zadawał uważne, inteligentne pytania, kiedy Claudia pokazała mu kilka innych sal lekcyjnych i bibliotekę. W ogóle się nie spieszył, spokojnie, powoli oglądał każde pomieszczenie, dokładnie czytał tytuły na grzbietach książek.

- W sali do muzyki był fortepian, i jeszcze inne instrumenty - powiedział, gdy przeszli do szwalni. - Zauważyłem skrzypce i flet. Czy dajecie tu też indywidualne lekcje muzyki, panno Martin?

- Owszem - odpowiedziała. - Dbamy o to, żeby nasze dziewczęta rozwijały różne umiejętności i zdobyły solidne podstawy wykształcenia.

Zajrzał tylko do szwalni przez drzwi, ale nie wszedł do środka.

- A czego uczyacie tutaj oprócz szycia i haftu? - zapytał. - Robótek na drutach? Koronek? Szydełkowania?

- Wszystkich trzech - odparła, zamykając drzwi. Poprowadziła go dalej, do auli, która była kiedyś salą balową, zanim w budynku otworzono szkołę.

- Bardzo przyjemna sala - zauważył, stojąc pośrodku lśniącego drewnianego parkietu i rozglądając się dookoła, a wreszcie podnosząc wzrok ku wysoko sklepienemu sufitowi. - W ogóle szkoła ogromnie mi się podoba, panno Martin. Wszędzie okna i światło, i taka przyjazna atmosfera. Dziękuję, że zgodziła się pani mnie oprowadzić.

Uśmiechnął się do niej swoim najbardziej czarującym uśmiechem, a Claudia, wciąż w jednej ręce trzymając jego wizytówkę i list od Susanny, zacisnęła drugą dłoń na nadgarstku i spojrzała na niego surowo.

- To naprawdę wspaniale, że się panu u nas podoba - rzekła.

Uśmiech zamarł mu na ustach, ale zaraz zaśmiał się lekko.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł. - I tak zabrałem już pani zbyt wiele czasu.

Wskazał ręką drzwi i Claudia poszła przodem, udając się wprost do holu wejściowego. Czuli - i sama na siebie złościła się za to uczucie - że chyba zachowała się nieuprzejmie, bo jej ostatnie słowa były mocno ironiczne, a on to zauważył.

Ale zanim dotarli do holu, musieli się na chwilę zatrzymać, bo młodsze dziewczęta wychodziły właśnie parami z jadalni i szły do czytelnicy, gdzie mogły nadrobić zaległości w nauce, poczytać, pisać listy albo zająć się robótkami.

Wszystkie dziewczynki odwróciły głowy, żeby obejrzeć tak dostojnego gościa; markiz Attingsborough uśmiechnął się i juniorki jak na komendę zaczęły się krygować i chichotać.

Co tylko dowodzi, pomyślała Claudia, że nawet jedenasto- czy dwunastolatki nie potrafią się oprzeć czarowi przystojnego mężczyzny. Źle to wróży - i teraz, i na przyszłość - całemu rodowi kobiecemu.

Pan Keeble, wściekle zmarszczony - kochany staruszek - trzymał laskę oraz kapelusz markiza i stał przy drzwiach wejściowych, jakby rzucając gościowi wyzwanie, gdyby ośmielił się zostać dłużej.

- Widzimy się więc za dwa dni rano, panno Martin? - zwrócił się do niej markiz, odbierając od portiera laskę i kapelusz. Pan Keeble już otworzył drzwi i stał z boku, gotów zamknąć je za gościem, gdy tylko przekroczy próg.

- Będziemy czekać. - Skłoniła się na pożegnanie.

Wreszcie poszedł. Claudia wciąż w duchu ciskała gromy na jego głowę. Co to wszystko miało znaczyć? Gdyby tylko mogła cofnąć czas o pół godziny i odmówić jego propozycji zabrania jej i dziewcząt do Londynu!

Ale nie było rady. Klamka zapadła.

Weszła do swojego gabinetu i spojrzała w lustro (wisiąco za drzwiami i dosyć rzadko go używała).

O nieba! Jej fryzura faktycznie była oklapnięta i przylizana. Kilka kosmyków wymknęło się z koka związanego na karku. Na nosie miała rozmazaną atramentową smugę, którą wcześniej usiłowała zetrzeć chusteczką. Kołnierzyk całkiem się przekrzywił, a jeden jego róg rzeczywiście smętnie zwisał, tak jak się obawiała. Poprawiła go jedną ręką, choć było już na to oczywiście o wiele za późno.

Okropny człowiek! Nic dziwnego, że przez cały czas tak świetnie się bawił.

Przypomniała sobie o liście od Susanny i przełamała na nim pieczęć. Joseph Fawcitt, markiz Attingsborough, jest synem i dziedzicem księcia Anburey, przeczytała w pierwszym akapicie - i się skrzywiła. Chce zaproponować Claudii, że zawiezie ją wraz z dziewczętami do Londynu, kiedy będzie wracał z Bath, i Claudia powinna się zgodzić bez wahania. To przemiły, czarujący dżentelmen, godzien najwyższego zaufania.

Claudia uniosła brwi i zacisnęła wargi.

Ale szybko dotarła do istotnej treści listu Susanny. Frances i Lucius - hrabia Edgcombe, jej mąż - wrócili już z podróży po Europie i Susanna z Peterem postanowili urządzić u siebie w domu koncert, na którym Frances zaśpiewa. Claudia po prostu musi zatrzymać się u nich tak długo, żeby móc ją usłyszeć, i musi zostać jeszcze trochę dłużej, żeby nacieszyć się rozrywkami sezonu. Jeśli Eleanor Thompson wyraziła chęć zaopiekowania się szkołą przez tydzień, to na pewno zgodzi się zrobić to

jeszcze o tydzień czy dwa dłużej, a wtedy letni semestr i tak już dobiegnie końca.

Trzeba przyznać, że takie zaproszenie na dłuższy czas było ogromnie kuszące. Frances jako pierwsza z jej przyjaciółek i nauczycielek w tej szkole wyszła za mąż. Jej małżonek, człowiek wyjątkowo postępowy, wspierał rozwój talentu żony i dzięki jego pomocy stała się znaną i cenioną w całej Europie śpiewaczką. Wraz ze swoim hrabią spędzała kilka miesięcy każdego roku w podróży, odwiedzając kolejne europejskie stolicy, w których chciano słuchać jej głosu. Claudia nie widziała jej od roku. Wspaniale byłoby spotkać się jednocześnie z nią i Susanną na tydzień czy dwa i po prostu pobyc razem. A jednak...

Zostawiła drzwi od gabinetu otwarte. Eleanor zajrzała do środka.

- Dopilnuję dziś za ciebie dziewczynek w czytelnicy, Claudio - powiedziała. - Miałaś ciężki dzień. Jak widzę, twój szlachetnie urodzony gość nie pożarł cię żywcem? Cała szkoła aż huczy od pochwał na jego temat.

- Przysłała go Susanna - wyjaśniła Claudia z kwaśną miną. - Zaproponował, że zabierze mnie, Ednę i Florę swoim powozem, kiedy będzie wracał do Londynu.

- Ojej! - wykrzyknęła Eleanor, wchodząc do środka. - A ja go nie widziałam. Mam przynajmniej nadzieję, że jest wysoki, ciemnowłosy i przystojny.

- Jakbyś zgadła - potwierdziła Claudia. - 1 do tego jeszcze jest synem księcia!

- Nie musisz mówić nic więcej. - Eleanor uniosła obie ręce. - Już widzę, że to łotr spod ciemnej gwiazdy. Chociaż mam nadzieję przekonać cię kiedyś, że mój szwagier, książę Bewcastle, taki nie jest.

- Hm - mruknęła jedynie Claudia.

Kiedyś przez krótki czas pracowała dla księcia Bewcastle, a jako guwernantka jego siostry i podopiecznej, Freyji Bedwyn. Rozstali się w nie najlepszej komitywie, delikatnie mówiąc, i od tamtej pory Claudia nie znosiła zarówno jego, jak i wszystkich, którzy nosili podobny tytuł. Choć prawdę mówiąc, jej antypatia do książąt sięgała wcześniejszych czasów...

Ale z całego serca współczuła siostrze Eleanor, że jest żoną takiego człowieka. Biedaczka, a taka miła - i sama kiedyś była nauczycielką.

- Frances wróciła do Anglii - relacjonowała Claudia. - Będzie śpiewać na koncercie, który organizuje Susanna ze swoim wicehrabią. Su-

sanna chce, żebym została na występie, a może jeszcze dłużej, bo właśnie trwa wiosenny sezon. Szkoda, że to wszystko dzieje się akurat teraz, a nie po zakończeniu roku szkolnego. No, ale wtedy będzie już praktycznie po sezonie. Oczywiście, nie mam absolutnie żadnych chęci, żeby zadawać się z tymi nadętymi bufonami z towarzystwa. Tylko że tak cudownie byłoby się zobaczyć z Susanną i Frances i spędzić z nimi trochę czasu. Ale możemy się przecież spotkać kiedy indziej - najlepiej na wsi. Eleanor cmoknęła z niezadowoleniem.

- Oczywiście, że musisz zostać w Londynie dłużej niż kilka dni, Claudio - powiedziała. - Lady Whitleaf mówi to samo, co ja powtarzam ci cały czas. Świetnie dam sobie radę z prowadzeniem szkoły przez parę tygodni i myślę, że będę potrafiła na koniec roku wygłosić odpowiednio podniosłą i poruszającą mowę w twoim imieniu. A jeśli miałabyś ochotę zostać dłużej niż kilka tygodni, to możesz to zrobić bez żadnych wyrzutów sumienia. Lila i ja zostajemy tu na lato, żeby zająć się dziewczynkami,

które nie mają dokąd wyjechać, a poza tym Christine potwierdziła zaproszenie do Lindsey Hall. Możemy zabrać tam dziewczęta na czas, kiedy ona i Wulfric będą odwiedzać inne swoje posiadłości. Dzięki temu spędzę trochę czasu z matką.

Christine i Wulfric to właśnie księżna i książę Bewcastle. Lindsey Hall stanowiło rodową siedzibę księcia w Hampshire. Zaproszenie dla ubogich dziewcząt ze szkoły na początku zaskoczyło Claudię i nawet zastanawiała się, czy przypadkiem księżna nie zadziałała zbyt pochopnie, nie pytając o zgodę męża. Ale z drugiej strony, dziewczęta przebywały już w Lindsey Hall zaledwie rok temu, z okazji ślubu Susanny, i książę był wtedy w domu.

- Musisz zostać dłużej - naciskała Eleanor. - Obiecuj, że zostaniesz przynajmniej parę tygodni. Obrażę się, jeśli tego nie zrobisz. Pomyślę sobie, że nie masz do mnie zaufania i nie wierzysz, że cię tu godnie zastąpię.

- Oczywiście, że mam do ciebie zaufanie. - Claudia zaczynała się wahać. Jakże mogłaby teraz nie zostać dłużej w Londynie? - Przynajmniej, że byłoby to bardzo przyjemne...

- Pewnie, że byłoby przyjemne - odpowiedziała ochoczo Eleanor. - I będzie. No, to załatwione. Idę w takim razie do czytelnicy. Czuję, że w takim dniu jak dziś muszę mieć dziewczęta na oku. Inaczej gotowe porąbać kilka stolików na podpałkę albo wywołać jakąś karczemną awanturę.

Kiedy Eleanor wyszła, Claudia usiadła za biurkiem i złożyła list Susanny. Co za przedziwny dzień! Czowała się tak, jakby włókł się już co najmniej od czterdziestu ośmiu godzin.

O czym ona, na miłość boską, będzie z nim rozmawiać przez cały ten czas w drodze do Londynu? I jak sprawić, żeby Flora nie miała językiem, a Edna nie chichotała? Lepiej byłoby, żeby markiz Attingsborough był sześćdziesięcioletkiem o wyglądzie ropuchy. Może wtedy nie czułaby się tak onieśmielona.

Na samą myśl znowu zagotowała się ze złości.

Onieśmielona?

Ona?

Przez zwykłego mężczyznę?

Przez markiza? Księżęcego dziedzica?

O, nie. Nie da mu takiej satysfakcji, pomyślała z irytacją, zupełnie jakby on wyraził stanowcze żądanie, żeby się przed nim służalczo płaszczyła.

2

Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy - powiedział książe Anburey, potrząsając dłonią swojego syna Josepha, markiza Attingsborough. I nie była to prośba.

- Ależ, Webster, oczywiście, że będzie pamiętał - uspokajała go księżna, całując i ściskając syna.

W domu przy Royal Crescent, gdzie książe i księżna zamieszkali na czas pobytu w Bath, śniadanie podano dziś wcześniej. Joseph przyjechał tu z Londynu zaledwie tydzień temu, w samym środku sezonu wiosennego, przynaglany troską o zdrowie ojca - oraz, trzeba przyznać, jego wyraźnym nakazem. Ojciec zaziębił się tej zimy i jakoś wciąż nie czuł się najlepiej, kiedy przyszło mu wracać do miasta na nowe posiedzenia Izby Lordów. Został więc w domu, a w końcu dał się namówić żonie na wyjazd do wód, choć zawsze z pogardą mówił o Bath i ludziach, którzy tam jeździli kąpać się w leczniczych wodach albo pić je dla podratowania zdrowia.

Po przyjeździe Joseph stwierdził, że ojciec wygląda już całkiem nieźle. Był w każdym razie na tyle zdrowy, że bez przerwy narzekał na idiotyczne gry karciane i inne lokalne rozrywki, którymi musiał sobie umilać czas, a także na powszechny entuzjazm, z którym go przyjmowano, do-
kądkolwiek by się udał, zwłaszcza zaś w pijalni wód. Księżna natomiast ze spokojem oddawała się tym samym przyjemnościom, na które jej mąż tak wybrzydzał. Joseph podejrzewał, że matka bawi się znacznie lepiej niż zazwyczaj o tej porze roku w Londynie.

Ojciec jednak przekonywał, że nie jest już w tak dobrej formie, jakby sobie życzył. Na osobności wyznał mu swoją obawę, że po długotrwałej chorobie ma osłabione serce. Tutejszy lekarz nie zaprzeczył, choć wprowadzie też nie potwierdził jego niepokojów; niemniej księżę postanowił za-
wczasu uporządkować wszystkie swoje sprawy.

A na samym szczycie tej listy figurował problem jego jedyne-
go syna i dziedzica.

Joseph skończył już trzydzieści pięć lat i wciąż był kawalerem. Co gorsza, brak żony pociągał za sobą pustkę w pokoju dziecięcym. Sukcesja nie została zapewniona.

Księżę Anburey przedsięwziął więc odpowiednie kroki, żeby zaradzić tej sytuacji. Zanim jeszcze przywołał do siebie syna, zaprosił lorda Bal-
derstona, żeby omówić wielce korzystny związek ich dzieci - markiza Attingsborough i panny Portii Hunt. Uzgodnili, że przekażą dzieciom swoje życzenia - a raczej polecenia - i będą oczekiwać szczęśliwej nowiny jeszcze przed zakończeniem sezonu.

Stąd jego decyzja, żeby wezwać syna z Londynu.

- Z pewnością będę pamiętał, ojczy - powiedział Joseph, wynurzając się z matczynej objęć. - Nie znam damy, która byłaby dla mnie odpo-
wiedniejszą żoną niż panna Hunt.

Co zresztą było zgodne z prawdą, wzięwszy pod uwagę fakt, że jego przyszła żona będzie nosiła tytuł markizy, a kiedyś również księżnej An-
burey - i urodzi mu książęcego dziedzica. Rodowód panny Hunt był bez zarzutu, podobnie jej wygląd i maniery. Nie miał też zastrzeżeń co do charakteru młodej damy. Kilka lat temu spędził sporo czasu w jej towa-
rzystwie tuż po tym, jak zerwała z Edgecombe'em i desperacko usiłowała udowodnić wszystkim wokół, że wcale nie ma złamanego serca. Podzi-
wiał wtedy jej godność i siłę ducha. A od tamtego czasu niejednokrotnie

tańczył z nią na balach czy rozmawiał na wieczorkach towarzyskich. Nie dalej jak dwa czy trzy tygodnie temu zabrał ją nawet na popołudniową przejażdżkę do Hyde Parku. Nigdy jednak - aż do tej pory - nie powstała mu w głowie myśl o zalotach.

Ale teraz będzie musiał się nad tym zastanowić. Swoją drogą, nie przychodziła mu do głowy lepsza kandydatka. Co wprawdzie nie było silnym argumentem na korzyść panny Hunt, ale w końcu większość mężczyzn z jego sfery żeniła się z obowiązku, a nie z miłości.

W drzwiach uściskał ojca i jeszcze raz ucałował, i przytulił matkę, obiecując, że nie zapomni nic z miliarda rzeczy, które miał przekazać swojej siostrze Wilmie, hrabinie Sutton. Spojrzał na powóz, żeby się upewnić, że bagaże odpowiednio przymocowano na dachu, a lokaj siedzi na koźle obok stangreta, Johna. Wreszcie wskoczył na siodło konia, którego wynajął na pierwszy etap podróży do Londynu.

Odwracając się do rodziców, uniósł jeszcze rękę na pożegnanie, przesłał matce całusa i ruszył z kopyta.

Zawsze ciężko jest żegnać ukochane osoby. W dodatku zdawał sobie sprawę, że ojciec z wiekiem będzie coraz słabszy. Ale jednocześnie przyjemne uczucie gnało go naprzód.

Wreszcie jechał do domu.

Nie widział Lizzie od ponad tygodnia i już się nie mógł doczekać, żeby ją znowu zobaczyć. Mieszkała - niemal od jedenastu lat - w domu, który kupił przed ponad trzynastu laty jako zadufany w sobie młódzian, świeżo przybyły do miasta, przeznaczając go dla licznych kochanek, które zamierzał w przyszłości utrzymywać. Ale skończyło się na jednej. Dość szybko przyszło mu się ustatkować.

Wiózł w bagażu prezenty dla Lizzie: wachlarz z piórami i butelkę perfum; pewien był, że jej się spodobają. Nigdy nie mógł się oprzeć, żeby nie przywieźć jej jakiegoś drobiazgu - uwielbiał patrzeć, jak jej buzia rozjaśnia się z radości.

Gdyby nie to, że obiecał zaopiekować się w podróży panną Martin i jej uczennicami, pewnie spróbowałby pokonać drogę do Londynu w jeden dzień. Ale nie żałował swojej propozycji. Ta uprzejmość nie będzie go kosztowała więcej niż dodatkowy dzień spędzony w podróży. Uznał jednak, że w jego własnym dobrze pojętym interesie będzie wynająć konia pod wierzch. Tyle godzin w ciasnym powozie z nauczycielką i dwiema

pensjonarkami mogłoby wystawić na próbę nawet jego łagodne z natury usposobienie, nie mówiąc już o tym, że dla dam byłoby to dość krępujące.

Kiedy rozmawiał z panną Martin dwa dni temu, odniósł nieprzyjemne wrażenie, że dyrektorka ma o nim jak najgorsze zdanie, choć nie był w stanie stwierdzić, co też mogło jej się w nim tak nie podobać. Kobiety na ogół go lubiły, może dlatego, że i on je lubił. Ale panna Martin patrzyła na niego krzywo od samego początku, nawet zanim jeszcze poprosił o możliwość obejrzenia szkoły, która zresztą naprawdę go zainteresowała.

Powóz i koń zjechały ze wzgórza ku rzece, po czym, przebywszy kawałek drogi wzdłuż niej, przejechały na drugą stronę przez most Pulteney i dalej, w stronę szkoły.

Joseph z rozbawieniem przypomniał sobie spotkanie z panną Martin. Była w każdym calu uosobieniem starej panny pracującej w szkole. Miała na sobie prostą i praktyczną szaroniebieską suknię, która mimo letniej pory zakrywała ją od szyi aż po nadgarstki i stopy. Brązowe włosy, które splotła na karku w surowy, ciasny kok, nieco się potargały, jakby miała za sobą dzień wytężonej pracy - ale bez wątpienia tak właśnie było. Ani szczególnie wysoka, ani szczupła, wydawała się taka przez to, że cały czas miała plecy wyprostowane jak struna. Kiedy nie mówiła, zaciskała mocno wargi, a w jej szarych oczach błyskała żywa inteligencja.

Zabawnie było pomyśleć, że to jest właśnie kobieta, o której tak ciepło mówiła Susanna, jedna z jej najlepszych przyjaciółek. Drobnutka, śliczna wicehrabim tryskała życiem i energią. A jednak bez trudu potrafił wyobrazić ją sobie uczącą w tej szkole. Choć dyrektorka sprawiała wrażenie surowej i oschłej, to jednak dobre efekty jej pracy widać było gołym okiem: nauczyciele i uczennice wyglądali na zadowolonych, a w całej szkole panowała przyjazna atmosfera. Człowiek nie czuł się tam przytłoczony, jak w wielu innych szkołach.

Na pierwszy rzut oka uznał, że panna Martin mogłaby być matką Susanny, ale potem zmienił zdanie. Prawdopodobnie wcale nie była starsza od niego.

Trzydzieści pięć lat to bardzo uciążliwy wiek dla książęcego dziedzica w kawalerskim stanie. Konieczność wypełnienia obowiązku i znalezienia sobie żony gnębiła go nawet jeszcze przed rozmową z ojcem. Ale teraz już nie będzie mógł się w tej sprawie ociągać. Całymi latami opędał się od panien na wydaniu. Mimo wszystkich swoich wad - a miał ich pewnie

całe mnóstwo - szczerze opowiadał się za monogamią. Jak więc mógł się ożenić, skoro był tak nierozdzielnie związany z kochanką? Niestety, wyglądało na to, że nie może się dłużej opierać.

Powóz zjechał z Great Pulteney Street, wziął kilka ostrych zakrętów w wąskich uliczkach i zatrzymał się przed drzwiami szkoły przy Daniel Street. Joseph domyślił się, że któraś z dziewczynek musiała wyglądać przez okno, bo ledwo powóz przestał się bujać na resorach, a już na chodnik przed budynkiem wysypała się spora gromadka dziewcząt - wszystkie mocno podekscytowane.

Niektóre piszczały - być może na widok powozu, który, trzeba przyznać, prezentował się dość okazale; lub może na widok jego wierzchowca, któremu akurat daleko było do okazałości, ale lepszego nie udało mu się wynająć, a ten przynajmniej nie kulał. A może piszczały - o zgrozo! - na jego widok, choć niewątpliwie był o wiele za stary, żeby w takich podlotkach wzbudzić romantyczne uniesienia. Kilka dziewcząt płakało w chusteczkę, inne rzucały się na szyję dwóm pozostałym, w płaszczach i kapelusikach - to pewnie te, które mają wyjechać. Jakaś dziewczyna - czy może lepiej powiedzieć „młoda kobieta”, bo była przynajmniej o trzy lub cztery lata starsza od reszty - bez skutku usiłowała je nakłonić, żeby ustawiły się w dwuszeregu. Joseph odgadł, że to nauczycielka.

Starszy, skwaszony portier, którego buty wciąż skrzypiały tak samo, jak dwa dni temu, wystawił na próg dwie walizy i spojrzał na Josepha, jak gdyby dając mu do zrozumienia, że do niego już należy zatroszczyć się o to, żeby bagaże znalazły się w powozie.

Jedna z podróźniczek trajkotała bez przerwy, czy kto chciał, czy nie chciał jej słuchać; druga płakała.

Joseph z wysokości siodła przyglądał się temu rozgardiaszowi z dobrodusznym uśmiechem.

Wtem w drzwiach stanęła panna Martin i dziewczęta od razu przycichły, choć jedna z wyjeżdżających wciąż łkała. Za dyrektorką ukazała się inna dama i zwróciła się do grupki uczennic ze znacznie większym autorytetem niż owa młodziutka nauczycielka.

- Dziewczęta - powiedziała. - Co to ma znaczyć? Czemu wyciągnęłyście tutaj pannę Walton? Przecież pożegnałyście się już z Florą i Edną przy śniadaniu. Powinnyście być teraz w klasie!

- Przyszliśmy się pożegnać z panną Martin, proszę pani - odezwała się jedna z dziewcząt, widocznie odważniejsza i bystrzejsza od reszty. Pozostałe przytaknęły skwapliwie.

- To bardzo miłe z waszej strony - rzekła nauczycielka z rozbawieniem w oczach. - Ale panna Martin bardziej doceni ten gest, jeśli staniecie ładnie w dwuszeregu i będziecie się zachowywać, jak przystało. Dziewczęta szybko i bez protestów spełniły polecenie. Tymczasem panna Martin zmierzyła spojrzeniem najpierw powóz, następnie konia Josepha, a wreszcie jego samego.

- Dzień dobry, lordzie Attingsborough - odezwała się energicznie.

Ubrana była w schludny, ale zupełnie nieatrakcyjny szary płaszcz i kapelusz - w sumie rozsądny strój, biorąc pod uwagę dzisiejszą pogodę, chmurną i brzydką, choć prawie nastało już lato. Za jej plecami portier wytaszczył na chodnik sporych rozmiarów kufer - na pewno należący do niej - i z pewnością spróbowałby dźwignąć go na dach, gdyby John go w tym nie wyręczył.

- Dzień dobry, panno Martin - przywitał się Joseph, zdejmując cylinder i kłaniając się uprzejmie. - Widzę, że nie przyjechałem zbyt wcześnie.

- To jest szkoła - przypomniała mu. - Tu się nie śpi do południa. Czy ma pan zamiar jechać konno przez całą drogę do Londynu?

- Może nie przez całą - odparł. - Ale na pewno przez większą część podróży będziecie panie miały powóz tylko dla siebie.

Jej surowy wyraz twarzy nie pozwalał stwierdzić, czy uspokoiła ją ta wiadomość, ale Joseph gotów był się założyć, że tak. Odwróciła głowę.

- Edno, Floro! - zawołała. - Nie możemy jego lordowskiej mości kazać na siebie czekać. Proszę do powozu. Stangret pomoże wam wsiąść.

Bez słowa patrzyła, jak ustawione w dwuszeregu dziewczęta znowu rozpoczęły płacze i zawodzenie. Dwie żegnające się uczennice przeszły wzdłuż szeregu koleżanek, obejmując każdą z osobna. Panna Martin zacisnęła usta w wąską kreskę, gdy dwie dziewczyny przed wejściem do powozu podeszły do nauczycielki, która wcześniej zaprowadziła porządek, a ona uściskała je i wycalowała w policzki.

- Eleanor - powiedziała dyrektorka, energicznym krokiem podchodząc do powozu. - Tylko nie zapomnij...

Ale młoda nauczycielka nie dała jej dokończyć.

- Bez obawy, nie zapomnę. - W oczach wciąż miała iskiarki rozbiawienia. - Jakżebym mogła zapomnieć, skoro wczoraj wieczorem kazałaś mi wypisać całą listę? O nic się już nie martw, Claudio. Jedź i baw się dobrze.

Claudia. Wyjątkowo odpowiednie imię - wyraziste i zdecydowane, pasujące do kobiety, która umie sama się o siebie zatroszczyć.

Panna Claudia Martin zwróciła się do dziewcząt stojących w równym dwuszeregu.

- Spodziewam się usłyszeć o moich seniorkach same dobre rzeczy, kiedy panna Thompson będzie do mnie pisać - powiedziała. - Liczę na to, że będziecie się starały powstrzymywać młodsze dziewczęta przed podpaleniem szkoły albo wywoływaniem awantur na ulicy.

Dziewczęta roześmiały się, choć niektóre - przez łzy.

- Dobrze, proszę pani - odpowiedziała jedna z nich.

- I bardzo wam dziękuję - ciągnęła panna Martin - że się tu pofatygowaliśmy tylko po to, żeby się ze mną pożegnać. Doprawdy, jestem głęboko wzruszona. Mam tylko nadzieję, że kiedy wrócicie z panną Walton do klasy, przyłożycie się do pracy, żeby nadrobić te stracone minuty lekcji... oczywiście, jak już pomachacie mi na pożegnanie. Przy okazji możecie też pomachać Florze i Ednie.

A więc miała poczucie humoru, choć może nieco uszczypliwe, pomyślał Joseph, patrząc, jak dyrektorka wspiera się na dłoni Johna i unosząc z jednej strony płaszcz oraz suknię, wspina się do powozu w ślad za dziewczętami.

John wdrapał się na kozioł, więc Joseph skinieniem głowy nakazał mu jechać.

I tak mała kawalkada wyruszyła w drogę do Londynu, żegnana powiewającymi chusteczkami kilkunastu uczennic; parę znowu zaczęło pociągać nosem, inne wykrzykiwały ostatnie słowa pożegnania do dwóch koleżanek, które już nigdy nie wrócą do szkoły, lecz - jak poinformowała go Susanna - podejmą trud pracy na własne utrzymanie. Były to ubogie dziewczęta, które uczyły się na koszt szkoły. Panna Martin podobno co roku przyjmowała sporą grupkę takich właśnie uczennic.

Był na pół rozbawiony, na pół wzruszony sceną, w której przed chwilą uczestniczył. Jak gdyby pozwolono mu na moment zajrzeć do innego świata, obcego ludziom o jego pozycji społecznej i majątku.

Świata dzieci, które nie miały wsparcia rodziny ani pewności, jaką daje pieniądz.

Zanim dojechali na nocleg do zajazdu Pod jagnięciem i flagą w Marlborough, gdzie Claudia zarezerwowała dwa pokoje, jeden dla Edny i Flo-ry, a drugi dla siebie, stawy kompletnie jej zeszywniały, a w pewnej części ciała całkiem straciła czucie - zastanawiała się nawet, czy było możliwe, żeby po jeździe w wynajętym powozie czuła się jeszcze bardziej obolała.

Ale z doświadczenia wiedziała, że tak. Powóz markiza Attingsborough był dobrze utrzymany i czysty, miał resory bez zarzutu i luksusowo wyścielane siedzenia. To po prostu kiepski stan dróg i długie godziny spędzone bez ruchu tak się jej dały we znaki.

Przynajmniej ona i jej podopieczne miały powóz tylko dla siebie przez cały dzień. Markiz całą drogę przebył w siodle, zmieniając wierzchowce, kiedy zatrzymywali się na popas i wymianę koni pociągowych. Claudia jedynie kilka razy widziała go przez okno i w zajazdach pocztowych, w których się zatrzymywali.

Rzecz jasna, jak zauważyła z rozdrażnieniem, wspaniale się prezentował na końskim grzbiecie. Miał na sobie nienagannie elegancki strój do konnej jazdy i wyglądał tak świeżo, jakby dopiero usiadł w siodle, choć jechali już przecież od wielu godzin. Niewątpliwie uważał się za dar od Boga dla ludzkości, a zwłaszcza dla jej żeńskiej połowy. Owszem, czuła w głębi serca, że jest wobec niego niesprawiedliwa, ale nie zrobiła nic, żeby złagodzić swój surowy osąd. Wprawdzie bardzo to było uprzejme z jego strony, że zaoferował im swój powóz na drogę do Londynu, ale sam jej przecież powiedział, że chciał w ten sposób zrobić wrażenie na rodzinie i przyjaciółach.

Szybka i staranna obsługa we wszystkich miejscach postoju na poły cieszyła ją i irytowała. Wiedziała dobrze, że gdyby podróżowały wynajętym powozem, traktowano by je zgoła inaczej. Nawet prowiant podawano im do powozu, żeby nie musiały rozpychać się łokciami w przydrożnych gospodach i czekać w kolejkach.

Tak czy inaczej, miały za sobą ciężki dzień. Mało rozmawiały w drodze. Przez pierwszą godzinę dziewczęta były wyraźnie przygnębione i nawet nie miały ochoty podziwiać piękna mijanych krajobrazów. Choć po pierwszym postoju i posiłku rozchmurzyły się nieco, to bardzo

starały się odpowiednio zachowywać przy dyrektorce, co sprawiło, że prawie w ogóle się nie odzywały, chyba że Claudia wprost zadała im jakieś pytanie.

Flora spędziła w szkole pięć lat. Dzieciństwo przeżyła w sierocińcu w Londynie, ale kiedy skończyła trzynaście lat, trafiła na ulicę, zmuszona sama zatroszczyć się o siebie. Edna została sierotą jako jedenastolatka. Jej rodziców zamordowali rabusie, którzy napadli na ich skromny sklepik; jak się potem okazało, w środku nawet nie było co kraść. Po napadzie nie zostało już nic dla jedynej córki. Na szczęście pan Hatchard znalazł i ją, i Florę, po czym przysłał obie do Bath.

Claudia weszła Pod jagnię i flagę, ale musiała czekać, aż gospodarz skończy leniwą pogawędkę z klientem na fascynujący temat wędkowania. Dwóch innych mężczyzn, niezastługujących w jej oczach na miano dżentelmenów, obrzucało Ednę i Florę powłóczyłymi spojrzeniami, odwracając wzrok z beczelnymi uśmiezkami dopiero, gdy Claudia spojrzała na nich karcąco.

Popatrzyła znacząco na gospodarza, który w najlepsze udawał, że ich nie dostrzega. Jeszcze chwila, obiecała sobie, a powie mu coś do słuchu.

Wtem otworzyły się i zamknęły drzwi od strony stajni i scena zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pogawędka o rybach urwała się, jakby była zupełnie bez znaczenia, a rozmówca gospodarza natychmiast poszedł w zapomnienie. Sam gospodarz zaś zaczął się wdzięczyć i krygować, zacierając ręce i uśmiechając się przymilnie.

To wszedł lord Attingsborough, stwierdziła Claudia, odwracając głowę. Nawet gdyby gospodarz nie wiedział, że markiz zatrzyma się u niego na noc - a wiedział o tym na pewno - to i tak markiz miał w sobie coś arystokratycznego, jakąś arogancję i pewność siebie, które nie pozostawiały wątpliwości, co do jego pochodzenia i które momentalnie zirytowały Claudię.

- Witamy Pod jagnięciem i flagą, milordzie - powiedział gospodarz. - W najgościnniejszym zajeździe w Marlborough. Czym mogę panu służyć?

Najgościnniejszym, też coś! Claudia spojrzała wymownie na gospodarza i już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

- Wydaje mi się - uprzedził ją markiz - że panna Martin i jej dopieczne były tu przede mną.

Gospodarz dość udatnie odegrał zaskoczenie na ich widok, jakby właśnie spadły z nieba.

Claudia aż się zatrzęsała z oburzenia - w dużej mierze, być może, niesprawiedliwie, obwiniła za całą sytuację markiza Attingsborough. Pewnie nie było w tym żadnej jego winy, że jej nie zauważano, dopóki się nie okazało, że prawdziwy, żywy markiz zna jej nazwisko. Ale ona nie potrzebowała obrońcy.

- Panna Martin? A, tak. - Gospodarz uśmiechnął się przypochebnie.
- Pokoje dla pań są już przygotowane, madam. Mogą panie zaraz iść na górę.

- Dzięk... - Claudii nie udało się powiedzieć nic więcej.

- Mam nadzieję - wtrącił markiz - że to najlepsze pokoje w gospodzie?

- Wszystkie nasze pokoje są wygodne - zapewnił gospodarz. - Ale te od frontu są już zajęte przez pana Cosmana i jego kuzyna.

Markiz stał teraz tuż za plecami Claudii. Nie widziała jego twarzy, ale za to widziała reakcje gospodarza. Markiz nie powiedział więcej ani słowa, a mimo to po chwili gospodarz odchrząknął.

- Jestem pewien - rzekł - że panowie z przyjemnością odstąpią swoje sypialnie tym czarującym damom i zadowolą się pokojami od strony stajni.

W których Claudia mieszkała za każdym razem, gdy zatrzymywała się w tej gospodzie. Pamiętała, że przez okna w nocy wpadało światło latarni na dziedzińcu i dochodziły hałasy, nie dając jej spać.

- Tak, tak. - Gospodarz znowu uśmiechnął się przymilnie do Claudii. - Nalegam, żeby panie zgodziły się spać w pokojach od frontu.

Zupełnie jakby protestowała. A jednak właśnie miała przewrotną ochotę zaprotestować i zażądać tamtych gorszych pokojów. Nie życzyła sobie zawdzięczać wygodniejszych sypialni markizowi Attingsborough. Dobry Boże, jest przecież kobietą niezależną. Nie ma potrzeby, żeby wstawiał się za nią jakiś mężczyzna.

- Spodziewam się, że ma pan tu jakąś prywatną jadalnię? - powie dział markiz, nim zdążyła się odezwać.

Claudii zadrgały nozdrza. Czy te upokorzenia nie będą miały końca?

- Pan Cosman... - bąknął gospodarz, ale urwał, spoglądając na markiza. - Zarezerwuję ją dla dam, bo tak się przecież należy, milordzie. Dziś wieczór oprócz nich nocują tu sami dżentelmeni.

Claudia dokładnie wiedziała, co zaszło. Na pewno markiz Attingsborough kilkakrotnie uniósł swoją arystokratyczną brew i gospodarz, gnąc

się w ukłonach, pośpieszył spełnić jego życzenie. Pożalowania godne. I to wszystko ze względu na tytuł markiza czy też raczej na jego błękitną krew. Mimo że przypuszczalnie był hulaką i nierobem, to i tak wszyscy się przed nim płaszcyli, bo miał arystokratyczny tytuł, a pewnie i góry pieniędzy.

No, cóż - ona w każdym razie ani myśli się płaszczyć. Odwróciła się do niego. Uśmiechnął się tym swoim czarującym, niedbałym uśmiechem i mrugnął do niej.

Mrugnął!

Oczywiście, nawet po całym dniu spędzonym w siodle wciąż wyglądał wspaniale. Gdy tak stał, uderzając szpicrutą w cholewę skórzanego buta, mogła podziwiać jego długie kończyny, męską sylwetkę... no, może już wystarczy. Nawet pachniał przyjemnie - koniem i wodą kolońską, i jeszcze czymś innym, typowo męskim.

Claudia spojrzała na niego surowo, zaciskając usta w wąską kreskę. Ale to mrugnięcie zbiło ją z pantałyku i teraz już było za późno - nie mówiąc o tym, że niezręcznie - upierać się przy tamtych pokojach od strony stajni i przy zbiorowej jadalni.

Edna i Flora też na niego patrzyły - czy raczej wpatrywały się w niego jak urzeczone. Tego się można było spodziewać.

- Idziemy, dziewczęta - nakazała energicznie Claudia. - Udamy się teraz do pokojów, jeśli pan gospodarz będzie łaskaw pokazać nam drogę.

Ruszyła w stronę walizek.

- Oczywiście, każe pan zaraz wnieść bagaże pań na górę? - odezwał się markiz do gospodarza.

- Naturalnie, milordzie - odpowiedział gospodarz, pstrykając palcami. Claudii zadrgały nozdrza. - Właśnie miałem wołać służbę.

Dwóch - nie jeden, ale dwóch służących - zjawiło się znikąd. Chwycili bagaże i ponieśli je w kierunku schodów.

Claudia ruszyła za nimi, a w ślad za nią dziewczęta.

Pokoje okazały się przestronnymi, wygodnymi izbami z widokiem na skraj miasteczka i dalej, na ciche łąki i pola. Były wysprzątane i jasne, bez zarzutu. Dziewczęta z piskiem rzuciły się do okna w swojej sypialni i, wsparte na parapecie, zapatrzyły się na piękne widoki. Claudia poszła do siebie i ze zrezygnowanym westchnieniem przyznała, że pokój jest naprawdę o niebo lepszy niż ten, w którym zazwyczaj nocowała. Wyciągnęła się na łóżku, żeby chwilę odpocząć.

Mrugnął do niej, też coś! Nie przypominała sobie, kiedy ostnio-nio mrugnął do niej jakiś mężczyzna. Pewnie kiedy była jeszcze młodą dziewczyną.

Jak on śmiał!

Och, ale ten pokój taki cichy, z wygodnym łóżkiem i świeżym powietrzem wpadającym przez okno. Gdzieś w oddali ptaszek wyśpiewywał słodkie trele na całe gardziółko... Przysnęła na moment.

Obiad zjadła wraz z dziewczętami w przytulnej i dosyć spokojnej prywatnej jadalni. Podano im pieczeń wołową z ziemniakami i gotowaną kapustą, a na deser dwa rodzaje puddingu i herbatę. Musiała przyznać, że odpoczynek i pożywny posiłek dobrze jej zrobiły po całodziennym zmęczeniu. Odetchnęła też z ulgą, gdy markiz Attingsborough nie narzucił im swojego towarzystwa przy obiedzie. Dziewczęta wyglądały na śpiące. Claudia już miała zaproponować, żeby wszystkie trzy udały się na spoczynek, kiedy ktoś zastukał do drzwi i do pokoju wszedł markiz.

- Aha - powiedział z uśmiechem, skinąwszy im głową. - Panno Martin, drogie panie. Cieszę się, że ta gospoda ma przynajmniej tę jedną osobną jadalnię. Mnie przy obiedzie raczono rozmową o żniwach, polowaniu i zawodach pięściarzy.

Claudia podejrzewała, że markiz nie zatrzymałby się w tym zajeździe, gdyby nie to, że zobowiązał się dotrzymać im towarzystwa. Nocowałby pewnie Pod Jerzym i pelikanem albo Pod zamkiem, ale jej nie było stać na nocleg w żadnym z tych miejsc. Miała nadzieję, że on nie oczekuje podziękowań za załatwienie posiłku w prywatnej jadalni i wygodniejszych pokojów. Wciąż jeszcze zżymała się na wspomnienie władzy nad ludźmi, jaką okazywał nawet bez słów, podczas gdy ona czuła się słabą, bezsilną kobietką.

Dziewczęta zerwały się na nogi i dygnęły przepisowo. Claudia też wstała, ale tylko uprzejmie skinęła głową.

- Mam nadzieję - ciągnął, zamykając za sobą drzwi - że dzień upłynął paniom w miarę znośnie. I że w tak długiej podróży nie pobijałyście sobie wszystkich kości.

- O, nie, milordzie - zapewniła Flora. - Nigdy mi się nawet nie śniło, że powóz może być taki wygodny. Mogłabym tak podróżować przez tydzień. Albo i dwa.

Roześmiał się, a Edna zachichotała z miną przestraszonego królika.

- Domyślam się, że obie jesteście głęboko nieszczęśliwe z powodu opuszczenia szkoły i przyjaciółek, ale też bardzo podekscytowane, bo za czynacie wreszcie dorosłe życie.

Edna znowu dygnęła.

- Niektóre z dziewczynek były dla nas jak siostry - przyznała Flora. - I serce mi pęka na myśl, że może już nigdy się nie zobaczymy. - Uderzyła się ręką w pierś. - Ale jestem gotowa zarabiać na siebie, milordzie. Przecież nie możemy całe życie być w szkole, prawda?

Claudia spoglądała na markiza, spodziewając się oburzenia, że dziewczęta miały czelność odpowiedzieć. Ale on wciąż się uśmiechał.

- A gdzie pani będzie pracować, panno...?

- Bains, milordzie - odrzekła Flora.

- Panno Bains - powtórzył.

- Będę guwernantką - wyjaśniła. - Zawsze chciałam zostać nauczycielką, odkąd nauczyłam się czytać i pisać, gdy miałam trzynaście lat. Myślę, że uczenie innych to najwspanialsze, co można robić w życiu. Prawda, milordzie?

Claudia poważnie się obawiała, że Flora zaraz zacznie pleść trzy po trzy. Ale też z zadowoleniem zauważyła, że nawet w chwili podniecenia jej akcent był przyzwoity i zdania zbudowane poprawnie -jakaż ogromna różnica w porównaniu z tym, jak mówiła, kiedy przed pięciu laty trafiła do szkoły.

- Najszczęśliwsza prawda, panno Bains - zgodził się. - Choć nie mogę powiedzieć, że bym w dzieciństwie przepadał za moim pierwszym guwernerem, który mnie uczył czytania. Jak na mój gust trochę za często używał różgi.

Edna zachichotała.

- To bez sensu - stwierdziła Flora. - Jak można się czegoś nauczyć, kiedy się dostaje w skórę? I jak można nie lubić nauki? Pamiętam, jak w sierocińcu uczyli nas szyc. Nigdy się tego dobrze nie nauczyłam i do tej pory nie znoszę szycia. W szkole nigdy, przenigdy nie dostawałyśmy lania i ja też nigdy, przenigdy nie uderzę żadnego mojego ucznia, choćby był niegrzeczny albo kiepsko się uczył. Swoich dzieci też nie tknę, jeśli kiedyś będę je miała.

Claudia zacisnęła wargi. Flora chyba trochę się zagalopowała, choć jej poglądy były godne pochwały.

- Widzę, że będzie pani wspaniałą guwernantką, panno Bains - powiedział markiz. - Pani uczniowie będą szczęśliwi, mając taką nauczycielkę. A pani, panno... ?

Spojrzał na Ednę, unosząc brwi. Dziewczyna zarumieniła się i zachichotała; wyglądała, jakby miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Wood, Wasza Wysokość - podsunęła. - To znaczy, milordzie.

- Panno Wood - powtórzył. - Pani też będzie guwernantką?

- Tak, milordzie - potwierdziła. - To znaczy, Wasza Wysokość.

- Ach, te tytuły. - Uśmiechnął się. - Wymyślono je chyba tylko po to, żeby nam wszystkim uprzykrzać życie. Jakby nie wystarczyło, że musimy zapamiętywać imiona i nazwiska! A więc i pani ma zostać guwernantką. Nie wątpię, że szkoła panny Martin świetnie panią do tego przygotowała.

Natychmiast spojrzał na Claudię, jakby dając Ednie do zrozumienia, że nie musi się silić na odpowiedź. Claudia niechętnie przyznała w duchu, że było to bardzo taktowne z jego strony.

- Panno Martin - zwrócił się do niej. -Widzę, że są już panie gotowe udać się na spoczynek. Jeśli tak, proszę mi pozwolić, że odprowadzę panie przez zatłoczoną jadalnię i po schodach na górę, żeby nikt pań po drodze nie zaczepiał.

- Dziękuję - powiedziała Claudia. - To prawda, dzień był długi i męczący, a jutro czeka nas podobny.

A jednak, gdy odprowadził je na górę, mijając po drodze kilka grupek mężczyzn, rozmawiających głośno, markiz nie pośpieszył z powrotem na dół, gdy Flora i Edna były już bezpieczne za zamkniętymi drzwiami swojej sypialni.

- Panno Martin - zaczął. - Godzina jeszcze dosyć młoda, a ja, chociaż spędziłem cały dzień w siodle, miałbym ochotę rozprostować nieco kości, zanim się położę. Jeśli pani też ma taką potrzebę i chciałaby przy tym poodychać trochę świeżym powietrzem, może zechce mi pani towarzyszyć na krótkim spacerze?

Wcale nie chciała.

Ale obiad leżał jej jeszcze na żołądku, choć wcale nie zjadła dużo. I miała wrażenie, że po całodziennym zamknięciu w powozie wszystkie mięśnie jej zeszywniały. A przecież jutro przed nimi równie daleka droga. Odrobina ruchu i świeże powietrze na pewno dobrze jej zrobią.

I nie może przecież iść na spacer sama w obcym mieście i do tego po zmroku.

Markiz Attingsborough to przyjaciel Susanny, powiedziała w duchu. Susanna wyrażała się o nim bardzo pochlebnie. Jedyne powody, dla którego rozważała pozostanie w gospodzie, to fakt, że nie podoba jej się ten człowiek, choć przecież go wcale nie zna. Oraz fakt, że to mężczyzna - ale to już zupełnie bzdurny powód. Może i jest starą panną, ale na pewno nie będzie taka, jak niektóre niezamężne kobiety, które płonęły się i mdlały na sam widok mężczyzny.

- Chętnie, dziękuję - odparła. - Pójdę tylko po płaszcz i kapelusz.
- Świetnie - powiedział. - Zaczekam na panią przy schodach.

3

Panna Martin, jak zauważył Joseph, włożyła ten sam szary płaszcz i kapelusz, które miała na sobie przez cały dzień. Wyszli z gospody i przeszli kawałek drogi ulicą na tyłach stajni, wreszcie skręcili w wąską ścieżkę, która wiodła na pola za miastem. Kroczyła zamasyście obok niego, więc nie musiał zwalniać kroku. Nie podał jej ramienia, bo wyczuł, że nie życzyłaby sobie tego.

Już zmierzchało, ale noc nie będzie bardzo mroczna, uznał, patrząc w niebo. Teraz, po zachodzie słońca, chmury rozstały się i wzeszedł piękny księżyc.

- Może jutro pogoda się poprawi - zauważył.
- Miejmy nadzieję - przytaknęła. - Zawsze to przyjemniej, kiedy świeci słońce.

Nie miał pojęcia, czemu zaprosił ją na spacer - może dlatego, że bardzo go zainteresowała jej szkoła. Claudia w każdym razie dotychczas nie okazała mu ani odrobiny sympatii.

- Spodziewam się, że pokoje paniom odpowiadają? - zapytał.
- Owszem - odrzekła. - Ale te, które ja zarezerwowałam, te z oknami wychodzącymi na stajnię, też byłyby znośne.
- Przypuszczam, że może tam być większy hałas - stwierdził.
- Tam jest większy hałas - oświadczyła. - Nocowałam w nich już kilka razy.

- To pani lubi hałas? - Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Wzrok utkwniony przed siebie, broda uniesiona, nos wysoko w powietrzu. Na miły Bóg, ona chyba jest zła. Czyżby na niego? Za to, że starał się, aby potraktowano ją tu z szacunkiem?

- Nie lubię - odparła. - Nie odpowiadają mi też zapach stajni ani latarnie, które tam świecą przez całą noc. Ale to tylko pokoje, w dodatku na jeden nocleg. I zarezerwowałam tamte, a nie te.

- Panno Martin, czy pani się ze mną sprzecza? - zdumiał się.

Teraz i ona odwróciła się w jego stronę. Popatrzyła mu prosto w oczy, unosząc brwi i zwalniając nieco kroku.

- Pański powóz jest na pewno o wiele wygodniejszy niż ten, który wy najęłam wcześniej - przyznała. - Sypialnia moja i dziewcząt są bez porównania lepsze niż te, które nam tu przedtem oferowano. W prywatnej jadalni zjadłyśmy w spokoju, którego nie zaznałybyśmy w zbiorowej sali. Ale te wszystkie wygodny to drobiazgi, bez których człowiek może się w życiu obejść. Nie wątpię, że pan i ludzie z pańskiej sfery nie wyobrażają sobie bez nich życia. Ale ja nie należę do pańskiej sfery, lordzie Attingsborough, i wcale tego nie pragnę. Co więcej, jestem kobietą, która własnym wysiłkiem wiele osiągnęła. Nie potrzebuję, żeby wstawiał się za mną mężczyzna albo żeby jakiś arystokrata zapewniał mi szczególne przywileje.

No, no! Ostatni raz dostał taką burę, kiedy był małym chłopcem. Przyjrzał jej się z nowym zainteresowaniem.

- Czy wobec tego mam panią prosić o wybaczenie - zapytał - że chciałem zadbać o pani wygodę?

- Proszę tego nie robić - odpowiedziała. - Bo będę zmuszona przyznać, że zachowałam się jak ostatnia niewdzięcznica. A przecież powinnam być panu wdzięczna. I jestem.

- Nieprawda, nie jest mi pani wdzięczna. - Uśmiechnął się szeroko.

- Racja, nie jestem.

Prawie się uśmiechnęła. Kąciki jej ust już-już wyginały się do góry. Ale najwyraźniej nie zamierzała okazać przy nim takiej słabości, bo zamiast tego zacisnęła usta w wążutką kreskę, odwróciła głowę i wydłużyła krok.

Chyba czas zmienić temat, uznał. I trzeba mu będzie się pilnować w przyszłości, żeby nie proponować pannie Martin żadnej przysługi.

- Wszystkie dziewczęta wydawały się dziś rano bardzo smutne, że panny Wood i Bains wyjeżdżają - zauważył. - Czyżby nie było żadnych

konfliktów między uczennicami, których rodzice płacą za naukę, a tymi, które są w szkole charytatywnie?

- O, bywają, i to często - odparła z ożywieniem. - Zwłaszcza na początku, kiedy takie ubogie uczennice pojawiają się w szkole, mówią z wyraźnym akcentem, nie umieją się przyzwoicie zachować i do tego są pełne pretensji do świata. No i oczywiście różnice klasowe między nimi zawsze pozostaną, nawet kiedy dziewczynki skończą szkołę i rozejdą się, każda w swoją stronę. Ale to bardzo ważna życiowa lekcja, której ja i inni nauczyciele nigdy nie przestaniemy udzielać: że tak naprawdę, gdyby nie brać pod uwagę urodzenia i majątku, ludzie niewiele się między sobą różnią. Mamy nadzieję, że w naszych dziewczętach i po odejściu ze szkoły pozostanie szacunek do człowieka niezależnie, z jakiej warstwy społecznej pochodzi.

Podobała mu się ta odpowiedź. Głęboka i realistyczna zarazem.

- Skąd u pani ten pomysł kształcenia dziewcząt z biednych środowisk?

- Z braku pieniędzy - wyjaśniła. - Mój ojciec był jedynie ordynatem naszego majątku. Po jego śmierci, kiedy miałam dwadzieścia lat, większość przypadła kuzynowi. Mój spadek był, oględnie mówiąc, dość skromny. Nie mogłam lekką ręką wydawać pieniędzy, nie miałam nieograniczonych funduszy. Musiałam więc znaleźć sposób pomagania innym, który wiązałby się ze wsparciem innego rodzaju niż materialny.

Mogła przecież wcale nie pomagać innym.

- A jednak na pewno łoży pani немало na wykształcenie tych dziewcząt - zauważył. - Karmi je pani i ubiera, daje dach nad głową. No i przecież zajmują miejsce płatnym uczennicom.

- Czesne jest wysokie - rzekła. - I nie zamierzam się z tego tłumaczyć. Dajemy znakomite wykształcenie, a rodzice, którzy tak nie uważają, mogą śmiało posłać swoje córki do innej szkoły. Mamy też hojnego do broczyńce, którego nazwiska, niestety, nie znam. Zawsze bardzo mnie martwiło, że nie mogę podziękować mu osobiście.

Pozostawili już za sobą miasteczko i szli teraz polną drogą, która wiała się wśród niskich żywopłotów otaczających okoliczne łąki i pola. Lekki wiaterek dmuchał im w twarz i unosił rondo jej kapelusza.

- A więc uczy pani dziewczęta z domów zamożnych i biednych - powiedział. - Nie zastanawiała się pani może nad rozszerzeniem działalno-

ści swojej szkoły? Myślała pani kiedyś na przykład o kształceniu dzieci niepełnosprawnych?

- Mówi pan o kalekach? Chromych? - zapytała. - Albo niesłyszących? Czy może upośledzonych umysłowo? Przyznaję, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam. To byłoby spore wyzwanie, nie sądzi pan?

- A pani nie byłaby w stanie mu sprostać? - naciskał.

Zamyśliła się, nim udzieliła mu odpowiedzi.

- Trudno powiedzieć - przyznała. - Nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Wydaje mi się, że rodzice dzieci upośledzonych, a zwłaszcza dziewczynek, sądzą, że one i tak niczego nie będą w stanie się nauczyć, więc nie zapisują ich do szkoły. Ale gdyby przysłano mi takie dziecko... cóż, nie wiem, jak bym się zachowała. To by pewnie zależało od rodzaju upośledzenia. Chroma dziewczynka, na przykład, mogłaby swobodnie uczyć się z innymi. Nie brałaby tylko udziału w lekcjach tańca czy grach ruchowych. Niesłysząca czy upośledzona umysłowo sprawiałaby więcej problemów. Ale to bardzo ciekawa kwestia. - Odwróciła się do niego i w mroku wydało mu się, że w jej poważnych oczach dostrzega ślad aprobaty. - Muszę się nad tym głębiej zastanowić - stwierdziła.

- W takim razie będę pamiętał, żeby jeszcze raz panią o to zapytać, gdy spotkamy się przy jakiejś okazji w Londynie - powiedział z uśmiechem. - Czy zawsze planowała pani zostać nauczycielką?

Znowu się zamyśliła. To nie jest kobieta, uznał Joseph, która mówi bez zastanowienia.

- Nie - odparła w końcu. - Nie zawsze. Kiedyś miałam inne marzenia. Ale gdy się okazało, że nie mogą się spełnić, były dwie możliwości. Jako córka dość majątnego dżentelmena, mogłam pozostać w domu na utrzymaniu ojca. A pewnie i po jego śmierci kuzyn nie odmówiłby mi dalszego wsparcia. Z drugiej strony, mogłam zacząć żyć na własny rachunek, i to właśnie wybrałam. Potem musiałam jeszcze zdecydować, kim chcę być: damą do towarzystwa czy nauczycielką. Ale ta decyzja akurat była łatwa. Nie ścierpiałabym konieczności bycia przez całą dobę na każde skinienie jakiejś zrzędlivej, zdzięczniałej starej kobiety. Szybko znalazłam posadę jako guwernantka.

Gdzieś w dali zaszczekał pies. Mrok wokół nich gęstniał. A więc i ona miała kiedyś marzenia. Nie zawsze była tak przyziemna, jak się wydawała obecnie. Pewnie marzyła o małżeństwie, może też

o miłości. Ale czemu porzuciła te marzenia, i to jeszcze przed dwudziestym rokiem życia? Nawet teraz mogłaby być atrakcyjną kobietą, gdyby od czasu do czasu porzuciła ten surowy wyraz twarzy i pozwoliła sobie na uśmiech. W młodości musiała być śliczną dziewczyną. I mówiła coś o skromnym posagu. Przecież na pewno znaleźliby się mężczyźni, chętni ją poślubić. A może to było konkretne marzenie o konkretnym mężczyźnie

...

Ale to przecież nie jego sprawa!

- Guwernantka? - zapytał, kiedy ona umilkła.

- Najpierw trafiłam do rodziny z trójką niezdolnych maluchów - powiedziała. - Uwielbiałam te dzieciaki. Niestety, ich ojca wysłano na placówkę do Indii w cztery miesiące po tym, jak się u nich zatrudniłam, i cała rodzina wyjechała razem z nim. Potem pracowałam z potwornie źle wychowaną dziewczynką, która uważała, że jej pozycja społeczna daje jej prawo, żeby traktować innych tak, jak ma ochotę.

- Czyli nie za dobrze? - odgadł z uśmiechem.

- To mało powiedziane - odparła. - A kiedy uczciwie opowiedziałam jej bratu o moich trudnościach wychowawczych... wcale nie narzekałam, tylko zdawałam mu relację z przebiegu mojej pracy w ciągu tygodnia, tak jak prosił... więc kiedy mu o tym powiedziałam, on mnie poinformował, że płaci mi duże pieniądze za to, żebym uczyła jego siostrę, i jeśli nie mam ochoty być traktowana jak robak, to muszę coś z tym zrobić.

- I co pani zrobiła? - Joseph był szczerze ubawiony, choć ona gotowała się z wściekłości, wspominając dawnego pracodawcę. Przyspieszyła kroku. Wątpił, żeby w ogóle zwracała uwagę na zapadający mrok czy mijany krajobraz.

- Pewnego popołudnia po prostu odeszłam - rzekła. - Nie dałam się odwieźć powozem i nie przyjął listu z referencjami ani nawet pensji za przepracowany tydzień. A miesiąc później otworzyłam szkołę w Bath.

- Śmiem twierdzić, że pokazała im pani, że nie jest żadnym robakiem, panno Martin. Gratuluję.

Nagle i nieoczekiwanie roześmiała się; zwolniła też kroku.

- Przypuszczam, że zapomnieli o mnie w chwili, kiedy minęłam bramę majątku, a może jeszcze szybciej.

- A jednak wydaje mi się - zauważył - że chcąc, niechcąc wyświadczyli pani przysługę.

- Też tak zawsze myślałam - przytaknęła. -Wierzę, że życie szczodrze nas obdarowuje, jeśli tylko człowiek ma pozytywne nastawienie. Szanse i możliwości czekają za każdym rogiem; to tylko my czasami tracimy odwagę czy determinację i nie podejmujemy się pokonać tego zakrętu. Ja na przykład mogłam jeszcze przez długie lata pracować dla tamtych ludzi, unieszczęśliwiając sama siebie, albo trafić na inną, podobną posadę i stracić na zawsze radość z uczenia innych i moje przekonanie do tego zawodu.

- Czy sprawia to pani radość? - zapytał. - Uczenie i prowadzenie szkoły?

Dróżka, którą szli, skręciła ostro. Przed nimi wyrosła brama z drewnianych bali, zamykająca wejście na łąkę. Nic nie mówiąc, oboje zatrzymali się przy bramie; Joseph oparł łokieć na wyższym z drągów i postawił stopę na niższym.

- Owszem - potwierdziła z przekonaniem po chwili zastanowienia. -Jestem szczęśliwa. Jadę do Londynu między innymi po to, żeby poinformować mojego agenta, że już nie potrzebuję wsparcia naszego dobroczyńcy. Szkoła przynosi duże dochody; wystarczają na pokrycie wszystkich kosztów i pozwalają mi nawet odłożyć sobie co nieco na starość. Jestem naprawdę zadowolona z życia.

- Zazdroszczę pani. - Sam zdziwił się słowami, które właśnie wypowiedział.

- Trudno mi w to uwierzyć, lordzie Attingsborough. - Jej ton był ostry, jakby sądziła, że on stroi sobie z niej żarty. Było już na tyle ciemno, że nie widział, jaki miała wyraz twarzy.

Roześmiał się i wskazał ręką na zachód.

- Słońce chowało się przed nami przez cały dzień - powiedział. - Ale teraz przynajmniej dane nam jest obejrzeć, jak zachodzi.

Odwróciła głowę, żeby spojrzeć na cienką linię czerwieni i fioletu, widoczną nad horyzontem. Popatrzyła na pociemniałe niebo nad nimi, na którym już pojawiły się gwiazdy i księżyc, prawie w pełni.

- Przepięknie - westchnęła. Głos jej się zmienił. Był teraz jakby cieplejszy, bardziej kobiecy, pełen niewypowiedzianej tęsknoty. - A ja przez cały czas mówiłam do pana i nawet nie zwróciłam na to uwagi. Ileż cudów przegapiamy w ten sposób codziennie.

- To prawda - przyznał, spoglądając na nią.

W niewytłumaczalny sposób coś go pociągało w tej kobiecie, która stawiała życiu czoło i tak żarliwie wierzyła w swoje powołanie. Może nie była fizycznie atrakcyjna - choć przecież wcale niebrzydka - ale...

W każdym razie nie żałował już, że zaprosił ją na spacer. Przyjemnie się jej słuchało, może z wyjątkiem tej ostrej nagany na początku. Jej słowa budziły w nim nieśmiałą nadzieję...

Westchnęła, zwracając twarz ku niebu.

- Nawet sobie nie uświadamiałam, jak bardzo był mi potrzebny ten spacer - rzekła. - Dał mi znacznie więcej, niż gdybym wcześniej poszła spać.

Czy ona naprawdę jest szczęśliwa? Czy nigdy nie żałuje utraconych młodzieńczych marzeń? Choć przecież tak właśnie jest w życiu: ciągle marzymy, ale niewiele naszych pragnień się spełnia; z niektórych musimy zrezygnować, a jedno czy dwa pozostają nam na zawsze. Liczy się chyba umiejętność rezygnacji z jakiegoś marzenia, kiedy nie ma szans na realizację, i ta zdolność odróżnia ludzi spełnionych od smutnych i zgorzkniałych, którzy nigdy nie pogodzili się z rozczarowaniem. I od bujających w obłokach marzycieli, którzy nigdy nie żyli naprawdę.

- Nie żartowałem, zazdroszczę pani - powiedział. - Nie idzie pani bez celu tam, dokąd życie panią prowadzi, ale sama sobie wytycza drogę. Podziwiam to w pani.

Położyła dłoń w rękawiczce na drewnianej belce bramy, tuż obok jego łokcia, i odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz, choć nie sądził, żeby dobrze go widziała w tych ciemnościach.

- A pan tak nie postępuje? - zapytała tonem nauczycielki wywołującej ucznia do tablicy.

Zaśmiał się cicho.

- Kiedy człowiekowi przypada w udziale tytuł markiza, a w przyszłości księcia, a razem z tytułem wszystkie bogactwa, przywileje, ale też odpowiedzialność, jaką ta pozycja za sobą pociąga, nie myśli się za często o odkrywaniu innych ścieżek - wyjaśnił. - Nie można. Istnieje coś takiego, jak obowiązek.

Choć on, prawdę mówiąc, marzył o odkrywaniu innych dróg...

- Przecież zawsze ma się wybór - zaprotestowała. - Życie nie musi być pozbawione smaku. Od obowiązków można się uchylać, można je wypełniać z niechęcią i z przymusu, ale można też włożyć w nie serce i starać się wykonać jak najlepiej.

- Mam nadzieję, że nie zechce pani teraz wiedzieć, do której z tych trzech kategorii się zaliczam, panno Martin? - zapytał ze śmiechem.

- Nie - odparła. - Bardzo przepraszam. Mam w zwyczaju dawać swoim dziewczętom wykłady tego typu. Ale naprawdę uważam, że entuzjazm i przekonanie są w stanie przysłonić wiele wad i pokonać liczne przeszkody. Za to bierność trudno mi zaakceptować. To po prostu marnowanie życia.

Wątpił, czy panna Martin pochwaliłaby jego styl życia. W szkole wprawdzie radził sobie dobrze i zawsze starał się być jednym z najlepszych uczniów. Czytał dużo i z przyjemnością. Jako młody chłopak wiele czasu spędził z ojcowskim zarządcą, ucząc się obowiązków związanych z prowadzeniem wielkiego majątku; starał się być na bieżąco w sprawach parlamentu, w którym kiedyś - jeśli pożyje dłużej od ojca - przyjdzie mu zasiadać. Ale ojciec wytykał mu te starania. „Zupełnie, jakbyś czekał na moją śmierć” - powiedział raz, kiedy Joseph, utyflany w błocie, ale szczęśliwy, wrócił wraz z zarządcą z inspekcji nowego rowu melioracyjnego w Anburey.

I tak późniejsze dorosłe życie Josepha nie było zbytnio wypełnione pracą - podobnie jak życie większości osób z jego sfery. Doglądał Willowgreen, niewielkiego mająteczku, który dostał od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny, ale pragnienie bycia blisko Lizzie trzymało go w Londynie i nie pozwalało mu jeździć tam tak często, jakby może należało. W odróżnieniu od mężczyzn jego klasy, nie miał szczególnych wad czy ekstrawagancji. Regulował rachunki w terminie, bez ociągania się wypłacał pensje służbie, hojnie łożył na cele dobroczynne. Nie przesadzał z hazardem. Nie był kobieciarzem. Miał za sobą kilka przygód miłosnych, typowych dla wieku młodzieńczego, ale skończyło się na Soni, bo z nią pojawiła się Lizzie. Przedtem była jeszcze Barbara, ale wszystko to przed dwudziestym piątym rokiem życia.

Otwierał i zaciskał pięść na drewnianej belce bramy, wpatrując się w gasnący zachód słońca. Już od wielu lat miał wrażenie, że w jego życiu panuje jakaś pustka, jakby zniknęły z niego kolory, pozostawiając po sobie tylko odcienie szarości. To chyba właśnie była bierność.

Ale teraz popychano go do podjęcia decyzji, której przez wiele lat unikał. Nim rok dobiegnie końca, Portia Hunt będzie jego żoną. Czy małżeństwo odmieni jego życie, przywróci mu utracone barwy? Zaraz po

ślubie będzie się musiał zatroszczyć o potomka. Może to pomoże -cho-
ciaż na samą myśl o dziecku ścisnęło mu się serce.

Bo przecież zawsze będzie Lizzie.

Nagle zorientował się, że od dłuższego czasu oboje milczą, a on cią-
gle zaciska i otwiera pięść na belce, o kilka cali zaledwie od dłoni panny
Martin.

- Myślę, że powinniśmy już wracać - powiedział, opuszczając stopę
na ziemię. - Wiatr robi się chłodny.

Szła krok w krok z nim, nie próbując nawiązać na nowo rozmowy.
Jej obecność była dziwnie kojąca. Gdyby spacerował z panną Hunt albo
jakąś inną znajomą damą, czułby się w obowiązku prowadzić lekką
pogawędkę, nawet gdyby nie miał nic zajmującego do powiedzenia.

Panna Claudia Martin, pomyślał, to kobieta, która zasługuje nie sza-
cunek. Kobieta z charakterem. Czuł, że mógłby ją polubić, gdyby poznali
się trochę lepiej.

Już go nie dziwiło, że Susanna się z nią przyjaźni.

- Czy możemy jutro wyruszyć o tej samej porze, co dziś? - zapytał,
gdy odprowadził ją po schodach na górę po dotarciu do gospody.

- Dziewczęta i ja będziemy gotowe - odparła, zdejmując rękawiczki.
- Dziękuję panu za towarzystwo na przechadzce, lordzie Attingsborough.
Spacer był mi potrzebny, a sama raczej bym nie poszła. Bycie kobietą ma,
niestety, poważne wady.

Z uśmiechem ujął jej wyciągniętą dłoń, ale zamiast nią potrząsnąć,
podniósł ją do ust i pocałował.

Szybko cofnęła rękę, bez słowa odwróciła się od niego i zniknęła za
drzwiami, które zamknęły się za nią z trzaskiem.

Popełniłem błąd, pomyślał, z lekkim grymasem patrząc na zamknięte
drzwi. To nie jest kobieta, która oczekuje całowania po rękach. Jej uścisk
był zdecydowany, nie podała mu ręki miękko i bezwładnie, nie życzyła
sobie zwyczajowej galanterii.

A niech to, zachował się niezręcznie.

Zszedł po schodach w poszukiwaniu towarzystwa. Sądząc po odgło-
sach dobiegających z głównej sali, można się było domyślić, że spora liczb-
a gości jeszcze nie śpi.

I bardzo dobrze. Nagle poczuł się dziwnie samotny.

Flora drzemała z otwartymi ustami, z głową przechyloną na bok. Edna w zamyśleniu wyglądała przez okno. Claudia również.

Ilekoć jej się udało go dojrzeć, ze zmarszczonym czołem przyglądała się nienagannej sylwetce markiza Attingsborough, dosiadającego kolejnego konia. Mimo że byli już drugi dzień w drodze, on wciąż wyglądał elegancko i świeżo, dokładnie tak, jak tego poranka, kiedy wyruszyli z Bath. Był wyjątkowo przystojny i czarujący. Musiała też przyznać - niechętnie - że dobrze się czuje w jego towarzystwie. Wczorajszy spacer i rozmowa przebiegły bardzo przyjemne. To miła odmiana, przejść się wieczorem na świeżym powietrzu w towarzystwie dżentelmena.

Ale on popsuł taki uroczy wieczór, całując ją w rękę na dobranoc. Bardzo się wtedy zirytowała. Przedtem, na spacerze, rozmawiali jak równy z równym - a przynajmniej tak jej się wydawało. Nie musiał rzucać jej na koniec okruczeństw dżentelmenii, jakby była głupiutką gąską.

Znów padało. Od samego rana deszcz to siąpił, to przestawał. Ale tym razem to już nie była mżawka. Ani nawet lekki deszczyk.

Powóz się zatrzymał, woźnica zsiadł z kozła i z zewnątrz dobiegła krótka rozmowa, po czym drzwiczki się otworzyły i do środka wskoczył markiz, nie rozkładając stopni. Claudia odsunęła się w róg pojazdu, a on usiadł obok niej. Ale siedzenia nie były zbyt szerokie. Ani powóz - zbyt obszerny. Jego obecność natychmiast zdominowała niewielkie wnętrze. Flora ocknęła się raptownie.

- Drogie panie - powiedział z uśmiechem. Z jego ubrania woda kapła na podłogę, a pewnie i na siedzenie. - Jeśli pozwolicie, dotrzymam wam towarzystwa, dopóki nie przestanie padać.

- To przecież pański powóz - odrzekła Claudia.

Zwrócił uśmiechniętą twarz w jej stronę i nagle mimowolnie przypomniała sobie dotyk jego ust na swojej dłoni.

- Mam nadzieję, że jest paniom wygodnie - rzekł. - I że podróż nie jest zbyt męcząca. Ale to płonne nadzieje, bo podróże prawie zawsze są męczące.

Uśmiechnął się do każdej z nich po kolei.

Claudia wciąż czuła się przytłoczona jego obecnością, co było dość głupie. Czemu ten deszcz musi padać? Czuła zapach jego wilgotnego płaszcza i wody kolońskiej. I zapach konia, tak jak wczoraj. Chociaż starała się tego unikać, w ciasnym wnętrzu powozu, podskakującego na wybojach, jej ramię raz po raz ocierało się o niego.

Co to za nonsens, żeby ona, Claudia, była zażenowana jak jakiś głuputki podłotek. Co za kompletna bzdura!

Markiz wypytywał dziewczęta o szkołę - pytał umiejętnie, bo nawet Edna mu odpowiadała, nie poprzestając na rumieńcach i chichotach. Wkrótce obie znacznie się ośmieliły. On zaś, rzecz jasna, zachowywał się tak swobodnie, jakby codziennie jeździł powozem w towarzystwie dwóch byłych uczennic i ich dyrektorki.

- Wczoraj wieczorem opowiadałyście mi o swoich przyszłych posadach i nadziei na powodzenie w pracy - kontynuował, usadawiając się głębiej w kącie i przesuwając nogi w zachlapanych błotem butach tak, żeby żadnej z nich nie przeszkadzać. Ale Claudia i tak nie mogła nie zwracać uwagi na te długie, męskie nogi. - A co z marzeniami? Wszyscy przecież mamy marzenia. Jak wyglądałoby wasze życie, gdybyście mogli spełnić każde swoje życzenie?

Flora odpowiedziała bez wahania.

- Ja bym wyszła za mąż za królewicza - wyznała. - I zamieszkała z nim w pałacu. Siedziałabym na złotym tronie, cały dzień chodziłabym w futrach i klejnotach i spałabym na puchowym łożu.

Wszyscy się na to uśmiechnęli.

- Ale, Flo, wcale byś nie siedziała na tronie - wytknęła Edna, wieczna realistka. - Chyba że miałabyś za męża króla.

- To się da łatwo zrobić - powiedziała Flora, wcale niezrażona. - Jego ojciec mógłby umrzeć tragicznie w dzień po naszym ślubie. Aha, i mój królewicz miałby jeszcze dwadzieścioro młodszego rodzeństwa, a ja urodziłabym mu dwanaścioro dzieci i żylibyśmy sobie wszyscy razem jak jedna wielka, szczęśliwa rodzina.

Westchnęła głęboko i się roześmiała.

Claudię wzruszyło zakończenie tej opowiadki. Tak naprawdę Flora nie miała w życiu nikogo.

- Piękne marzenie - oświadczył markiz. - A pani, panno Wood?

- Moje marzenie - odparła Edna - to mieć mały sklep, jak mama i papa. Ale sklep z książkami. Byłabym cały dzień wśród książek i mogłabym je sprzedawać ludziom, którzy tak jak ja kochają czytać, i... - umilkła, oblana nagłym rumieńcem.

W tej krótkiej przemowie Edna zawarła więcej słów, niż Claudia usłyszała z jej ust od początku podróży.

- I pewnego dnia jeden z klientów okazałby się przystojnym królewiczem - dokończyła za nią Flora. - Ale nie tym moim, Ed, jeśli łaska.

- A może Edna marzy o kimś skromniejszym - zaproponowała Claudia. - O kimś, kto też kochałby książki i pomógł jej prowadzić sklep.

- To by było niemądre - stwierdziła Flora. - Przecież marzy się o tym, co najlepsze. A pan, milordzie? O czym pan marzy?

- No właśnie. - Edna spojrzała na niego z ciekawością. - Przecież pan już wszystko ma. - Tu zarumieniła się i przygryzła wargi.

Claudia uniosła brwi, ale nic nie powiedziała.

- O nikim nie można powiedzieć, że ma wszystko - odparł markiz. - Nawet o tych, którzy mają tak dużo pieniędzy, że sami nie wiedzą, na co je wydawać. Są rzeczy, których nie kupi się za pieniądze. Niech się zastanowię... Jakie jest moje największe marzenie?

Zamyślił się z rękami założonymi na piersi. Ale oczy mu się śmiały, jak dostrzegła Claudia, zerkając na niego ukradkiem.

- Ach, tak - podjął. - Miłość. Marzę o miłości i rodzinie: o żonie i dzieciach, które będą mi tak bliskie i drogie, jak bicie mego serca.

Dziewczęta były oczarowane. Edna westchnęła głęboko, a Flora przycisnęła ręce do piersi. Claudia spojrzała na niego sceptycznie. Ewidentnie wymyślił sobie tę odpowiedź na użytek dziewcząt. Kompletna bzdura, a nie prawdziwe marzenie.

- A pani, panno Martin? - Zwrócił na nią roześmiane oczy; przez moment zaczęła się zastanawiać, jak by to było, być mu bliższą i droższą niż bicie jego serca.

- Ja? - zdziwiła się, kładąc rękę na piersi. -Ja nie mam żadnych marzeń. Te, które miałam, już się spełniły. Zdobyłam swoją szkołę, uczennice i nauczycieli. To moje spełnione marzenie.

- Och, spełnione marzenia się nie liczą - zauważył markiz. - Prawda, drogie panie?

- Nie - orzekła Flora.

- Nie, proszę pani - rzuciła Edna w tej samej chwili. - Niech nam pani powie.

- Trzeba grać w tę grę zgodnie z zasadami - dodał markiz Attingsborough, przesuając się trochę, żeby spojrzeć jej w twarz. Z tak bliska jego oczy były olśniewająco błękitne.

Jaka znowu gra? Jakie zasady? Ale musiała przyznać, że przecież z ciekawością słuchała pozostałej trójki. Teraz wypadało odpłacić im tym samym. Co nie zmieniało faktu, że wcale nie miała na to ochoty.

- No, dobrze, niech pomyślę - powiedziała, modląc się w duchu, żeby rumieniec nie zdradził jej zażenowania. To takie krępujące, mówić o swoich najskrytszych pragnieniach przed dwójką własnych uczennic i wysoko urodzonym dżentelmenem.

- Zaczekamy - uspokoił ją markiz. - Prawda, drogie panie?

- O, tak - odpowiedziały chórem Edna i Flora.

- Tak długo, jak będzie trzeba - dodał.

- Och - zaczęła wreszcie Claudia. - A więc, moje marzenie to mieszkać na wsi w małym domku. Takim pokrytym strzechą, z ogródkiem pełnym malw, żonkilów i róż. Kwitnących, oczywiście, po kolei.

- Sama, panno Martin?

Niechętnie spojrzała mu w oczy i zobaczyła, że świetnie się bawi jej kosztem. Uśmiechał się otwarcie, pokazując rzędy idealnych, białych zębów. Jeśli istniał na świecie bardziej drażniący człowiek, to Claudia z pewnością nie życzyła sobie go spotkać.

- No, cóż - dorzuciła po namyśle. - Nie sama, z małym pieskiem.

- Uniosła brwi i spojrzała mu w oczy z tryumfalnym uśmiechem, jak gdyby pytając, czy ośmieli się dalej ją naciskać.

Zaśmiał się lekko i wytrzymał jej spojrzenie. Edna klasnęła w dłonie.

- Mieliśmy kiedyś psa! - wykrzyknęła. - Strasznie go uwielbiałam. W mojej księgarni też musi być pies.

- A ja wołałabym konie - wtrąciła Flora. - Całą stajnię. Po jednym na każdy dzień tygodnia. Z czerwoną dzwoniącą uprzężą.

- Oho - rzucił markiz, odwracając w końcu oczy od Claudii, żeby wyjrzeć przez okno. -Widzę, że przestało padać. Nawet odsłonił się kawałek błękitnego nieba, ale musicie szybko popatrzeć, żeby go nie przegapić, bo zaraz zniknie.

Podniósł się z siedzenia i załomotał w przednią ściankę powozu, żeby woźnica się zatrzymał.

- Wsiadam w takim razie na konia - obwieścił. -A panie znowu będziecie mieć powóz dla siebie.

- Ach - westchnęła Edna z wyraźnym rozczarowaniem w głosie, ale zaraz się zawstydziała.

- Aż żał wysiadać, to prawda - zgodził się markiz. - Bardzo przyjemnie spędziłem tę godzinę.

Kiedy już drzwiczki powozu się za nim zamknęły, w powietrzu pozostała woń wody kolońskiej. Ale ożywienie wywołane jego obecnością zgasło i w powozie zrobiło się pusto i ponuro. Czy towarzystwo mężczyzny zawsze wywołuje takie uczucia? - zastanawiała się Claudia, zirytowana. Czy zawsze jest tak, że się go potrzebuje, odczuwa jego brak, gdy nie ma go w pobliżu?

Ale na szczęście przypomniawszy sobie pana Uptona i pana Huckbery'ego, swoich dwóch nauczycieli. Nie wiedziała z żalu i tęsknoty - ani ona, ani nikt inny - kiedy co wieczór obaj wracali do swoich domów. Nie potrzebowała obecności pana Keeble'a, który pracował jako portier w szkole.

Gniewnie patrzyła, jak markiz Attingsborough bez wysiłku przerzuca nogę przez siodło, przystojny jak zawsze. Doprawdy, czuła do niego coraz większą antypatię. Dżentelmen nie powinien próbować oczarować damy, która wcale nie ma ochoty być oczarowywana!

- Co za uroczy człowiek - westchnęła Flora, spoglądając na niego przez okno. - Gdyby tak był o dziesięć lat młodszy.

Edna westchnęła do wtóru.

- Już niedługo będziemy w Londynie - oznajmiła pogodnie Claudia. - I znowu zobaczymy hrabinę Whitleaf.

Susanna i Peter nalegali, żeby dziewczęta razem z Claudią zamieszkały u nich, na Grosvenor Square, zanim obejmą swoje posady

- I dzidziusia. - Edna poweselała na tę myśl. - Myśli pani, że hrabina pozwoli nam go zobaczyć?

- Pewnie będzie zachwycona, że chcecie go oglądać - stwierdziła Claudia z przykrym ukłuciem zazdrości w sercu. Susanna urodziła małego Harry'ego zaledwie przed miesiącem.

- Może da nam go ponosić - rozmarzyła się Flora. - W sierocińcu często nosiłam na rękach maluchy. Strasznie to lubiłam.

Przez jakiś czas powóz toczył się miarowo naprzód, a lord Attingsborough jechał obok na koniu. Pochylił głowę, żeby zajrzeć do środka i napotkał wzrok Claudii. Uśmiechnął się i dotknął kapelusza w niemym pozdrowieniu.

Wolałaby - naprawdę szczerze by wolała - żeby nie był tak bardzo męski. Nie wszyscy mężczyźni tacy byli. Co nie znaczy, że inni byli

zniewieściali, o nie. Po prostu on dysponował męskością w nieprzyzwoitym wręcz nadmiarze. A w dodatku był tego świadomy. Miała głęboką nadzieję, że po przyjeździe do Londynu więcej go nie zobaczy. Wiodła dobre, spokojne życie. Wiele lat kosztowało ją zbudowanie tego spokoju. Nie chciała po raz kolejny borykać się z uczuciami i pragnieniami, które z takim trudem zwalczyła w młodości.

O, nie, nie przepadała za markizem Attingsborough.

Wprawiał ją w zakłopotanie.

Jakimś sposobem w jego towarzystwie przypominała sobie nagle, że poza tym wszystkim, co udało jej się osiągnąć przez minionych piętnaście lat, była też kobietą.

4

Powóz markiza Attingsborough dowiózł Claudię i dziewczęta pod same drzwi rezydencji wicehrabiego Whitleafa na Grosvenor Square w dzielnicy Mayfair. Było późne popołudnie. Susanna i Peter czekali w otwartych drzwiach i powitali ich z uśmiechem, nim jeszcze woźnica zdążył opuścić składane stopnie.

Dom był naprawdę wspaniały, zauważyła Claudia mimochodem, w zamieszaniu i ogólnej radości powitań. Susanna uściskała ją serdecznie; przyjaciółka wyglądała bardzo dobrze jak na kobietę zaledwie miesiąc po porodzie. Potem przytuliła piszczącą i rozchichotaną Ednę, zachwyconą spotkaniem z dawną nauczycielką, po niej Flore, która też piszcziała i trajkotała jak najęta; Peter z uśmiechem podał rękę Claudii i przywitał dziewczęta.

Markiz nie zabawił długo. Po krótkiej wymianie uprzejmości z Peterem i Susanną odjechał, żegnając się z Claudią i życząc dziewczętom powodzenia w przyszłej pracy.

Claudia wcale nie żałowała rozstania.

Flora i Edna dostały sypialnie na tym samym piętrze, co pokój dziecienny, i obie były tym faktem zachwycone. Widziały już małego Harry'ego i obiecano im, że będą mogły do niego zaglądać, póki nie wyjadą. Posiłki miały jadać razem z gospodynią, która bardzo się na to cieszyła.

A Claudia miała po prostu odpoczywać i dobrze się bawić.

- To jest rozkaz - śmiał się Peter, kiedy Susanna to ogłosiła. - Nauczyłem się, że z Susanną nie ma żartów, kiedy mówi takim tonem, Claudio. Niebezpiecznie jest żenić się z nauczycielką, jak się przekonałem na własnej skórze.

- O, ty biedaku. - Claudia się uśmiechnęła. Oto kolejny przystojny, czarujący mężczyzna o wesołych oczach, tyle że fiołkowych, a nie niebieskich.

Susanna się roześmiała. Miała już liczne plany, żeby zabawić przyjaciółkę, a ponieważ w biurze pana Hatcharda Claudia zastała adresowany do siebie list, mówiący, że jej agent musiał, niestety, wyjechać na kilka dni w interesach i będzie mógł się z nią spotkać dopiero po powrocie, poddała się i pozwoliła Susannie zabierać się na zakupy, do galerii i na przechadzki do Hyde Parku.

Oczywiście, ta zwłoka oznaczała, że Claudia mogła zostać w szkole tydzień dłużej, ale postanowiła, że nie będzie się gryźć czymś, czego i tak nie była w stanie zmienić. Wiedziała, że zastępująca ją Eleanor jest w swoim żywiole. Eleanor Thompson w dość późnym wieku została nauczycielką, ale odnalazła w tej pracy radość życia - i potwierdzenie własnej wartości.

Aż do dnia koncertu nie udało im się spotkać z Frances, której nie było jeszcze w Londynie, bo wraz z Lucjusem odwiedzała swoje wiekowe ciotki w Gloucestershire. Ale Claudia nakazała sobie cierpliwość. Przynajmniej usłyszy ją na koncercie, a potem będzie mogła się nacieszyć do woli towarzystwem dwóch najlepszych przyjaciółek. Gdyby tylko jeszcze była z nimi Anne, jej szczęście stałoby się pełne. Ale Anne - Anne Jewell, również dawna nauczycielka z jej szkoły - mieszkała teraz w Walii ze swoim mężem, panem Butlerem, i dwójką dzieci.

W dniu koncertu Claudia wstała wcześniej i ubrała się starannie, podeksycytowana, że znowu zobaczy przyjaciółkę - Frances i Lucius mieli być na obiedzie - lecz nieco przerażona, bo okazało się, że na koncert zaproszono znacznie więcej gości, niż się spodziewała. Wyglądało na to, że zjawi się spora część londyńskiej socjety. I nie pomagało powtarzanie sobie, jak bardzo nie znosi arystokratycznego splendoru, i przekonywanie samej siebie, że wcale nie musi czuć się niepewnie. Bo tak się, niestety, czuła. Nie miała stosownych strojów na taką okazję i nie przepadała za konwersacją towarzyską. Poza tym nie będzie znała nikogo poza czwórką swoich przyjaciół.

Myślała, że może uda jej się wśliznąć do sali w ostatniej chwili, żeby posłuchać Frances, stojąc z tyłu jak to pozwolono Ednie i Florze. Niestety,

nieroztropnie głośno się przyznała do tego planu i Susanna stanowczo jej tego zakazała, a Peter tylko pokręcił głową.

- Nic z tego, moja droga - powiedział. - A jeśli spróbujesz to zrobić, będę zmuszony osobiście doprowadzić cię do pierwszego rzędu.

Pokojówka Susanny właśnie skończyła upinać jej włosy - pomimo protestów Claudii, że sama potrafi się nimi zająć - kiedy do jej garderoby weszła Susanna.

- Jesteś już gotowa, Claudio? - zapytała. - O, widzę, że tak. Ależ elegancko wyglądasz.

- To nie wina Marii, że nie mam na głowie burzy loczków - pospieszyła z zapewnieniem Claudia, wstając z krzesła. - Prosiła i błagała, ale ja nie dam się przerobić na baranię w stroju jagnięcia.

Jej włosy pozostały więc upięte gładko jak zwykle, w kok na karku. Lecz mimo to fryzura wyglądała inaczej, o wiele ładniej, a jej włosy wydawały się gęstsze i bardziej lśniące. Nie miała pojęcia, w jaki sposób pokojówce udało się tego dokonać.

Susanna się roześmiała.

- Maria nie zrobiłaby z ciebie baranka. Ma doskonały gust. Proszę, jak elegancko upięła ci fryzurę. I bardzo mi się podoba ta suknia.

Gładka suknia z cienkiego, ciemnozielonego muślinu, z wysoką talią, niedużym dekoltem i krótkimi rękawkami, spodobała się Claudii od razu, gdy tylko ją zobaczyła u krawcowej przy Milsom Street w Bath. Na wyjazd do Londynu sprawiła sobie trzy nowe suknie - jak na nią, był to ekstrawagancki wydatek, ale uznała, że okazja tego wymaga.

- A ty, oczywiście, śliczna jak zawsze, Susanno - powiedziała Claudia.

Błado błękitna suknia przyjaciółki wspaniale podkreślała żywy kasztanowy kolor jej włosów. Susanna była szczupła jak młoda dziewczyna, nie znać było po niej niedawnej ciąży i porodu, tylko twarz była rozświetlona nową radością.

- Chodźmy już lepiej na dół - zaproponowała Susanna. - Chcę ci pokazać salę balową, zanim przyjadą Frances i Lucius.

Claudia owinęła ramiona wzorzystym szalem; Susanna wzięła ją pod rękę i pociągnęła w stronę schodów,

- Biedna Frances! - westchnęła. - Jak myślisz, bardzo się denerwuje?

- Przypuszczam, że tak - stwierdziła Claudia. - Wydaje mi się, że zawsze przed występem ma tremę. Pamiętam, jak powtarzała dziewczętom

z chóru, kiedy jeszcze pracowała w szkole: „Jeśli nie macie tremy, to na pewno nie zaśpiewacie dobrze”.

Z wysokiego złożonego sklepienia sali balowej imponujących rozmiarów zwieszał się kandelabr z dziesiątkami świec. Jedną ze ścian w całości pokrywały lustra, co dawało wrażenie jeszcze większej przestrzeni; w ich taflach odbijały się bliźniaczy kandelabr i masa kwiatów poustawianych w pięknych wazonach. Drewniana podłoga lśniła pod rzędami wyściełanych czerwona materią krzesel, przygotowanych na wieczór.

Widok aż onieśmielał.

Ale Claudia nigdy nie poddawała się tremie, więc i teraz postanowiła niczego się nie obawiać. A zresztą pogardzała ludźmi z towarzystwa, przynajmniej tymi, których nie znała osobiście. Wyprostowała dumnie ramiona.

W drzwiach stanął Peter, przystojny i elegancki w swoim wieczorowym fraku, a za nim pojawili się Frances i Lucius. Susanna rzuciła się ich powitać, a Claudia tuż za nią.

- Susanna! - wykrzyknęła Frances, chwytając przyjaciółkę w objęcia. - Prześliczna, jak zawsze. I Claudia! Jak miło cię widzieć. Świetnie wyglądasz.

- A ty - odparła Claudia -jesteś coraz bardziej dystyngowana i... coraz piękniejsza.

Aż blask od niej bije, pomyślała. Rzeczywiście, ciemnooka, śniada twarz Frances o delikatnych rysach lśniła wewnętrznym blaskiem. Sukces zdecydowanie jej służył.

- Claudio - zwrócił się Lucius z lekkim ukłonem w jej kierunku, kiedy już przetoczyła się pierwsza fala powitań. - Oboje bardzo się ucieszyliśmy na wieść, że tu dzisiaj będziesz, zwłaszcza że na jakiś czas to ostatni koncert Frances.

- Ostatni? Frances, jak to?! - wykrzyknęła Susanna.

- Bardzo mądra decyzja. - Claudia ścisnęła dłoń Frances. - Paryż, Wiedeń, Rzym, Berlin, Bruksela... i tak dalej. Mam nadzieję, że tym razem zrobisz sobie porządną, długą przerwę na odpoczynek.

- Porządną i długą. - Frances zerkała to na jedną z przyjaciółek, to na drugą, a w jej oczach wciąż lśnił ten nowy blask. - Może już na zawsze. Są w życiu ważniejsze rzeczy niż śpiew.

- Frances? - Susanna przycisnęła dłoń do piersi i otworzyła szeroko oczy.

Ale Frances tylko uniosła rękę.

- Na razie dość już o tym, bo Lucius się zawstydzi.

Nie musiała mówić nic więcej. Nareszcie, po kilku już latach małżeństwa, Frances spodziewała się dziecka. Susanna zakryła dłońmi szeroki uśmiech, a Claudia mocniej uścisnęła rękę Frances.

- Przejdźmy do salonu, napijemy się czegoś przed obiadem. - Peter podał prawe ramię Frances, a lewe Claudii. Susanna wzięła pod rękę Luciusa i poszła za nimi.

Claudię ogarnęło głębokie zadowolenie. Dobrze, że tu przyjechała, choć czeka ją dziś ciężki wieczór. Była szczęśliwa, że jej przyjaciółkom życie tak wspaniale się układa. Gdzieś w głębi poczuła delikatne ukłucie zazdrości i dojmującej pustki, ale zaraz odpędziła od siebie przykre myśli.

Przelotnie zastanowiła się, czy markiz Attingsborough pojawi się na koncercie. Nie widziała go od czasu przyjazdu do Londynu, toteż prawie jej się udało odzyskać zwykły stan ducha i zadowolenie z życia.

Kiedy Joseph zajrzał do klubu White'sa następnego ranka po powrocie z Bath, Neville, hrabia Kilbourne, już tam był i czytał poranną prasę. Odłożył jednak gazetę, gdy tylko Joseph przystawił sobie krzesło.

- Już wróciłeś, Joe? - zapytał retorycznie. - Jak tam wuj Webster?

- Miewa się dobrze, chociaż irytuje go atmosfera uzdrowiska - odparł Joseph. - Twierdzi, że ta ostatnia choroba zaszkodziła mu na serce.

- A rzeczywiście mu zaszkodziła? - spytał Neville.

Joseph wzruszył ramionami.

- Wiem tylko, że lekarz, który się nim zajmował, nie zaprzeczył tym przypuszczeniom. Ojciec nie dał mi samemu z nim porozmawiać. Co u Lily?

- Wszystko w porządku.

- A dzieciaki?

- Brykają jak zawsze. - Neville uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. - A więc twój ojciec twierdzi, że podupadł na zdrowiu i w związku z tym wezwał cię do Bath. Brzmi groźnie. Czy dobrze zgaduję, o co mu chodziło?

- Pewnie tak - odpowiedział Joseph. - Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić. W końcu mam już trzydzieści pięć lat i kiedyś odziedziczę tytuł księcia. Słowo daję, czasem wolałbym się urodzić wieśniakiem.

- Wcale byś nie wolał, Joe. - Neville znów się uśmiechnął. - Zresztą, wieśniakom też pewnie zależy na przedłużeniu rodu. A więc czeka cię pułapka, co? Czy ojciec upatrzył ci już jakąś konkretną pannę?

- Tak, pannę Hunt - potwierdził Joe, podnosząc się, żeby przywitać kilku znajomych, którzy weszli do czytelnicy i właśnie mieli podejść do innego stolika. -Wszystko już wstępnie ustalił z jej ojcem - Balderston był w Bath jeszcze przede mną.

- Portia Hunt. - Neville gwizdnął, ale nie powiedział nic więcej. Spojrzał tylko na kuzyna z głębokim współczuciem.

- Masz coś przeciwko niej?

Ale Neville uniósł ręce w obronnym geście.

- Nie moja sprawa - rzekł. - Śliczna z niej dziewczyna, przyzna to na wet taki szczęśliwy małżonek jak ja. A poza tym to wzór dobrych manier.

A jednak Nev nie darzył jej sympatią. Joseph zmarszczył brwi.

- Czyli ojciec odesłał cię z powrotem, żebyś się oświadczył? - spytał Neville.

- Tak jest - przyznał Joseph. - Wiesz, muszę się z kimś ożenić, a do niej nie czuję specjalnej niechęci. Ostatnio zacząłem zdawać sobie sprawę, że rzeczywiście za długo z tym zwlekałem. Równie dobrze mogę wziąć za żonę pannę Hunt.

- To nie bardzo przemawia na jej korzyść, Joe. - Neville się skrzywił.

- Nie wszyscy mają tyle szczęścia, ile ty - powiedział Joseph.

- Czemu nie? - Neville uniósł brwi. - A co będzie z Lizzie, kiedy się ożenisz?

- Nic się nie zmieni - odparł stanowczo Joseph. - Byłem z nią wczoraj przez cały wieczór, spędziłem tam noc i obiecałem, że wrócę dziś po południu, zanim pójdę do teatru z Brodym i innymi. Idę z panną Hunt, trzeba kuć żelazo, póki gorące. Ale nie zaniedbam Lizzie, Nev. Nawet jeśli się ożenię i będę miał dziesięcioro dzieci.

- Nie - rzucił Neville. - Nie przypuszczam, żebyś miał ją zamiar zaniedbywać. Zastanawiam się tylko, co powie panna Hunt, kiedy ty będziesz chciał ciągle jeździć do Londynu, a Willowgreen będzie leżało odłogiem.

- Może załatwię to jakoś inaczej - odpowiedział wymijająco Joseph.

Ale nie zdążył wyjaśnić, co ma na myśli, bo właśnie podszedł do nich Ralph Milne, wicehrabia Sterne, kolejny kuzyn, który miał akurat wielką ochotę porozmawiać o parce pięknych gniadoszy wystawionych na aukcję w Tattersall's.

Zanim tego wieczoru dotarł do teatru z Portią Hunt, przyjął zaproszenie na koncert na Grosvenor Square. Ściśle rzecz biorąc, ani Whitleaf,

ani jego żona nie byli tak naprawdę jego krewnymi, ale dawno już uznał ich za członków rodziny, choć nie łączyły ich więzy krwi. I jeśli byli tak mili, że go do siebie zapraszali, jemu nie wypadało odmówić. Chciał pójść na ten koncert, bo słyszał jak najpochlebniejsze opinie o głosie hrabiny Edgecombe i wreszcie będzie mógł ją usłyszeć na własne uszy. Chciał pójść, bo Lauren - wicehrabina Ravensberg i jego przyszywana kuzynka - powiedziała mu, gdy ją odwiedził po wyjściu z klubu, że ona i Kit też tam się zjawią, jak również księstwo Portfrey. Elizabeth, księżnę, traktował jak kolejnego przybranego członka rodziny. Zawsze myślał o niej jak o ciotce, choć w rzeczywistości była siostrą jego wuja. Chciał pójść, bo Lily, żona Neville'a, która też dziś akurat odwiedzała Lauren, zaprosiła go na obiad przed koncertem.

Zamierzał iść, pomimo że odkrył właśnie tego wieczoru, iż Portia Hunt się tam nie wybierała. Trudno, pomyślał, szkoda, ale nic na to nie poradzi.

Podczas antraktu panna Hunt zapytała go, czy będzie może za kilka dni na wieczorku towarzyskim u pani Fleming. Zorientował się, że traktuje go inaczej niż dotychczas - prawie jak swoją własność. Pewnie rozmawiała już z ojcem. Miał potwierdzić, kiedy Laurence Brody wtrącił się z pytaniem.

- A więc nie idzie pani tego dnia na koncert do Whitleafów, panno Hunt? - zapytał. - Wszyscy tam idą. Ma wystąpić lady Edgecombe i całe miasto pragnie ją usłyszeć.

- Nie całe miasto, panie Brody - odparła Portia z godnością i opowianiem. - Ja nie pragnę ani moja matka, ani też wiele innych osób o dobrym guście. Już przyjęliśmy zaproszenie lady Fleming i myślę, że na jej wieczorku będziemy się świetnie bawić w doborowym towarzystwie. - Uśmiechnęła się do Josepha.

Nawymyślał sobie w duchu. Oczywiście, że Portia nie wybiera się na koncert. Przecież hrabina Edgecombe była żoną człowieka, którego ona przez wiele lat spodziewała się poślubić. To właśnie po zerwaniu związku z Edgecombe'em Joseph miał okazję ją poznać.

- Przykro mi, panno Hunt, że stracę ten wspaniały wieczorek - oznajmił. - Niestety, już odpowiedziałem na zaproszenie lady Whitleaf.

Nie przyjąłby tego zaproszenia, gdyby tylko pamiętał - a powinien był pamiętać - o zerwanych kontaktach między Edgecombe'ami a panną

Hunt. Ona wyraźnie miała mu to za złe. Milczała do końca wieczoru, a jeśli się odzywała, to prawie wyłącznie do innych osób, które im towarzyszyły.

W dniu koncertu przyjechał do Whitleafów wraz z Lily i Neville'em. Przywitali się z gospodarzami; sala balowa powoli zapełniała się gośćmi. Pierwszą osobą, na jaką padł jego wzrok po wejściu, była Lauren, która z uśmiechem machała do nich z drugiego końca sali. Byli z nią Kit, Elizabeth i Portfrey.

I panna Martin.

Myślał o niej kilkakrotnie od czasu powrotu do Londynu. Podczas podróży polubił ją bardziej, niż się spodziewał. Owszem, była sztywna, surowa i powściągliwa i do znudzenia podkreślała własną niezależność. Ale była też inteligentna i miała kąśliwe, sarkastyczne poczucie humoru.

Myślał o niej jednak z innych powodów. Chciał z nią porozmawiać, zanim wróci do Bath, choć może dzisiejsza okazja nie była ku temu odpowiednia. Panna Martin, jak zauważył, miała na sobie elegancką suknię z zielonego muślinu. Jej fryzura straciła nieco surowości, ale tak czy inaczej, Claudia wyglądała dokładnie na osobę, którą była - na nauczycielkę. Mówiły o tym sztywno wyprostowana postawa, surowość rysów i absolutny brak loczków oraz klejnotów.

Odwróciła się w jego stronę, kiedy podchodził do nich wraz z Lily i Neville'em.

- Lily, Neville, Joseph. - Lauren zwróciła się do nich, kiedy już umilkły pozdrowienia, wymieniono uściski dłoni i pocałunki w policzek. - Znacie pannę Martin? Panno Martin, to jest hrabina Kilbourne, a to moi kuzyni: markiz Attingsborough i hrabia.

- Panno Martin. - Neville uklonił się z uśmiechem.

- Bardzo miło mi panią poznać - przywitała się Lily, spoglądając ciepło, a panna Martin przywitała się skinieniem głowy.

- My już się znamy. - Joseph wyciągnął do niej rękę, pamiętając, że ostatnim razem była urażona, gdy próbował ucałować jej dłoń. - W zeszłym tygodniu miałem przyjemność towarzyszyć pannie Martin w drodze z Bath.

- Ależ tak, rzeczywiście - powiedziała Lauren.

- Nie widziałam cię od tamtej pory, Joseph - odezwała się Elizabeth. - Jak tam ojciec?

- Znacznie lepiej, dziękuję - odparł. - Choć on uważa inaczej. W każdym razie czuje się na tyle dobrze, że narzeka na wszystkich i wszystko. Matka tymczasem doskonale się bawi w Bath.

- To wspaniale - rzekła Elizabeth. - Bardzo przeżywała, że nie przyjeżdża w tym roku do miasta.

- Panno Martin - wtrącił Portfrey. - Z tego co wiem, zarówno hrabina Edgecombe, jak i lady Whitleaf uczyły kiedyś w pani szkole, prawda?

- Owszem - odpowiedziała. - Wciąż żałuję, że odeszły. Ale jestem bardzo zadowolona z moich obecnych nauczycieli.

- Christine mówi, że panna Thompson jest tam bardzo szczęśliwa. - Kit miał na myśli księżną Bewcastle.

- Myślę, że tak- potwierdziła panna Martin. -To urodzona nauczycielka. Dziewczeta ją uwielbiają, chętnie się od niej uczą i słuchają jej bez słowa sprzeciwu.

- Szkoła dla dziewcząt to fascynujący pomysł - zauważyła Lily. - Muszę z panią o tym szerzej porozmawiać, panno Martin. Mam setki pytań, które chciałabym pani zadać.

- Może przy innej okazji, kochanie - przerwał jej Neville. - Zaraz zacznie się koncert.

- W takim razie chodźmy już zająć miejsca - podsunęła Elizabeth.

- Chciałaby pani usiąść obok mnie, panno Martin? - zapytał Joseph. Jednak ona nagle znowu zrobiła surową minę.

- Dziękuję uprzejmie - odparła - ale muszę dopilnować pewnej sprawy.

Usiadł więc obok Lauren i przygotował się na artystyczne doznania. Hrabina Edgecombe nie była dziś jedyną wykonawczynią, jak się dowiedział, choć jej występ z pewnością stanowił clue programu. Właśnie zwrócił się z jakąś uwagą do Lauren, kiedy zorientował się, że panna Martin postąpiła tylko o parę kroków naprzód i stanęła jak wryta, jakby nagle zobaczyła ducha. Zerwał się z krzesła i podszedł do niej.

- Panno Martin? - zapytał. - Źle się pani czuje? Czy mogę...

- Nie - odparła. - Dziękuję panu. Jeśli można, to jednak usiądę obok pana. Dziękuję.

I opadła pospiesznie na wolne krzesło, pochylając głowę. Zacisnęła przed sobą dłonie, które wyraźnie drżały. To dziwne, pomyślał, wiedząc, że panna Martin nie należy do bojaźliwych kobiet. Trudno jednak się

było domyślić, co ją tak wytrąciło z równowagi, skoro ona sama nie dała mu żadnego wytłumaczenia.

- Czy panny Wood i Bains trafiły już pod opiekę nowych pracodawców? - zapytał, chcąc odwrócić jej uwagę od tego, co ją tak rozstroiło.

Popatrzyła na niego przez chwilę nierozumiejącym wzrokiem.

- Ach. Nie - odpowiedziała. - Jeszcze nie. Pan Hatchard, mój agent, wyjechał w interesach. Ale wrócił dzisiaj i przesłał mi zawiadomienie, że jutro będzie mógł się ze mną spotkać.

Rumieniec powoli wracał na jej pobludłe policzki. Wyprostowała ramiona.

- A dobrze się pani bawiła w tym czasie? - zapytał.

- O, tak, wspaniale - odparła, nie wdając się w szczegóły.

Ale właśnie zaczynał się koncert. Whitleaf wyszedł na środek i stanął na niewielkim podwyższeniu dla artystów, skonstruowanym tak, żeby byli widoczni z każdego miejsca w sali. Goście na widowni zaczęli się wzajemnie uciszać i wreszcie się uspokoiło.

Zaczął się występ.

Joseph był pod ogromnym wrażeniem wysokiego poziomu wszystkich artystów. Najpierw zagrał kwartet smyczkowy, następnie kilka utworów odśpiewał młody baryton, który od jesieni dostał angaż w operze wiedeńskiej. Po nim miała recital kulejąca, ciemnowłosa hrabina Raymore, dobrze znana i ceniona pianistka, której gry Joseph miał już przyjemność słuchać przy innej okazji. Zaśpiewała też pięknym kontraltem melancholijną ludową balladę, akompaniując sobie na pianinie. Na koniec, oczywiście, wystąpiła hrabina Edgcombe ze swoim wspaniałym koloraturowym sopranem, którym wyciągała niewiarygodnie wysokie dźwięki.

Teraz już rozumiał, czemu tyle się o niej mówi.

Gdy wraz z resztą publiczności wstał z miejsca, żeby brawami nakłonić hrabinę do bisu, zdał sobie sprawę, że gdyby poszedł na wieczorek do lady Fleming, to pozbawiłby się jednego z najwspanialszych doznań muzycznych, jakich w życiu doświadczył. No i ciekawie było obejrzeć kobietę, która sprzątnęła Edgcombe'a sprzed nosa Portii Hunt. Fakt, widział ją już wcześniej, ale dopiero dziś dostrzegł jej wybitną urodę; szczupła, wyrazista twarz jakby rozświetlona od wewnątrz, ciemne włosy lśniące w blasku świateł.

Spojrzał na pannę Martin, kiedy bisy dobiegły końca. Podpierała brodę zaciśniętymi dłońmi, a oczy jej błyszczały wzruszeniem i dumą.

Nauczycielki z jej szkoły nieźle sobie radzą w sferze matrymonialnej, pomyślał. To musi być naprawdę świetna szkoła, skoro uczą w niej tak czarujące i utalentowane osoby.

W oczach panny Martin lśniły łzy wzruszenia; odwróciła się, pewnie szukając Susanny, żeby podzielić się z nią swoją radością. Joseph pochylił się do niej, chcąc jej zaproponować, żeby usiadła z nimi przy kolacji.

Ale zanim zdążył coś powiedzieć, ona złapała go gorączkowo za ramię.

- Idzie tu ktoś, z kim nie mam ochoty rozmawiać - oznajmiła.

Uniósł brwi. Większość gości zmierzała już do jadalni, ale faktycznie, jeden człowiek szedł w przeciwną stronę, najwyraźniej kierując się do nich. Joseph znał go z widzenia. Spotkał go kiedyś u White'sa. Przyjechał niedawno ze Szkocji, nazywał się McLeith, czy jakoś tak. Był szkockim księciem.

A więc panna Martin go zna - ale nie chce z nim rozmawiać?

Ciekawe. Czyżby to miało jakiś związek z jej życiowym rozczarowaniem z młodości?

Położył rękę na jej dłoni, chcąc jej dodać otuchy. Niestety, było już za późno, żeby uniknąć spotkania z tym człowiekiem.

5

Claudia miała już okazję poznać wicehrabiego Ravensberga i jego żonę. Spotkała ich wcześniej z okazji dwóch ślubów. Anne Jewell wyszła za brata wicehrabiego, a Susanna - za kuzyna wicehrabiny.

Przyjemnie więc było zobaczyć znajome twarze, zwłaszcza że to oni pierwsi ją rozpoznali i podeszli, żeby porozmawiać. Frances i Lucius przeszli już do salonu muzycznego, żeby w spokoju przygotować się do koncertu, a Susanna i Peter zajęci byli witaniem gości przy drzwiach. Wcale nie należy do przyjemności stać samotnie pośrodku sali balowej i udawać, że człowiek świetnie się bawi.

Natychmiast polubiła ciotkę i wuja wicehrabiny, bo mimo książęcego tytułu zachowywali się bardzo uprzejmie i starali się nie wykluczać jej z rozmowy. To samo mogła powiedzieć o hrabiostwie Kilbourne'ach,

którzy właśnie dołączyli do grupki. Nie miała nawet nic przeciwko obecności markiza Attingsborough. W końcu to jeszcze jedna znajoma twarz, a przecież była przekonana, że nie będzie tu znać nikogo. Rzecz jasna, markiz wyglądał jeszcze wspanialej niż zwykle w swoim granatowo-srebrnym stroju wieczorowym i śnieżnobiałej lnianej koszuli.

Kiedy tak z nimi stała, przez chwilę z rozbawieniem obserwowała otoczenie. Oto nie było wokół niej ani jednej osoby, która nie nosiłaby jakiegoś arystokratycznego tytułu, a tymczasem ona całkiem dobrze się wśród nich czuła. Będzie to musiała ze szczegółami opowiedzieć Eleanor po powrocie do domu, na pewno obie się z tego szczerze uśmieją.

Ale chwilowe rozbawienie szybko zamieniło się w skrepowanie, gdy księżna Portfrey zasugerowała, że warto już zająć miejsca, a markiz zapytał ją, czy chce usiąść obok niego. W zasadzie nie miał innego wyboru, skoro Claudia została wśród ich rodzinnej grupki, zamiast oddalić się po początkowej wymianie uprzejmości, jak to powinna była zrobić.

Mój Boże, wezmą ją za osobę, która w ogóle nie umie się zachować w towarzystwie.

Wymyśliła więc na poczekaniu tę niezgrabną wymówkę, że musi się czymś zająć. Oczywiście, że zaraz znajdzie sobie zajęcie. Upewni się, czy Flora i Edna będą miały miejsca z tyłu sali, kiedy już wszyscy goście usiądą. I zostanie tam z nimi mimo gróźb Petera. Edna kiedyś śpiewała w szkolnym chórze prowadzonym przez Frances, więc nie posiadała się z radości, że usłyszy swoją dawną uwielbianą nauczycielkę na prawdziwym koncercie. Florę bardziej ekscytowała możliwość oglądania tyłu bogatych, wysoko urodzonych osób ubranych w piękne wieczorowe stroje.

Ale Claudii nie udało się zrealizować tego planu. Nie należała do osób, które chodzą ze spuszczoną głową, toteż zmierzając w stronę drzwi z miejsca, gdzie stała wcześniej, celowo rozglądała się wokół, zastanawiając się, czy zna kogoś jeszcze wśród zaproszonych gości.

Szczerze wątpiła, żeby tak było.

Ale okazało się inaczej.

Oto w głębi sali, na lewo od miejsca, gdzie się znajdowała, siedziała lady Freyja Bedwyn, obecnie markiza Hallmere, i prowadziła ożywioną rozmowę z siedzącym obok bratem, lordem Aidanem Bedwynem, i jego żoną - ich także Claudia poznała na przyjęciu weselnym w Bath z okazji ślubu Anne. Markiz Hallmere zajmował miejsce z drugiej strony żony.

Claudia natychmiast zapieniła się ze złości. Od tego pamiętnego popołudnia, kiedy to uniesiona oburzeniem odeszła z pracy w Lindsey Hall, jeszcze kilka razy miała nieprzyjemność spotkać lady Hallmere. W pamięci stał jej szczególnie dzień, w którym, jeszcze jako lady Freyja Bedwyn, ni z tego, ni z owego zjawiała się w jej szkole, pytając z wyższością, czy Claudia nie potrzebuje czegoś dla szkoły, co ona mogłaby załatwić.

Claudii na samo wspomnienie tej sytuacji podnosiła się temperatura.

Sam fakt, że znów miała przed sobą tę kobietę, nie zmusiłby jej jednak do cofnięcia się o te parę kroków, które już zrobiła, i do tak pospiesznego zajęcia krzesła obok markiza Attingsborough. W końcu można się było spodziewać, że Bedwynowie zawitają do miasta na czas sezonu i że ktoś z nich pojawi się na dzisiejszym koncercie.

Nie, gdyby to były jedyne znajome osoby, które pojawiły się na drodze Claudii, wyprostowałyby się dumnie, zacisnęła mocniej wargi, uniosła podbródek i pomaszerowała dalej.

Ale zaledwie sekundę po tym, jak dostrzegła lady Hallmere, oczy jej powędrowały w kierunku dżentelmena, który siedział tuż przed Bedwynami - i przyglądał jej się bardzo uważnie.

Kolana jej zmiękły, a serce podskoczyło do gardła; tak jej się przynajmniej zdawało. Nie wiedziała, jak to możliwe, że rozpoznała go po tylu latach - w końcu nie widziała go pół życia - a jednak poznała go od razu.

Charlie!

Nie zastanawiała się nawet - nie miała czasu się zastanawiać. Zadziałała instynktownie, a pomógł jej w tym lord Attingsborough, który wstał z miejsca i zapytał, czy źle się poczuła. Czmychnęła na siedzenie obok niego z nieprzyzwoitym wręcz pośpiechem i niemal nie docierało do niej to, co mówił. Zacisnęła dłonie na kolanach i starała się opanować.

Na szczęście zaraz zaczął się koncert i w tym czasie udało jej się uspokoić przyspieszone bicie serca. Wróciło za to wcześniejsze zażenowanie, że narzuca się tym ludziom, którzy z pewnością chcieliby być w rodzinnym gronie. Zmusiła się do skupienia na muzyce.

A więc Charlie jest w Londynie i zjawiał się tu dziś wieczorem.

I co z tego?

Na pewno zniknie, jak tylko koncert się skończy. Pewnie ma równie małą ochotę, jak ona, żeby spotkać się twarzą w twarz. A może zostanie i będzie ją ignorował z czystej obojętności. Osiemnaście lat to w końcu

szmat życia. Kiedy się ostatni raz widzieli, ona miała siedemnaście lat, on był o rok starszy.

Mój Boże, byli jeszcze prawie dziećmi!

Całkiem możliwe, że nawet jej nie poznał, może tylko zawiesił na niej wzrok, bo była jedną z niewielu osób, które nie zajęły jeszcze miejsca.

Zmusiła się do skupienia, kiedy zapowiedziano występ Frances i przyjaciółka stanęła na niewielkim podwyższeniu. Na to czekała jeszcze przed wyjazdem z Bath i nie pozwoli, żeby Charlie, czy ktokolwiek inny, odebrał jej przyjemność słuchania śpiewu Frances. Już po paru minutach nie musiała się zmuszać. Frances była po prostu wspaniała.

Po skończonym recitalu Claudia wstała wraz z innymi, żeby uhonorować artystkę brawami. Kiedy skończył się bis, nic myślała już o niczym innym tylko o tym, że jest dumna z Frances, i cieszyła się, że mogła wysłuchać ostatniego występu przyjaciółki na długi czas, a może i na zawsze.

Gdy umilkły oklaski i Peter ogłosił, że poczęstunek będzie podany w jadalni, odwróciła się, żeby odejść. Zamrugnęła, bo w oczach miała łzy wzruszenia. Chciała znaleźć Susannę i zamierzała też sprawdzić, czy Ednie i Florze udało się posłuchać koncertu. Ale przede wszystkim pragnęła się oddalić, zanim lord Attingsborough albo lady Ravensberg, albo ktokolwiek inny z tej grupki poczują się w obowiązku zaprosić ją, żeby usiadła z nimi przy kolacji. To by dopiero było krępujące!

I jeszcze chciała się przekonać, że Charlie już poszedł.

Ale nie.

Kroczył właśnie w jej stronę przejściem między krzesłami, choć wszyscy szli w przeciwnym kierunku. Patrzył z uśmiechem prosto na nią.

Wstrząs był niemal tak wielki, jak przed koncertem, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Bez namysłu chwyciła za rękaw markiza i coś do niego wymamrotała.

Dłoń markiza przykryła jej rękę - duża, ciepła, krzepiąca dłoń. Poczuli się prawie bezpieczna.

Była tak wytrącona z równowagi, że dopiero później zdała sobie sprawę, jak żalosne musiała zrobić na nim wrażenie.

I oto Charlie stał już przed nią, zaledwie o kilka kroków, z uśmiechem na twarzy i z radością w piwnych oczach.

Postarzał się. Jego jasne włosy mocno się przerzedziły, choć jeszcze nie wyłysiał. Na jego twarzy, okrągłej i miłej, tak jak pamiętała, lecz nie

zabójczo przystojnej, widniały zmarszczki, których nie miał jako młodzieniec. Był teraz nieco potężniej zbudowany, choć nie można powiedzieć, że otyły. Nie urósł więcej od tamtego czasu i wciąż mogli patrzeć sobie w oczy. Ubrany był ze stonowaną elegancją, inaczej niż w młodości, kiedy w ogóle nie dbał o to, co wkłada.

- Claudia! To naprawdę ty! - zawołał, wyciągając do niej obie ręce.

- Charlie. - Ledwo mogła poruszać wargami, które kompletnie zeszywniały.

- Jaka cudowna niespodzianka! - powiedział. - Nie mogłem uwierzyć własnym...

- Dobry wieczór, McLeith - odezwał się uprzejmie, lecz stanowczo markiz Attingsborough. - Piękny koncert, nieprawda?

Charlie spojrział na niego, jakby dopiero zauważył, że Claudia nie jest sama, ale trzyma ją pod ramię dżentelmen. Opuścił ręce.

- Ach, Attingsborough - zmitygował się. - Dobry wieczór. Owszem, koncert był wspaniały.

Markiz skłonił się grzecznie.

- Pan wybaczy, ale nasze towarzystwo jest już w drodze na kolację. Nie chcemy stracić miejsc przy stoliku.

Mocniej ścisnął ramię Claudii, nie zdejmując ręki z jej dłoni.

- Zaczekaj, Claudio, gdzie teraz mieszkasz? - zapytał Charlie, zwracając się znów do niej. - Kiedy można cię odwiedzić?

- Szal się pani zsunął z ramienia - zauważył markiz niemal w tej samej chwili głosem pełnym troski. Poprawił szal wolną ręką, stając przed nią i zasłaniając ją przed Charliem. - Do widzenia, McLeith. Miło było pana spotkać.

I ruszyli w stronę drzwi, pozostawiając Charliego za sobą.

- Ma pani z nim kłopoty? - Markiz pochylił ku niej głowę, gdy odeszli już na tyle, że Charlie nie mógł ich słyszeć.

- Miałam - odparła. - Dawno temu. Pół życia temu.

Serce znowu miała w gardle; waliło jak oszalone, ogłuszając ją. Ale już dochodziła do siebie, a razem z opanowaniem wróciła jej świadomość, że w ciągu ostatnich paru minut zupełnie straciła pewność siebie. Na Boga, nawet złapała markiza za ramię i błagała go o pomoc i ochronę - i to po tym, co mu naopowiadała w Marlborough na temat niezależności kobiet. Co za wstyd! Nagle do jej nozdrzy doleciał zapach jego wody kolońskiej,

tej samej, którą czuła w powozie. Jak to jest, że woń męskiej wody kolońskiej jest zawsze bardziej kusząca niż zapach damskich perfum?

- Bardzo pana przepraszam - powiedziała. - Zachowałam się nie mądrze. Znacznie lepiej, i bardziej w moim stylu, byłoby, gdybym przez chwilę uпрzejmie z nim porozmawiała.

Charlie był naprawdę zachwycony, że ją spotkał. Chciał ją chwycić za ręce. Chciał wiedzieć, gdzie mieszka, żeby ją odwiedzić. Zakłopotanie przerodziło się w irytację. Wyprostowała plecy, choć dotychczas nie była przygarbiona.

- Nie musi mi pan dalej asystować - oznajmiła, puszczając ramię markiza. - I tak aż nadto wykorzystywałam pańską uprzejmość i zajmuję panu dużo czasu. Może pan dołączyć do rodziny, nim ktoś zajmie panu miejsce.

- Miałbym panią zostawić samą? - Uśmiechnął się. - Dżentelmen tak nie postępuje. Niech mi pani pozwoli sobie towarzyszyć. Przedstawię panią jeszcze kilku osobom.

Ujął ją za łokieć i odwrócił. Jak się okazało, tuż za nimi stali lord Aidan Bedwyn z żoną, markiz i markiza Hallmere oraz - wielkie nieba! - księżę i księżna Bewcastle.

- Joseph. - Księżna uśmiechnęła się ciepło. - Widzieliśmy, że się działo z Lauren i Kitem. Prawda, że precudowny koncert? I... ależ tak! Panno Martin, proszę mi wybaczyć, że nie przywitałam się od razu. Jak się pani miewa?

Claudia - kolejny dowód na to, jak wytrącona była z równowagi - dygnęła; panowie ukłonili się, jedynie księżę lekko pochylił głowę. Lady Bedwyn i lord Hallmere spoglądali na nią z uśmiechem, zaś lady Hallmere miała wyniosłą minę.

- Panna Martin - odezwał się lord Bedwyn. - Właścicielka szkoły, w której uczyła kiedyś żona Sydnama Butlera, czy tak? Poznaliśmy się na ich ślubie. Miło panią widzieć.

- Zatem nie muszę nikogo przedstawiać - powiedział lord Attingsborough. - W zeszłym tygodniu miałem przyjemność towarzyszyć pannie Martin i dwóm jej uczennicom w drodze z Bath do Londynu.

- Spodziewam się, że zostawiła pani szkołę w dobrych rękach, panno Martin. - Lady Hallmere popatrzyła na nią z góry, znad swojego dość wydatnego zresztą nosa.

Claudia zapieniła się ze złości.

- Oczywiście, że tak- odpaliła. - Chyba nie sądzi pani, że zostawiła bym szkołę w nieodpowiednich rękach?

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że jej odpowiedź była zbyt ostra i nieprzemyślana; pewnie zabrzmiała szalenie niegrzecznie. Gdyby jedna z jej dziewcząt tak się zachowała, Claudia niechybnie wzięłaby ją na bok i przemawiała jej do słuchu przez bite pięć minut, nie biorąc nawet oddechu.

Lady Hallmere uniosła brwi.

Prawa ręka księcia zacisnęła się na wysadzonym klejnotami mo noklu.

Lord Hallmere wyglądał na rozbawionego.

Księżna się roześmiała.

- Obrażę się, jeśli będziesz dalej wypytywać pannę Martin na ten temat, Freyjo - ostrzegła. - Szkołą zajmuje się Eleanor i jestem przekonana, że moja siostra doskonale sobie z tym poradzi. Eleanor jest zachwycona, panno Martin, że okazała jej pani tyle zaufania.

Księżna zachowała się jak prawdziwa dama, pomyślała Claudia z zawstydzeniem, z taktem i wdziękiem zatuszowała niezręczną sytuację. Markiz Attingsborough znowu ujął Claudię za łokieć.

- Lauren i Kit, Portfreyowie i Kilbourne'owie na pewno trzymają dla nas miejsca przy stoliku - powiedział. - Musimy już iść.

- Znowu powinnam pana przeprosić - odezwała się Claudia, gdy zmierzali w stronę drzwi. - Uczę swoje dziewczęta, że uprzejme zachowanie powinno zawsze brać górę nad naszymi uczuciami, a tymczasem właśnie w dość oczywisty sposób złamałam własne zasady.

Lord Attingsborough miał szczerze rozbawioną minę.

- Wydaje mi się - rzekł - że lady Hallmere powiedziała to jedynie dla podtrzymania konwersacji.

- O, nie, na pewno nie - zaprotestowała zapalczywie Claudia, niepomna skruchy. - Nie lady Freyja Bedwyn.

- Znała ją pani przed ślubem? - zdziwił się.

- To ona jest tą uczennicą, o której panu opowiadałam.

- Niemożliwe! - Ujął ją mocniej za rękę, zatrzymując się w drzwiach sali balowej, tuż przed wejściem do jadalni. Nie ukrywał już uśmiechu. - A więc to Bewcastle kazał pani samej zająć się swoim problemem?

Zlekceważyła pani księcia Bewcastle? To z Lindsey Hall odeszła pani piechotą?

- To nie jest śmieszne. - Zmarszczyła gniewnie czoło. - Wtedy też wcale nie było mi do śmiechu.

- A więc - stwierdził z błyskiem rozbawienia w oczach - trafiła pani z deszczu pod rynnę, kiedy zaprowadziłem panią od McLeitha prosto do Bedwynów, czyż nie?

Zmarszczka na jej czole jeszcze się pogłębiła.

- Panno Martin - rzekł. - Wydaje mi się, że pani życie było wyjątkowo ciekawe.

Wyprostowała się sztywno i zacisnęła usta, nim odpowiedziała.

- Wcale nie... - zaczęła.

I wtedy zorientowała się, jak komicznie musiało wyglądać w jego oczach ostatnie dziesięć minut. Jej wargi drgnęły lekko.

- Cóż - przyznała. - W pewnym sensie ma pan rację.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu ta ostatnia uwaga obojgu wydała się bardzo zabawna i wybuchnęli śmiechem.

- Bardzo panią przepraszam - wykrztusił markiz, kiedy już odzyskał oddech.

- A ja pana - odpowiedziała ona.

- Pomyśleć tylko - rzekł, ujmując ją za ramię i prowadząc do jadalni - że mogłem pójść na wieczorek do lady Fleming, zamiast być tutaj.

Księżna Portfrey machała do nich od stolika; hrabia Kilbourne wstał, żeby wysunąć krzesło dla Claudii.

Nie wiedziała, czy markiz żałuje wyboru, jakiego dokonał. Ale ona cieszyła się, że był tutaj. Pomógł jej odzyskać równowagę psychiczną, mimo że wcześniej to z jego winy czuła się rozkojarzona. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak się śmiała.

Istniało poważne niebezpieczeństwo, pomyślała surowo, siadając przy stoliku, że zmieni zdanie na jego temat i jeszcze go, nie daj Boże, polubi.

Oto teraz siedziała w gronie jego rodziny i znajomych - a powinna ich była zostawić w spokoju już kilka godzin temu. I tylko siebie mogła obwiniać za tę niezręczną sytuację. Od kiedy to łąpała mężczyznę za ramię, szukając wsparcia i ochrony?

Co za upokorzenie.

Claudia usnęła wprawdzie po długim dopiero czasie, myśląc o markizie Attingsborough, a obudziła się, myśląc o Charliem - księciu McLeith.

O, tak, uczciwie przyznawała się do swojej antypatii do arystokratów, a zwłaszcza do książąt. I nie zaczęła się ona od tego okropnego, aroganckiego księcia Bewcastle. Na długo przedtem, zanim go poznała, inny książę zniszczył jej życie.

W dzieciństwie i wczesnej młodości Charlie Gunning był dla niej całym światem, tak się przynajmniej wydawało teraz, gdy spoglądała wstecz. Od chwili, gdy zjawił się w jej domu jako pięcioletni sierota, oszołomiony i nieszczęśliwy, do momentu, kiedy wyjechał do szkoły jako dwunastolatek, byli praktycznie nierozłączni; a i później każdą chwilę jego wakacji spędzali razem.

Ale przyszedł ten dzień - on miał lat osiemnaście, ona siedemnaście - że wyjechał i nigdy już nie wrócił. Od tamtej pory go nie widziała - aż do ostatniego wieczoru. Nawet do niej nie napisał przez prawie siedemnaście lat.

A jednak wczoraj rozmawiał z nią tak, jakby fakt nagłego, brutalnego rozstania nigdy nie miał miejsca. Mówił tak, jakby w ogóle nie czuł się winny.

„Jaka cudowna niespodzianka!”

„Gdzie teraz mieszkasz?”

„Kiedy mogę cię odwiedzić?”

Czy on naprawdę sądzi, że ma prawo cieszyć się ze spotkania? I jeszcze liczy na odwiedziny? Jak on śmie! Siedemnaście lat to dużo czasu - prawie połowa jej życia - ale nie aż tak dużo. Pamięć wciąż miała dobrą.

Odsunęła jednak od siebie wspomnienia i ubrała się, żeby móc zjeść śniadanie i udać się do biura pana Hatcharda. Postanowiła, że pójdzie sama, nie zabierze ze sobą Edny i Flory. Dzisiaj miała przyjść Frances i obie z Susanną planowały zawieźć dziewczęta na zakupy, żeby zaopatrzyć je w nowe ubrania i dodatki.

A skoro Frances przyjechała swoim powozem i zabrała nim Susannę i dziewczęta wkrótce po śniadaniu, Claudia pojechała do pana Hatcharda powozem Petera. Nie chciał nawet słyszeć od niej słowa protestu, kiedy mówiła, że z przyjemnością się przespaceruje w taki piękny, słoneczny dzień.

- Susanna by mi tego nie wybaczyła - oświadczył z błyskiem w oku.
- A to by było okropne. Miejże litość nade mną, Claudio.

W drodze do pana Hatcharda nastrój miała doskonały pomimo ciągłej niepewności co do przyszłych pracodawców dziewcząt. Nie posiadała się z podniecenia, bo wreszcie przyszedł ten moment, kiedy stanie się kobietą w pełni niezależną, swój sukces zacznie zawdzięczać wyłącznie sobie.

Nie potrzebowała już wsparcia dobroczyńcy, który tak hojnie łożył na szkołę niemal od samych jej początków. W torebce miała ze sobą list do niego - pan Hatchard będzie mógł go przekazać. Wielka szkoda, że nie pozna nigdy tego człowieka, ale szanowała jego pragnienie anonimowości.

Szkoła prężnie się rozwijała. W ostatnim roku Claudia wykupiła sąsiadującą kamienicę i zatrudniła dodatkowo dwóch nauczycieli. Co więcej, mogła teraz zwiększyć liczbę ubogich dziewcząt przyjmowanych do szkoły charytatywnie - z dwunastu do czternastu - a i tak szkoła będzie przynosić pewne zyski.

Zapowiada się bardzo przyjemna rozmowa, pomyślała, gdy stangret Petera pomógł jej wysiąść z powozu i weszła do biura pana Hatcharda.

Niecałą godzinę później Claudia wybiegła na ulicę. Stangret wicehrabiego Whitleafa zeskoczył z kozła i otworzył przed nią drzwi powozu. Wzięła głęboki oddech, żeby mu powiedzieć, że wróci do domu piechotą. Była zbyt zdenerwowana, żeby jechać powozem. Ale zanim zdążyła się odezwać, usłyszała, że ktoś ją woła.

Ulicą jechał markiz Attingsborough z hrabią Kilbourne'em i jeszcze jakimś dżentelmenem. To markiz do niej zawołał.

- Dzień dobry, panno Martin - przywitał się, podjechawszy bliżej. - Jak się pani dzisiaj miewa?

- Jeszcze trochę, lordzie Attingsborough, a ze złości zaczęłam puszczać dym uszami - odparła.

Uniósł brwi.

- Wrócę do domu pieszo - zwróciła się do stangreta. - Dziękuję, że na mnie zaczekałeś, ale możesz już jechać.

- Pani pozwoli, że ją odprowadzę - zaproponował markiz.

- Nie potrzebuję opieki - odpowiedziała ostro. - I raczej nie jestem dzisiaj w przyjemnym nastroju.

- Tym bardziej przyda się pani przyjaciel. - Zeskoczył z siodła i podał lejce hrabiemu. - Neville, odprowadzisz mojego konia do stajni?

Hrabia uśmiechnął się i zdjął kapelusz, witając się z Claudią. Było już za późno, żeby zaprotestować, poza tym rzeczywiście poczuła ulgę na

widok kogoś znajomego. Sądziła, że będzie musiała czekać, żeby z kimś porozmawiać, aż Susanna wróci z zakupów, a tymczasem złość pewnie by ją rozsadziła.

Chwilę później szła już ulicą wraz z markizem Attingsborough. Podał jej ramię.

- Rzadko się denerwuję - zapewniła go. - Choć wczoraj wieczorem i dziś mógł pan odnieść inne wrażenie. Ale dziś to już nie zdenerwowanie. To wściekłość, a nawet furia.

- Ktoś tam panią rozgniewał? - Wskazał ręką na budynek, który przed chwilą opuściła.

- To biuro pana Hatcharda - odparła. - Mojego agenta.

- Ach - domyślił się. - Chodzi o pracodawców dla pani uczennic. Nie spodobali się pani?

- Jutro zabieram Ednę i Florę z powrotem do Bath - odpowiedziała.

- Aż tak źle? - Przykrył dłonią jej rękę.

- Gorzej - warknęła. - Znacznie gorzej.

- Czy wolno wiedzieć, co takiego się stało? - zapytał.

- Bedwynowie - rzuciła, zamazyście wymachując ręką; przechodzili właśnie przez ulicę, starając się omijać świeże kupki końskiego nawozu. - Oto, co się stało. Bedwynowie! Ta rodzina mnie kiedyś wykończy, słowo daję.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział markiz.

- Flora miała trafić do lady Aidan Bedwyn - wyjaśniła Claudia. - A Edna do nikogo innego, jak tylko do markizy Hallmere!

- Ach, tak - zrozumiał.

- To nie do zniesienia - ciągnęła. - Co za tupet ma ta kobieta!

- A może - ośmielił się wtrącić markiz - pamięta panią jako doskonałą nauczycielkę, która nie łamie ani nie nagina swoich zasad nawet dla pieniędzy i wysokiej pozycji?

Claudia tylko prychnęła.

- A może po prostu wydorosłała?

- Takie kobiety nie dorastają - odparła. - Z wiekiem stają się tylko coraz bardziej bezczelne.

Ten osąd był oczywiście zupełnie nieuzasadniony i niesprawiedliwy, ale jej niechęć do dawnej lady Freyji Bedwyn była tak głęboko zakorzeniona, że nie potrafiła spokojnie o niej myśleć.

- A co ma pani przeciwko lady Aidan Bedwyn? - zapytał markiz uchylając w niemym pozdrowieniu kapelusza kilku damom, które właśnie mijali.

- Wyszła za jednego z Bedwynów - odpowiedziała ponuro Claudia.

- Wydaje się przemiłą osobą - stwierdził. - Jej ojciec podobno pracował w kopalni węgla gdzieś w Walii, zanim dorobił się fortuny. Mówią, że lady Aidan zawsze stara się pomagać pokrzywdzonym przez życie. Dwoje z trójki jej dzieci to przygarnięte sieroty. Czy to dla nich potrzebuje guwernantki?

- Dla dziewczynki - powiedziała Claudia. - A z czasem też i dla najmłodszej córeczki.

- Tak więc zamierza pani zabrać pannę Bains i pannę Wood z powrotem do Bath. Nie lepiej, żeby same o tym zdecydowały?

- Byłyby nieszczęśliwe, musząc żyć pod rozkazami tych ludzi.

- Być może one będą na to patrzeć inaczej, panno Martin - zauważył. - Może ucieszą się, że mogą pracować jako guwernantki w tak dostojnych domach.

Mały chłopczyk toczył kółko po chodniku, a za nim pędziła zmordowana piastunka. Markiz odciągnął Claudię na bok, żeby uniknąć kolizji.

- A to rozwydrzony smarkacz - prychnął. - Dam głowę, że obiecał nieść kółko w rękę, dopóki nie znajdzie się w parku.

Claudia wzięła głęboki oddech.

- Czy pan sugeruje, lordzie Attingsborough, że moje zachowanie u pana Hatcharda było nieprzemyślane i nierozsądne?

- Bynajmniej. - Uśmiechnął się. - Pani oburzenie świadczy o przywiązaniu do dziewcząt. Podziwiam pani poświęcenie, bo woli pani znowu roztoczyć opiekę nad nimi niż posłać je do pracy, w której mogłyby być nieszczęśliwe.

Westchnęła.

- Ma pan rację - przyznała. - Trochę chyba przesadziłam.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Czy zdecydowanie odmówiła pani Hatchardowi?

- O, tak - powiedziała. - Ale on uparł się, że do jutra nic nie zrobi. Chce, żeby dziewczęta poszły na rozmowę z przyszłymi pracodawcami.

- Ach, tak.

- Chyba powinnam dać im możliwość wyboru, prawda? - zapytała.

- Jeśli ufa pani ich rozsądkowi.

Znowu westchnęła.

- Tego właśnie staramy się je nauczyć: rozsądku, samodzielnego myślenia, kierowania się przy podejmowaniu decyzji rozumem, a nie tylko chwilowym impulsem. I nie tylko tego. Uczymy je, jak być świadomym, myślącym człowiekiem, zwłaszcza uczennice charytatywne, bo ich po skończeniu szkoły nie czeka natychmiastowy ślub i mąż, który będzie za nie myślał.

- Niezbyt pochlebną wizję małżeństwa pani maluje - stwierdził.

- Ale za to prawdziwą - odparła.

Aleja, którą teraz szli, była wysadzana drzewami. Claudia na krótką chwilę uniosła twarz, zerkając na liście i gałęzie nad głową, i wyżej, na błękitne niebo i słońce nad nimi.

- Będę musiała je ostrzec - powiedziała. - Wy tłumaczę im, że Bedwy nowie, z księciem Bewcastle na czele, to rodzina, która od pokoleń cieszy się bogactwem i pozycją; że są aroganccy i pogardzają ludźmi o niższej pozycji społecznej... czyli prawie wszystkimi śmiertelnikami. I że lady Hallmere jest najgorsza z nich wszystkich. Poradzę im, żeby nawet nie szły na tę rozmowę, tylko spakowały bagaże i wracały ze mną do Bath. A potem pozwolę im samym zdecydować, co chcą zrobić.

Nagle przypomniała sobie, że dziewczęta były przecież w Lindsey Hall w zeszłe wakacje, kiedy to zaproszono tam uczennice charytatywne z okazji ślubu Susanny. I spotkały też księcia i księżną Bewcastle.

Markiz Attingsborough śmiał się cicho u jej boku. Rzuciła mu ostre spojrzenie, ale zaraz też się roześmiała.

- Zamieniam się w tyрана tylko wtedy, gdy ogarnia mnie złość - wyjaśniła. - Nawet nie złość, ale prawdziwy gniew. Nieczęsto się to zdarza.

- Przypuszczam, że zawsze wtedy, kiedy ktoś zagraża pani drogim dziewczętom.

- To prawda, są mi bardzo drogie - potwierdziła. - Zwłaszcza te, za którymi nikt oprócz mnie się nie ujmie.

Znowu krzepiąco poklepał jej dłoń. Claudia nagle zorientowała się, że od dłuższego czasu daje mu się prowadzić, nie patrząc, dokąd idzie.

- Gdzie my jesteśmy? - zdumiała się. - Tędy się idzie do Susanny?

- To dłuższa droga, ale lepsza - powiedział. - Bo prowadzi obok cukierni Guntera. Próbowaliśmy już pani ich lodów?

- Nie próbowałam - przyznała Claudia. - Ale przecież jest przed południem.

- Czyżby istniało jakieś prawo, które mówi, że lodami można się rozkoszować wyłącznie po południu? - przekomarzał się. - Zresztą dziś po południu nie mam czasu. Idę na garden party do pani Corbette-Hythe. A pani?

Claudia skrzywiła się w duchu. Kompletnie wypadło jej to z głowy. Wolałaby zostać w domu, ale oczywiście będzie musiała pójść. Oczekiwały tego od niej Susanna i Frances. Ba, ona sama tego od siebie wymagała. Nie lubiła obracać się w kręgach socjety, ale nie będzie rezygnowała z rozrywki tylko dlatego, że czuje się nieswojo i nie na miejscu.

Tym bardziej powinna pójść.

- Ja też - odparła.

- W takim razie musimy wstąpić do Guntera rano. - Znów poklepał ją po ręce.

I Claudia, bez żadnego powodu, roześmiała się.

Gdzie się podziała jej złość? Czy to możliwe, że ten człowiek tak sprytnie pokierował rozmową? Czy może po prostu podzielił się z nią swoją mądrością i opanowaniem?

Mądrością?

Markiz Attingsborough?

W tym momencie coś sobie przypomniała i resztki zdenerwowania uleciały bezpowrotnie.

- Jestem wolna - oświadczyła markizowi. - Właśnie powiedziałam panu Hatchardowi, że już nie potrzebuję wsparcia sponsora. Przekazałam mu list z podziękowaniami dla tajemniczego darczyńcy.

- A więc mamy co świętować - stwierdził. - A jakież jest lepszy sposób, żeby coś uczcić, niż lody od Guntera?

- Lody to znakomity pomysł - zgodziła się.

6

Ogród pani Corbette-Hythe w Richmond był rozległy i pięknie zaprojektowany. Ciągnął się aż ku brzegowi Tamizy i stanowił doskonałe miejsce na urządzenie dużego przyjęcia - a to przyjęcie było naprawdę duże.

Joseph znał tu niemal wszystkich, jak zwykle na tego typu spotkaniach. Przechodził od jednej grupki znajomych do drugiej, z kieliszkiem wina w dłoni, rozmawiał chwilę to z tym, to z owym i szedł dalej.

Pogoda była idealna. Niebo prawie bez jednej chmurki. Słońce przygrzewało mocno, ale w powietrzu unosił się świeży aromat - tysiące kwiatów rosło rzędami w niskich rabatach poniżej tarasu, ciesząc oczy feerią kolorów. Z jednej strony do domu przylegała altanka różana. Przy jej zwieńczonym łukiem wejściu ulokował się kwintet smyczkowy; delikatna muzyka przyjemnie mieszała się ze śpiewem ptaków i gwarem rozmów.

Joseph dołączył do grupki, w której znajdowali się Lauren i Kit; okazało się, że kuzynka ma dla niego miłe wiadomości.

- Rozmawiałeś już z Neville'em i Lily? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, przekazała mu nowinę. - Gwen i ciocia Clara przyjeżdżają do Alvesley na lato.

- O, to wspaniale! - ucieszył się. Rodzice Kita, hrabia i hrabina Redfield, mieli latem świętować czterdziestolecie małżeństwa. Alvesley Park, w którym mieszkali wraz z Kitem i Lauren, wypełni się gośćmi. Joseph wybierał się do nich na lato; teraz okazuje się, że będą tam również Gwen, siostra Neville'a, i ciotka Clara, jego matka.

- Przyjadą też Anne i Sydnam - dodała Lauren.

- Już się cieszę na to spotkanie - powiedział Joseph. - Nic tak człowieka nie cieszy, jak zjazd rodzinny na łonie natury, prawda?

Kiedy tylko zjawił się na dzisiejszym garden party, zorientował się, że panna Hunt chyba wciąż jeszcze nie przebaczyła mu wczorajszego wieczoru. Podeszedł do niej zaraz po przywitaniu z gospodynią, nastawiony na to, że będzie jej dotrzymywał towarzystwa przez całe popołudnie. Uśmiechnęła się wdzięcznie, po czym wróciła do rozmowy z panią Dillinger. A kiedy skończył im się temat, panna Hunt rozpoczęła nowy - dotyczący najnowszych modeli kapeluszy. Ponieważ Joseph był jedynym mężczyzną w tym gronie, poczuł się celowo wykluczony z rozmowy i wkrótce odszedł w poszukiwaniu sympatyczniejszego towarzystwa.

Na Jowisza, Portia Hunt odprawiła go z kwitkiem.

A wyglądała dziś jeszcze piękniej niż zwykle. Podczas gdy inne damy włożyły na tę okazję różnokolorowe kreacje, panna Hunt musiała mieć świadomość, że nie wygra konkurencji z kwiatami i blaskiem słońca, to też miała na sobie sukienkę z białego muślinu, bez żadnych wzorów. Jas-

ne loki upięła elegancko pod białym koronkowym kapelusikiem, ozdobionym pączkami białych różyczek i delikatnymi zielonymi gałązkami.

Zatrzymał się jeszcze kilka razy, żeby porozmawiać ze znajomymi, nim wreszcie samotnie zszedł nad brzeg rzeki. Ogród zaplanowany był w taki sposób, że bliżej domu dominowało szaleństwo barw i kwiatów, zaś w okolicy rzeki więcej było drzew i różnych odcieni zieleni. Z dołu nawet nie było widać wyższej części ogrodu, a budynek, poza dachem i kominem, skrywały gałęzie drzew. Wciąż dobiegały go nikłe dźwięki muzyki, ale rozmowy i śmiechy były przytłumione.

Większość gości trzymała się w pobliżu domu, gdzie serwowano jedzenie. Kilka osób jednak pływało po rzece małymi łódkami, które przybijały do pomostu. Dwoje młodych ludzi czekało właśnie na wolną łódkę. Jakaś dama spacerowała samotnie w oddali, w cieniu wierzb.

Mądrze robiła, trzymając się z dala od palącego słońca, pomyślał Joseph, ale wcale nie musi być sama - zwłaszcza na przyjęciu, gdzie przecież chodzi o to, żeby spotkać się z ludźmi i porozmawiać. Z drugiej jednak strony, on też był w tej chwili sam. Czasem trzeba odetchnąć od tłumu.

Nagle dama zatrzymała się i odwróciła, żeby popatrzeć na rzekę; Joseph rozpoznał w niej pannę Martin. Zawahał się. Może wolałaby być sama - w końcu dziś rano i tak zajął jej sporo czasu. Ale z drugiej strony, może czuje się samotna. Przecież na pewno zna tu niewiele osób.

Przypomniał sobie ich wspólny śmiech wczoraj przed kolacją i rozpodzielił się na to wspomnienie. Śmiech całkowicie ją odmieniał, jak gdyby ujmował jej lat. I przypomniał ją sobie tego ranka u Guntera, jak jadła lody powoli, po malutkiej łyżeczce, rozkoszując się każdym kęsem, i jak zaczęła się bronić, kiedy zobaczyła, że jego to bawi.

„Musi mnie pan zrozumieć - tłumaczyła. - To nie jest coś, co robię codziennie. Ani nawet co roku. Czy co dziesięć lat”.

Skierował kroki w jej stronę.

- Widzę, że znalazła pani trochę cienia - odezwał się, podchodząc, żeby jej nie wystraszyć. - Mogę też z niego skorzystać?

Wyglądała na lekko wystraszoną.

- Ależ proszę, powietrze i ziemia są przecież wspólne dla wszystkich - odparła.

- Nie wątpię, że tak właśnie rozumują wszyscy intruzi i kłusownicy - roześmiał się. - Dobrze się pani dzisiaj bawi?

Każda inna kobieta uśmiechnęłaby się grzecznie i zapewniła go, że owszem; dalej nastąpiłaby zwykła pogawędka o niczym. Panna Martin jednak zawahała się, po czym powiedziała to, co rzeczywiście myślała.

- Nie bardzo - przyznała. - Właściwie, wcale nie.

Nie wytłumaczyła, dlaczego, za to obdarzyła go srogim spojrzeniem. W bawełnianej sukience i ciasno ściągniętym koku wyglądała jak ochmi-strzyni - albo jak nauczycielka, którą zresztą była.

Szczerłość w towarzyskiej konwersacji była u dam rzeczą rzadką -u dżentelmenów zresztą także. Z obawy, że się będzie posądzonym o nie-uprzejmość, z reguły nikt nie przyznawał się do niezadowolenia.

- Kiedy jest pani u siebie, w szkole, pewnie nikt pani nie przymusza do udziału w towarzyskich spotkaniach ani nie nalega, żeby się pani dobrze bawiła - zauważył. - Musi mieć pani w życiu dużo swobody i niezależności.

- A pan nie? - Uniosła brwi.

- Wręcz przeciwnie - odparł. - Razem z tytułem szlacheckim, nawet tylko honorowym, spada na człowieka obowiązek pomocy w wypełnieniu każdej sali balowej czy salonu na przyjęciach w trakcie sezonu, tak żeby gospodyni mogła się chwalić ku zazdrości znajomych, że nie było gdzie szpilki wetknąć. No i trzeba być uprzejmym dla wszystkich bez wyjątku.

- A już myślałam, że robi pan dla mnie wyjątek.

Zaśmiał się cicho. Podobał mu się jej kąśliwy humor.

Przeglądała mu się przez dłuższą chwilę. Promienie słońca odbite od powierzchni wody tańczyły na jej policzku.

- I nic więcej pan w życiu nie robi? - zapytała, nie czekając, aż on się odezwie. - Tylko bywa pan na przyjęciach, bo tego oczekuje socjeta od kogoś z pana pozycją?

Pomyślał o tych wszystkich momentach, kiedy odwiedzał Lizzie, od Bożego Narodzenia nawet częściej niż wcześniej, i znajome uczucie ścisnęło mu serce. Chciał poruszyć ten temat, z całą pewnością zamierzał z nią o tym porozmawiać, zanim wróci do Bath, ale ona odezwiała się, nim zdążył znaleźć odpowiednie słowa.

- Nie chodzi pan na posiedzenia Izby Lordów? - zapytała. - Ach, prawda, przecież pan ma tylko tytuł honorowy.

- Zostanę księciem po śmierci ojca - powiedział z uśmiechem. - Ale wolałbym zachować obecny stan rzeczy tak długo, jak to tylko możliwe.

- Tak - odrzekła. - Nie jest łatwo pogodzić się ze śmiercią rodziców. Pozostaje po nich wielka, ziejąca pustka.

Śmierć ojca pozbawiła ją dziedzictwa, przypomniał sobie Joseph. W jego przypadku będzie dokładnie odwrotnie. Ale mimo wszystko ludzkie życie jest więcej warte niż nawet największa fortuna. Zwłaszcza życie drogiej sercu osoby.

- Rodzina zawsze jest najważniejsza - przytaknęła.

- Myślałam, że miło spędzę kilka tygodni w towarzystwie Susanny i Frances. - Panna Martin zmieniła temat. - I rzeczywiście wspaniale było się z nimi zobaczyć. Ale pobyt w mieście oznacza, że muszę chodzić na przyjęcia takie jak to. Teraz mam ochotę czym prędzej wracać do Bath. Na co dzień żyję w zupełnie innym świecie niż ten.

- I woli pani ten swój - domyślił się. - Nic w tym złego. Tymczasem proszę mi pozwolić, że będę panią zabawiał, jak potrafię. Widzę, że nikt akurat nie czeka na łódki i wygląda na to, że Crawford wraz z panną Meeghan będą przybijać do pomostu. Weźmiemy od nich łódkę?

- Chce pan pływać po rzece? - zdumiała się.

- No cóż, łódka jest niewielka. - Uśmiechnął się. - Przypuszczam, że dalibyśmy radę ją udźwignąć, żeby pobiegać z nią po ogrodzie. Ale inni goście mogliby to uznać za nadmierną ekstrawagancję, a ja muszę się liczyć z tym, że jeszcze kiedyś będę miał z nimi do czynienia.

Roześmiała się, a on popatrzył na nią z uśmiechem. Ciekawe, czy często się śmieje? Pewnie nie bardzo. A powinna. Kiedy się śmiała, to jakby zrzucała z siebie ciężką stalową zbroję.

- Racja, to było głupie pytanie - powiedziała. - Z przyjemnością po pływam łodzią. Dziękuję panu.

Podał jej ramię, a ona ujęła je bez słowa.

Kiedy już posadził ją w łódce, siedziała sztywno wyprostowana i z bardzo surową miną, jakby chciała nadmierną powagą okupić wcześniejszy beztroski śmiech. Nie poruszyła się ani o cal, gdy Joseph wypłynął łódką na środek rzeki i skierował ją wzdłuż brzegu. Przeptywali obok wspaniałych rezydencji, bujnych ogrodów i drzew zwieszających gałęzie do wody. Panna Martin trzymała dłonie na kolanach, zaciskając jedną na drugiej. Nie miała parasolki od słońca, jak większość dam, ale za to włożyła słomkowy kapelusz z szerokim rondem, który chronił ją przed ostrymi promieniami. Kapelusz był nie pierwszej młodości, ale nawet niebrzydki.

- Pływa pani czasem łodzią w Bath? - zapytał.
- Nigdy - odparła. - Chadzaliśmy na łódki, kiedy byłam młodą dziewczyną, ale to było dawno, dawno temu.

Uśmiechnął się do niej. Inna dama na jej miejscu pewnie nie dodałaby tego drugiego „dawno”, żeby podkreślić, że nie jest już młoda. Ale ona nie miała chyba w sobie ani krztyny próżności.

- Jest bosko - odezwała się po minucie czy dwóch ciszy. Co ciekawe, nadal wyglądała jak nauczycielka, która pilnuje, żeby uczennice przykła dały się do pracy. - Po prostu bosko.

Przypomniało mu się coś, co powiedziała wczorajszego wieczoru: „Dawno temu. Pół życia temu”. Mówiła o swojej znajomości z McLeithem.

- Wychowała się pani w Szkocji? - zagadnął.
- Nie, w Nottinghamshire - powiedziała. - A czemu pan pyta?
- Pomyślałem, że wychowywała się pani w tej samej okolicy, co McLeith - wyjaśnił.

- Owszem - odrzekła. - Nawet w tym samym domu. Trafił pod opiekę mojego ojca, kiedy w wieku pięciu lat stracił oboje rodziców. Byliśmy sobie bardzo bliscy. Mieszkał z nami do czasu, kiedy skończył osiemnaście lat i niespodziewanie odziedziczył tytuł ksiączęcy po jakimś krewnym, o którym wcześniej nawet nie słyszał.

Byli sobie bliscy, ale nie chciała z nim wczoraj rozmawiać?

- To musiała być dla niego przyjemna niespodzianka - zauważył.
- Tak - zgodziła się. - Bardzo.

Przyjemna dla McLeitha, jak się mógł domyślać. Niekoniecznie dla niej. Straciła długoletniego przyjaciela. A może darzyła tego człowieka uczuciem? Był dziś na przyjęciu. Przyjechał późno, ale Joseph zauważył go, zanim zszedł nad brzeg rzeki. McLeith rozmawiał akurat z Whitleafami. Zastanawiał się, czy jej o tym powiedzieć, ale zdecydował, że tego nie zrobi. Nie chciał jej psuć przyjemności z przejażdżki łodzią. Bo chyba było jej przyjemnie. Powiedziała nawet, że bosko.

Taka z niej nieprzystępna, powściągliwa osoba. Znowu przemknął mu przed oczami obraz ciężkiej zbroi. Czy pod tą zbroją kryje się prawdziwa kobieta? Pełna ciepła, czułości, a może i namiętności? Wiedział już, że panna Martin ma pierwsze dwie cechy.

Ale namiętność?

Intrygująca myśl.

Po jakimś czasie rozplotła wreszcie dłonie, zdjęła rękawiczkę i dotknęła lustra wody koniuszkami palców. Poruszyła ręką w wodzie z głową przechyloną na bok i z bardzo skupioną miną.

Kiedy tak na nią patrzył, wydała mu się dziwnie wzruszająca. Zagubiona we własnym świecie. Sprawiała wrażenie osamotnionej. I mimo że na co dzień żyła otoczona swoimi uczennicami i nauczycielami, bardzo możliwe, że rzeczywiście czuła się samotna. Przyjaźniła się wprawdzie z hrabiną Edgcombe i wicehrabiną Whitleaf, ale obie przecież wyszły za mąż i wyjechały z Bath.

- Myślę, że powinniśmy już wracać - powiedział, lekko zaskoczony tym, że wcale nie ma na to ochoty. - Chyba że chciałaby pani powiosłować dalej za miasto, do Greenwich i na morze.

- Hen, na wschód. - Uśmiechnęła się, wyjmując rękę z wody. - Albo do Ameryki. A może po prostu do Danii albo Francji. Ku przygodzie! Przeżył pan kiedyś przygodę, lordzie Attingsborough?

Roześmieli się oboje.

- No cóż - dodała po namyśle. - Pewnie przygoda nie wydawałaby mi się taka porywająca, gdyby zapadł wieczór... Ja zorientowałabym się, że nie mam ciepłego szala, a panu porobiłyby się pęcherze od wiosłowania.

- Wyjątkowo mało romantyczne podejście - stwierdził. - Wobec tego musimy odłożyć przygodę na kiedy indziej, jak już uda nam się zaplanować coś rozsądnego. Chociaż to, co romantyczne, rzadko bywa rozsądne.

Kiedy odwracał łódkę na środku rzeki, słońce zajrzało pod rondo jej kapelusza. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, nim panna Martin raptownie odwróciła głowę. Zaraz potem i on odwrócił wzrok.

Powietrze wokół nich było jak naładowane elektrycznością.

Dobry Boże, co to miało znaczyć?

Odpowiedź na to pytanie była aż nazbyt oczywista: przeskoczyła między nimi iskra czystego pożądania.

Mniej by się zdziwił, gdyby panna Martin nagle wstała z miejsca i skoczyła na główkę do rzeki.

Dobry Boże!

Kiedy znów na nią spojrzął, zobaczył, że z powrotem wdziała swoją zbroję. Siedziała sztywno, z surową miną i zaciśniętymi ustami.

Droga powrotna do pomostu upłynęła im w milczeniu. Ona nie odezwała się ani słowem, on zaś nie miał pojęcia, co mógłby w takiej chwili powiedzieć. To dziwne, bo zazwyczaj nie miewał najmniejszego kłopotu z nawiązaniem rozmowy. Próbował sobie tłumaczyć, że nie zaszło między nimi nic niestosownego - bo naprawdę nic takiego nie zaszło. Miał tylko nadzieję, że pannie Martin nie udzieliło się jego zażenowanie.

Boże święty, przecież jeszcze przed chwilą tylko sobie żartowali.
„...to, co romantyczne, rzadko bywa rozsądne”.

Kiedy podpłynęli bliżej pomostu, dostrzegł na brzegu swoją siostrę. Razem z nią stali Sutton i Portia Hunt. Ucieszył się na ten widok, jak jeszcze nigdy przedtem - ich obecność pozwoli mu przerwać krepujące milczenie w sposób, który nie będzie niezręczny.

- Widzę, że odkryliście najpiękniejszą część ogrodu! - zawołał do nich wesoło. Uwiązał łódkę do pomostu, wysiadł i pomógł pannie Martin wydostać się na brzeg.

- Rzeka jest faktycznie bardzo malownicza - odparła Wilma. - Ale panna Hunt i ja zgadzamy się, że ogrodnik pani Corbette-Hythe popełnił błąd, nie sadząc tutaj żadnych kwiatów.

- Pozwólcie, że wam przedstawię pannę Martin - rzekł. - Jest właścicielką i dyrektorką szkoły dla dziewcząt w Bath; przyjechała w odwiedziny do wicehrabiego Whitleafa i jego żony. Panno Martin, moja siostra, hrabina Sutton, a to panna Hunt i hrabia.

Panna Martin dygnęła. Wilma i panna Hunt łaskawie skinęły głową, zaś Sutton, nieprześcigniony w okazywaniu lodowatej uprzejmości, nieznacznie pochylał głowę, na tyle tylko żeby nie obrazić szwagra.

Temperatura opadła chyba co najmniej o pięć stopni.

Wilma i Sutton nie są specjalnie zadowoleni, że im przedstawiam jakąś pospolitą nauczycielkę, pomyślał Joseph. Sytuacja byłaby zabawna, gdyby nie to, że dama mogła poczuć się urażona. Na pewno zdawała sobie sprawę, że ich powitanie było dość chłodne.

Ale jak można się było spodziewać, panna Martin wzięła sprawy w swoje ręce.

- Dziękuję, lordzie Attingsborough, że przewiózł mnie pan po rzece - powiedziała rażno. - Bardzo to miłe z pana strony. A teraz, jeśli państwo pozwolą, pójdę dołączyć do moich przyjaciół.

I odmaszerowała w stronę domu, nie spojrzawszy nawet za siebie.

- Doprawdy! - oburzyła się Wilma, ledwo panna Martin znalazła się poza zasięgiem głosu. - Joseph, nauczycielka?! Pewnie napomknęła, że miałyby ochotę popływać łodzią, a ty nie miałeś serca jej odmówić. Choć powinieneś był to zrobić i dobrze o tym wiesz. Czasami jesteś po prostu za dobry, niektórzy ludzie to wykorzystują.

Joseph często się zastanawiał, jak to możliwe, że on i Wilma byli dziećmi tych samych rodziców i wychowali się w tym samym domu.

- W zeszłym tygodniu, kiedy wracałem z Bath, przywiozłem pannę Martin do miasta - oznajmił. - Zrobiłem przysługę lady Whitleaf, która kiedyś uczyła w jej szkole.

- Cóż - odparła Wilma. - Wszyscy wiedzą, że wicehrabia Whitleaf popełnił mezalians.

Joseph uznał, że nie będzie się sprzeczać z siostrą podczas przyjęcia. Zamiast tego zwrócił się do Portii Hunt.

- Może pani chciałaby popływać łódką, panno Hunt? - zapytał.

- Z przyjemnością, lordzie Attingsborough. - Uśmiechnęła się, podając mu rękę, żeby pomógł jej usadowić się w łodzi. Rozłożyła białą parasolkę, żeby osłonić twarz przed słońcem.

- To naprawdę nadzwyczaj uprzejme z pana strony, że przewiózł pan tę nauczycielkę po rzece - powiedziała, gdy już odbili od brzegu. - Mam nadzieję, że spotkał się pan z należytą wdzięcznością. Trzeba jej przyznać, że przynajmniej podziękowała.

- Lubię towarzystwo panny Martin - zaproponował. - To bardzo inteligentna kobieta. I wiele w życiu osiągnęła.

- Biedaczka. - Portia powiedziała to takim tonem, jakby właśnie oznajmił jej, że panna Martin cierpi na nieuleczalną chorobę. - Zastanawialiśmy się z lady Sutton, ile ona może mieć lat. Lady Sutton uważa, że przekroczyła już czterdziestkę, ale ja nie osądzałam jej aż tak surowo. Pewnie brakuje jej jeszcze roku czy dwóch.

- Bardzo możliwe, że ma pani rację - zgodził się. - Ale przecież nikt nie ma wpływu na swój wiek. A zresztą panna Martin ma się czym pochwalić, jak na swoje lata.

- Och, nie wątpię - rzekła. - Chociaż praca zarobkowa to takie poniżające zajęcie, nie sądzi pan?

- Poniżające? Nie - zaprzeczył. - Nigdy. Męczące, pewnie tak, zwłaszcza jeśli się wykonuje pracę, której się nie lubi. Ale panna Martin lubi uczyć.

- Uroczę garden party, nieprawdaż? - Obróciła w dłoni parasolkę.
- Owszem - przytaknął z uśmiechem. - Dobrze się pani bawiła na wczorajszym wieczorku? Przykro mi, że mnie tam nie było.
- Tak, bardzo przyjemnie się rozmawiało - odparła. Nic przestając wiosłować, przechylił głowę na bok.
- Czyli w takim razie wybacza mi pani?
- Czy panu wybaczam? - Zrobiła zdziwioną minę i znowu zakreśliła parasolką. - A co takiego miałabym panu wybaczyć, lordzie Attingsborough?
- To, że poszedłem na koncert do Whitleafów, zamiast wybrać się razem z panią na wieczorek.
- Może pan przecież robić to, co się panu podoba i chodzić tam, dokąd panu przyjdzie ochota - powiedziała. - Nic śmiałabym kwestionować pana decyzji, nawet gdybym miała do tego jakieś prawo.
- To bardzo uprzejme, ale zapewniam panią, że nie będę wymagał od swojej towarzyszki życia takiej uległości. Dwoje ludzi, nawet bardzo sobie bliskich, powinno umieć szczerze okazać niezadowolenie albo pretensję, jeśli mają ku temu powód.
- A ja zapewniam pana, milordzie, że nie przyszłoby mi nawet do głowy okazywanie żalów i pretensji z powodu jakiejś decyzji dżentelmena, jeśli ten dżentelmen miałby prawo wymagać ode mnie lojalności i posłuszeństwa.
- Oczywiście, istniało wiele sposobów na okazanie niezadowolenia. Z jednej strony - szczerze, otwarte słowa, a z drugiej - coś o wiele subtelniejszego, jak na przykład rozpoczęcie rozmowy o kapeluszach w sytuacji, gdy jedynym mężczyzną w towarzystwie był ten, któremu było się winną posłuszeństwo i lojalność. Nie żeby panna Hunt na razie była mu cokolwiek winna.
- Pogoda jest niemal idealna na garden party - odezwała się znowu. - Choć może jest odrobinę za gorąco.
- Zawsze lepszy upał niż deszcz - powiedział z żartobliwym błyskiem w oku.
- Na pewno - zgodziła się. - Ale moim zdaniem trochę słońca i trochę chmur to najlepsza kombinacja w piękny letni dzień.
- Rozmowa gładko potoczyła się dalej, i choć nie milkli ani na chwilę, nie mówili też o niczym istotnym. To go szczególnie nie martwiło. Co-

dziennie przeprowadzał dziesiątki takich rozmów z różnymi znajomymi. W końcu nie wszyscy mają intelekt panny Martin.

Na tle rzeki panna Hunt prezentowała się jeszcze bardziej uroczo: biel sukni i szlachetna bladość cery odcinały się od głębokiej ciemnej zieleni wody. Zadawał sobie pytanie -jak wcześniej w towarzystwie panny Martin - czy pod powłoką wrodzonej elegancji i wyszukanych manier kryje się namiętność.

Miał szczerą nadzieję, że tak.

Claudia energicznie wspinała się po trawiastej skarpie. Wreszcie jej oczom ukazał się taras i kwiatowe rabaty. Skierowała się w stronę, gdzie stali muzycy; chciała trochę ochłonać, zanim dołączy do przyjaciół. W jej ciele i umyśle kłębiły się niechciane, nieznanome uczucia i doznania. Czuła się tak, jakby znów była młodą dziewczyną - nie wiedziała, co się z nią dzieje, zniknął gdzieś jej zwykły spokój ducha.

Nie powinna była się zgodzić na tę przejażdżkę łodzią. A tak miło jej się rozmawiało z markizem Attingsborough. Sprawiał wrażenie inteligentnego, choć wiodł chyba żywot próżniaka. Ale, niestety, był też jednym z najatrakcyjniejszych mężczyzn, jakich w życiu spotkała - a przy tym jednym z najprzystojniejszych - i od samego początku miała świadomość, że jego niewymuszony wdzięk kryje w sobie niebezpieczeństwo. Tylko że obawiała się raczej o Florę i Ednę w czasie podróży, sama siebie uważała za niewrażliwą na męski urok.

Tymczasem wyprawa okazała się czystą przyjemnością - ekscytujące były zarówno możliwość wypłynięcia na rzekę i włożenia palców do wody, jak i towarzystwo przystojnego mężczyzny. Prawdę mówiąc, Claudia pozwoliła sobie nawet na krótką chwilę fantazji: oto w piękny letni dzień płynie łodzią po Tamizie; asystuje jej dżentelmen, z którym dziś rano i wczoraj wieczorem świetnie się bawiła. Zdecydowała, że naprawdę go lubi.

Do momentu, kiedy wypowiedział te słowa.

„...to, co romantyczne, rzadko bywa rozsądne”.

Wiedziała, że markiz powiedział to tylko ot, tak sobie. Wiedziała, że wcale z nią nie flirtuje. Ale nagle ta chwilowa fantazja, zamiast pozostać ukryta w głębi jej myśli, uwidoczniła się na jej twarzy - wprawdzie tylko na ułamek sekundy, ale wystarczająco długo, żeby on zauważył.

Co za straszne, potworne upokorzenie!

Rozejrzała się w poszukiwaniu krzesła, na którym mogłaby usiąść, żeby chwilę odetchnąć przy muzyce, a że akurat żadnego w pobliżu nie było, stanęła na trawniku koło altanki różanej.

I jakby jeszcze mało było jej wstydu - bo przecież jego milczenie w drodze powrotnej wskazywało na to, że zauważył - to na dokładkę musiała przełknąć to, jak potraktowali ją hrabia i hrabina Sutton oraz panna Hunt.

Zakipiała wzburzeniem na to wspomnienie. Zachowali się dokładnie tak, jak się tego spodziewała po osobach z tej sfery. Banda paskudnych zarozumialców! A cała trójka pewnie ma wyłącznie siano w głowie. I tony pieniędzy. Poczuła jeszcze większą złość na samą siebie, że dała im się wyprowadzić z równowagi.

Przyłączyła się do oklasków innych gości, kiedy muzycy skończyli grać jeden utwór i zaczęli przygotowywać kolejny.

Uśmiechnęła się sama do siebie. To właściwie zabawne, że się tak rozzłościła. Tamta trójka nieomal weszła w powietrze, jakby było czuć jakiś brzydki zapach, ale jej to przecież w niczym nie zaszkodziło. Można nawet powiedzieć, że zrobili jej przysługę. Dzięki nim miała wymówkę, żeby znaleźć się jak najdalej od markiza Attingsborough. A tego właśnie potrzebowała, o tak. Nadal chciała zapaść się pod ziemię, choćby miała w tym celu własnoręcznie wykopać dół na środku trawnika. Podeszła do różanej altanki.

Modliła się gorąco, żeby dane jej było już nigdy nie zobaczyć markiza Attingsborough.

Ładne sobie zafundowała wakacje, nie ma co!

7

Claudio!

Zanim zdążyła zaszyć się w altance, usłyszała, że ktoś ją woła. Odwróciła głowę i zobaczyła, że od strony tarasu biegnie do niej Susanna. O kilka kroków za nią szedł Peter razem z hrabiostwem Ravensberg - i z Charliem.

- Gdzieś ty się podziewała? - dopytywała Susanna, kiedy już podszła bliżej. - Szukaliśmy cię. Frances była zmęczona i Lucius zabrał ją do domu.

- Ach. W takim razie szkoda, że się z nimi nie pożegnałam - powiedziała Claudia. - Byłam nad rzeką.

- Podobało ci się? - zapytała Susanna.

- Tam jest naprawdę przepięknie - odparła Claudia. Zawahała się. - I nawet pływałam łodzią. Markiz Attingsborough był tak uprzejmy, że mnie przewiózł.

- Jak to miło z jego strony - ucieszyła się Susanna. - To taki sympatyczny i czarujący człowiek, nie sądzisz? Moim zdaniem zasługuje na wszystko, co najlepsze. Nie jestem pewna, czy panna Hunt mu to zapewni.

- Panna Hunt? - zdziwiła się Claudia, wspominając wyniosłą, urodziwą damę w białej sukni, która przed krótką chwilą potraktowała ją z taką lodowatą uprzejmością.

Susanna się skrzywiła.

- To właśnie ta panna Hunt - dorzuciła, a kiedy Claudia spojrzała na nią nic nierozumiejącym wzrokiem, wyjaśniła: - Panna Portia Hunt. Ta, z którą Lucius miał się żenić, zanim poznał Frances. A teraz, jak mi powiedziała Lauren, ma podobno wyjść za Josepha. No cóż, trzeba im przyznać, że ładnie razem wyglądają.

I owszem, przyznała w duchu Claudia. Wyglądają ładnie. Znów poczuła się głupio, jakby stojący wokół niej ludzie jakimś dziwnym sposobem wiedzieli o jej niemądrych fantazjach, na które pozwoliła sobie w łodzi. Panna Claudia Martin nie miewała fantazji, zwłaszcza niemądrych - a już tym bardziej romantycznych.

- Ale wiesz co, Claudio... - ciągnęła Susanna z ciepłym uśmiechem.

- Rozmawialiśmy właśnie z księciem McLeithem i opowiadał nam, że wychowaliście się w jednym domu, prawie jak brat z siostrą.

Wszyscy uśmiechali się do niej życzliwie. Charlie był wręcz rozpromieniony.

- Claudio - odezwał się. - Znowu się spotykamy.

- Witaj, Charlie - odpowiedziała. Rzeczywiście, jak brat i siostra. Też coś!

- To niesamowite, że udało wam się spotkać akurat teraz - zauważyła lady Ravensberg. - Zwłaszcza że Wasza Wysokość jest w Anglii pierwszy

raz od wielu lat, a panna Martin przyjechała do miasta tylko na jakiś tydzień czy dwa.

- Sam ledwo wierzę własnemu szczęściu - odparł Charlie.

- Kit i ja zbieramy grupkę znajomych, żeby wybrać się pojutrze wieczorem do ogrodów Vauxhall - ciągnęła hrabina. - Będzie nam bardzo miło, jeśli oboje do nas dołączycie. Susanna i Peter już się zgodzili. Panno Martin, pójdzie pani z nami?

Ogrody Vauxhall! Claudia zawsze marzyła, żeby zobaczyć to miejsce. Słyszę z wieczornych rozrywek pod gołym niebem, koncertów, tańców i pokazów sztucznych ogni, dobrego jedzenia i spacerowych alejek oświetlonych latarniami. Podobno było to magiczne i niezapomniane przeżycie.

- Z przyjemnością - powiedziała. - Dziękuję.

- A pan, Wasza Wysokość?

- Bardzo pani uprzejma - odparł. - To będzie prawdziwa rozkosz.

Dziś już jego widok tak bardzo Claudią nie wstrząsnął. Właściwie to spotkanie było nieuniknione, jak sobie uświadomiła rano tuż po przebudzeniu. Może to i dobrze. Duchy dawno minionej przeszłości wciąż jeszcze pokutowały w jej pamięci. Może teraz wreszcie upora się z nimi raz na zawsze i wspomnienia przestaną ją dręczyć.

- Och, to cudownie - ucieszyła się lady Ravensberg. - W takim razie jesteśmy już w komplecie, Kit. Będą Elizabeth i Lyndon, Joseph z panną Hunt, Lily i Neville. Ach, i jeszcze Wilma, i George.

Cudownie, w rzeczy samej, pomyślała sarkastycznie Claudia. A więc jednak znowu go zobaczy - markiza Attingsborough. Cóż, będzie musiała po prostu zrobić surową i groźną minę, niech sobie pomyśli, że tam, na rzece, coś mu się przywidziało. A ta ostatnia para, którą wymieniła lady Ravensberg, to pewnie hrabia i hrabina Sutton. W ładną się wpakowała kabałę, przyjmując to zaproszenie. Niestety, było już za późno, żeby zmienić zdanie.

A zresztą, tak bardzo chciała zobaczyć ogrody Vauxhall. Czemu nie miałyby pójść? Będą z nią przecież przyjaciele.

- Claudio - odezwał się Charlie. - Może się przejdziemy?

Pozostali uśmiechali się do nich radośnie, gdy odchodzili, lawirując pomiędzy grupkami gości. Charlie wymienił z niektórymi z nich uprzejme pozdrowienia; potem skierowali się w stronę rzeki.

- A więc mieszkasz w Bath, Claudio? - zapytał, podając jej ramię. Nie przyjęła go.

Czy on zupełnie nic o niej nie wie? Z drugiej strony, i ona niewiele wie o nim, prawda? Nie ma pojęcia, co się z nim działo od śmierci jej ojca.

- Tak - odparła. - Prowadzę tam szkołę dla dziewcząt. Znakomicie mi się układa. Właściwie to jest coś, o czym zawsze marzyłam. Jestem bardzo szczęśliwa.

No, tak. Tak zwana odpowiedź defensywna.

- Szkoła! - zdumiał się. - Brawo, Claudio. Byłem przekonany, że pracujesz jako guwernantka.

- Pracowałam, przez krótki czas - wyjaśniła. - Ale potem zaryzykowałam otwarcie własnej placówki, tęskniłam za większą niezależnością.

- Byłem zaskoczony, że w ogóle poszłaś do pracy. Myślałem, że wyjdiesz za męża. Z tego, co pamiętam, nie brakowało ci adoratorów i potencjalnych kandydatów na męża.

Skierowali się w dół skarpy. Claudia poczuła nagły gniew na Charliego. Ale przecież miał trochę racji: w młodości była dosyć ładną dziewczyną i mimo skromnego posagu przyciągała spojrzenia wielu mężczyzn z okolicy. Ale ona na żadnego z nich nie zwracała uwagi, a kiedy Charlie wyjechał - czy raczej, kiedy dostała od niego ostatni list jakiś rok po jego wyjeździe - porzuciła wszelką myśl o małżeństwie. Wiedziała, że tą decyzją bardzo zmartwiła ojca. Zawsze chciał mieć wnuki.

- Wiesz, że Mona umarła? - zapytał Charlie.

- Mona? - zdziwiła się, ale po chwili zdała sobie sprawę, że on mówi o swojej żonie.

- Księżna - wyjaśnił. - Nie żyje już od ponad dwóch lat.

- Przykro mi - powiedziała. Swego czasu to imię zraniło jej serce, jakby wryto je na nim ostrym narzędziem: lady Mona Chesterton. Charlie ożenił się z nią na krótko przed śmiercią ojca Claudii.

- Niepotrzebnie - odparł. - To nie było szczęśliwe małżeństwo. Claudia znowu poczuła gniew, tym razem w imieniu zmarłej księżnej.

- Charles uczy się w szkole w Edynburgu - ciągnął. - Mój syn - do dał, kiedy spojrzała na niego pytająco. - Ma piętnaście lat.

Mój Boże, tylko trzy lata młodszy niż Charlie, kiedy na zawsze wyleżdział z domu. Jak ten czas leci!

Zauważyła, że markiz Attingsborough wraz z panną Hunt wracają od strony rzeki. Zaraz się z nimi spotkają.

Nagle pożałowała, że w ogóle zdecydowała się opuścić spokojne mury swojej szkoły. Ale zaraz uśmiechnęła się w duchu na tę myśl. Spokojne? W szkole rzadko bywało spokojnie. Ale przynajmniej zazwyczaj miała wszystko pod kontrolą.

- Co za szkoda, Claudio - powiedział Charlie. - Nic nie wiesz o moim życiu, prawda? Ani ja o twoim. Jak to możliwe, że nasze drogi tak się rozeszły? Przecież kiedyś byliśmy sobie bliscy jak brat z siostrą, pamiętasz?

Zacisnęła wargi. To prawda, dawno, dawno temu byli dla siebie jak rodzeństwo. Ale później już nie.

- Ale to w końcu nie twoja wina, że wyjechałem z domu i już nie wróciłem - mówił dalej. - Ani moja, prawdę mówiąc. Tak chciał los. Kto mógł przewidzieć, że dwaj kompletnie mi nieznajomi mężczyźni i jakiś chłopak poumierają na przestrzeni kilku miesięcy, a księstwo McLeith razem z tytułem przypadnie właśnie mnie?

Przedtem Charlie zamierzał zostać prawnikiem. Pamiętała jeszcze jego oszołomienie, kiedy pewnego popołudnia do drzwi domu jej ojca zapukał notariusz ze Szkocji - a potem jego ogromną radość i podniecenie.

Próbowała się cieszyć razem z nim, ale w głębi duszy gryzł ją niepokój, który później okazał się w pełni uzasadniony.

„Tak chciał los”.

Może rzeczywiście nie powinna go obwiniać. W końcu był wtedy tylko młodziutkim chłopcem, który nagle trafił do zupełnie obcego mu świata - tak odmiennego od tego, w którym się wychował, że równie dobrze mógłby znaleźć się na innej planecie. Ale nie ma usprawiedliwienia dla okrucieństwa, niezależnie od wieku.

A on był dla niej okrutny.

- Szkoda, że przestaliśmy do siebie pisywać po śmierci twojego ojca - ciągnął. - Brakowało mi ciebie, Claudio. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo, dopóki cię znowu nie zobaczyłem wczoraj wieczorem.

Czyżby on naprawdę nie pamiętał? To niewiarygodne - „szkoda, że przestaliśmy do siebie pisywać...”

Panna Hunt, cała w uśmiechach, zbliżała się do nich, wsparta na ramieniu markiza, dostrzegając wyłącznie Charliego. Claudia równie dobrze mogłaby stać się niewidzialna.

- Wasza Wysokość! - zawołała. - Cudowne przyjęcie, czy nie? Charlie się uśmiechnął.
- Właśnie stało się jeszcze cudowniejsze, panno Hunt - odpowie dziać z ukłonem.

Joseph bił się z myślami. Panna Martin spacerowała z McLeithem. Czy potrzebuje pomocy jak wczoraj wieczorem? Ale z drugiej strony, czemu miałby dzisiaj czuć się za nią odpowiedzialny? Nie była słabą, bezradną kobietą. Gdyby chciała, to na pewno sama uwolniłaby się od towarzystwa McLeitha.

Poza tym raczej nie miał ochoty znów jej dzisiaj spotkać. Wstydził się swojego wcześniejszego zachowania. Sam nie wiedział, co go napadło. Ta surowa i wyniosła osoba - ucieleśnienie staropanieństwa - to nie była kobieta, po której mógłby się spodziewać wymiany płomiennych spojrzeń.

Czy wobec tego powinien się zatrzymać, żeby wy badać, czy jej towarzysz jest niemiłe widziany? Czy może tylko skłonić jej się uprzejmie i pomaszerować dalej? Ale decyzja została podjęta za niego. Wyglądało na to, że Portia zna księcia, bo odezwała się do niego, jak tylko znaleźli się w zasięgu głosu.

- Pochlebca z pana, Wasza Wysokość - odpowiedziała na jego wyszukany komplement. - Markiz Attingsborough i ja właśnie pływalimy łodzią. Było przeziło, ale trochę za bardzo wiało, a słońce przygrzewa już tak mocno, że bałam się o swoją cerę.

- Pani to nie grozi, panno Hunt - zaprotestował książę. - Nawet słońce nie zrobiłoby pani krzywdy.

Tymczasem Joseph złowił spojrzenie panny Martin. Uniósł lekko brwi i przechylił głowę w stronę McLeitha w niemym pytaniu: „czy trzeba pani pomóc?” Na to jej oczy otworzyły się szerzej; nieznacznie pokręciła głową: „nie, dziękuję”.

- Nazbyt pan łaskaw, Wasza Wysokość - odparła Portia. - Właśnie idziemy na taras, żeby coś przekąsić. Pan już jadł?

- Jakąś godzinę temu, może trochę dawniej - powiedział. - Ale nagle znowu czuję wilczy głód. Claudio, jesteś może głodna? Poznałaś już pannę Hunt?

- Owszem, już się znamy - odparła. - Co do jedzenia, to nie jestem specjalnie głodna, choć jeszcze nie jadłam.

- W takim razie musi pan zjeść coś z nami. - Panna Hunt zwróciła się do McLeitha. - Jak pan znajduje Anglię po tak długiej nieobecności, Wasza Wysokość?

Cała czwórka ruszyła w stronę domu, tylko jakimś sposobem zmienił się układ par. Panna Hunt szła przodem u boku McLeitha, zaś Joseph został z tyłu z panną Martin.

Założył ręce za plecami i odchrząknął. Nie może dopuścić do tego, żeby znowu zapadło między nimi kłępujące milczenie.

- Zapomniałem zapytać, kiedy rozmawialiśmy wcześniej, czy rozmawiała już pani z panną Wood i panną Bains.

- Rozmawiałam. Tak, jak pan przypuszczał: były w siódmym niebie. Nie mogą się doczekać jutra, żeby odbyć rozmowę wstępną. W ogóle nie zważały na moje przestrogi. Można powiedzieć, że nauka nie poszła w las. Myślą samodzielnie i umieją podejmować niezależne decyzje. Też powinnam być w siódmym niebie.

Zaśmiał się, a w tym samym momencie panna Hunt zachichotała w odpowiedzi na jakieś słowa McLeitha. Szli nieco szybciej niż on i panna Martin.

- Pójdzie pani z nimi na tę rozmowę?

- Nie - westchnęła. - Nie, lordzie Attingsborough. Nauczycielka, tak jak matka, musi wiedzieć, kiedy wypuścić spod skrzydeł swoje pisklęta i pozwolić im na stawianie samodzielnych kroków. Nie porzuciłabym żadnej z moich uczennic, ale nie mogę ich też prowadzić za rękę przez całe życie. A dzisiaj rano tak się właśnie zachowałam, prawda?

Tamtych dwoje oddaliło się już na tyle, że mógł mówić swobodnie, nie obawiając się, że go usłyszą.

- Czy przed chwilą potrzebowała pani, żeby panią uwolnić od McLeitha? - zapytał.

- Niekoniecznie. Właściwie wczoraj wieczorem też nic wielkiego się nie stało, po prostu wstrząsnął mną jego widok... tak nagle, po tylu latach.

- Rozstaliście się w gniewie?

- Wręcz przeciwnie. - Weszli na ścieżkę między rabatami kwiatowymi. Nieświadomie oboje jednocześnie zwolnili kroku, aż wreszcie się zatrzymali. - Byliśmy zaręczeni. Wprawdzie nieoficjalnie, on miał przecież tylko osiemnaście lat, a ja siedemnaście. Ale byliśmy zakochani, jak potrafią chyba tylko nastolatki. Miał po mnie wrócić.

- Ale nie wrócił. - Przyjrzał jej się uważnie, szukając śladów tamtej romantycznej dziewczyny, jaką kiedyś na pewno była, i wyobrażając sobie stopniowe zmiany, które uczyniły z niej tę surową, powściągliwą kobietę, którą była obecnie - a przynajmniej przez większość czasu.

- Nie - powtórzyła. - Nigdy nie wrócił. Ale to już historia starożytna. Oboje byliśmy wtedy dziećmi. Ludzka pamięć tak często wyolbrzymia albo nawet wypacza niektóre sprawy! On na przykład pamięta tylko, że byliśmy sobie bliscy jak brat i siostra, i prawie się nie myli. Bawiliśmy się razem i przyjaźnili na długo przed tym, jak zaczęło się nam wydawać, że jesteśmy w sobie zakochani. Ja może wyolbrzymiam w swoich wspomnieniach właśnie tę część znajomości. Tak czy inaczej, nie mam powodu, żeby go unikać.

A jednak, pomyślał sobie, McLeith zrujnował jej życie. Nigdy nie wyszła za męża. Ale jakie on miał prawo, żeby ją osądzać? Wiele w życiu osiągnęła. Może małżeństwo z McLeithem nie wyszłoby jej na dobre.

- A pan był kiedyś zakochany, lordzie Attingsborough? - spytała.

- Tak - odparł. - Tylko raz. Dawno temu.

Przyglądała mu się z powagą.

- Ale nic z tego nie wyszło? - odgadła. - Ona pana nie kochała?

- Myślę, że kochała - zaprzeczył. - Ba, nawet wiem, że kochała. Ale nie mogłem się z nią ożenić. Miałem inne zobowiązania. Chyba w końcu to zrozumiała, bo wyszła za kogoś innego. Teraz ma już trójkę dzieci i będzie żyć, mam nadzieję, długo i szczęśliwie.

Śliczna, słodka Barbara. Już jej nie kochał, ale ciągle jakaś nutka czułości drgała mu w sercu, ilekroć ją widział - a zdarzało się to dosyć często, bo mieli wielu wspólnych znajomych. Czasami jeszcze, nawet teraz, po tylu latach, wydawało mu się, że dostrzega w jej oczach wyraz smutku i nostalgii, gdy ich spojrzenia się spotykały. Nigdy jej nie wyjaśnił, dlaczego jego miłosny zapał tak nagle ostygł. Do tej pory nie był pewien, czy dobrze zrobił, nic jej nie mówiąc. Ale jak mógłby jej wytłumaczyć nagłe pojawienie się Lizzie w jego życiu?

- Inne zobowiązania? - spytała panna Martin. - Ważniejsze niż miłość?

- Nie ma nic ważniejszego od miłości - zapewnił. - Ale istnieją różne rodzaje i różne stopnie miłości; czasem nie wiadomo, co wybrać: to, co się bardziej kocha, czy to, za co jest się bardziej odpowiedzialnym. A jeśli ma się szczęście, te dwie rzeczy są jednym i tym samym.

- W pana przypadku tak właśnie było? - Zmarszczyła brwi.
- O, tak.

Rozejrzała się nagle wokoło, patrząc na ogród i krążących po nim gości, jakby dopiero uświadomiła sobie, gdzie jest.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała. - Zatrzymuję tu pana, a pan przecież szedł coś zjeść. Ja naprawdę nie jestem głodna. Chyba pójde obejrzeć altankę różaną, jeszcze tam nie byłam.

Dawała mu możliwość odwrotu. Ale on już nie czuł się przy niej skrępowany

- Pójde z panią, jeśli wolno - zaproponował.
- Nie powinien pan raczej dotrzymywać towarzystwa pannie Hunt?
- Czyżby? - Uniósł brwi i nachylił się lekko ku niej.
- Podobno ma się pan z nią żenić.
- Ach, tak. - Uśmiechnął się. - Widzę, że plotki rozchodzą się lotem błyskawicy. To, że mamy się pobrać, nie znaczy jeszcze, że musimy spędzać ze sobą każdą wolną chwilę, panno Martin. W towarzystwie to nie wypada.

Spojrzała w stronę niedalekiego tarasu, gdzie Portia Hunt i McLeith stali przy jednym ze stołów z talerzykami w rękach.

- To, co wypada, jest dla mnie często nieodgadnioną tajemnicą - przyznała. - Jak można nie chcieć spędzać czasu razem z ukochaną osobą? O, nie, niech pan nic nie mówi. - Odwróciła się znowu do niego i uniosła rękę. - Nie chciałabym od pana usłyszeć, że przed laty wyrzekł się pan miłości i teraz bierze pan ślub z wyrachowania.

Co za bezpośredniość. Powinien się na nią rozgniewać, ale zamiast tego był tylko lekko rozbawiony.

- Małżeństwo to jeszcze jeden obowiązek, który wynika z posiadania tytułu - wyjaśnił. - Za młodu człowiek marzy, że można mieć jedno i drugie: miłość i małżeństwo. Ale im jest starszy, tym bardziej praktycznie patrzy na życie. Rozsądnie jest ożenić się z kobietą o podobnej pozycji społecznej, z tej samej sfery. To wiele w życiu ułatwia.

- Tak właśnie zrobił Charlie. - Pokręciła głową, jakby zaskoczona, że powiedziała to głośno. - Idę do altany. Może pan iść ze mną, jeśli ma pan ochotę. A może pan też wracać do panny Hunt. Nie ma pan żadnego obowiązku dotrzymywać mi towarzystwa.

- Nie, panno Martin. - Przechylił głowę na bok i spojrzał na nią, mrużąc oczy przed słońcem. - Wiem, że umie pani zatroszczyć się o sie-

bie. Ale ja też nie widziałem jeszcze altanki i stwierdzam, że mam większą chęć na różę niż jedzenie. Czy wolno mi pójść z panią?

Jej wargi drgnęły lekko i wreszcie uśmiechnęła się otwarcie, po czym odwróciła i skierowała na ukos przez ogród w stronę różanej altany.

Tam też spędzili ostatnie pół godziny przyjęcia, oglądając róże, kwiatki po kwiatku, wachając niektóre okazy, wymieniając pozdrowienia z przechodzącymi znajomymi - w każdym razie on - wreszcie, siedząc na ogrodowej ławeczce pod pergolą z róż, rozkoszowali się pięknem kwiatów i ich upojnym zapachem, słuchali muzyki i prawie nic do siebie nie mówili.

Teraz, kiedy zniknęło tamto przytłaczające uczucie zażenowania, które krępowało ich wcześniej, mógł spokojnie siedzieć z panną Martin w milczeniu. W towarzystwie każdej innej osoby, nawet panny Hunt, czułby się zobowiązany do podtrzymywania rozmowy. Zastanawiał się, czy tak będzie zawsze, czy może małżeństwo przyniesie tę niewymuszoną swobodę, która sprawi, że będą potrafili wspólnie milczeć.

- Cisza nie jest tylko brakiem dźwięku - odezwał się po namyśle. - To bardzo konkretne i specyficzne zjawisko.

- Gdyby cisza nie była czymś konkretnym i rzeczywistym, to nie unikalibyśmy jej tak skwapliwie przez większą część naszego życia - zgodziła się. - Mówimy, że boimy się pustki, ciszy i ciemności, a tak naprawdę boimy się sami siebie.

Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Siedziała w znajomej mu już pozycji: plecy, wyprostowane jak struna, nie dotykały nawet oparcia ławki, stopy na ziemi, jedna obok drugiej, dłonie złożone na kolanach. Opadające rondo kapelusza nie zasłaniało surowych linii profilu jej twarzy.

- Nie zabrzmiało to zbyt wesoło - stwierdził. - Czyżbyśmy w takim razie wszyscy w głębi duszy byli potworami?

- Wcale nie - zaprzeczyła. - Wręcz przeciwnie. Gdybyśmy wszyscy potrafili dostrzec, jak wspaniałą istotą jest człowiek, to na pewno każdy czułby, że musi żyć tak, aby sprostać temu wyzwaniu. Ale na to większość z nas jest zbyt leniwa. Albo zbyt dobrze się bawi, przeżywając swoje dalekie od doskonałości życie.

Zwróciła do niego twarz, kiedy dłuższą chwilę nie odpowiadał.

- Wierzy pani w to, że człowiek jest z natury dobry - powiedział w końcu. - Czyli jest pani optymistką.

- Bez wątpienia - przyznała. - Jakże można inaczej żyć? Na świecie jest mnóstwo przygnębiających spraw, starczyłoby mi ich na całe życie, żeby się zamartwiać. Ale co to za strata czasu! Tyle samo jest w życiu powodów do radości, a jaką satysfakcję daje człowiekowi zabieganie o szczęście!

- A więc cisza i ciemność... mogą mieścić w sobie radość i szczęście?

- zapytał cicho.

- Oczywiście - odparła z przekonaniem. - Pod warunkiem że słucha się ciszy i wpatruje w ciemność. Tam można znaleźć wszystko. Wszystko.

W tej chwili podjął decyzję. Odkąd odwiedził ją w Bath, a zwłaszcza odkąd miał okazję obejrzeć jej szkołę i porozmawiać z nią w drodze do Londynu, zamierzał jej o tym powiedzieć. Równie dobrze może to zrobić teraz.

- Panno Martin - zaczął. - Czy ma pani jakieś plany na jutro? Na popołudnie?

Zrobiła zdziwioną minę.

- Jeszcze nie wiem, co zaplanowała Susanna. A czemu pan pyta?

- Jest pewne miejsce, do którego chciałbym panią zabrać.

Spojrzała na niego wyczekująco.

- Mam tu w mieście dom - wyjaśnił. - Nie mieszkam w nim wprawdzie, ale jest w cichej, spokojnej dzielnicy. Tam właśnie...

- Lordzie Attingsborough! - rzekła tonem, który bez wątpienia wprawiał w drżenie nawet najbardziej zuchwałe uczennice w jej szkole.

- Mówi pan, że dokąd chciałby mnie pan zabrać?

O Boże. Zupełnie, jakby...

- Ja wcale nie... - zaczął.

Kiedy wypowiadał te trzy słowa, ona wzięła głęboki oddech. Klatka piersiowa uniosła się gwałtownie. Claudia przedstawiała sobą bardzo groźny widok, delikatnie mówiąc.

- Czy dobrze rozumiem - spytała - że to jest dom, w którym trzyma pan swoje kochanki?

W liczbie mnogiej. Jakby miał ich cały harem.

Oparł się o ławkę, zwalczając nagłą chęć do śmiechu. Co z niego za gamoń, jak mógł doprowadzić do takiego nieporozumienia? Wyglądało na to, że każde jego słowo jeszcze tylko pogarszało sytuację.

- Muszę przyznać, że w tym celu go kupiłem, panno Martin. Ale od tego czasu minęły całe lata. Byłem wtedy przemądrzałym gołowąsem.

- I to właśnie jest to miejsce, do którego chce pan mnie zabrać?
- Ten dom nie stoi pusty - wytłumaczył. - Chciałbym, żeby pani poznała osobę, która w nim mieszka.

- Pańską kochankę?

Teraz była wręcz uosobieniem świętego oburzenia. Po części wciąż czuł się lekko rozbawiony tym całym nieporozumieniem. Ale tak naprawdę to wcale nie był żart.

I nie miał ochoty do śmiechu.

- Nie, panno Martin - rzekł cicho, a uśmiech znikł z jego twarzy.
- Nie kochankę. Lizzie to moja córka. Ma jedenaście lat. Bardzo bym chciał, żeby pani ją poznała. Zgodzi się pani? Proszę.

8

Claudia raz jeszcze przejrzała się w lustrze swojej garderoby, naciągnęła na dłonie rękawiczki i ruszyła w stronę drzwi. Czuła się trochę skrępowana, bo w pokoju była z nią również Susanna.

- Przykro mi - powiedziała rażno, już nie po raz pierwszy tego popołudnia - że nie będę mogła z tobą iść, Susanno.

- Wcale ci nie jest przykro. - Przyjaciółka uśmiechnęła się szelmowsko. - To oczywiste, że wolisz pojechać z Josephem do parku. Ja w każdym razie bym wolała na twoim miejscu. Zwłaszcza że dziś jest tak samo słonecznie i pięknie, jak wczoraj.

- To bardzo uprzejme z jego strony, że zaproponował mi przejażdżkę - dodała Claudia.

- Uprzejme, też coś. - Susanna przechyliła głowę na bok i przyjrzała jej się uważnie. - Nie zgodziłam się z tobą, kiedy to powiedziałaś przy śniadaniu i teraz też uważam inaczej. Czemu nie miałby cię zabrać na przejażdżkę? Jesteście w podobnym wieku i Joseph najwyraźniej lubi twoje towarzystwo. Wystarczy wspomnieć przedwczorajszą wieczór, kiedy siedział obok ciebie i zaprosił cię do swojego stolika na kolację, zanim Peter zdążył cię odszukać, żeby przyprowadzić do naszego. A wczoraj ci towarzyszył, kiedy wracałaś od pana Hatcharda, a potem przewiózł łódką po rzece i znaleźliśmy was razem w altance różanej, kiedy wychodziliśmy

z przyjęcia. Nie możesz mówić, że to wszystko zwykła uprzejmość, Claudio. Sama siebie obrażasz.

- No, dobrze, niech ci będzie - odparła Claudia. - Zapałał do mnie gwałtowną namiętnością i zamierza mnie błagać, żebym została jego markizą. Zobaczysz, Susanno, jeszcze będzie ze mnie księżna. To by dopiero było.

Susanna wybuchnęła śmiechem.

- Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby ożenił się z tobą, a nie z panną Hunt - powiedziała. - Zaręczyny jeszcze nie zostały ogłoszone, ona zaś ma w sobie coś takiego, co mi się nie podoba, chociaż nie potrafię dociec, co to takiego. Ale słyszę jakieś głosy na dole. Chyba Joseph już przy szedł.

Rzeczywiście. Stał w holu, rozmawiając z Peterem, kiedy Susanna i Claudia zeszły na dół. Uśmiechnął się do nich na powitanie.

Rzecz jasna, jak zwykle był oszalamiająco przystojny i niepokojąco męski w ciemnozielonym fraku i bufiastych spodniach wpuszczonych w oficerki z białymi cholewami. Przynajmniej jesteśmy podobnie ubrani, pomyślała kwaśno Claudia. Ona z kolei miała na sobie trzecią - i ostatnią - z kupionych na wyjazd sukienek. Była to dzienna suknia w kolorze przydymionej zieleni; kiedy ją kupowała, wydała jej się bardzo elegancka. Ale jakie to miało znaczenie, skoro i tak prezentowała się o wiele mniej wytwornie niż damy, które spotkała w ciągu tych kilku dni? Chociaż ona wcale nie chciała wyglądać wytwornie - tylko przyzwoicie.

Susanna i Peter wyszli z nimi, żeby się pożegnać. Kiedy Claudia znalazła się za progiem, zobaczyła, że markiz przyjechał po nią odkrytą kolaską, a nie zamkniętym powozem. Pomógł jej wsiąść, a potem sam wskoczył na miejsce obok i wziął lejce z rąk młodego służącego, który stanął za ich plecami.

Wbrew sobie Claudia poczuła przyptyw podniecenia. Oto jest w Londynie, mieszka w pięknym domu w ekskluzywnej dzielnicy i właśnie wybiera się na przejażdżkę eleganckim powozem w towarzystwie przystojnego dżentelmena. Ich ramiona prawie się stykały i znowu doleciał ją zapach jego wody kolońskiej. Oczywiście, dobrze wiedziała, że to nie jest zwykła przejażdżka dla przyjemności i że ów dżentelmen wiezie ją na spotkanie ze swoją córką - nieślubną córką, niewątpliwie dzieckiem jednej z kochanek. Więc jednak Lila Walton nie pomyliła się, odgadując powód jego wizyty w szkole. Miał córkę, którą chciał tam umieścić.

Teraz już było całkiem jasne, czemu tak się nią interesuje. Mogła się pożegnać z romantycznymi mrzonkami.

Jego wczorajsze rewelacje nie wstrząsnęły nią przesadnie. Wiedziała, że wielu dżentelmenów miało kochanki, które czasem, jak to w przyrodzie bywa, rodziły im dzieci. Jeśli kobiecie i dziecku dopisało szczęście, to ów dżentelmen zapewniał im środki do życia. Miło wiedzieć, że markiz Attingsborough należy do tej kategorii mężczyzn. Jego kochanka i córka żyją sobie spokojnie w domu, który kupił przed laty. A jeśli chce wysłać córkę do jej szkoły, to... cóż, na pewno będzie go stać na czesne.

A jednak, pomimo wieloletniego związku z kochanką, która na dodatek była matką jego dziecka, starał się o pannę Hunt. Tak to już bywa w świecie, a przynajmniej wśród arystokratów. Potrzebował żony i dziecka z prawego łoża, a poślubienie kochanki byłoby źle widziane.

Cieszyła się, że nie należy do tej sfery. O wiele bardziej wolała swój świat.

Zastanawiała się, co by powiedziała panna Hunt, gdyby wiedziała o istnieniu tej kobiety i dziecka. Z drugiej strony, całkiem możliwe, że o nich wie.

Pomachała Susannie i Peterowi, kiedy kolaska ruszała z miejsca, po czym złożyła dłonie na kolanach. Nie zamierzała się trzymać poręczy, nie jest przecież tchórzem. Postanowiła sobie, że będzie się cieszyć każdą chwilą tego nowego doznania i podziwiać Londyn z wysokości swojego siedzenia, gdy tak mknęli przez ulice miasta, podskakując na bruku.

- Wyjątkowo dziś pani milcząca, panno Martin - odezwał się markiz po kilku minutach. - Czy panna Bains i panna Wood mają już za sobą rozmowy wstępne?

- Tak- potwierdziła. - Obie poszły na rozmowę dziś rano. I obu na swój sposób się powiodło. Flora powiedziała, że lady Aidan była dla niej nadzwyczajnie miła i zadała jej tylko kilka pytań, a potem zaczęła opowiadać o Ringwood Manor w hrabstwie Oxfordshire i jego mieszkańcach. Zapewniała ją, że na pewno będzie tam bardzo szczęśliwa i wszyscy będą ją traktować jak członka rodziny. Ich ostatnia guwernantka wyszła za mąż i poprzednia również. Potem Flora poznała dzieci, którymi ma się opiekować, i z miejsca się w nich zakochała. Jutro wyjeżdża do swojego nowego domu.

- A czy lady Hallmere była równie miła dla panny Wood? - zapytał markiz, odwracając się do niej z uśmiechem. O, mój Boże, ależ on blisko siedzi!

Kolaska skręciła w stronę Hyde Parku. Claudia sądziła, że mija się z prawdą, mówiąc Susannie, że tam się właśnie wybierają, ale wyglądało na to, że ostatecznie kłamstwo okaże się tylko niepełną prawdą.

- Zadawała Ednie bardzo dużo pytań - powiedziała mu. - Pytała i o nią samą, i o szkołę. Edna, biedactwo, nie najlepiej znosi odpytywanie, jak zresztą miał się pan okazję przekonać. Ale lady Hallmere zaskoczyła ją, mówiąc, że pamięta napad, w którym zginęli jej rodzice. I chociaż Edna przyznała, że lady Hallmere była bardzo wyniosła i nieprzystępna, to mam wrażenie, że bardzo ją podziwia. W rozmowie brał też udział lord Hallmere i zwracał się do Edny bardzo uprzejmie. A kiedy zobaczyła dzieci, od razu je polubiła. Zatem i ona też jutro nas opuszcza. - Westchnęła.

- Wszystko będzie dobrze - uspokoił ją markiz, skręcając powozem w alejkę biegnącą skrajem trawnika i wzdłuż rzędu rozłożystych, wiekowych drzew. - Dała im pani dom i dobre wychowanie, a teraz znalazła przyzwoite posady. Od nich samych zależy, jak dalej potoczy się ich życie. Polubiłem je obie. Na pewno sobie poradzą.

Zaskoczył ją, bo wypuścił z jednej ręki wodze i sięgnął ku jej złożonym dłoniom, żeby uścisnąć je obie pokrzepiająco. Sama nie wiedziała, czy się przestraszyć, czy oburzyć. Nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Zamiast tego przypomniawszy sobie cel ich przejażdżki.

- Czy pańska ko... Czy matka pańskiej córki wie, że przyjedziemy? - zapytała.

Wczoraj nie było czasu na żadne wyjaśnienia. Ledwie wytłumaczył jej, że osoba, którą chce jej przedstawić - Lizzie - jest jego córką, a już Susanna i Peter zjawili się w altance.

- Sonia? - zdziwił się. - Ona nie żyje. Zmarła w zeszłym roku przed Gwiazdką.

- Och. Bardzo mi przykro.

- Dziękuję. To był naprawdę smutny i trudny czas.

A więc miał na głowie nieślubne dziecko. Chęć posłania córki do szkoły, choć miała dopiero jedenaście lat, była teraz jeszcze bardziej zrozumiała. Przez resztę jej dzieciństwa nie będzie się musiał martwić o nic więcej poza regularnym płaceniem chesnego. A potem pewnie znajdzie jej męża, który zapewni jej utrzymanie do końca życia.

Cóż on takiego powiedział wczoraj? Wytężyła pamięć, próbując sobie przypomnieć. Ach, tak.

„Nie ma nic ważniejszego od miłości”.

Powiedział „nic” z wielkim naciskiem. Ale może to tylko puste słowa. Czyż jego własna córka nie jest dla niego zawadą, kulą u nogi?

Nie zabawili długo w parku. Wkrótce znowu jechali tłoczonymi ulicami Londynu i słońce zaczęło nieprzyjemnie przygrzewać. Wreszcie znaleźli się w spokojniejszej dzielnicy mieszkalnej, czystej i porządnej, choć nie zamieszkaanej przez wyższe sfery. Zatrzymali się przed jednym z domów; stangret zeskoczył na ziemię i przytrzymał konie. Markiz jednym skokiem znalazł się na chodniku, obszedł dookoła kolaskę i pomógł Claudii wysiąść.

- Mam nadzieję, że ją pani polubi - powiedział, stukając do drzwi.

W jego głosie brzmiał cień niepokoju.

Podał kapelusz oraz bat starszemu i bardzo szacownie wyglądającemu służącemu, który otworzył drzwi.

- Smart, weź też rzeczy panny Martin - polecił. - I daj znać panie Edwards, że przyszedłem. Jak tam pani Smart, narzekała dziś na reumatyzm?

- Dziś jakby lepiej, milordzie, dziękuję - odpowiedział służący, czekając, aż Claudia zdejmie kapelusz i rękawiczki. - Ale przy cieplej pogodzie zawsze jej się poprawia.

Zabrał ich okrycia i za parę minut był już powrotem, mówiąc, że panna Edwards wraz z panną Pickford czekają w saloniku na górze. Potem odwrócił się i poprowadził ich schodami na piętro.

Okazało się, że panna Edwards to ładniutka i niewysoka młoda dama o nadąsanym wyrazie twarzy, stanowczo zbyt dorosła, żeby być córką markiza. Powitała ich w drzwiach saloniku.

- Obawiam się, milordzie, że dziś ma nie najlepszy dzień - oznajmiła, dygając przed nim i rzucając Claudii spojrzenie z ukosa.

Pokój tonął w półmroku. Ciężkie story zaciągnięto szczelnie, a na kominku buzował ogień.

- Czyżby? - powiedział markiz, ale Claudii wydało się, że w jego głosie brzmi raczej zniecierpliwienie niż troska.

- Papo? - odezwał się głosik z głębi saloniku. I za chwilę nieco głośniejszym, z radością. - Papo?

Panna Edwards stanęła z boku, zakładając dłonie w tali.

- Stań prosto, Lizzie, i dygnij przed markizem Attingsborough - po prosiła.

Ale dziewczynka już była na nogach, już wyciągała ręce w stronę drzwi. Była drobniutka i szczupła, z burzą ciemnych loków opadających do pasa i buzią rozjaśnioną uśmiechem radości.

- Tu jestem, skarbie - odpowiedział markiz, wchodząc do środka, żeby wziąć dziecko w ramiona. Ona zaraz ciasno opłótła jego szyję rączkami.

- Wiedziałam, że przyjdiesz! - zawołała. - Panna Edwards mówiła, że nie, bo jest ładna pogoda i na pewno masz na głowie tysiąc ważniejszych spraw niż to, żeby mnie odwiedzać. Ale ona zawsze tak mówi, a potem ty i tak przychodzisz wtedy, kiedy obiecałeś. Ładnie pachniesz, papo. Ale ty zawsze ładnie pachniesz.

- Dla ciebie staram się szczególnie - oznajmił, wyplątując się z jej objęć i całując po kolei obie rączki. - Panno Edwards, na litość boską, dlaczego w kominku się pali?

- Bałam się, że Lizzie się zaziębi po tym, jak wczoraj wieczorem wyszedł pan z nią do ogrodu, milordzie.

- A te ciemności? - spytał. - Czy Lizzie i tak nie ma dosyć ciemności?

Mówiąc to, podszedł do okna i szarpnięciem odsunął zasłony. Promienie słońca zalały pokój. Otworzył okna na całą szerokość.

- Słońce bardzo ostro świeciło, milordzie - odrzekła panna Edwards. - Nie chciałam, żeby meble spłowiwały.

Markiz stanął znowu u boku córki i objął ją ramieniem, spoglądając na Claudię.

- Lizzie - zaczął. - Chcę, żebyś poznała osobę, którą dzisiaj przyprowadziłem. To panna Martin, moja dobra znajoma. Panno Martin, przedstawiam pani moją córkę, Lizzie Pickford.

Coś było nie w porządku z oczami tego dziecka, zorientowała się Claudia, gdy markiz odciągnął story. Jedno było półprzymknięte. Drugie błędziło pod lekko trzepoczącą powieką.

Lizzie Pickford była niewidoma. I to, jeśli Claudia dobrze się domyślała, od urodzenia.

- Lizzie - odezwała się panna Edwards. - Dygnij ładnie przed panną Martin.

- Dziękuję pani, panno Edwards - powiedział lord Attingsborough.

- Może pani zrobić sobie przerwę. Nie będzie nam pani potrzebna przez najbliższą godzinę.

- Lizzie Pickford. - Claudia podeszła do dziewczynki i ujęła jej małą, ciepłą rączkę. - Miło cię poznać.

- To jest panna Martin? - Lizzie zwróciła twarzą w stronę ojca.

- Miałem przyjemność ją odwiedzić w zeszłym tygodniu, wtedy, kiedy musiałem na krótko wyjechać - wytłumaczył. - I przywiozłem ją do Londynu. Prowadzi szkołę w Bath. A może zaprosisz pannę Martin, żeby usiadła? I mnie też przy okazji, w końcu przyszliśmy do ciebie w gości. Już mnie nogi boją od stania.

Dziewczynka roześmiała się lekko.

- Ale z ciebie głuptas, papo. Przecież nie przyszedłeś na piechotę. Przyjechałeś. I to powozem; słyszałam więcej niż jednego konia. Mówiłam panie Edwards, że przyjechałeś, ale ona powiedziała, że nic nie słyszała i żebym sobie nie robiła nadziei, i się nie gorączkowała. Więc wcale nie boją cię nogi. Panny Martin też nie. Ale strasznie się cieszę, że przyszedłeś. Zostaniesz do wieczora? Panno Martin, niech pani usiądzie. Papo, ty też siadaj. Ja chcę usiąść obok ciebie.

Usiadła bardzo blisko niego na sofie, a Claudia usadowiła się jak najdalej od dogasającego ognia na kominku. Lizzie wzięła ojca za rękę i otarła się policzkiem o jego ramię.

On uśmiechnął się do niej z taką czułością, że Claudia zawstydziała się, wspomniawszy, jak surowo go wcześniej osądziła. A więc jednak jego zapewnienia, że nic nie jest ważniejsze od miłości, nie były tylko wytartym frazesem.

- Do szkoły panny Martin chodzą same dziewczynki - odezwał się do córki. - Mówię ci, to wspaniałe miejsce. Uczą się tam mnóstwa ciekawych rzeczy, historii, matematyki, francuskiego. Jest tam też salon muzyczny, a w nim pełno różnych instrumentów. Dziewczynki mogą na nich grać. Oprócz tego śpiewają w chórze, haftują i robią na drutach.

Ale wszystkie mają zdrowe oczy, pomyślała Claudia. Przypomniała sobie, jak ją zapytał, czy zastanawiała się nad przyjmowaniem do szkoły niepełnosprawnych dziewczynek. Ale jak tu uczyć niewidome dziecko?

- Tylko raz słyszałam skrzypce, wtedy z tobą, papo - powiedziała dziewczynka. - Mama mówiła, że w jej domu nie będzie żadnych skrzy piec, bo ją od tego boli głowa. A kiedy śpiewam piosenki, których mnie nauczyła pani Smart, panna Edwards też mówi, że ją przyprawiam o ból głowy.

- Wiesz, Lizzie, czuję, że to panna Edwards zaczyna u mnie wywoływać migreny - stwierdził markiz.

Roześmiała się rozradowana.

- Chcesz, żeby przestała u nas pracować? - zapytał.

- Tak - odparła bez wahania. - O, tak, proszę cię, papo. A może ty przyjdiesz tu mieszkać zamiast niej?

Zerknął na Claudię z ogromnym smutkiem w oczach.

- Bardzo bym chciał - oznajmił. - Jednak to niemożliwe. Ale kiedy jestem w Londynie, odwiedzam cię codziennie. Jak mógłbym do ciebie nie przychodzić, skoro cię kocham najbardziej na świecie? Ale nie powinienśmy rozmawiać tylko ze sobą, bo to nieuprzejme wobec gościa. Panna Martin przyszła tu specjalnie po to, żeby cię poznać.

Dziewczynka zwróciła się w stronę Claudii. Była bledziutka i bardzo wątła. Trochę słońca i trochę ruchu dobrze by jej zrobiło.

- Panno Martin, a czy w tej szkole czyta się historyjki? - zapytała grzecznie.

- Oczywiście - odparła Claudia. - Nasze dziewczęta uczą się czytać, jak tylko zaczną u nas naukę, i w czasie, kiedy są w szkole, czytają mnóstwo książek. Mogą sobie wybrać, co chcą czytać, bo mamy bardzo dużo tytułów w szkolnej bibliotece. Biblioteka to takie miejsce, w którym jest pełno półek z książkami.

- Tyle opowiadań naraz w jednym miejscu - zdumiała się dziewczynka. - Mama nie czytała mi bajek, bo nic umiała czytać, chociaż papa ciągle jej powtarzał, że może ją nauczyć. Pani Smart też nie czyta. Pan Smart tak, ale tylko sam sobie. Mnie czyta panna Edwards, bo to jedyna rzecz, którą papa każe jej robić, ale wybiera same nieciekawe historie. I chyba nudzi ją czytanie, bo zawsze ma taki drewniany głos. Kiedy ją słyszę, to zaraz ziewam.

- Ja ci przecież czytam bajki, Lizzie - powiedział markiz.

- Wiem, papo. - Podniosła rączkę i poklepała go po twarzy. - Ale czasem tylko udajesz, że czytasz, a tak naprawdę zmyślasz własne historyjki. Wiem, że tak robisz. Ale to nic nie szkodzi. Te twoje opowiadania nawet bardziej mi się podobają. Ja też wymyślam różne bajki, ale opowiadam je tylko mojej lalce.

- Gdybyś je opowiedziała komuś, kto umie pisać - włączyła się Claudia - to wtedy taka osoba mogłaby wszystko spisać i przeczytać ci twoją własną bajkę, gdybyś miała znowu ochotę jej posłuchać.

Dziewczynka wybuchnęła śmiechem.

- To by dopiero było śmieszne - stwierdziła.

Do salonu weszła pulchna starsza pani, niosąc na tacy herbatę i ciastka.

- Pani Smart - odezwała się do niej Lizzie. - Wiem, że to pani. A to jest panna Martin, znajoma papy. Ma własną szkołę i w tej szkole jest biblioteka. Wie pani, co to takiego biblioteka?

- Ty mi to powiedz, aniołku. - Służąca pozdrowiła Claudię uprzejmym skinieniem i uśmiechnęła się z czułością do dziewczynki.

- To taki pokój pełen książek - wyjaśniła Lizzie. - Niesamowite, prawda?

- Mnie by się te wszystkie książki na wiele nie przydały, aniołku - odparła pani Smart, nalewając herbatę i rozdając filiżanki. - Tobie też nie - dodała ciszej, wychodząc z pokoju.

- Lizzie - odezwał się markiz, kiedy wszyscy skosztowali już ciastek.

- Chciałabyś może pójść do szkoły?

- A kto by mnie odprowadzał, papo? - zdziwiła się. - I przyprowadzał do domu?

- To by była taka szkoła, w której się mieszka - wytłumaczył. - Byłabyś z innymi dziewczynkami, a na wakacje przyjeżdżałabyś do domu i wtedy znowu miałbym cię tylko dla siebie.

Milczała przez dłuższą chwilę. Claudia zauważyła, że jej wargi lekko się poruszają, ale trudno było stwierdzić, czy drżą od wstrzymywanego płaczu, czy też dziewczynka mówi coś sama do siebie. Nagle odstawiła pusty talerzyk i pośpiesznie wdrapała się na kolana taty, przytulając do niego całym ciałem i chowając twarz w jego ramię.

Popatrzył na Claudię przygnębionym.

- Panna Edwards mówi, że mam już tak nie robić - odezwała się Lizzie po chwili. - Mówi, że już jestem na to za duża. I że to nie uchodzi. To prawda, papo? Jestem już za duża, żeby ci siadać na kolanach?

Ale przecież to dziecko nie widzi, pomyślała Claudia. Zmysł dotyku musi być dla niej o wiele ważniejszy niż dla innych dzieci w jej wieku.

- Nie zniósłbym tego - rzekł markiz, opierając się policzkiem o jej główkę - gdybyś kiedyś uznała, że jesteś za duża na to, żebym cię przytulał. Co do siadania na kolanach, myślę, że nie ma w tym nic niestosownego, dopóki nie skończysz dwunastu lat. Co nam daje jeszcze całe pięć miesięcy. A co na to panna Martin?

- Twój tata ma całkowitą rację, Lizzie - potwierdziła Claudia.
- A w mojej szkole jest taka zasada, że nie trzymamy tam nikogo wbrew jego woli. Choćby rodzice nie wiadomo jak bardzo chcieli, żeby jakaś dziewczynka poszła do szkoły, nauczyła się wielu pożytecznych rzeczy ode mnie oraz innych nauczycieli i znalazła nowe koleżanki, to ja nie przyjmę żadnej uczennicy, która nie powie mi jasno, że chce zostać w mojej szkole. Rozumiesz, Lizzie?

Dziewczynka, wciąż wtulona w ramiona ojca, odwróciła główkę w jej stronę.

- Ma pani taki miły głos - wyszeptała. - Wierzę pani. Niektórym głosom wcale nie wierzę. Zawsze wiem, komu powinnam wierzyć, a komu nie.

- Skarbie - odezwał się markiz. - Odwiozę teraz pannę Martin do domu. A później znowu do ciebie przyjadę, na koniu. I zabiorę cię na przejażdżkę. Chcesz?

- Tak! - Usiadła prosto, a buzia rozjaśniła jej się z radości. - Ale panna Edwards mówi, że...

- Nie przejmuj się tym, co mówi panna Edwards - odpowiedział.

- Przecież już nieraz ze mną jeździłaś i nic ci się nie stało, pamiętasz? Porozmawiam sobie z nią, kiedy wrócimy z przejażdżki, i jutro rano już jej tu pewnie nie będzie. Ale do tego czasu staraj się być dla niej miła, dobrze?

- Dobrze, papo - obiecała.

Claudia, wychodząc, jeszcze raz ujęła dziewczynkę za rączkę. Mimo tych dziwnych oczu, mała mogła jeszcze wyrosnąć na urodziwą pannę, o ile nabierze zainteresowania życiem, które ożywiłoby jej twarzyczkę także wtedy, gdy nie ma przy niej ojca - i jeśli będzie częściej przebywać na słońcu i na powietrzu.

- Rozumiem, że chciałby pan posłać Lizzie do mojej szkoły - powiedziała Claudia, kiedy już siedziała w kolasce w drodze powrotnej na Grosvenor Square.

- Czy to możliwe? - spytał. W jego głosie nie było ani śladu zwykłej wesołości i beztroski. - Czy dla niewidomego dziecka w ogóle cokolwiek jest możliwe, panno Martin? Błagam, niech mi pani pomoże. Tak bardzo ją kocham, że aż serce boli.

Joseph czuł się co najmniej idiotycznie.

„Błagam, niech mi pani pomoże. Tak bardzo ją kocham, że aż serce boli”.

Dojeżdżali już do Hyde Parku, a panna Martin wciąż nie odpowiadała ani słowem. Jego desperackie błaganie wisiało między nimi w powietrzu. Miał ochotę popędzić konie, żeby jak najszybciej odstawić ją do Whitleafów, po czym starannie jej unikać przez resztę pobytu w Londynie.

Nie miał w zwyczaju tak się odsłaniać przed innymi ludźmi, nawet przed najbliższymi przyjaciółmi -jedynie Neville był wyjątkiem.

Panna Martin przerwała milczenie dopiero, gdy gwar ulicy został z tyłu za nimi.

- Pomyślałam sobie najpierw, jaka to szkoda, że Anne Butler już u mnie nie pracuje - powiedziała. - Ona zawsze świetnie sobie radziła z dziewczynkami, które odstawały od normy albo potrzebowały szczególniego traktowania. Ale zaraz doszłam do wniosku, że każda uczennica jest na swój sposób szczególna. Pojęcie normy istnieje tylko w wyobraźni tych, którzy lubią uporządkowane statystyki.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, ani nawet - czy ona oczekuje od niego jakiejś odpowiedzi.

- Nie jestem pewna, czy będę w stanie panu pomóc, lordzie Attingsborough - stwierdziła wreszcie.

- A więc nie weźmie pani Lizzie? - zapytał rozczarowany. - Nic się nie da zrobić dla niewidomego dziecka?

- Wierzę, że Lizzie stać by było na wiele - odparła. - No i dla mnie samej byłoby to niezwykle wyzwanie. Po prostu nie mam pewności, czy szkoła dobrze jej zrobi. Wygląda na to, że bardzo się uzależnia od ludzi.

- Czy to nie kolejny powód, dla którego powinna iść do szkoły?

Ale kiedy o tym pomyślał, serce mu się krajało. Jak Lizzie poradziła-by sobie z dala od domu, gdzie byłaby zdana sama na siebie, gdzie inne dziewczynki mogłyby być dla niej niemiłe, gdzie jej ślepotą siłą rzeczy wykluczałaby ją z wielu zajęć?

I czy on zniósłby tak długą rozłąkę? Przecież to w końcu jeszcze dziecko!

- Pewnie bardzo tęskni za matką - odezwała się panna Martin. - Jest pan pewien, że chce ją wysłać do szkoły tak prędko po śmierci matki? Zdarza mi się przyjmować porzucone dzieci, lordzie Attingsborough.

Często są bardzo poranione wewnętrznie - można powiedzieć, że właściwie zawsze.

Porzucone. Czy na to właśnie skarże Lizzie, posyłając ją do szkoły? Westchnął i zatrzymał kolaskę. Ta część parku akurat była cicha i odosobniona.

- Może chwilę pospacerujemy? - zaproponował.

Zostawił konie i powóz pod opieką stangreta, który nie krył zachwyty, i ruszył u boku panny Martin wąską, krętą ścieżką, wijącą się wśród drzew.

- Sonia była bardzo młoda, kiedy wziąłem ją do siebie - wyjaśnił. - Ja zresztą też. Była tancerką w teatrze, bardzo ładną, bardzo popularną i bardzo ambitną. Chciała wieść życie pełne przepychu i luksusów. Pragnęła pławić się w podziwie wielu utytułowanych dżentelmenów, wpływowych i bogatych. Została kurtyzaną z wyboru, nie z konieczności. Nie kochała mnie ani ja jej. Nasz układ nie miał nic wspólnego z miłością.

- Domyślam się, że nie - powiedziała sucho.

- Nie zamierzałem jej trzymać dłużej niż przez dwa, trzy miesiące - ciągnął. - Miałem ochotę się wyszumieć. Ale wtedy pojawiła się Lizzie.

- Przypuszczam - wtrąciła - że oboje byliście tym faktem zaskoczeni.

- Młodzi często bywają głupi i naiwni, panno Martin. Zwłaszcza w tych sprawach.

Spojrzał na nią z góry, spodziewając się zobaczyć zszokowany wyraz twarzy. W końcu nie był to temat, którym zwykle rządziły wrażliwe uszy dam. Ale czuł, że jest jej winien wyjaśnienie.

- To prawda - przyznała.

- Sonia nie najlepiej sprawdzała się w roli matki - mówił dalej. - A już najbardziej denerwowało ją, że urodziła niewidome dziecko. Z początku chciała oddać Lizzie do przytułku, ale ja się na to nie zgodziłem. A skoro zmusiłem ją do bycia matką, sam musiałem wziąć na siebie ciężar bycia ojcem; co od samego początku przyszło mi bez trudu. Nigdy mi to nie ciążyło. I tak zostaliśmy razem aż do jej śmierci, Sonia i ja. Nie była zadowolona z tego, jakie życie wiedzie, choć nie brakowało jej niczego, miała nawet moją wierność. Nająłem Smartów, żeby jej pomagali opiekować się Lizzie, kiedy mnie nie było w domu; traktują ją jak własną wnuczkę. Sonia nie bardzo wiedziała, jak zabawiać, wychowywać czy uczyć niewidome dziecko, ale nie była dla Lizzie złą matką. Oczywiście, mała była niepokieszona po jej śmierci. To rozumiałe, że za nią tęskni. Mnie też jej brakuje.

- Lizzie bardziej niż szkoła potrzeba prawdziwego domu - powiedziała panna Martin.

- Ona ma dom - odparł dość ostrym tonem. Ale dobrze wiedział, co miała na myśli. - Myśli pani, że to za mało? Po śmierci Soni zatrudniłem dla niej opiekunkę. Od tamtej pory miała już trzy. Panna Edwards jest ostatnia. Tym razem wybrałem młodą dziewczynę, na oko miłą i uprzejmą, bo wydawało mi się, że Lizzie dobrze zrobi towarzystwo kogoś młodego. Ale widzę, że ona też się nie nadaje. Gdzie znajdę kogoś, kto się zajmie moją córką i da jej to, czego potrzebuje? Smartowie są za starzy, żeby sami sobie z nią poradzili, a zresztą mówią, że chcieliby odejść na emeryturę. Może jedna z pani uczennic by się zgodziła, panno Martin? Przeszło mi nawet przez myśl, muszę przyznać, że mógłbym zaproponować posadę pannie Wood albo pannie Bains, gdyby się okazało, że któregoś z nich nie spodobał się przyszły pracodawca.

Znaleźli się na granicy zagajnika, na skraju rozległego trawnika, po którym spacerowało sporo ludzi; inni siedzieli na trawie, rozkoszując się ciepłym letnim popołudniem. Oboje zatrzymali się w cieniu starego dębu i odwrócili twarze w stronę słońca.

- Nie wiem, czy bardzo młoda dziewczyna poradziłaby sobie z takim wyzwaniem - stwierdziła panna Martin. - A do tego tu, w Londynie. To dziecko potrzebuje powietrza i ruchu, lordzie Attingsborough. Ona potrzebuje wsi. I potrzebuje matki.

- Tego jednego nigdy nie będę w stanie jej dać - powiedział. W jej oczach widział zrozumienie: nawet, kiedy się ożeni, Lizzie nie zyska nowej matki. Jako nieślubna córka, będzie trzymana z dala od jego przyszłej rodziny, i to w ukryciu.

Wszystko układało się w miarę prosto, dopóki żyła Sonia. Wiedział, oczywiście, że życie jego córki jest dalekie od ideału, ale nigdy niczego jej nie brakowało. Miała dostatni, bezpieczny dom. Smartowie - i Sonia także - darzyli ją czułością, a on kochał ją bezgranicznie.

- Odkąd Sonia zmarła, nie przestaje mnie dręczyć niepokój o Lizzie wyznał. - Pewnie martwiłem się o nią i wcześniej, ale dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że przecież ona już dorasta. Upośledzone dziecko można chronić i rozpieszczać, można nie wypuszczać go z ramion, dopóki jest małe. Ale *co* z nią będzie, kiedy dorośnie? Czy znajdę dla niej dobrego męża? Mogę wprawdzie dać jej majątek, ale co z uczuciami?

Co da jej szczęście i spełnienie? Co się z nią stanie, kiedy mnie zabraknie?

Panna Martin położyła mu dłoń na ramieniu, a on odwrócił głowę, żeby na nią popatrzeć. Napotkał wzrokiem krzepiące spojrzenie rozumnych szarych oczu i nie zastanawiając się nad tym, co robi, nakrył jej rękę swoją dłonią.

- Niech mi pan pozwoli ją lepiej poznać, lordzie Attingsborough - powiedziała. - Zastanowię się, czy nauka w mojej szkole byłaby dla niej możliwa. Czy mogę znów się z nią spotkać?

Nagle z zakłopotaniem zdał sobie sprawę, że ma oczy pełne łez. Zamrugał, próbując się ich pozbyć.

- Może jutro? - zaproponował. - O tej samej porze?

- Jeśli nadal będzie tak ładnie, moglibyśmy ją zabrać na powietrze. Chyba że nie chce pan, żeby ktoś pana z nią zobaczył.

- Możemy sobie urządzić piknik - ucieszył się. - W parku Richmond albo w ogrodach Kew.

- O tym już pan zdecyduje. Czy ktoś jeszcze wie, że ma pan córkę?

- Neville. Hrabia Kilbourne. Powiedziałem mu o niej i teraz czasami do niej zagląda, kiedy mnie dłużej nie ma w mieście, jak na przykład ostatnio, kiedy jechałem do Bath. Ale zasadniczo dżentelmen powinien być w tych sprawach dyskretny. To nie jest temat, który się porusza w towarzystwie.

- Czy panna Hunt wie? - spytała.

- Dobry Boże, skąd!

- A jednak zamierza się pan z nią żenić - zamyśliła się.

- Dopiero od niedawna, panno Martin - wyjaśnił. - Mój ojciec ostatnio chorował i uważa, być może słusznie, że zaszkodziło mu to na serce. Zanim wezwał mnie do Bath, spotkał się z lordem Balderstone'em i we dwóch ułożyli plan tego małżeństwa. To całkiem sensowny pomysł. Panna Hunt i ja oboje jesteśmy wolni i należymy do tej samej sfery. Znamy się już od paru lat i dość dobrze rozumiemy. Ale nigdy dotychczas nie myślałem o tym, żeby się o nią starać. Nie miałem zamiaru w ogóle szukać żony, dopóki Sonia żyła. Jestem zwolennikiem monogamii, nawet jeśli chodzi o związek z kochanką. Niestety, z biegiem lat oddaliliśmy się od siebie, choć myślę, że do końca łączyło nas przywiązanie. Przez ostatnie dwa czy trzy lata nawet ze sobą nie... Zresztą, nieważne.

Z pewnym zdumieniem odkrył kilka lat temu, że Sonia go zdradziła. I choć ze względu na Lizzie nie zdobył się na to, żeby ją oddalić, już nigdy nie poszedł z nią do łóżka.

Ale panna Martin nie była kobietą naiwną.

- A więc od ponad dwóch lat żyje pan we wstrzemięźliwości? - upewniła się.

Zaśmiał się mimo woli.

- Dosyć hańbiące wyznanie dla dżentelmena, nieprawdaż? - zadrwił.

- Bynajmniej - odparowała. - Ja trwam we wstrzemięźliwości znacznie dłużej niż pan, lordzie Attingsborough.

- Nie przez całe życie? - zapytał. Miał dziwne uczucie, że cała ta sytuacja jest jakby wyjęta z niedorzecznego snu. Czy to możliwe, że rozmawia na takie nieprzyzwoite tematy z pruderyjną panną Martin?

- Nie - rzuciła. - Nie przez całe życie.

Mój Boże!

Oczywiście, natychmiast w jego myślach pojawiło się pytanie: kto?

Równie szybko domyślił się odpowiedzi. McLeith? Niech go szlag!

Jeśli to prawda, to zasługiwał na to, żeby go powiesić, utopić i powóziartować.

Jeśli nie na coś jeszcze gorszego!

- Och! - jęknęła, wpatrując się w coś pośrodku trawnika. W mgnieniu oka przybrała pozę surowej, wzburzonej nauczycielki. - Och, niech pan tylko spojrzy!

Dziarsko pomaszzerowała przez zalany słońcem trawnik i zaczęła besztać jakiegoś robotnika, trzykrotnie od niej większego, który bił wychudzoną czarno-białą psinę, skomlącą u jego stóp z bólu i przerażenia.

Joseph nie od razu za nią poszedł.

- Ty tchórzliwy łotrze! - zawołała. Ciekawe, że chociaż nie podniosła głosu, było ją słychać na znaczną odległość. - Przestań natychmiast.

- Ciekawym, kto mnie do tego zmusi? - odpalił bezczelnie mężczyzna. Kilku gapiów zatrzymało się, żeby obserwować rozwój wydarzeń.

Joseph zrobił krok naprzód, gdy kij w ręku mężczyzny uniósł się i opadł na grzbiet skulonego psiaka - tylko że dłoń panny Martin zatrzymała go w pół drogi.

- Twoje własne sumienie, mam nadzieję - powiedziała. - Zwierzęta trzeba traktować życzliwie i dobrze karmić, jeśli oczekuje się od nich lojalnej służby. Nie powinny być bite i głodzone przez brutalnych prostaków.

Ten i ów spośród gapiów przyklasnął. Joseph uśmiechnął się na te słowa.

- Ejże - oburzył się robotnik. - Uważaj, paniusiu, kogo nazywasz prostakiem, żebym ci przypadkiem nie pokazał. A może sama chcesz karmić to zapchlone bydło, skoro masz takie dobre serce. Mnie on na nic.

- Ach, tak - stwierdziła panna Martin. - A więc do swoich innych przewin dodajesz jeszcze porzucenie go na łaskę losu, tak?

Spojrzał na nią z taką miną, jakby to ją teraz miał ochotę uderzyć - Joseph czym prędzej podszedł bliżej - ale zaraz wyszczerzył się, demonstrując piękny zestaw spróchniałych zębów.

- Taaa - powiedział. Schylił się, podniósł psa z ziemi i wcisnął go pannie Martin w ręce. - Tak jest, tak właśnie zrobię. Tylko bądź dla niego miła, paniusiu, i dawaj mu dobrze jeść. I nie porzucaj go na los łaski, bo sobie dodasz przewin.

Zaśmiał się, ubawiony własną przemyślnością, i odmaszerował przez park przy akompaniamencie wiwatów ze strony paru dowcipnisiów i pomruków oburzenia innych, bardziej szacownych spacerowiczów.

- Cóż. - Panna Martin odwróciła się do Josepha. Kapelusz lekko jej się przekrzywił, co nadawało jej nieco łobuzerskiego wyglądu. - Wydaje mi się, że zdobyłam psa. I co ja mam z nim teraz zrobić?

- Zabrać do domu, wykąpać i nakarmić? - zasugerował Joseph z uśmiechem. - To owczarek szkocki, ale niezbyt rasowy, biedak.

I do tego śmierdzący.

- Ale ja tu nie mam domu, do którego mogłabym go zabrać - wes tchnęła, a pies podniósł łeb i zaskomlał żałośnie. - Zresztą nawet gdybym była w Bath, nie mogłabym go przecież trzymać w szkole. Och, jej. Czy on nie jest słodki?

Joseph roześmiał się w głos. O tym psiaku można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest słodki.

- Na razie mogę go trzymać u siebie w stajni, jeśli pani chce - zaoferował. - Później spróbujemy mu znaleźć nowy dom.

- W stajni? - zastanowiła się. - Ale on do tej pory był tak potwornie traktowany. Starczy na niego spojrzeć, nie trzeba było nawet być świadkiem tej brutalnej sceny sprzed chwili. Jemu potrzeba towarzystwa i mi-

łości. Zabiorę go do Susanny, mam tylko nadzieję, że Peter nie wyrzuci nas za drzwi.

Roześmiała się.

A więc, pomyślał, jednak ma w sobie namiętność - nawet jeśli chodzi tylko o stawanie w obronie uciśnionych.

Gdy tak ramię w ramię wracali do powozu, ogarnął go przyptływ nadziei i optymizmu. Skoro ta kobieta nie zostawia w potrzebie nawet psa, to nie odrzuci kogoś, kto naprawdę potrzebuje jej pomocy. Na pewno zajmie się Lizzie - choć oczywiście wcale nie ma takiego obowiązku.

Wziął od niej psiaka i podał go zaskoczonemu służącemu, a sam pomógł jej wspiąć się na siedzenie kolaski. Potem położył jej zwierzę na kolanach, a ona objęła psa ramionami i otuliła go spódnicą.

- Jak widzę, pani marzenie właśnie zaczyna się spełniać. - Uśmiechnął się.

Spojrzała na niego zaskoczona, ale za chwilę wybuchnęła śmiechem.

- No tak, teraz brakuje mi tylko wiejskiej chatki otoczonej malwami - odpowiedziała.

Lubił, kiedy się śmiała. Miała taki pogodny i beztroski śmiech.

- Ten brutal to nie było chucherko - powiedziała, kiedy Joseph usiadł obok niej i ujął lejce. - Pewnie zostanie mi ślad na dłoni na dobre parę dni. Krzyknęłabym z bólu, ale nie chciałam dać mu satysfakcji.

- O, do diaska! - zawołał Joseph. - Zrobił pani krzywdę? Powinno być podbić mu oczy.

- O, nie - zaprotestowała. - Z przemocą nie można walczyć siłą. W ten sposób tylko nakręca się spirale zła.

- Panno Martin - odwrócił głowę, żeby znowu się do niej uśmiechnąć. - Doprawdy, niezwykła z pani kobieta.

I w dodatku wcale niebrzydka, pomyślał, z tymi błyszczącymi oczami, zarumienioną twarzą i kapeluszem na bakier. Znowu się roześmiała.

- Ale czasami nadmiernie popędliwa - stwierdziła. - Choć muszę powiedzieć, że już od lat tak się nie zachowywałam. Pieseczku, jak ci na unie? Chyba sama muszę ci jakieś nadać.

Joseph nie przestawał się uśmiechać.

Był nią szczerze oczarowany. Naprawdę, w tej surowej i nieprzystępnej nauczycielce kryła się wspaniała kobieta.

9

Claudia prawie nie miała czasu, żeby przemyśleć sprawę Lizzie Pickford, bo odkąd wróciła wczoraj z przejażdżki, bez przerwy coś się działo.

Przez godzinę czy dwie zajęta była kąpaniem, szczotkowaniem i karmieniem owczarka, który okazał się szczeniakiem; pocieszała go, kiedy wyglądał na wystraszonego, i kilka razy wyprowadziła go do ogrodu za potrzebą. Wychodząc wraz z Susanną i Peterem do Marshall House, żeby zjeść obiad w towarzystwie Frances i Luciusa, zostawiła go pod opieką Edny i Flory, ale noc spędził w jej sypialni - a ściślej rzecz biorąc, na jej łóżku - i urządził jej wczesną pobudkę, bo znowu potrzebował wyjść do ogrodu. Przynajmniej, jak odkryła z pewną ulgą, był nauczony nie brudzić w domu. Susanna i Peter wykazali dużą tolerancję, jeśli chodzi o obecność zabiedzonego psiaka w ich domu, ale mogliby odnieść się mniej życzliwie do mokrej plamy na dywanie.

Poza tym właśnie dziś rano Edna i Flora miały opuścić dom na Grosvenor Square i zacząć nową pracę. Ze smutkiem żegnała je obie - łkającą Ednę i dziwnie milczącą Florę - a potem machała im, kiedy odjeżdżały powozem Petera. Serce jej się ścisnęło, jak zwykle przy takich okazjach. To była zdecydowanie najmniej sympatyczna część jej pracy.

Później, kiedy obie z Susanną pocieszały się filiżanką herbaty, z niezapowiedzianą wizytą wpadła Frances, żeby im powiedzieć, że następnego ranka wyjeżdżają z Lucysem do Barclay Court, ich rezydencji w Somersetshire, żeby mogła w spokoju nabrać sił przed trudami bardziej zaawansowanej ciąży i porodu.

- Ale koniecznie nas odwiedzajcie - poprosiła. - Obie musicie przyjechać na Wielkanoc - Peter, oczywiście, też. Ugościmy całą waszą trójkę.

- Trójkę? - wtrąciła Susanna z szelmowskim błyskiem w oku. - A czemu nie czwórkę? Zdradzę ci, Frances, że Joseph, markiz Attingsborough, zabiera Claudię na przejażdżkę dziś po południu, i to już drugi dzień z rzędu. A wieczorem oboje wybierają się do ogrodów Vauxhall razem z Lauren i Kitem. I zapewne nie wiesz, ale przedwczoraj na garden party, kiedy nie mogliśmy jej znaleźć, pływali razem łodzią po rzece.

- Och, to fantastycznie! - Frances klasnęła w dłonie. - Zawsze uważałam, że markiz to wyjątkowo przystojny i czarujący mężczyzna. Nie

pojmuję, co on takiego widzi w tej pannie Hunt... no, ale może jestem do niej lekko uprzedzona. Byłoby cudnie, Claudio, gdyby zamiast niej zainteresował się tobą.

- Ale to niemożliwe, Frances - powiedziała Susanna, otwierając szeroko oczy. - Absolutnie wykluczone. On przecież kiedyś zostanie księciem, a wiesz dobrze, co Claudia sądzi na temat książąt.

Obie roześmiały się wesoło, a Claudia uniosła tylko brwi i dalej głaskała psa, który leżał skulony obok krzesła i trzymał głowę na jej kolanach.

- Widzę, że świetnie się bawicie moim kosztem - zauważyła, mając tylko nadzieję, że nie rumieni się za bardzo. - Nie chciałabym wam psuć zabawy, ale lord Attingsborough naprawdę nie zabiera mnie na przejażdżki łodzią czy powozem z romantycznych pobudek. Po prostu bardzo go interesuje moja szkoła i możliwość kształcenia... dziewcząt.

Zabrzmiało to dość idiotycznie, ale czy mogła powiedzieć prawdę nawet najbliższym przyjaciółkom? Zdradziłaby w ten sposób sekret, który nie należał do niej.

Obie zrobiły identyczne, bardzo poważne miny, spojrzały najpierw na nią, a potem na siebie nawzajem.

- Szkoła, Susanna - rzekła Frances.

- I możliwość kształcenia, Frances - odparła Susanna.

- Dziewcząt.

- Przecież to takie oczywiste. Jak mogłyśmy same na to nie wpaść?

I obie wybuchnęły śmiechem.

- No i nie wolno nam zapomnieć o księciu McLeith - dodała Susanna. - Następny książę. Twierdzi, że w dzieciństwie byli sobie z Claudią bliscy jak brat i siostra, ale przecież teraz już są dorośli. Całkiem przystojny z niego mężczyzna, nie sądzisz, Frances?

- A do tego wdowiec - uzupełniła Frances. - I bardzo chciał się zobaczyć z Claudią, kiedy ja i Lucius byliśmy jeszcze na garden party.

- Na waszym miejscu nie zamawiałabym jeszcze sukienek na moje wesele - przerwała im Claudia.

- Policzki ci poróżwiały - zauważyła Frances, wstając z miejsca. Chyba cię zawstydziliśmy, Claudio. Ale mówiąc poważnie, chciała bym... A zresztą, nieważne. Widzę, że teraz zajmuje cię tylko ten biedny psiak. Straszna z niego chudzina.

Schyliła się i podrapała go pod brodą.

- Żałuj, że go nie widziałas wczoraj - powiedziała Susanna. - Był taki zaniedbany i brudny, że wyglądał jak szczur wyciągnięty z rynsztoka, tak przynajmniej twierdzi Peter. Ale wszyscy się w nim zakochali.

Pies spojrzął na Claudię, nie podnosząc głowy, i sapnął przeciągle.

- I w tym cały kłopot - orzekła Claudia. - Miłość nie zawsze jest nam na rękę. Co ja mam z nim zrobić? Zabrać go do szkoły? Dziewczęta zwariują.

- Podobno wczoraj, kiedy wyszliśmy na obiad, Edna i Flora prawie się pokłóciły - wtrąciła Susanna. - Obie naraz chciały go przytulać, głaskać i z nim się bawić.

Frances się zaśmiała.

- Muszę już iść - oznajmiła. - Obiecałam Luciusowi, że wrócę na lunch.

Po czym nastąpiła kolejna seria uścisków i pożegnań, równie bolesnych, jak te wcześniejsze. Claudia i Susanna wiedziały, że wiele czasu upłynie, nim znowu zobaczą się z Frances. No i w dodatku przyjaciółka będzie musiała stawić czoło możliwym niebezpieczeństwom ciąży i porodu.

Kiedy poranek wreszcie dobiegł końca, Claudia miała przede wszystkim ochotę odpocząć. Ale powinna jeszcze wyprowadzić psa, zanim zostawi go na całe popołudnie w kuchni, gdzie przyjęto go z entuzjazmem. Mały owczarek utyłby wkrótce jak beczka, gdyby go oddać pod opiekę kucharki Susanny.

Jednak pomimo znużenia, w dużej mierze zresztą emocjonalnego, Claudia cieszyła się na piknik z markizem i jego córką czy to w parku Richmond, czy to w ogrodach Kew. Wiedziała, że musi sobie wciąż przypominać, że to spotkanie w celach czysto profesjonalnych - miała lepiej poznać potencjalną uczennicę. A nie było to łatwe. Od razu polubiła Lizzie Pickford. I żałowała jej z głębi serca. Ale akurat to uczucie będzie musiała stłumić. Litość w niczym dziewczynce nie pomoże. Istotną kwestią było raczej, czy można coś dla niej zrobić. Czyjej szkoła ma coś do zaoferowania niewidomemu dziecku?

W każdym razie cieszyła się na to popołudnie, i to nie tylko ze względu na Lizzie. Pomimo wszystkich perypetii wczorajszego wieczoru i dzisiejszego poranka nie potrafiła zapomnieć rozmowy z markizem w parku. Powiedział wtedy coś nieoczekiwanego.

I ona zresztą też.

Dal jej jasno i otwarcie do zrozumienia, że od ponad dwóch lat żyje we wstrzemięźliwości.

A ona mu na to... Cóż, lepiej nie wspominać, co odpowiedziała. Jeśli będzie miała dużo szczęścia, to może się okazać, że on już o tym zapomniał.

Poszli jednak do parku Richmond. Tym razem jechali zamkniętym powozem, Joseph i Lizzie obok siebie, a panna Martin naprzeciwko. Lizzie w ogóle się nie odzywała, kurczowo wczepiona w jego ramię, drugą ręką poklepywała co jakiś czas jego dłoń albo kolano. Widział, że jest zarazem podekscytowana i niepewna.

- Lizzie jeszcze nigdy nie wypuściła się tak daleko od domu - wytlumaczył pannie Martin. - Jej matka uważała, że lepiej dla niej, by przebywała w znajomym otoczeniu, gdzie czuje się bezpiecznie.

Panna Martin skinęła głową, wpatrzona w jego córkę.

- Wszyscy tak postępujemy - stwierdziła. - Choć dla większości ludzi znajome otoczenie nie sprowadza się tylko do domu i ogrodu. Po czucie bezpieczeństwa to dobra rzecz. Ale warto też od czasu do czasu zapuścić się w nieznaną. Jak inaczej moglibyśmy dorosnąć, zdobyć wiedzę, doświadczenie i mądrość? A nieznaną niekoniecznie musi oznaczać niebezpieczeństwo.

Ścisnął mocniej rękę Lizzie, a ona przytuliła głowę do jego ramienia.

Kiedy dojechali na miejsce, wziął ją za rękę i poprowadził do parku. Służący, który z nimi przyjechał, rozłożył duży koc na trawie w cieniu starego dębu i przyniósł z powozu koszyk z jedzeniem.

- Siadamy? - zaproponował Joseph. - Ktoś ma ochotę najedzenie? Czy może później?

Lizzie puściła jego rękę, uklękła na kocu i badała go dotykiem. Wciąż nic nie mówiła. A jednak Joseph miał pewność, że o tej wyprawie będzie opowiadała całymi dniami. Jeszcze nigdy nie zabrał jej na piknik. Pozwolił, żeby to Sonia dyktowała zasady i sam nieświadomie nadal ich przestrzegał jego ukochane niewidome dziecko musi być bezpieczne za wszelką cenę. Ale czemu nigdy nie wpadł na to, żeby zrobić jej taką przyjemność?

- Och, poczekajmy jeszcze zjedzeniem - powiedziała panna Martin.

Może najpierw zrobimy sobie mały spacer? Trochę ruchu każdemu wyjdzie na dobre. Dziś jest piękna pogoda i w parku jest tak prześlicznie.

Joseph zmarszczył brwi. Lizzie zwróciła ku niemu przerażoną twarzą, ściskając koc obiema rękami.

- Ale ja nic wiem, gdzie jesteśmy - odezwała się żałośnie. - Nie będę wiedziała, dokąd mam iść. Papo? - Podniosła jedną rączkę i chwyciła nią powietrze.

- Tutaj jestem. - Nachylił się i wziął ją znowu za rękę. Panna Martin stała bez ruchu, sztywno wyprostowana, z dłońmi ciasno splecionymi przed sobą. Przez jeden absurdalny moment był na nią zły za tę propozycję. - Spacer to bardzo dobry pomysł - rzekł wreszcie. - Jeśli nie mamy zamiaru skorzystać z tego, że jesteśmy w takim wielkim parku, to równie dobrze mogliśmy zostać w ogrodzie. Przejdziemy się tylko kawałek, skarbie. Weźmiesz mnie pod ramię, o tak, i będziesz sobie szła całkiem bezpiecznie.

Mówiąc to podniósł ją na nogi. Taka była drobna i chudziutka. Pewnie zbyt drobna, jak na swój wiek.

Ruszyli naprzód powoli i niepewnie, Lizzie u jego boku, bardzo spięta. Mógł niemal czytać w myślach panny Martin, gdy tak szła obok nich. Jakim cudem to dziecko poradzi sobie w szkole?

No właśnie, jak? Zawraca tylko głowę pannie Martin. Lecz ona w tej właśnie chwili zwróciła się do Lizzie zdecydowanym, ale zarazem życzliwym głosem:

- Idziemy teraz długą, prostą alejką, porośniętą gładką trawą, z wielkimi, starymi drzewami po bokach. Nie masz przed sobą żadnych przeszkód. Możesz pewnie iść i nie bać się, że się z czymś zderzysz albo że wpadniesz w jakąś dziurę, zwłaszcza że tata mocno cię trzyma. A jeśli wzięłabyś też mnie za rękę, to myślę, że moglibyśmy iść dość szybko, a może nawet kawałek przebiec. Co ty na to?

Joseph spojrział na nią ponad głową córeczki. Na jego ustach pojawił się uśmiech. Widać, że ta kobieta umie sobie radzić z dziećmi. Ale Lizzie podniosła bladą, wystraszoną twarzyczkę.

- Mama mówiła, że nie wolno mi się oddalać od domu i ogrodu, i że mam chodzić powoli - powiedziała. - A panna Edwards...

Ale urwała w pół zdania i zanim Joseph zdążył się odezwać, uśmiechnęła się szerokim uśmiechem. Stanowczo zbyt rzadko widywał u niej taką minę - psotną, niemal łobuzerską.

- Ale panny Edwards już nie ma. Papa odesłał ją dziś rano i zapłacił jej za następne sześć miesięcy.

- Twoja mama była bardzo mądrą kobietą - rzekła panna Martin. - Rzeczywiście nie powinnaś oddalać się od domu i ogrodu, chyba że jesteś z kimś, komu możesz ufać. I zawsze powinnaś chodzić ostrożnie, kiedy jesteś sama. Ale dzisiaj jest z tobą twój papa, któremu przecież ufasz bardziej niż komukolwiek na świecie, wobec tego nie jesteś sama. Trzymaj się mocno papy i złap mnie za rękę, a my będziemy uważać za ciebie, żeby nie stała ci się żadna krzywda. Twój papa chyba ma do mnie zaufanie.

- Pewnie, że tak. - Uśmiechnął się do niej ponad głową Lizzie.

- Spróbujemy? - spytała.

Lizzie wyciągnęła do niej rączkę, a panna Martin przełożyła ją sobie przez ramię. Ruszyli przed siebie w umiarkowanym tempie, ale po chwili Joseph zorientował się, że panna Martin lekko przyspiesza kroku. Uśmiechnął się pod nosem i zaczął iść jeszcze szybciej. Lizzie, wciąż trzymając się ich kurczowo, roześmiała się, a potem zanosła głośnym śmiechem.

- My naprawdę idziemy! - zawołała.

Coś zaczęło go nagle dusić w gardle.

- Jasne, że idziemy - powiedział. - Może teraz pobiegniemy?

Przebiegli niewielki kawałek, zwolnili kroku, a wreszcie stanęli. Teraz już śmiali się wszyscy troje, a Lizzie sapała, zdyszana.

Znowu ponad jej głową napotkał spojrzenie panny Martin. Zarusmieniła się, a oczy jej błyszczały. Wyblakła bawełniana sukienka, którą miała na sobie, była pognieciona, a rondo słomkowego kapelusza - tego samego, który nosiła na garden party - już dawno straciło kształt. Jeden kosmyk włosów wymknął się z jej fryzury i opadł na ramiona. Jej twarz lśniła od wilgoci.

Niespodziewanie wydała mu się tak ładna, jak nigdy dotąd.

- Och, posłuchajcie tylko! - pisnęła nagle Lizzie, zastygając bez ruchu, pochylona do przodu. - Posłuchajcie, jak ptaszki śpiewają.

Wysłuchali się uważnie i rzeczywiście, w gałęziach drzew musiał się schować cały ptasi chór; mali muzycy wyśpiewywali na całe gardziółka. Łatwo je przegapić, gdy oczy i umysł zajęte są czymś innym.

Panna Martin poruszyła się pierwsza. Puściła rączkę Lizzie i stanęła przed nią.

- Lizzie - rzekła. - Podnieś buzię do słońca. Poczekaaj, odsunę ci do tyłu kapelusik, żebyś poczuła, jak to miło, kiedy promienie słońca muskają powieki i policzki. Oddychaj ciepłem słońca i słuchaj śpiewu ptaków.

- Ale mama mówiła... - zaczęła Lizzie.

- I miała całkowitą rację - odpowiedziała panna Martin, odginając rondo kapelusika i odsłaniając bladą, szczupłą buzię dziewczynki i jej niewidzące oczy. - Żadna dama nie wystawia twarzy na słońce przez długi czas, żeby się nie opalić i nie zniszczyć sobie cery. Ale kilka minut na pewno nie zaszkodzi. Ciepły dotyk słońca na twarzy znakomicie poprawia humor.

Ach, czemu on nigdy na to nie wpadł?

Rozgrzeszona w ten sposób Lizzie przechyliła główkę do tyłu, tak że światło i ciepło słońca zalały całą jej buzię. Aż otworzyła usta ze zdumienia i za chwilę całkiem puściła rękę Josepha, podnosząc obie dłonie do słońca.

- Och - westchnęła przeciągle, a Joseph znowu poczuł ucisk w gardle.

Stała tak przez dłuższą chwilę, dopóki w nagłym przypiływie lęku nie zaczęła chwytać ręką powietrza.

- Papo?

- Jestem tu, kochanie - odpowiedział, ale nie wziął jej za rękę. - Nigdzie nie idę. Panna Martin też nie.

- Słońce jest naprawdę miłe - uznała. Z rękami wciąż w górze, zaczęła się powoli obracać, aż stanęła prawie w punkcie wyjścia. Pewnie kierowała się promieniami słońca.

Roześmiała się z prawdziwie dziecięcą beztróską.

- Może wrócimy teraz na koc i coś przekąsimy - zaproponowała panna Martin. - Nie wolno przesadzać z wysiłkiem, a poza tym ja już jestem głodna.

Odwrócili się wszyscy troje i znowu wzięli pod ręce, ruszając w kierunku, z którego przyszli. Ale okazało się, że nie tylko Lizzie kipi emocjami.

- Chodzenie i bieganie, to każdy potrafi - powiedział Joseph. - Proponuję, żebyśmy przez resztę drogi do koca podskakiwali.

- Podskakiwali? - zdziwiła się Lizzie, a panna Martin uniosła brwi.

- Skacze się najpierw na jednej, a potem na drugiej nodze, i cały czas do przodu - objaśnił. - O, tak.

I puścił się w podskoki, niby przerośnięty uczeń, ciągnąc je za sobą, aż wreszcie panna Martin roześmiała się i też zaczęła skakać. Po kilku nieudanych próbach Lizzie dołączyła do nich i cała trójka w podskokach posuwała się wzdłuż alei, śmiejąc się i pokrzykując z radości - jednym słowem, robiąc z siebie prawdziwe widowisko. Całe szczęście, że w tej

części parku nie było zbyt wielu spacerowiczów, a ci nieliczni znajdowali się na tyle daleko, że nie zwracali na nich uwagi. Gdyby ktoś ze znajomych teraz go zobaczył, jak skacze w parku razem z niewidomą córką i dyrektorką szkoły dla panienek, mocno by się ubawił.

Niewątpliwie uczennice panny Martin też uznałyby ten widok za ciekawy.

Ale beztraska uciecha Lizzie warta była każdej ceny - nawet utraty odrobiny godności.

Kiedy dotarli wreszcie na koc, panna Martin pomogła Lizzie ściągnąć sweterek i zaproponowała, żeby zdjęła też kapelusik. Sama także odłożyła na trawę swój kapelusz, podobnie jak Joseph. Przygładziła rozwichrzony włosy, ale niewiele była w stanie zrobić bez szczotki i lustra. Mimo to jemu nadal wydawała się wyjątkowo ładna.

Zjedli podwieczorek z wielkim apetytem, połykając świeże bułeczki z serem, ciastka z rodzynekami i rumiane jabłka. Popili to wszystko lemoniadą, która, choć niestety ciepła, przynajmniej dobrze gasiła pragnienie.

Przez cały ten czas gawędzili to o tym, to o owym, póki Lizzie nie ucichła na dobre. Leżała skulona przy boku Josepha, a kiedy na nią spojrział, zobaczył, że zasnęła. Położył sobie jej głowę na kolanach i odgarnął z czoła lekko spocone włosy.

- Panno Martin - powiedział. - Wydaje mi się, że podarowała pani Lizzie jeden z najszcześniejszych dni jej życia. Być może najszcześniejszy ze wszystkich.

- Ja? - Położyła dłoń na piersi. - A cóż ja takiego zrobiłam?

- Pozwoliła jej pani być dzieckiem. Biegać, skakać, patrzeć w słońce, krzyczeć i śmiać się.

Popatrzyła mu w oczy, ale nic nie odpowiedziała.

- Pokochałem ją - mówił dalej - od pierwszej chwili, jakieś dziesięć minut po jej narodzinach. Chyba nawet pokochałem ją jeszcze mocniej tylko dlatego, że nie widzi. Wszystko, co robię, czy jem, czy śpię, czy oddycham, robię z myślą o niej i chętnie oddałbym za nią życie, gdyby to coś mogło zmienić. Zawsze troszczyłem się o to, żeby czuła się przy mnie bezpieczna, ale nigdy...

Głos odmówił mu posłuszeństwa. Wciągnął powietrze i spojrzął na swoje dziecko - które już prawie nie było dzieckiem. I w tym tkwił cały problem.

- Myślę, że rodzicielstwo nie zawsze jest usłane różami - powiedziała panna Martin. - Miłość czasem boli. W jakiejś mierze przeżywam to samo w stosunku do niektórych z moich uczennic. Są poranione przez życie, a ja bym tak bardzo chciała, żeby ułożyło im się jak najlepiej. Niestety, cudów nie zdziałam. Lizzie będzie niewidoma do końca życia, lordzie Attingsborough. Ale może w nim znaleźć radość i szczęście, jeśli zechce i jeśli jej bliscy na to pozwolą.

- Weźmie ją pani? - zapytał, przełykając pomimo ściśniętego gardła.

- Nie mam pojęcia, co innego mógłbym dla niej zrobić. Czy szkoła jej jakoś pomoże?

Nie odpowiedziała od razu. Widać było, że zastanawia się głęboko.

- Nie wiem - odparła w końcu. - Niech mi pan da jeszcze trochę czasu.

- Dziękuję. Dziękuję, że nie odmówiła pani od razu. I dziękuję też, że nie zgodziła się pani bez przemyślenia całej sprawy. Wolę już raczej, żeby w ogóle nie poszła do szkoły, gdyby miało jej to nie posłużyć. Jakoś się o nią zatroszczę, tak czy inaczej.

Popatrzył znowu na córkę, nie przestając głaskać jej po głowie. Myśl, że gotów byłby za nią umrzeć, wydała mu się teraz śmiesznie sentymentalna. Bo nic by to nie dało. Ale nie mógł też żyć za nią, uświadomił sobie, opanowany nagłym poczuciem bezsilności.

A jednak obecność panny Martin w dziwny sposób podnosiła go na duchu - mimo że ona sama wciąż nie wiedziała, czy będzie mogła zaproponować Lizzie miejsce w swojej szkole. Ale za to pokazała jego córce - i przy okazji jemu! - że stojąc w słońcu, potrafi się obrócić dookoła i nie potrzebuje przy tym nikogo trzymać za rękę.

- Często się zastanawiałem - odezwał się, nie podnosząc wzroku - co by było, gdyby Lizzie widziała. Sonia znalazłaby sobie nowych adoratorów, a ja prawdopodobnie żyłbym tak jak wcześniej, łożąc na utrzymanie córki, której prawie bym nie widywał, i byłbym przekonany, że spełniam wobec niej swój obowiązek. Może ożeniłbym się z Barbarą i nigdy nie doświadczyłbym tej ogromnej miłości, która przepęnia serce ojca do pierworodnego dziecka. Jakże ubogie miałbym życie! Ślepotą Lizzie dla niej być może jest przekleństwem, ale dla mnie okazała się stukrotnym błogosławieństwem. Jakże to dziwne! Do dzisiaj nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Ślepotą wcale nie musi być dla Lizzie przekleństwem - odparła panna Martin. - Wszyscy dźwigamy jakieś krzyże, lordzie Attingsborough. A to, w jaki sposób je niesiemy, dowodzi naszej siły ducha... albo słabości. Pan podjął swoje brzemie i dzięki niemu stał się lepszym czło-
wiekiem, a pana życie jest pełniejsze. Lizzie musi unieść swój ciężar sama

i przetrwać go lub nie.

- Ach - westchnął ciężko. - Właśnie to „lub nie” łamie mi serce.

Kiedy podniósł na nią oczy, uśmiechnęła się do niego. Przyszło mu do głowy, że określenie „ładna” nie oddaje całej prawdy. Właściwie, wcale nie powinno się jej nazywać ładną. Ładne bywały frywolne podlotki.

- Słowo daję, panno Martin - rzekł. - Jest pani najcudowniejszą kobietą, jaką w życiu poznałem.

Głupie i nieprawdziwe słowa - a jednak najprawdziwsze, jakie kiedykolwiek wygłosił.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Patrzyła na niego w milczeniu, póki nie opuścił znowu wzroku. Miał nadzieję, że nie sprawił jej przykrości, że nie uważa go za bawidamka prawiącego próżne komplementy. Ale nie miał pojęcia, jak mógłby cofnąć te słowa, żeby jeszcze nie pogorszyć sytuacji. Prawdę mówiąc, sam nie wiedział, o co mu chodziło. Przecież ona wcale nie była cudowna. Ani trochę. A jednak...

Dobry Boże, czyżby zadrurył się w pannie Claudii Martin? To by była katastrofa. Oczywiście, że się w niej nie zadrurył. Po prostu okazała Lizzie dobroć, to naturalne, że ją za to troszkę pokochał. Tak samo, jak kochał Smartów z podobnego powodu.

- Co się stało z psem? - zapytał.

- Znalazł dom - przynajmniej na razie - odparła. - I troskliwą opiekę. Ale skoro już pan o nim wspomniał, *coś* mi przyszło do głowy. Mogę go przyprowadzić do Lizzie?

Lizzie właśnie się przebudziła; uniosł więc tylko brwi, nachylił się i pocałował ją w czoło. Z uśmiechem wyciągnęła rączkę i pogładziła go po twarzy.

- Papa - powiedziała sennym, zadowolonym głosikiem.

- Pora wracać do domu, skarbie.

- Tak szybko? - zdziwiła się, ale nie miała smutnej miny.

- Panna Martin przyjdzie cię jeszcze odwiedzić, jeśli będziesz chciała - obiecał jej. - I przyprowadzi ze sobą małego pieska.

- Pieska? - Ożywiła się. - Parę dni temu spotkaliśmy jednego na ulicy. Pamiętasz, papo? Bałam się, bo szczeakał, ale jego pan pozwolił mi go pogłaskać i ten pies tak śmiesznie na mnie sapał. Ale mama mówiła, że nie możemy mieć pieska. A w moich bajkach zawsze jest pies.

- Naprawdę? W takim razie ten pies koniecznie musi przyjść do ciebie z wizytą - stwierdził. - Zaprosimy razem z nim też pannę Martin?

Roześmiała się; dawno nie widział u niej takich rumieńców.

- Przyjdzie pani, panno Martin? - spytała. - I przyprowadzi swojego pieska? Proszę! Strasznie bym chciała.

- No, dobrze - odparła panna Martin. - Ale uprzedzam, że okropny z niego pieszczoch. Pewnie będzie chciał cię lizać po twarzy.

Lizzie uradowana wybuchnęła śmiechem.

Niestety, to przeziębienie popołudnie szybko dobiega końca, pomyślał Joseph. Nie powinni dłużej marudzić. Oboje z panną Martin musieli się przygotować do wieczornej wyprawy do ogrodów Vauxhall, a on przedtem miał jeszcze przed sobą proszony obiad.

Szkoda, że już po pikniku. Zawsze mu było przykro rozstawać się z Lizzie, ale dzisiaj wyjątkowo. Czuł się jak z rodziną.

Zachmurzył się na tę dziwną, niespodziewaną myśl. Lizzie zawsze będzie jego najukochańszym dzieckiem, ale nigdy nie stanie się częścią jego rodziny. A co do panny Martin, to cóż...

- Pora iść - oznajmił, podnosząc się z koca.

10

Kiedy Joseph dotarł na ów obiad, na który zaprosiła go lady Balderston, dość szybko zorientował się, że innych gości poza nim nie będzie; Balderstonowie, ich córka i on mieli zjeść posiłek *en famille*. I jakby to nie wystarczało, żeby podkreślić jego nowy status prawie narzeczonego panny Hunt, słowa lady Balderston nie pozostawiały żadnej wątpliwości, kiedy już zasiedli do stołu.

- To doprawdy bardzo uprzejme ze strony hrabiny Ravensberg, że zaprosiła Portię na lato do Alvesley Park na obchody rocznicy Redfieldów - napomknęła mimochodem, kiedy służący zabierali talerze po zupie i wnosili kolejne danie.

Ach tak. Czterdziestą rocznicę małżeństwa hrabiego i hrabiny miano świętować w gronie najbliższej rodziny. Czyżby panna Hunt już należała do rodziny?

- Jeszcze nie mówiłam lordowi Attingsborough o tym zaproszeniu, mamu - wtrąciła Portia. - Ale tak, zgadza się. Lady Sutton była tak miła, że zabrała mnie ze sobą, idąc dziś po południu z wizytą do lady Ravensberg, a kiedy tam gościliśmy, powiedziała kuzynce, że nie mam żadnych planów na lato i że pewnie pojedę do domu z mamą i papą. I wtedy właśnie lady Ravensberg zaprosiła mnie do Alvesley. Bardzo to miłe.

- No proszę. -Joseph uśmiechnął się do obu dam. - Tak się składa, że ja też się tam wybieram.

- Oczywiście, że tak- powiedziała panna Hunt. - Dobrze wiem, inaczej wcale nie zostałabym zaproszona. Nie miałyby to żadnego sensu.

I nie miało też sensu dłuższe odwołanie oświadczeń, pomyślał Joseph. Najwyraźniej i tak miały być tylko formalnością. Balderstonowie i panna Hunt ewidentnie tak uważali. Podobnie jak jego siostra - która nawiasem mówiąc, nie powinna była mieszać się w nie swoje sprawy.

On po prostu wolałby, żeby zaloty toczyły się w nieco wolniejszym tempie.

Balderston już zdążył zaatakować swój kawałek pieczonej kaczki i nie widział świata poza zawartością talerza. Joseph zerknął na niego, ale uznał, że nie jest to jednak najlepszy moment. Nie, będzie się musiał umówić na rozmowę ze swoim przyszłym teściem innym razem. Wtedy oficjalnie poprosi go o rękę panny Hunt i sprawa będzie załatwiona. Jego dalsza droga życiowa -jego i panny Hunt - zostanie ostatecznie wytyczona.

To prawda, że nie miał wiele czasu na zaloty, ale postanowił w pełni go wykorzystać. Przez pozostałą część obiadu, a potem w drodze do ogrodów Vauxhall, gdzie umówili się z Lauren, Kitem i resztą towarzystwa, całą uwagę poświęcał swojej przyszłej żonie, odkrywając po raz kolejny, jaka jest piękna, elegancka i dobrze wychowana - słowem, doskonała w każdym calu.

Spróbuje się w niej zakochać, jeśli to tylko możliwe, postanowił, kiedy jechali powozem. Nie miał zamiaru żenić się bez miłości tylko dlatego, że jego ojciec tego od niego oczekiwał albo że wymagały tego okoliczności.

- Wygląda pani dziś wyjątkowo pięknie - odezwał się do niej, dotykając grzbietu jej dłoni i muskając koniuszkami palców jej delikatną, gładką skórę. - Bardzo pani do twarzy w różowym.

- Dziękuję. - Spojrzała na niego z uśmiechem.
- Wie pani chyba, że przed dwoma tygodniami pani ojciec odwiedził w Bath swojego ojca?

- Tak, oczywiście - odparła.
- I zna pani powód tej wizyty?
- Naturalnie.

Ciągle na niego patrzyła. I nadal się uśmiechała.

- I nie martwi to pani? - zapytał. - Nie czuje się pani do niczego zmuszana?

- Oczywiście, że nie.

- I nie widzi w tym pani zbytniego pośpiechu?

- Nie.

Musiał się upewnić. W porządku, on potrzebował żony, a ona była najstosowniejszą kandydatką. Ale do małżeństwa trzeba dwojga. Nie miał zamiaru brać jej za żonę pod przymusem, jeśli sama tego nie chciała.

- Bardzo mnie to cieszy - powiedział.

Postanowił, że nie oświadczy jej się teraz, choć okoliczności były sprzyjające -jeszcze nie porozmawiał z jej ojcem, a odnosił wrażenie, że dla niej to może mieć znaczenie. Ale chyba można powiedzieć, że zrobili już kolejny krok w kierunku oficjalnych zaręczyn.

Naprawdę do twarzy jej było w różowym; ten kolor podkreślał wdzięczny rumieniec na policzkach i lśniąca, złotą barwę włosów. Pochylił się, żeby ją pocałować, ale ona odwróciła głowę, tak że zamiast dotknąć wargami jej ust, musnął tylko policzek. Odsunęła się w głąb powozu. Co dziwne, nie przestawała się uśmiechać.

- Czyżbym panią uraził? - zapytał po chwili.

Może uważała, że pocałunki przystoją dopiero narzeczonemu.

- Nie uraził mnie pan, lordzie Attingsborough - wyjaśniła. - Ale to był zupełnie niepotrzebny gest.

- Niepotrzebny? - Zdumiony, unióś brwi, wyężając oczy w zapadającym zmierzchu, żeby dojrzeć jej idealny profil.

Koła powozu zadudniły na moście nad Tamizą. Niedługo będą na miejscu.

- Nie wymagam od pana takich bzdur, jak pocałunki - oznajmiła.

- Nie jestem głupią gąską.

Faktycznie.

- Więc pocałunki to bzdury? - zapytał rozbawiony i znowu pochylił się ku niej, licząc przynajmniej na uśmiech. Może po prostu była speszo-
na tym, że chciał ją pocałować.

- Zawsze - odparła.

- Nawet między kochankami? - zdziwił się. - Albo mężem i żoną?

- Uważam, lordzie Attingsborough, że osoby dobrze wychowane nie powinny sobie zawracać głowy czymś tak prymitywnym. Pocałunki i romanse to dobre dla plebsu, który nie ma pojęcia o tym, w jaki sposób mądrze i roztropnie wybierać sobie życiowego partnera.

Co u diaska?! Boże drogi!

To już wcale nie było zabawne.

Nagle uświadomił sobie, że przez wszystkie lata znajomości z panną Hunt nie doświadczył z jej strony ani jednej próby nawet najbardziej niewinnego flirtu - żadnych zalotnych spojrzeń, ukradkowych muśnięć dłonią, skradzionych pocałunków - słowem, żadnych gestów, jakie wymieniają między sobą dwie osoby, które czują do siebie pociąg. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, czy kiedyś razem się śmiali. W całej ich znajomości nie było najmniejszego śladu romansu.

Ale to się przecież zmieni.

Tylko czy aby na pewno?

- Nie będzie pani zatem pragnęła moich pocałunków? - upewnił się.
- Nigdy?

- Na pewno nie będę się uchylać od moich obowiązków, lordzie Attingsborough - odparła.

Uchylać od...? Powóz właśnie się zatrzymał.

- Czy jest pani pewna, że naprawdę chce tego małżeństwa, panno Hunt? - zapytał. - Jeśli nie, to proszę mi o tym powiedzieć zawczasu. Nie będę miał do pani żalu i dołożę wszelkich starań, żeby nie spotkał pani żaden despekt, kiedy nie dojdzie do zaręczyn.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Doskonale do siebie pasujemy- powiedziała. - I oboje dobrze o tym wiemy. Jesteśmy z tej samej sfery, rozumiemy zasady, którymi rządzi się so-
cjeta, i znamy jej oczekiwania. Żadne z nas nie jest już pierwszej młodości. Jeśli uważa pan, że musi się do mnie zalecać, to jest pan w błędzie.

Joseph miał wrażenie, że łuski opadły mu z oczu. Jak to możliwe, że znał ją już tak długo, ale nigdy przedtem nie podejrzewał, że jest taka

oziębła? Z drugiej strony, jak miał się tego domyślić? Do tej pory nigdy nie próbował się do niej zalecać ani z nią flirtować. Nie, na pewno tak mu się tylko wydaje. Na pewno przemawia przez nią niewinność i brak doświadczenia. Kiedy już będą po ślubie...

John zapukał do drzwi powozu, otworzył je i opuścił stopnie. Joseph wyskoczył na zewnątrz, choć czuł się tak, jakby serce zawędrowało mu w okolice żołądka. Jakie będzie jego małżeństwo? Bez odrobiny miłości i ciepła? Nie mógł w to uwierzyć. W końcu on też na razie nie czuł do niej nic szczególnego, ale zamierzał nad tym popracować. Ona na pewno zrobi to samo. Przecież przed chwilą powiedziała, że nie będzie się uchylać od obowiązków.

- Wejdźmy do środka. - Podał jej ramię. - Ciekawe, czy pozostali już są na miejscu.

Wzięła go pod rękę z uśmiechem i uprzejmie skinęła głową innej parze, wysiadającej właśnie z sąsiedniego powozu.

Jak mógł nigdy nie zauważyć, że kiedy się uśmiecha, jej oczy pozostają obojętne? A może tylko tak mu się zdaje? Ten niby-pocałunek naprawdę wytrącił go z równowagi, choć jej wyraźnie wcale nie wzruszył.

Poprzedniego dnia rano Peter spotkał księcia McLeitha w klubie White'sa i zaprosił go na obiad, żeby Claudia miała towarzystwo podczas wyprawy do Vauxhall.

Już się pogodziła z myślą o tym, że znowu go zobaczy. Była go nawet trochę ciekawa. Na ile się zmienił? Na ile pozostał jej dawnym Charliem, którego uwielbiała, jeszcze zanim się w nim zakochała?

Miała na sobie granatową wieczorową suknię, która służyła jej nieodmiennie na różne szkolne uroczystości. Zawsze bardzo ją lubiła, choć może nie była to moda z najwyższej półki - ani nawet z niższej, pomyślała sarkastycznie, czekając, aż Maria ją uczesze.

Odsunęła od siebie wspomnienia popołudniowej wycieczki do parku. Jutro się zastanowi, czy przyjąć Lizzie do szkoły - a nie będzie to łatwa decyzja. A już w ogóle nie będzie myślała o tych zaskakujących słowach lorda Attingsborough. „Słowo daję, panno Martin, jest pani najcudowniejszą kobietą, jaką w życiu poznałem”.

Było w nich tyle przesady, że aż czuła się lekko speszona. On na pewno nie miał nic szczególnego na myśli. Ale to uroczy komplement, który

stanowił zwieńczenie przemiłego popołudnia, i wiedziała, że zapamięta go do końca życia.

Charlie okazał się sympatycznym towarzyszem przy stole. Opowiadał o swoich szkockich posiadłościach i o podróżach w górskie rejony. Mówił o swoim synu. Raczył Susannę, Petera i ją anegdotkami z ich wspólnego dzieciństwa, z których większość była zabawna, a wszystkie bez wyjątku prawdziwe.

Później, kiedy wysiadali z powozu pod bramą ogrodów, podał Claudii ramię i tym razem przyjęła je bez protestu. Przez lata tłumiła w sobie wspomnienia o Charliem i o wszystkim, co się z nim łączyło. Może wreszcie przyjdzie czas, że będzie potrafiła oddzielić miłosny zawód młodej dziewczyny od radości dzieciństwa - i wyrzucić z serca gorycz. Bo nie pozostało jej po nim nic oprócz goryczy. Ból zniknął już dawno temu.

- Claudio - odezwał się, kiedy wchodzili do środka za Susanną i Peterem. - Naprawdę bardzo miło się to wszystko złożyło. Nie umiem ci powiedzieć, jak się cieszę, że znowu się spotkaliśmy. Tym razem musimy się postarać, żeby nie stracić ze sobą kontaktu.

Ciekawe, pomyślała Claudia, czy ich miłość przetrwałaby całe życie, gdyby Charlie studiował prawo, a potem się z nią ożenił, tak jak planowali? Czy pozostaliby przyjaciółmi? Oczywiście, nie można poznać odpowiedzi na te pytania. Tak wiele spraw ułożyłoby się inaczej. Właściwie, wszystko byłoby inaczej. Oni byłiby inni. Kto wie, czy tamto inne życie byłoby lepsze, czy gorsze od tego, które przeżyła?

Ale w tej chwili przekroczyli bramę ogrodów i wszystkie inne myśli uleciały jej z głowy.

- Och, Charlie, spójrz! - wykrzyknęła w zachwycie.

Długa, prosta aleja, która rozciągała się przed nimi, obrzeżona była drzewami, a na nich wisiały kolorowe lampiony, tworzące magiczną atmosferę, mimo że jeszcze nie zrobiło się całkiem ciemno. Alejki wypełnione były elegancko ubranymi ludźmi.

- Pięknie tu, prawda? - Uśmiechnął się do niej. - Podoba mi się, że mówisz do mnie tak jak kiedyś. Odkąd skończyłem osiemnaście lat, dla wszystkich byłem Charlesem albo po prostu McLeithem. Powiedz tak do mnie jeszcze raz.

Przykrył dłonią jej rękę i uścisnął ją lekko.

Ale Claudia zignorowała jego prośbę. Wszyscy wokół wydawali się w świetnym nastroju, więc i ona się uśmiechnęła. Zaraz też dotarli do skweru w kształcie podkowy, wyłożonego kamiennymi płytami i otoczonego kolumnami. Łoże z miejscami do siedzenia piętrzyły się półkolem, oświetlone latarniami z zewnątrz, a lampami w środku. Prawie wszystkie były już pełne, a w środkowej ulokowała się orkiestra.

Zjednej z niższych łóż machała do nich lady Ravensberg.

- Peter, Susanno, panno Martin! - zawołała, kiedy podeszli bliżej. - O, jest też książę McLeith. Chodźcie tutaj. Czekaliśmy już tylko na was. Teraz jesteście w komplecie.

Resztę towarzystwa, do którego dołączyła ich czwórka, stanowili wicehrabia z żoną, książę i księżna Portfreyowie, hrabia i hrabina Suttonowie, markiz Attingsborough, panna Hunt, a wreszcie hrabia i hrabina Kilbourne'owie.

Claudię nieodmiennie bawiło, że obraca się w towarzystwie tak wysoko urodzonych osób. Ale zamierzała spędzić tu przemiły wieczór. Już niedługo przecież wraca do szkoły, gdzie nie będzie wielkich szans na podobne przeżycia.

Bo naprawdę było to nadzwyczajne przeżycie!

Towarzystwo w większej części odnosiło się do niej z sympatią. Choć i Suttonowie praktycznie ją ignorowali, a panna Hunt siedziała w drugim końcu łoża i z rzadka tylko zaszczycała Claudię spojrzeniem, wszyscy pozostali byli aż nadto uprzejmi. Rozmawiała z nią słodka, śliczna hrabina Kilbourne i elegancka, dystygowana księżna Portfrey, a potem też wicehrabia Ravensberg i jego żona. No i oczywiście Peter, Susanna i Charlie.

Zresztą na konwersacji nie kończyły się przyjemności wieczoru.

Podano kolację, w tym cienkie plastry szynki przekładane truskawkami, z których słyneło Vauxhall. Oraz wino. Można było obserwować innych ludzi, którzy przechadzali się główną alejką i przystawali, mijając poszczególne łoże, żeby porozmawiać ze znajomymi. Grała muzyka.

No i trwały tańce. Claudia też wyszła na parkiet, chociaż nie tańczyła już od dawna. Kto by się mógł oprzeć pokusie zatańczenia pod gołym niebem, wśród kołyszących się na drzewach lampionów, w blasku gwiazd i księżycy? Najpierw poprosił ją do tańca Charlie, potem hrabia Kilbourne i książę Portfrey.

Kiedy Eleanor o tym usłyszy, będzie się z niej wyśmiewać bez litości.

I jakby muzyka i tańce nie wystarczały do szczęścia, na później zapowiedziano sztuczne ognie.

Czekając na pokaz, lady Ravensberg zaproponowała spacer; wszyscy zgodzili się skwapliwie. Podobierali się w pary - hrabia Kilbourne wziął pod rękę swoją kuzynkę, lady Sutton, wicehrabia Ravensberg podszedł do hrabiny Kilbourne, Peter podał ramię księżnej Portfrey, księżę - Susannie, a hrabia Sutton - lady Ravensberg.

- Ach - odezwał się Charlie. - Widzę, że wszyscy zmienili partnerek. Panno Hunt, czy zaszczyci mnie pani swoim towarzystwem?

Z uśmiechem wzięła go pod ramię.

Markiz Attingsborough kończył właśnie rozmowę z dwojgiem znajomych, którzy zatrzymali się obok ich łoża.

- Idźcie, idźcie. - Machnął ręką. - Panna Martin i ja zaraz do was dołączymy.

Claudia czuła się trochę skrępowana. Nic miał wyboru, musiał iść z nią. A jednak w głębi duszy musiała przyznać, że do pełnego zadowolenia brakowało jej, że dotychczas nie udało jej się z nim zatańczyć ani porozmawiać. Czuła się tak, jakby od popołudniowego pikniku minęło już co najmniej parę dni.

„Słowo daję, panno Martin, jest pani najcudowniejszą kobietą, jaką w życiu poznałem”. Powiedział jej to zaledwie kilka godzin temu. No i oczywiście, im bardziej starała się zapomnieć, tym lepiej pamiętała.

A on właśnie z uśmiechem podał jej ramię.

- Przepraszam, że musiała pani czekać - powiedział. - Chce pani dogonić resztę? Czy może przespacerujemy się powoli, a pani w tym czasie powie mi, co tak naprawdę sądzi o Vauxhall?

Przecięli główną alejkę i skręcili w jedną z bocznych ścieżek, aż dotarli do kolejnej alejki, równoległej do głównej drogi i wprost zachwycająco pięknej. Lampiony wisały tu nie tylko na gałęziach drzew, ale też zdobiły kamienne mostki, wznoszące się nad głową.

- Pewnie spodziewa się pan po mnie jakiejś wyjątkowo rozsądnej opinii, lordzie Attingsborough - odparła. - Domyślam się, że pana zdaniem powinnam pogardzać tak błahymi rozrywkami.

- A tak nie jest? - Spojrzał na nią roześmianymi oczami. - Nie ma pani pojęcia, jak mnie to cieszy, że nie zawsze kieruje się pani wyłącznie rozsądkiem. Na dzisiaj wieczór wystarczy mi rozsądku.

- Czasem wolę zapomnieć, że mam coś takiego jak zmysł krytyczny
- odpowiedziała. - Czasem po prostu wolę dobrze się bawić.
- I dobrze się pani dzisiaj bawi? - zapytał, prowadząc ją z dala od grupy rozbawionych spacerowiczów, którzy nie patrzyli, jak idą.
- Claudia widziała resztę ich towarzystwa dość daleko z przodu.
- Tak - odparła. - O, tak. Mam tylko nadzieję, że uda mi się wszystko dokładnie zapamiętać, żeby móc to wspominać, kiedy będę siedziała w swoim gabinecie w Bath któregoś zimowego wieczoru.
- Roześmiał się.
- Ale najpierw musi się pani nacieszyć każdą chwilą - powiedział.
- A dopiero potem wspominać.
- Och, nie ma obawy, to właśnie zamierzam zrobić - odparła.
- Z McLeithem wszystko w porządku? - zapytał.
- Zjadł dziś z nami obiad i było naprawdę miło - odrzekła. - Oповідаł o naszych wspólnych przygodach i wybrykach z dzieciństwa i dzięki temu przypominałam sobie, jak bardzo go wtedy lubiłam.
- Później zostaliście kochankami? - spytał cicho.
- Na jej twarz uderzyła fala gorąca, kiedy sobie przypominała, że dzisiaj w Hyde Parku prawie otwarcie mu to wyznała. Jak ona mogła coś takiego powiedzieć -jemu czy komukolwiek innemu?
- Na krótko - wyznała. - To było tuż przed jego wyjazdem do Szkocji. Oboje byliśmy niepokieszeni, że musi jechać i że tak wiele czasu minie, zanim do mnie wróci i będziemy mogli być razem już na zawsze. I tak...
- Tak to już w życiu bywa - stwierdził. - Ja w każdym razie, uważam że namiętność, nawet niewłaściwie ulokowana, jest lepsza od chłodnej obojętności. Zresztą pani sama powiedziała mi kiedyś coś podobnego.
- Tak - odparła. Zaraz potem on przyciągnął ją stanowczo w swoją stronę, żeby uchronić ją przed kolejną grupą rozbawionych, hałaśliwych spacerowiczów.
- Ta alejka jest niewątpliwie bardzo malownicza - powiedział.
- I oczywiście powinniśmy się jej trzymać, jeśli chcemy dogonić resztę towarzystwa. Ale czy ma pani ochotę ich doganiać, panno Martin, czy może skęcimy w którąś ze spokojniejszych ścieżek? Nie są pewnie tak pięknie oświetlone, ale dzisiaj noc nie jest taka znowu ciemna.
- Wolę jakąś spokojniejszą alejkę, jeśli można prosić.

Prawie od razu natrafili na odchodzącą w bok ścieżkę i natychmiast pochłonęły ich ciemność i cisza.

- Od razu lepiej - stwierdził.
- To prawda.

Teraz, gdy znaleźli się z dala od tłumów, szli naprzód w milczeniu. Claudia pełną piersią wdychała zapach zieleni. A poprzez odległe dźwięki muzyki i stłumione odgłosy rozmów oraz śmiechów słyszeć było...

- Niech pan posłucha - szepnęła, chwytając go za rękaw. - Słowik.

On także zasłuchał się w śpiew ptaka, stali więc przez kilka chwil w ciszy.

- Widzę, że nie tylko moja córka słyszy śpiew ptaków.
- To zasługa ciemności - odparła. - W niej dźwięki, zapachy i dotyk stają się o wiele intensywniejsze.
- Dotyk. - Zaśmiał się cicho. - Gdyby była pani zakochana, panno Martin, tak jak kiedyś, albo przynajmniej planowałaby pani wyjść za kogoś za mąż, czy wzbraniałaby się pani przed jego dotykiem? Albo pocałunkami? Czy nazwałaby je pani niepotrzebnymi bzdurami?

Claudia cieszyła się teraz, że skręcili w gorzej oświetloną alejkę. Jej policzki pewnie płonęły szkarłatem.

- Niepotrzebnymi bzdurami? - zdziwiła się. - Nic z tych rzeczy. Spodziewałabym się i pragnęła jego dotyku... i pocałunków. Zwłaszcza gdybym była zakochana.

Spojrzał w dół i Claudia zorientowała się, że ciągle trzyma go za rękaw. Zabrała więc dłoń.

- Właśnie dzisiaj wieczorem, kiedy tu jechaliśmy, próbowałem pocałować pannę Hunt - wyjął. - Nigdy dotąd nie pozwoliłem sobie względem niej na taką poufałość. Ale ona powiedziała mi tylko, żebym nie zwracał sobie głowy bzdurami.

Claudia uśmiechnęła się mimo woli.

- Może się po prostu przestraszyła albo speszyła.
- Kiedy ją o to zapytałem, udzieliła mi dość szczegółowego wyjaśnienia - odpowiedział. - Jej zdaniem pocałunki między dwojgiem ludzi, którzy pod każdym innym względem świetnie do siebie pasują, są niedo rzeczne i zbędne.

Lekki podmuch wiatru rozsunał gałęzie nad ich głowami i jego twarz oświetliły blade smugi księżycowego światła. Claudia spojrzała na niego

zaskoczona. Co też ta panna Hunt mogła mieć na myśli? Jak może sądzić, że do siebie pasują, skoro nie pragnie jego pocałunków?

- A więc czemu chce się pan z nią żenić? - spytała.

Spojrzał jej prosto w oczy, ale nic nie odpowiedział.

- Kocha ją pan? Uśmiechnął się nieznacznie.

- Lepiej, żebym już nic więcej nie mówił. I tak za wiele powiedziałem, naruszając prawo damy do dyskrecji. Co pani takiego w sobie ma, że człowiek musi pani o wszystkim opowiadać?

Teraz z kolei ona nie wiedziała, co zrobić.

Wciąż patrzył jej w oczy. Chociaż światło księżycy nie przebijało już przez gałęzie drzew, nie było zupełnie ciemno.

- A czy pani by się przestraszyła albo speszyła - zapytał - gdybym to panią spróbował pocałować?

Jedno i drugie, jak sądziła. Ale to przecież tylko czysto hipotetyczne pytanie.

- Nie - powiedziała tak cicho, że nie była pewna, czy w ogóle ją usłyszał. Odchrząknęła. - Nie.

Przecież to tylko czysto hipotetyczne pytanie.

Jednak on podniósł rękę i dotknął opuszkami palców jej policzka, z lekkim westchnieniem unosząc dłońią jej podbródek. W tym momencie Claudia zdała sobie sprawę, że może to pytanie nie było takie całkiem hipotetyczne.

Zamknęła oczy w chwili, gdy jego wargi spoczęły na jej ustach.

Odczuła prawdziwy wstrząs. Jego wargi były ciepłe i lekko rozchyłone. Czuła smak wina, które pił przedtem, i zapach jego wody kolońskiej. Czuła ciepło jego dłoni i oddechu. Pośród gałęzi drzew wciąż śpiewał słowik, a gdzieś w oddali ktoś zanosił się od śmiechu.

Tak ją to poruszyło, że chyba cudem zdołała utrzymać się na nogach. Dłonie zacisnęła mocno w pięści.

Pocałunek trwał jakieś dwadzieścia sekund - może nawet krócej.

Ale to wystarczyło, żeby cały jej świat zatrząsł się w posadach.

On podniósł głowę, opuścił rękę i odsunął się o krok do tyłu, a Claudia zdołała odzyskać panowanie nad sobą.

- No i widzi pan? - zapytała ze sztuczną wesołością w głosie. - Ani się nie bałam, ani nie wstydziałam. Czyli nie ma pan w sobie nic z natury straszego ani krępującego.

- Nie powinienem był - odezwał się. - Bardzo panią prze...

Ręka Claudii, zupełnie bez jej świadomej decyzji, powędrowała w górę. Położyła mu dwa palce na ustach - tych cudownych, ciepłych ustach, które przed chwilą ją całowały.

- Niech pan tego nie mówi - poprosiła, a jej głos nie był już taki pewny. Chyba nawet odrobinę drżał. - Bo jeśli pan będzie tego żałował, to i ja powinnam, a ja wcale nie żałuję. To mój pierwszy pocałunek od osiemnastu lat i pewnie będzie musiał mi wystarczyć do końca życia. Nie chcę go żałować, więc niech i pan tego nie robi. Bardzo pana proszę.

Przykrył jej dłoń ręką i ucałował wewnątrz dłoni, a potem przytrzymał ją przy swojej szyi. Nawet w ciemnościach widziała, że w jego oczach lśni rozbawienie.

- Ach, panno Martin - westchnął. - Ja też od trzech lat nikogo nie całowałem. Jakież z nas żalosne, pozbawione życiowych przyjemności istoty.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Właściwie - szepnęła - nie miałabym nic przeciwko temu, żeby pan to zrobił jeszcze raz.

Odnosiła dziwne wrażenie, że jej ustami przemawia ktoś inny, a prawdziwa Claudia Martin stoi z boku i przygląda się osłupiała. Czy naprawdę przed chwilą powiedziała to, co jej się wydaje, że powiedziała?

- Ja też nie miałbym nic przeciwko temu. - Spojrzał przeciągle w jej oczy, po czym wypuścił dłoń. Jedną ręką objął ją za ramiona, a drugą przygarnął w tali. Claudia, nie wiedząc, co zrobić z rękami, otoczyła go ramionami. I podniosła ku niemu twarz.

Był rosty, umięśniony i bardzo, bardzo męski. Przez chwilę poczuła się naprawdę przerażona. Śmiertelnie. Zwłaszcza że on nagle przestał się uśmiechać. Lecz zaraz zapomniała o strachu - i o całym bożym świecie - bo oto właśnie markiz Attingsborough zaczął ją całować, delikatnie i powoli. Całe jej ciało rozkwitło pod jego dotykiem i już nie była Claudią Martin, kobietą sukcesu, właścicielką szkoły i nauczycielką.

Była po prostu kobietą.

Pod jedną jej dłonią przeżyły się twarde mięśnie, drugą rękę wsunęła w jego gęste włosy. Piersiami opierała się o jego mocną pierś, jej uda przywarły do jego nóg. A spomiędzy jej ud pulsujące pożądanie wznosiło się coraz wyżej, aż do gardła.

Nie żeby analizowała każde z tych doznań. Zwyczajnie je przeżywała.

Kiedy otworzył usta, ona też rozchyliła wargi, przechylając głowę na bok i chwytając go mocniej za włosy; jego język znalazł się w jej ustach, gładząc ich wilgotne, delikatne wnętrza. Popchnął ją lekko w kierunku drzewa, które rosło za jej plecami, więc zrobiła krok do tyłu i pozwoliła się przycisnąć do pnia. Teraz jego dłonie mogły swobodnie błądzić po jej ciele, pieścić jej piersi, biodra i pośladki.

Kiedy naparł na nią swoim ciężarem, poczuła twardość jego pobudzonej męskości. Rozsunęła nogi i otarła się o niego, gwałtownie pragnąc mieć go w sobie, głęboko. Ach, tak, głęboko.

Jednak ani przez moment nie zapomniała, że to właśnie z markizem Attingsborough dzieli ten namiętny uścisk. I ani przez moment nie pozwoliła sobie na złudzenia. To wszystko było tylko na chwilę. Tylko na teraz.

Czasami „teraz” wystarcza.

Czasami „teraz” jest wszystkim.

Wiedziała, że nie będzie tego żałować.

Wiedziała też, że będzie cierpiała, długo i dotkliwie.

Ale to nieważne. Lepiej żyć i cierpieć niż nie żyć wcale.

Wiedziała, że pocałunek dobiegł końca, gdy tylko ciężar jego ciała zelżał. Jeszcze raz lekko ucałował jej usta, a potem powieki i skronie. Wciąż podtrzymując dłonią jej głowę, przycisnął ją do swojego ramienia, a jednocześnie odsunął od drzewa. W sercu Claudii ulga walczyła z rozczarowaniem. Tak, trzeba było przestać. Znajdowali się przecież w miejscu publicznym.

Napięcie niespełnienia powoli z niej opadało; luźno oplótła go w pasie ramionami.

- Mam nadzieję, że zgadzamy się, żeby tego nie żałować? - zapytał.
- I że nie będziemy się sobie wstydzić, kiedy się znowu zobaczymy?

Nie od razu mu odpowiedziała. Podniosła głowę, opuściła ręce i odsunęła się od niego o krok. Jednocześnie w pełni świadomie przybrała znowu sposób bycia panny Martin, nauczycielki, zupełnie jakby zakładała na siebie zbyt sztywne ubranie.

- Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi „tak” - odparła wreszcie.
- Co do drugiego, nie jestem całkiem pewna. Mam wrażenie, że w beztosnym świetle dnia faktycznie będę mocno zawstydzona, jeśli przyjdzie mi pana spotkać.

O nieba, przecież już teraz, kiedy w półmroku dostrzegała jego twarz, nie posiadała się z zachwytu i wstydu zarazem.

- Panno Martin - odezwał się. - Chyba pani nie... Ja przecież nie mogę...

Cmoknęła z niezadowoleniem. Nie wolno jej pozwolić, żeby dokończył to zdanie. Gdyby powiedział to głośno, to by dopiero było upokarzające.

- Oczywiście, że pan nie może - rzekła. - Ja zresztą też nie. Mam swoje życie, karierę, mam ludzi, którzy na mnie liczą. Bynajmniej nie spodziewam się zobaczyć pana jutro pod drzwiami Whitleafów z pozwoleniem od biskupa w ręku. A gdyby się pan nawet zjawił, odesłałabym pana z powrotem szybciej, niżby pan przyszedł.

- Z kwitkiem? - zapytał z uśmiechem.

- Jeśli nie gorzej.

Uśmiechnęła się do niego smutno. Miłość bywa taka głupia: zjawia się w najmniej oczekiwanym momencie i popycha nas w ramiona najmniej odpowiedniej osoby. Bo przecież ona, oczywiście, była już zakochana. I oczywiście zupełnie, ale to zupełnie nieodpowiednio.

- Myślę, lordzie Attingsborough - rzekła - że gdybym wiedziała to, co wiem dziś, owego dnia, kiedy przekroczyłam próg saloniku w mojej szkole, gdzie pan na mnie czekał, może już wtedy odesłałabym pana z kwitkiem. A może i nie. Nie umiem powiedzieć, ile radości przyniosły mi ostatnie dwa tygodnie. I bardzo pana polubiłam.

To też była prawda. Naprawdę go polubiła.

Wyciągnęła do niego rękę, a on ujął ją i potrząsnął zdecydowanie. Dzielące ich bariery wróciły na swoje miejsce, tak jak było trzeba.

Nagle wzdrygnęła się i podskoczyła, bo powietrze rozdarł gwałtowny huk.

- No, tak... - powiedział, patrząc w niebo. - Fajerwerki. W samą porę.

- Och! - wykrzyknęła, kiedy razem spoglądali na smugę czerwieni, która z sykiem wzniosła się ponad drzewa i zaraz sfrunęła w dół. - Tak na nie czekałam.

- Chodźmy. - Puścił jej dłoń i podał ramię. - Wyjdziemy na otwartą przestrzeń, żeby lepiej widzieć.

- O, tak - zgodziła się. - Chodźmy.

I pomimo wszystko - pomimo tego, że coś, co ledwo się zaczęło, skończyło się tego samego wieczoru - poczuła, że wzbiera w niej głębokie zadowolenie.

Przed minutą czy dwiema powiedziała prawdę. Za nic na świecie nie oddałaby tego krótkiego czasu spędzonego w Londynie.

Ani znajomości z markizem Attingsborough.

11

Claudia właśnie siedziała przy biurczku w gabinecie rezydencji Whitleafów, zajęta pisaniem listu do Eleanor Thompson, gdy wszedł kamerdyner, anonsując przybycie gości. Owczarek, który spał skulony obok jej krzesła, dźwignął się na nogi.

- Jej Wysokość księżna Bewcastle, markiza Hallmere i lady Aidan Bedwyn czekają na dole, proszę pani - oznajmił. - Czy mam je wprowadzić?

A niech to! Claudia uniosła brwi w niemym zdumieniu.

- Lord i lady Whitleaf są na górze, w pokoju dzieciennym - odparła. - Czy to nie oni powinni się o tym dowiedzieć?

- Jej Wysokość powiedziała mi wyraźnie, że to z panią chce się widzieć, proszę pani - obstawał kamerdyner.

- W takim razie proszę je wprowadzić na górę - poleciła Claudia, w pośpiechu wycierając pióro i układając kartki w równy stosik. Przynajmniej będzie mogła powiedzieć księżnej, że jej siostra ma się dobrze. Ale dlaczego akurat z nią chcą się widzieć?

Znowu się dzisiaj nie wyspała, ale tym razem tylko z własnej winy. Nie chciała spać. Wolała rozpamiętywać wczorajsze przeżycia z Vauxhall.

Nadal niczego nie żałowała.

Pies powitał księżną i jej dwie szwagierki wściekłym ujadaniem i rzucił się na nie w progę.

- O, nie - westchnęła Claudia.

- Chyba nie odgryzie mi nogi? - zaśmiała się księżna i pochyliła, żeby go pogłaskać po łbie.

- To owczarek szkocki - stwierdziła lady Aidan, również się schylając. - On tylko się z nami wita, Christine. Zobacz, jak merda ogonem. Dzień dobry, pieseczku.

- Poprzedni właściciel bardzo źle go traktował, więc byłam zmuszona się nim opiekować kilka dni temu - wytłumaczyła Claudia. - Myślę, że potrzeba mu po prostu odrobiny miłości... i mnóstwa jedzenia.

- I pani mu zapewnia jedno i drugie? - Markiza Hallmere miała nieco zdziwioną minę. - Czy to znaczy, że zbiera pani zwierzęta z ulicy, tak jak Eve? W każdym razie na pewno zbiera pani dziewczęta z ulicy, czyż nie?

Uniosła rękę w chwili, kiedy Claudia już miała na końcu języka ciętą uwagę.

- Proszę pamiętać, że jedna z nich opiekuje się moimi dziećmi - po wiedziała. - Wygląda na to, że na razie polubiły pannę Wood. Zobaczmy, jak będzie dalej.

Damy usiadły na wskazanych przez Claudię miejscach.

- Bardzo jestem wdzięczna, że osobiście przywiozła pani do miasta pannę Bains, panno Martin - odezwała się lady Aidan. - To taka miła, pogodna dziewczyna. Hannah, moja młodsza córeczka, już się do niej bardzo przywiązała, mimo że jest u nas dopiero od wczoraj. Becky jest ostrożniejsza. Dwie poprzednie guwernantki, które uwielbiała z całej duszy, wyszły za mąż. Niełatwo jej teraz zaufać komuś obcemu. Ale kiedy panna Bains opowiedziała im o swoim pierwszym dniu w szkole, jak to nienawidziła wszystkich i wszystkiego i jak bardzo nie chciała tam zostać, chociaż się na to zgodziła, obie zaśmiewały się do rozpuku i błagały o więcej historyjek o szkole.

- Tak - potwierdziła Claudia. - To cała Flora. Uwielbia mówić. Ale uczyła się bardzo pilnie i myślę, że będzie świetną nauczycielką. - Pogłaskała psa, który znowu ułożył się obok jej krzesła.

- Na pewno - zgodziła się lady Aidan. - Mój mąż i ja zastanawialiśmy się, czy już w tym roku nie posłać Becky do szkoły, ale nie mogę znieść myśli o rozstaniu z nią. Starczy, że Davy musi chodzić do szkoły. To znaczy, tylko mnie się to nie podoba. On doskonale się tam czuje, jak mi to zresztą zapowiadał Aidan.

Claudia, wcześniej skłonna nie lubić tej kobiety z tego prostego powodu, że była żoną jednego z Bedwynów, stwierdziła teraz, że lady Aidan

jest naprawdę przemiłą osobą. W jej głosie pobrzmiwał nawet lekki zaśpiew walijskiego akcentu.

- Jak to dobrze, że James ciągle jest jeszcze za mały na naukę w szkole - powiedziała księżna Bewcastle. - Oczywiście, pošlemy go tam, kiedy przyjdzie czas, chociaż Wulfric jako chłopiec nie uczył się w szkole. Za wsze tego żałował, więc postanowił, że żaden z jego synów nie zostanie w domu. Mam tylko cichą nadzieję, że następna będzie córeczka, chociaż pewnie jako oddana żona powinnam chcieć najpierw drugiego syna... rezerwowo dziedzic, takie tam arystokratyczne bzdury. Nawiasem mówiąc, następne maleństwo pojawi się za jakieś siedem miesięcy. - Rozpromieniła się w uśmiechu.

Jej także Claudia nie była w stanie nie lubić - choć współczuła jej serdecznie, że jest żoną księcia. Z drugiej jednak strony, księżna wcale nie wyglądała na kobietę złamaną na duchu.

- Podobnie jak u Frances - przypomniała sobie Claudia. - To znaczy, hrabiny Edgecombe.

- Naprawdę? - Księżna uśmiechnęła się ciepło. - To wspaniale. Chociaż pewnie będzie musiała na jakiś czas zrezygnować z występów i podróży. Świat chyba wpadnie w rozpacz. Ona ma taki cudny głos.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła Susanna. Wszystkie trzy damy wstały na jej powitanie, a pies zaczął się łaścić do jej nóg.

- Mam nadzieję, że nie oderwałyśmy pani od opieki nad synkiem - rzekła księżna.

- Ależ skąd - odparła Susanna. - Jest z nim Peter. Obaj wyglądali na tak uszczęśliwionych własnym towarzystwem, że uznałam, że moja osoba jest tam zupełnie zbędna. Niechże panie siadają.

- Panno Martin - zaczęła księżna, gdy tylko usiadły z powrotem. - Dziś rano wpadłam na znakomity pomysł. Czasem mi się to zdarza. Przystań się ze mnie śmiać, Eve. Eleanor napisała mi, że na pewno przywiezie ze sobą do Lindsey Hall na lato dziesięć dziewcząt ze szkoły. Pewnie pani już o tym wie; domyślałam się, że pisała też do pani, zanim wysłała list do mnie. Prawie się rozmyśliła, kiedy dowiedziała się, że Wulfric i ja nie wyjeżdżamy jednak na lato. Kiedy jestem w ciąży, Wulfric zamienia się w prawdziwego tyrana i zabrania mi dużo podróżować; twierdzi też, że nie ma już ochoty nigdzie jeździć sam. Poza tym hrabia i hrabina Redfield będą w tym roku świętować rocznicę ślubu i zaprosili nas między innymi

na wielki bal do Alvesley Park. To by było nie po sąsiedzku, gdybyśmy w tym czasie wyjechali z domu. Lady Aidan się roześmiała.

- A czy Wulfric się z tobą zgadza, Christine?

- Oczywiście - odparła księżna. - Wulfric zawsze się ze mną zgadza, choć czasem potrzebuje odrobiny perswazji. Przypomniałam mu, że w poprzednie wakacje mieliśmy w Lindsey Hall aż dwanaście dziewcząt na czas ślubu lady Whitleaf i w ogóle nam to nie przeszkadzało.

- A mnie było bardzo miło, że mogły być na moim ślubie. - Susanna się uśmiechnęła.

- W każdym razie - księżna znowu zwróciła się do Claudii - mój znakomity pomysł polega na tym, żeby i pani do nas przyjechała, panno Martin. Rozumiem, że niedługo wybiera się pani z powrotem do Bath i jeżeli spędzenie całego lata w szkole, w której nie ma uczennic, to pani sposób na wakacyjny odpoczynek, bo przecież i tak może być, to nie będę nalegać. Ale będzie mi bardzo przyjemnie, jeśli przyjmie pani zaproszenie do Lindsey Hall i przyjedzie do nas razem z Eleanor i dziewczętami, żeby przez parę tygodni odpocząć na wsi. A jeśli potrzebuje pani dodatkowej zachęty, to przypominam, że lady Whitleaf i pani Butler będą w tym czasie w Alvesley Park. Wiem, że to pani bliskie przyjaciółki i dawne nauczycielki ze szkoły.

Claudia oniemiała ze zdumienia. Miałaby mieszkać w Lindsey Hall, w miejscu, z którego wyniosła jak najgorsze wspomnienia? I w dodatku w czasie, kiedy książe Bewcastle był w domu?

W oczach Susanny zaśniły iskierki rozbawienia. Najwyraźniej pomyślała dokładnie to samo.

- Aidan i ja też się na krótko wybieramy do Lindsey Hall - wtrąciła lady Aidan. - Podobnie Freyja z Joshua. Będzie więc pani mogła zobaczyć na własne oczy, jak sobie radzą pani wychowanki. Chociaż oczywiście praca zacznie się dla nich na serio dopiero, kiedy wrócimy do Oxfordshire, a Freyja i Joshua - do Kornwalii.

A więc miałyby ją czekać nie tylko powrót do Lindsey Hall i spotkanie z księciem Bewcastle'em, ale także towarzystwo dawnej lady Freyji Bedwyn. Sama myśl o tym wyjeździe była tak odpychająca, że Claudia ledwo się powstrzymała, żeby nie wybuchnąć śmiechem. I chyba raczej jej się nie wydawało, że lady Hallmere patrzy na nią z szyderczym błyskiem w oku.

- Proszę, niech się pani zgodzi - powiedziała księżna. - Tak mi będzie miło.

- Och, tak, Claudio, musisz pojechać - przyłączyła się Susanna.

Nagle Claudii przyszła do głowy pewna myśl - i tylko ze względu na nią nie odmówiła stanowczo i bez zastanowienia.

- A jak się pani zapatruje na to, Wasza Wysokość, żeby zamiast dzie sięciu, przyjechało do was jedenaście dziewcząt?

Lady Hallmere uniosła brwi.

- Dziesięć, jedenaście czy dwadzieścia, jaka to różnica? - odparła księżna beztrąsko. - Niech przyjadą wszystkie. I proszę wziąć ze sobą psa, będzie mógł się wybiegać. Dzieci na pewno rozpieszczą go niemiłosiernie.

- Jest dziewczynka - wyjaśniła Claudia. - Mój agent, pan Hatchard, właśnie mi o niej powiedział. Czasami wynajduje dla mnie uczennice charytatywne i uważa, że mogłabym pomóc temu dziecku.

- Ja też kiedyś byłam takim dzieckiem - powiedziała Susanna. - Poznałaś już tę dziewczynkę, Claudio?

- Tak. - Claudia zmarszczyła brwi, niezadowolona, że musi kłamać. Ale nie miała przecież innego wyjścia. - Wcale nie jestem pewna, czy nadaje się do szkoły i czy w ogóle będzie chciała do niej chodzić. Ale... nigdy nic nie wiadomo.

Księżna wstała z krzesła.

- Obie będziecie u nas mile widziane - oświadczyła. - Ale na nas już czas. To miała być bardzo krótka wizyta, bo o tej porze nie wypada wprasać się komuś do domu, nieprawdaż? Chyba zobaczymy się wieczorem na balu u pani Kingston?

- Wybieramy się do niej - odpowiedziała Susanna.

- Dziękuję, Wasza Wysokość - odezwała się Claudia. - Przyjadę do Lindsey Hall i pomogę Eleanor zająć się dziewczętami. O ile wiem, li czyła na to, że będzie mogła pobyć trochę z matką. A skoro i państwo zostajecie w domu, to na pewno będzie też chciała spędzić trochę czasu z panią.

- Fantastycznie! - ucieszyła się księżna. - To będzie cudowne lato.

O, tak, cudowne lato, pomyślała Claudia kwaśno. Wielkie nieba, na cóż ona się zgodziła? Czy tego lata było jej pisane zmierzyć się ze wszystkimi duchami przeszłości, żeby wygnać je wreszcie z pamięci?

Do pokoju wszedł Peter, witając się z damami. Oboje z Susanną odprowadzili je na dół, lecz lady Hallmere została chwilę dłużej, zatrzymana być może wyzywającym spojrzeniem Claudii.

- Możliwe, że Edna Wood już pani o tym mówiła - zaczęła Claudia. - A może i nie. W każdym razie byłam przeciwna temu, żeby u pani pracowała. To ona sama postanowiła, że pójdzie na rozmowę i sama zdecydowała się przyjąć tę posadę, toteż muszę szanować jej wybór. Ale nie podoba mi się to i nie mam skrupułów, żeby pani o tym powiedzieć.

Lady Freyja Bedwyn była niegdyś dziewczynką o dość niezwykłym wyglądzie: miała burzę jasnych włosów, ciemne brwi i oliwkową cerę, a do tego raczej wydatny nos. Wciąż tak wyglądała. Jednak jakimś cudem wszystkie te elementy składały się na twarz o wyjątkowej urodzie, co Claudii bardzo działało na nerwy. Byłoby w tym więcej sprawiedliwości, gdyby ta okropna dziewczyna wyrosła na brzydką kobietę.

Lady Hallmere uśmiechnęła się krzywo.

- Długo chowa pani urazę, panno Martin - powiedziała. - Niewiele osób w życiu podziwiałam tak bardzo, jak panią, w chwili gdy odchodziła pani główną aleją Lindsey Hall z walizką w ręku. Nadal panią podziwiam. Do widzenia.

I wyszła w ślad za swoimi szwagierkami.

Doprawdy!

Claudia opadła na stołek przy biurku i podrapała psa za uchem. Jeśli ta kobieta miała zamiar strącić ją z piedestału słusznego oburzenia i całkowicie zbić z tropu, to w zupełności jej się to udało.

Zaraz jednak wróciła myślami do zaproszenia księżny Bewcastle i własnego pomysłu. Czy to znaczy, że podjęła decyzję co do Lizzie Pickford? Rzecz jasna, będzie to musiała omówić z markizem Attingsborough. Och, to będzie naprawdę krępujące, żeby po wczorajszym wieczorze spojrzeć mu w oczy. Ale trzeba to załatwić. To będzie czysto profesjonalna rozmowa.

Ciekawe, czy będzie na balu u Kingstonów? Ona się tam wybiera. Tak oświadczyli Peter i Susanna dzisiaj przy śniadaniu, a ona jakoś się na to zgodziła, pozwalając się ponieść fali rozrywek wiosennego sezonu. Jednak znaczna część jej serca tęskniła już do domu, do Bath, do dobrze znanego, spokojnego świata.

Ale z kolei pewna niewielka część jej serca wciąż wspominała wczorajszy pocałunek i przekornie pragnęła pozostać w mieście jeszcze trochę dłużej.

Z westchnieniem wróciła do rozpoczętego listu do Eleanor. Pies zwinął się w kłębek u jej stóp i znowu zasnął.

Wieczorem, kiedy Joseph dotarł wreszcie na bal do Kingstonów, trwał już pierwszy taniec. Spóźnił się, bo zatrzymała go Lizzie, domagając się jeszcze jednej bajki i jeszcze tylko jednej na dobranoc. Teraz, kiedy odprawił pannę Edwards, potrzebowała go bardziej niż zwykle.

Przywitawszy się z gospodynią, stanął w drzwiach sali balowej i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu znajomych twarzy. Zauważył księżną Portfrey, Elizabeth, siedzącą z boku. Już miał do niej podejść, ale zobaczył, że rozmawia z panną Martin. W nietypowym dla siebie przychylnym tchórzliwości udał, że ich nie dostrzega, chociaż księżna uśmiechnęła się do niego i uniosła dłoń w geście powitania. Niedbałym krokiem odszedł w przeciwną stronę, bo dojrzał Neville'a, który przyglądał się, jak Lily tańczy ze swoim ojcem, księciem Portfreyem.

- Co to za dziwny grymas, Joe? - spytał Neville, podnosząc lorgnon do oka.

- Jaki grymas? - odpowiedział Joseph, szczerząc zęby w sztucznym uśmiechu.

- Wciąż masz go na twarzy - zauważył Neville. - Znam cię dobrze, pamiętaj o tym. Nie miałeś przypadkiem zatańczyć pierwszego tańca z panną Hunt?

- Mój Boże, nie - odparł Joseph. - Nie spóźniłbym się przecież. Byłem z Lizzie. Dzisiaj po południu zająłem do Wilmy, trafiłem na samą końcówkę jej cotygodniowej proszonej herbatki. Goście akurat wychodzili i dzięki temu nic jej nie przeszkadzało, żeby po raz kolejny zmyć mi głowę.

- Pewnie uważa, że powinieneś być poprosić pannę Hunt o pierwszy taniec - orzekł Neville. - Wiesz, zawsze byłem zadowolony, że Wilma jest twoją siostrą, a Gwen moją, a nie odwrotnie.

- Dziękuję ci bardzo - powiedział sucho Joseph. - Ale akurat nie tylko o to chodziło. Wypomniała mi wczorajszy wieczór.

- Wczorajszy wieczór? W Vauxhall? - zdziwił się Neville.

- Jej zdaniem zaniedbywałem pannę Hunt, a okazywałem przesadne względy pewnej zaniedbanej nauczycielce.

- Zaniedbana? Panna Martin? - Neville obrócił się i zmierzył ją wzrokiem. - Ja bym tego nie powiedział, Joe. Pewnie nie hołduje modzie

z żurnali i nie jest już pierwszej młodości, ale za to ma klasę. A do tego jest piekielnie inteligentna i zdobyła dużą wiedzę. Lily ją polubiła. I Elizabeth. Ja zresztą też. Panna Hunt natomiast powiedziała wczoraj coś podobnego jak Wilma; Lily ją słyszała. Ciut niegrzeczne względem Lauren, która przecież zaprosiła pannę Martin, żeby do nas dołączyła. Tak sądzi Lily, i ja też tak uważam. Ale pewnie nie powinienem ci tego mówić.

Joseph zmarszczył brwi. Właśnie wypatrzył na parkiecie pannę Hunt. Tańczyła akurat z Fitzharrisem. Jej suknia miała wierzch ze złotej siatki i spód z białego jedwabiu, udrapowany na jej zgrabnej sylwetce niby szata greckiej bogini. Głęboki dekolt podkreślał atuty jej figury. We włosy miała wplecione złote nici.

- Ona też jedzie do Alvesley - powiedział. - Wilma wyłudziła dla niej zaproszenie i biedna Lauren chyba nie miała wyboru. Wiesz, jaka Wilma jest, kiedy na coś się uprze.

- Do Alvesley? - spytał Neville. - Cóż, myślę, że Lauren i tak by ją zaprosiła po waszych zaręczynach. Rozumiem, że tylko patrzeć, jak się oświadczysz?

- Chyba tak - odparł Joseph.

Neville przyjrzał mu się uważnie.

- Co ciekawe, wśród wyrzutów Wilmy znalazła się wzmianka o tym, że podczas gdy ja zabawiałem pannę Martin, McLeith nadszakał panie Hunt. Wilma ostrzegła mnie, że jeśli nie będę uważał, mogę ją stracić. Podobno świetnie się razem bawili.

- Ha - mruknął Neville. - Czyżbyś miał dostać kosza? Może chcesz, żebym ci w tym pomógł?

Joseph uniósł brwi.

- Dlaczego niby miałbym sobie tego życzyć?

Neville wzruszył ramionami.

- Po prostu za dobrze cię znam, Joe - stwierdził. - Ale, ale... Lady Balderston patrzy w naszą stronę i macha ręką, obawiam się, że to nie do mnie.

- Kończy się taniec - zauważył Joseph. - Lepiej podejść do nich i poproszę pannę Hunt do następnego. A co to, u licha, miało znaczyć, że za dobrze mnie znasz?

- Powiem tylko, że nie sądzę, żeby wuj Webster znał cię tak jak ja - odpowiedział Neville. - Czy Wilma. Oni oboje uważają, że powinienś

się ożenić z panną Hunt. Lily jest innego zdania, a ja zwykle mam zaufanie do jej zdrowego rozsądku. O, taniec już się skończył. No, to zmykaj.

Nev mógł sobie zatrzymać dla siebie swoje - i Lily - zdanie, pomyślał zirytowany Joseph, kierując się na drugą stronę sali. Teraz już po prostu nie wypadało nic oświadczyć się pannie Hunt, nawet gdyby przyszła mu taka ochota. Poprosił ją więc do tańca, starając się nie zerkać na pannę Martin, która stała w rzędzie dam dwie pary dalej i uśmiechała się do swojego partnera, McLeitha. Miał jednak wrażenia, że i ona zmusza się, żeby na niego nie patrzeć. Po raz kolejny, jak już to robił wielokrotnie od rana, wspominał z niedowierzaniem wczorajszy wieczór i nie mógł się oprzeć zdumieniu, jak w ogóle mogło do tego dojść. Nie tylko pocałował tę kobietę, ale też pragnął jej z taką siłą, że omal nie stracił nad sobą panowania.

Dobrze, że byli w miejscu publicznym, bo nie wiadomo, jak by się skończył ten ich namiętny uścisk.

W następnym tańcu asystował pannie Holland, bo już nie po raz pierwszy w tym sezonie podpierała ścianę, a jej matka była zbyt leniwa, żeby się dla niej zatroszczyć o partnerów. Potem przedstawił ją zarumienionemu z emocji Falwethowi, tak nieśmiało, że nigdy sam nie poprosił damy do tańca, i podszedł do grupy kolegów, żeby uciąć sobie krótką pogawędkę, podczas gdy na parkiecie pary tańczyły żywiołowego kontredansa.

Kiedy utwór się kończył, zgodził się przejść z kilkoma kolegami do pokoju karcianego, żeby rozegrać partyjkę czy dwie. Ale nagle zdał sobie sprawę, że nie widział, żeby panna Martin tańczyła. Ani teraz, ani podczas pierwszego utworu. Z jakiegoś powodu nie chciał, żeby musiała na balu podpierać ścianę, choć oczywiście nie była młodziutką debiutantką polującą na męża.

Rozejrzawszy się wokoło, zobaczył, że siedzi na ławeczce w pobliżu drzwi, pogrążona w rozmowie z McLeithem. On był uśmiechnięty i ożywiony, ona - zasłuchana. Przyszło mu do głowy, że może mimo wszystko cieszy się ze spotkania po latach z dawnym ukochanym. Może przerwany niegdyś romans właśnie na nowo rozkwita.

W tym momencie ona podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy. Coś w jej spojrzeniu powiedziało mu, że zdawała sobie sprawę z tego, że on ją obserwuje. Pospiesznie odwróciła wzrok.

To śmieszne, pomyślał. Zachowują się jak para dorastających dzieciaków, które wczoraj całowały się za stodołą, a dziś umierają ze wstydu. Przecież i on, i panna Martin są dorosłymi ludźmi. To, co zdarzyło się wczoraj, było ich wspólną decyzją i oboje postanowili, że nie będą tego żałować. A zresztą, to był tylko pocałunek. Prawda, że dość namiętny, ale tak czy inaczej...

- Idźcie beze mnie - powiedział do kolegów. - Ja muszę z kimś po rozmawiać.

I zanim zdołał wymyślić jakąś wymówkę, żeby do niej nie podchodzić, już skierował kroki w stronę ławeczki przy drzwiach.

- McLeith? Panno Martin? - Przywitał oboje uprzejmym skinieciem głowy. - Witam. Panno Martin, czy następny taniec ma pani wolny? Zatańczy pani ze mną? - W tej chwili coś sobie przypomniał. - To będzie walc.

Walc!

Claudia nigdy go nie tańczyła, ale widziała wiele razy, jak to się robi, i nawet raz czy dwa razy - no dobrze, może więcej niż dwa - próbowała tańczyć w swoim gabinecie z nieistniejącym partnerem.

A teraz miała zatańczyć walca na balu? Wśród londyńskiej socjety?

Z markizem Attingsborough?

- Z przyjemnością - odrzekła. - Dziękuję panu.

Skinęła głową Charliemu, z którym rozmawiała przez ostatnie pół godziny po tym, jak poprosił ją do tańca.

Markiz wyciągnął do niej rękę, więc podała mu dłoń i wstała z miejsca. Natychmiast poczuła zapach jego wody kolońskiej i równie szybko ogarnęła ją fala skrępowania.

Bo przecież nie dalej jak wczoraj wieczorem...

Wyprostowała się i nieświadomie zacisnęła wargi w wąską kreskę, idąc za nim na parkiet.

- Mam nadzieję, że nie zbłąźnię się kompletnie - rzuciła dziarsko, kiedy odwrócił się do niej przodem. - Nigdy dotąd nie tańczyłam walca.

- Nigdy? - Spojrzała mu w oczy, w których już błyszczały iskierki uśmiechu.

- Teoretycznie znam kroki - zapewniła, czując, że się rumieni. - Po prostu nigdy nie miałam okazji spróbować.

Nic nie powiedział; wyraz jego twarzy też się nie zmienił. Naraz ona roześmiała się głośno, a on przechylił na bok głowę, żeby lepiej jej się przyjrzeć, ale nie miała pojęcia, co sobie w tej chwili myśli.

- Może pan pożałować, że mnie poprosił do tańca - ostrzegła go.

- Tak samo mówiła pani, kiedy zaproponowałem podwiezienie do Londynu - odparł. - I wciąż jeszcze tego nie żałuję.

- Teraz to co innego - powiedziała. Parkiet wokół nich zapełniał się powoli. - Postaram się nie przynieść panu wstydu. Jako dżentelmenowi nie bardzo panu wypada teraz się wycofać, prawda?

- Cóż - zamyślił się. - Mógłbym, jak sądzę, dostać nagłych waporów albo czegoś jeszcze gorszego, jak atak serca. Ale tego nie zrobię. Przynajmniej, ze ciekaw jestem, jak sobie pani poradzi podczas swojego pierwszego walca.

Znowu się zaśmiała - po czym nagle zamilkła, bo jedną ręką objął ją w pasie, a drugą chwycił jej dłoń.

Zalały ją wspomnienia wczorajszego wieczoru, a jej policzki znowu spłonęły rumieńcem. Zmusiła się, żeby myśleć o czymś innym.

- Muszę z panem pomówić.

- Czy powinienem panią przeprosić?

Powiedzieli to w tej samej chwili, ale udało jej się usłyszeć jego słowa.

- Absolutnie nie.

- Naprawdę?

Znowu odezwali się jednocześnie, więc uśmiechnęli się do siebie.

Rozmowa będzie musiała poczekać. Właśnie zaczął się walc.

Przez moment była jak skamieniała z przerażenia, bo kroki, których nigdy nie ćwiczyła z partnerem, nagle uleciały z jej pamięci. Ale markiz prowadził ją pewnie i już po chwili odkryła, że znowu jest zdolna myśleć logicznie. Zauważyła, że on używa wyłącznie najprostszych figur, i jakimś cudem udawało jej się nie zmylić kroku. Zorientowała się też, że odlicza sobie w myślach do trzech i miała lekką obawę, że nawet porusza przy tym ustami. Zacisnęła wargi.

- Obawiam się, że jest pani skazana na nieistnienie, panno Martin - odezwał się markiz. - Nie zbłąźni się pani i nikt nie zwróci na nas uwagi.

Spojrzał na nią z ubolewaniem, ona zaś uśmiechnęła się do niego.

- A jeśli nawet ktoś na nas popatrzy, to szybko umrze z nudów - od powiedziała. - Jesteśmy chyba najbardziej drętwą parą na parkiecie.

- Ejże - obruszył się. - To zabrzmiało jak wyzwanie dla mojej męskiej dumy.

Ścisnął ją mocniej w talii i zakręcił nią w posuwistym obrocie, kiedy mijali róg sali.

Claudia ledwo się powstrzymała, żeby nie zapiszczeć. Za to wybuchnęła radosnym śmiechem.

- Och! - zawołała. - To było świetne. Spróbujmy jeszcze raz. Czy może już kusimy los? Nie wiem, jak to możliwe, że mi się udało nie włożyć pantofli pod pańskie stopy.

- Ekhem - odchrząknął, udając oburzenie. - Wydaje mi się, że mogło to mieć coś wspólnego z moimi umiejętnościami.

I zakręcił ją jeszcze raz.

Znowu się roześmiała, uszczęśliwiona tańcem i zachwycona tym, że oto żartuje sobie z mężczyzną. Ogromnie go lubiła. Spojrzała mu w oczy, żeby dzielić z nim tę przyjemność.

I nagle poczuła coś więcej. Więcej niż radość, więcej niż przyjemność. Poczwała...

Ach, nie było słów, żeby to opisać.

Tą chwilą będzie żyła, będzie o niej śniła do końca swoich dni. Była tego więcej niż pewna.

Muzyka grała dalej, tancerze wirowali, a pośród nich ona i markiz Attingsborough. Świat wydawał się cudowny.

- Och - westchnęła z żalem, kiedy orkiestra zaczęła zwalniać, niechybny znak, że utwór zaraz się skończy. - To już koniec?

Jej pierwszy walc. I niewątpliwie ostatni.

- Niestety, już za chwilę pani pierwszy walc stanie się historią - rzekł, jak gdyby czytając w jej myślach.

Wtedy przypomniało jej się, że miała z nim porozmawiać. Poza tym krótkim przekomarzaniem się na początku, całego walca przetańczyli w milczeniu.

- Lordzie Attingsborough, muszę z panem porozmawiać - zwróciła się do niego. - Może jutro?

- Jeszcze zanim zaczął się walc - odparł - tęsknie zerkałem na te weneckie okna. A teraz już ledwo mogę się oprzeć pragnieniu. Za nimi jest balkon, i co ważniejsze, świeże powietrze. Może pójdziemy się przejść, jeśli oczywiście nie obiecała pani już komuś następnego tańca?

- Nie, nie obiecałam - odparła, spoglądając na otwarte drzwi balkonowe i ciemność poza nimi, rozświetloną światłem latarni. Być może po wczorajszym wieczorze nie było to zbyt rozsądne...

Ale on właśnie podał jej ramię, więc przyjęła je i pozwoliła się poprowadzić przez ciżbę gości na balkon.

Dziś będzie inaczej.

Dziś odbędą czysto profesjonalną rozmowę.

12

Na zewnątrz rzeczywiście było chłodniej - można nawet powiedzieć, cudownie rześko. Ale nie tylko oni skorzystali z otwartych drzwi, żeby na chwilę wyrwać się z zaduchu i ścisku sali balowej. Na tarasie było już parę osób.

- W ogrodzie palą się latarnie - odezwał się Joseph. - Może zejdziemy na dół i trochę pospacerujemy?

- Dobrze - odparła głosem nauczycielki. Ciekawe, czy zdawała sobie sprawę z tego, że używa dwóch zupełnie różnych tonów. - Lordzie Attingsborough...

Urwała, kiedy położył rękę na jej dłoni, spoczywającej na jego ramieniu. Wolał sam zacząć tę rozmowę. Nie można przemilczeć wczorajszego wieczoru.

- Czy wcześniej czuła się pani tak samo zawstydzona jak ja? - zapytał.

- Och, pewnie nawet bardziej - odparła ze zwykłą sobie szczerością.

- A teraz?

- Teraz już nie - powiedziała. - Chociaż może lepiej, że tu jest ciemno, bo nie może pan widzieć, jak się czerwienię.

W ogrodzie nie było tyle światła. Poprowadził ją w kierunku ścieżki, która wiała się z lewej strony.

- To dobrze. Ja też już się nie czuję skrępowany. Wspominam wczorajszy wieczór z prawdziwą przyjemnością i niczego nie żałuję, choć oczywiście przeproszałbym uniżenie, gdyby pani tego oczekiwała.

- Ale nie ma takiej konieczności - zapewniła go.

Zastanawiał się, czy panna Martin jest kobietą samotną. Ale może to tylko przemawiała przez niego męska arogancja. W każdym razie życie było najlepszym dowodem na to, że kobieta może odnieść sukces bez pomocy mężczyzny. A poza tym samotność nie jest przypisana wyłącznie kobietom. On też, mimo że otaczała go rodzina, przyjaciele i znajomi, mimo że jego dni były zawsze wypełnione, czuł się jednak człowiekiem samotnym.

Nawet pomimo tego, że miał Lizzie, którą kochał ponad życie, był samotny. Zaskoczyło go to spostrzeżenie. Był samotny, bo brakowało mu kobiety, która umiałaby poruszyć jego serce i wypełnić je sobą. Ale raczej mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek kogoś takiego znalazł. Portia Hunt, jak mu się wydawało, raczej nie odnajdzie się w tej roli.

- Usiądziemy? - zaproponował, kiedy znaleźli się nad małym stawem porośniętym liliami wodnymi. Pod gałęziami wierzby płaczącej, opadającymi aż do wody, stała staroświecka drewniana ławeczka.

Usiedli obok siebie.

- Tak tu przyjemnie chłodno - odezwała się ona. - I cicho.

- Owszem.

- Lordzie Attingsborough - zaczęła, przybierając znowu ów energiczny, urzędowy ton głosu. - Panna Thompson, którą pan widział, kiedy wyjeżdżaliśmy z Bath, ta starsza z dwóch nauczycielek, zabiera na część wakacji dziesięć naszych uczennic charytatywnych do Lindsey Hall. Może pan o tym nie wie, ale ona jest siostrą księżnej Bewcastle.

- Ach, tak - mruknął, a przez myśl przemknęła mu wizja księcia Bewcastle, zabawiającego przy swoim stole dziesięć dziewczynek w wieku szkolnym.

- Księżna zaprosiła również mnie - ciągnęła.

Z rozbawieniem przypomniał sobie, co mu kiedyś opowiedziała o swoich przeżyciach związanych z tym miejscem. Odwrócił się do niej z uśmiechem. Jej twarz była ledwo widoczna w mdłym świetle latarni zawieszanej na drzewie.

- Do Lindsey Hall? - spytał z niedowierzaniem. - I Bewcastle też tam będzie? I co, pojedzie pani?

- Już się zgodziłam - odpowiedziała, patrząc na wodę z wyrzutem, jakby w czymś jej zawiniła. - Ma tam też przyjechać lady Hallmere.

Zaśmiał się pod nosem.

- Zgodziłam się, bo przyszedł mi do głowy pewien pomysł - ciągnęła. - Pomyślałam sobie, że dobrze by było, gdybym mogła zabrać tam ze sobą Lizzie.

Natychmiast spoważniał. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Wcześniej gorączkowo pragnął, żeby panna Martin zgodziła się wziąć jego córkę do szkoły. Teraz zdał sobie sprawę, że równie gorączkowo pragnie, żeby się nie zgodziła. Sama myśl o tym, że musiałby się rozstać z Lizzie na kilka miesięcy, wydawała się wprost nie do zniesienia.

- To by była dobra próba - przekonywała. - Jej potrzeba powietrza, ruchu i... zabawy. A w Lindsey Hall na pewno jej tego nie zabraknie. Pozna Eleanor Thompson i dziesięć dziewczynek ze szkoły. Ja będę z nią przez cały dzień. To by nam pozwoliło ocenić, czy pobyt w szkole będzie dla niej z jakąkolwiek korzyścią i czy Eleanor i ja możemy jej zaoferować coś, co sprawi, że nasz wysiłek i pańskie pieniądze nie pójdą na marne. A wszystko to w przyjaznej atmosferze wakacji.

Nie znajdował w jej argumentacji żadnego słabego punktu. To była naprawdę bardzo rozsądna propozycja. Ale żołądek ścisnął mu się w nagłej panice.

- Lindsey Hall to taka rozległa posiadłość - powiedział. - I mają taki duży park. Okropnie trudno byłoby jej się tam odnaleźć.

- Moja szkoła też jest duża, lordzie Attingsborough - przypomniała mu. Ale to zupełnie co innego. Prawda?

Pochylił się naprzód i oparł łokcie na kolanach, zwieszając luźno ręce pomiędzy nimi. Opuścił głowę i zamknął oczy. Zapadła długa chwila ciszy, tylko z oddalonej sali balowej dobiegały odgłosy muzyki, rozmów i śmiechu. To ona przerwała milczenie.

- Postanowił pan wysłać Lizzie do szkoły nie dlatego, że nie ma pan nikogo, kto by się nią zajął, ani dlatego chce się pan jej pozbyć, choć myśle, że w głębi duszy lęka się pan, że kierują panem takie samolubne pobudki. Niech się pan tego nie obawia. Widziałam, jak bardzo ją pan kocha. Chyba żadne dziecko nie doznaje tyle miłości.

Teraz mówiła innym tonem głosu - głosem prawdziwej kobiety.

- Czemu więc czuję się tak, jakbym ją zdradzał? - zapytał bezradnie.

- Bo jest niewidoma - odpowiedziała. - I jest pana nieślubnym dzieckiem. Chce ją pan ochronić przed możliwymi skutkami jednego i drugiego, więc tłamsi ją pan swoją miłością.

- Tłamszę ją - powtórzył. W sercu czuł tępy ból. - Czy to możliwe? Czyżbym to robił zawsze?

Wiedział jednak, że ona ma rację.

- Lizzie ma takie samo prawo do życia jak każdy inny - ciągnęła pan na Martin. - Ma takie samo prawo podejmować własne decyzje, odkrywać świat, marzyć o przyszłości i pracować, żeby jej marzenia się spełniły. Nie mam pewności, czy szkoła będzie dla niej odpowiednia, lordzie Attingsborough. Ale w jej położeniu to chyba najlepsze możliwe wyjście.

Mówiąc o jej położeniu, miała pewnie na myśli to, że Sonia nie żyła, a on szykował się do ślubu z Portią Hunt i już nie będzie mógł poświęcać córce tyle czasu, ile dotąd.

- A co będzie, jeśli ona nie zechce pojechać? - zapytał.

- Wtedy trzeba będzie uszanować jej wolę i pomyśleć nad jakimś innym rozwiązaniem - odparła z przekonaniem. - Widzi pan, taki jest mój jedyny warunek, oczywiście, jeśli w ogóle zgodzi się pan na mój plan. Lizzie sama musi zdecydować, czy chce pojechać. A jeśli po wakacjach uznam, że mogę ją przyjąć do szkoły, to znowu ona musi podjąć decyzję, czy chce do niej chodzić, czy nie. Taka jest moja zasada, zresztą już panu o tym mówiłam.

Potał twarz rękami i się wyprostował.

- Pewnie myśli pani, że jestem żaloszny.

- Nie. Myślę, że jest pan po prostu zatroskanym, kochającym ojcem.

- Czasem wcale nie czuję się ojcem - powiedział. - Już się nawet zastanawiałem, czy nie wyjechać z nią do Ameryki i nie zacząć wszystkiego od nowa. Mógłbym z nią być przez cały czas. Oboje bylibyśmy szczęśliwi.

Nic nie odpowiedziała, a on znowu poczuł się głupio. To prawda, że myślał o zabranii Lizzie do Ameryki, ale zawsze wiedział, że i tak tego nie zrobi - że nie może tego zrobić. Pewnego dnia zostanie księciem Anburey, od niego będzie zależało życie wielu ludzi i będą na nim ciążyły liczne obowiązki.

Wolność wyboru często bywa tylko złudzeniem.

Nagle przyszło mu coś do głowy i zdziwił się, że wcześniej na to nie wpadł.

- Ale przecież ja też będę blisko. - Podniósł głowę i zwrócił twarz w jej stronę. - Jadę do Alvesley Park na rocznicę Redfieldów. A Alvesley jest do słownie o parę mil od Lindsey Hall. Wiedziała pani o tym?

- Wiedziałam - przytaknęła. -Wiedziałam też o uroczystościach, bo Susanna i Peter są zaproszeni, ale nie miałam pojęcia, że pan tam będzie.
- Będę mógł widywać Lizzie - ucieszył się. - I spędzać z nią czas.
- Owszem, jeśli uzna to pan za stosowne - rzekła, patrząc mu uważnie w oczy.

- Jak to: jeśli uznam za stosowne?

- Pańska rodzina i przyjaciele mogą się zdziwić, czemu poświęci pan tyle uwagi jednej z moich charytatywnych uczennic.

- Charytatywnych? - Nachmurzył się. -Jeśli Lizzie zechce chodzić do szkoły i będzie się tam dobrze czuła, zapłacę pani podwójną stawkę, panno Martin.

- Powiedziałam księżnej, że chcę zabrać ze sobą dziewczynkę, którą pan Hatchard znalazł na ulicy - wyjaśniła. - Rozumiem, że nie chciałby pan mówić wszystkim prawdy?

Wbił w nią zagniewane spojrzenie, ale za chwilę odwrócił głowę i zaniknął oczy. Matka, ojciec, Wilma, rodzina Kita, rodzina Bewcastle'a - wszyscy byliby oburzeni, gdyby wyszło na jaw, że jego nieślubna córka przebywa w Lindsey Hall, podczas gdy on bawi tuż obok, w Alvesley. Nie wspominając już o Portii Hunt. Dżentelmen nie chwali się niepraworządym potomstwem przed swoją bardzo praworządną rodziną i znajomymi.

- Czyli muszę zachowywać się tak, jakbym się wstydził najdroższej w moim życiu istoty? - zapytał.

Oczywiście, było to pytanie retoryczne. Panna Martin nie odpowiedziała.

- I tak będę ją tam odwiedzał - zdecydował. - No dobrze, panno Martin, w takim razie Lizzie pojedzie do Lindsey Hall, rzecz jasna, jeśli będzie tego chciała, a potem pani razem z nią i panną Thompson postanowicie, czy przyjmiecie ją do waszej szkoły w Bath po wakacjach.

- Lordzie Attingsborough. - Uśmiechnęła się. - To nie jest wyrok skazujący.

Znowu odwrócił głowę w jej stronę i zaśmiał się smutno.

- Niech mnie pani zrozumie - rzekł. - Serce mi pęka.

Zbyt późno zdał sobie sprawę, że mówi przesadnie sentymentalnym językiem i zaczął się zastanawiać, czy to, co powiedział, w ogóle jest możliwe.

- Rozumiem - zapewniła go. - Teraz chciałabym jeszcze raz spotkać się z Lizzie. Porozmawiam z nią i zobaczę, czy uda mi się ją przekonać, żeby spędziła parę tygodni w Lindsey Hall ze mną i z innymi dziewczynkami. Nie wiem, co mi odpowie, ale podejrzewam, że pana córkę stać na więcej, niż się panu zdaje, lordzie Attingsborough. Miłość pana zaślepia.

- Co za ironia. - Skrzywił się. - Wobec tego jutro? Po południu? O tej porze co zwykle?

- Dobrze - zgodziła się. - I wezmę ze sobą psa, jeśli wolno. Straszna z niego przylepa, może przypadnie Lizzie do gustu.

Siedziała ciągle w tej samej pozycji przedtem. Uznał, że wygląda bardzo pociągająco, z połową twarzy w cieniu, a połową w świetle latarni. Ciężko mu było przypomnieć sobie pierwsze wrażenie, jakie na nim zrobiła wtedy w Bath, kiedy wkroczyła do szkolnego saloniku dla gości z surową i poważną miną.

- Dziękuję - powiedział. Wyciągnął rękę i przykrył nią obie jej dłonie. - Jest pani bardzo hojna.

- I pewnie bardzo niemądra - zachnęła się. - Jakie wykształcenie można dać komuś, kto nie widzi? Nigdy nie planowałam zostać cudotwórcą.

Nie miał na to żadnej odpowiedzi. Ujął tylko jedną z jej dłoni i podniósł do ust.

- Dziękuję choćby za to, co już pani dla niej zrobiła i co jeszcze gotowa jest zrobić - oświadczył. - Widzi pani w mojej córce nie tylko nieślubne dziecko, które w dodatku jest niewidome, ale osobę, która zasługuje na godne życie. Pokazała jej pani, że może biegać, śmiać się i krzyczeć z radości, jak każde inne dziecko. A teraz chce jej pani dać lato pełne za bawy, o czym pewnie nawet jej się nie śniło - ani mnie.

- O, tak - rzuciła z przekąsem. - Gdybym była katoliczką, na pewno już zostałąbym kandydatką na ołtarze, lordzie Attingsborough.

Zaśmiał się pod nosem. Uwielbiał jej cięty dowcip.

- Chyba muzyka przestała już grać - powiedział po chwili milczenia. - A to był ostatni taniec przed kolacją. Pozwoli pani, że będę pani towarzyszył do jadalni i nałożę pani jedzenie?

Długo nie odpowiadała. Zorientowała się, że wciąż jeszcze nie puścił jej ręki i trzyma ją na swoich kolanach.

- Tańczyliśmy razem walca - rzekła - a potem razem wyszliśmy z sali. To chyba nie będzie dobrze wyglądało, jeśli teraz razem usiądziemy

do kolacji. Może powinien pan jednak towarzyszyć panie Hunt, lordzie Attingsborough. Ja tu jeszcze trochę zostanę. Zresztą nie jestem głodna. Do diabła z panną Hunt, pomyślał, ale powstrzymał się, żeby nie powiedzieć tego głośno. W końcu niczym sobie nie zasłużyła na taki brak szacunku. Można nawet stwierdzić, że rzeczywiście zaniedbywał ją dziś wieczorem. Zatańczył z nią tylko raz.

- Boi się pani - droczył się - że ludzie pomyślą, że z panią flirtuję?

Odwróciła się do niego, a w jej oczach błysnęło nagłe rozbawienie.

- Szczerze wątpię, żeby ktoś tak pomyślał - oświadczyła. - Raczej wszyscy uznają, że to ja zagięłam na pana parol.

- Nie docenia pani samej siebie.

- Przeglądał się pan ostatnimi czasy w lustrze? - zapytała.

- A pani?

- Prawdziwy z pana dżentelmen. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Ale może pan spać spokojnie, nie zagięłam na pana parolu.

Znowu podniósł do ust jej dłoń, ale potem nie wypuścił jej z ręki, tylko splótł palce z jej palcami i oparł ich połączone dłonie na siedzeniu ławki pomiędzy nimi. Nic na to nie powiedziała, nie próbowała też zabrać ręki.

- Jeśli nie jest pani głodna, to posiedzę tu z panią, dopóki znowu nie zaczną się tańce - zaoferował się. - Bardzo tu przyjemnie.

- To prawda - zgodziła się.

I tak siedzieli przez długą chwilę, nic do siebie nie mówiąc. Prawie wszyscy, łącznie z orkiestrą, poszli na kolację, bo od strony otwartych drzwi balkonowych dobiegały już tylko bardzo nieliczne głosy. Właściwie, można powiedzieć, byli całkiem sami. Światło latarni padało na tafłę stawu, wydobywając z ciemności zarys liści lilii wodnych. Lekki wiatr poruszał gałęziami wierzby, pod którą siedzieli. Powietrze było dość chłodne - może nawet więcej chłodne. Poczul, że panna Martin zadrżała.

Puścił jej dłoń i zdjął swój wieczorowy frak - co nie było łatwe, bo moda dyktowała mocno dopasowane stroje. Narzucił jej go na ramiona i przytrzymał ręką, żeby nie spadł. Drugą ręką znowu ujął jej dłoń.

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Ona nie zaprotestowała, kiedy objął ją za ramiona ani kiedy wziął ją za rękę. Nie siedziała sztywno, ale też nie oparła się o niego.

Odrężył się.

Przyszła mu do głowy niezwykła myśl - nie po raz pierwszy zresztą - że być może jest troszeczkę zakochany w pannie Claudii Martin. Zupełnie absurdalny pomysł. Lubił ją. Szanował. Był jej wdzięczny. W tej wdzięczności pobrzmiewała nawet nutka czułości, bo okazała Lizzie tyle serca i nigdy w żaden sposób nie potępiła go za to, że spłodził nieślubne dziecko.

Dobrze się czuł w jej towarzystwie.

Wszystko to wcale jeszcze nie równało się miłości.

Ale był jeszcze wczorajszy wieczór.

Gdyby w tej chwili odwróciła do niego twarz, może by ją znowu pocałował. Dobrze, że tego nie zrobiła - chyba.

Wreszcie usłyszał, jak orkiestra stroi na nowo instrumenty. Natychmiast pomyślał znowu o pannie Hunt, której jako człowiek honoru będzie się musiał wkrótce oświadczyć.

- Zaraz zaczną się tańce - powiedział.

- Tak - przyznała, wstając z miejsca na chwilę przed tym, zanim on zdążył to zrobić.

Wcisnął z powrotem ręce w wąskie rękawy fraka. Jego służący pewnie by się rozpląkał, gdyby zobaczył, jak pogniół sobie przy tym koszulę.

Podał jej ramię i ruszyli w stronę sali. Kiedy weszli na schody prowadzące na taras, zatrzymał się.

- Więc widzimy się jutro - upewnił się. - O zwykłej porze?

- Tak jest - potwierdziła, unosząc głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

Teraz, w świetle padającym z okien sali balowej, widział je bardzo wyraźnie. Były szeroko otwarte i lśniły inteligencją, jak zawsze, ale tym razem zobaczył w nich coś jeszcze. Coś, czego nie umiał określić. Wyglądały, jakby były bardzo głębokie, jakby mógł w nich zatonać, gdyby tylko spróbował się w nie zagłębić.

Skinął głową i pokazał, żeby weszła przed nim do sali balowej. Sam został chwilę dłużej, mając nadzieję, że nikt nie zauważył, jak wiele czasu spędzili we dwoje.

Nie chciał rujnować jej reputacji.

Ani też upokorzyć panny Hunt.

Lily Wyatt, hrabina Kilbourne, siedziała przy kolacji obok Lau-ren Butler, wicehrabiny Ravensberg. Obie zatopione były w poufnej

rozmowie, nie biorąc udziału w głośnej konwersacji reszty towarzystwa przy stole.

- Neville mówił mi wcześniej, że zaprosiłaś pannę Hunt na obchody rocznicy do Alvesley - powiedziała Lily.

Lauren zrobiła kwaśną minę.

- Wilma przyprowadziła ją z wizytą - odparła - i zaczęła robić tak oczywiste aluzje, że nawet największy półgłówek zrozumiałby, o co jej chodzi. Więc ją zaprosiłam. Ale nic się na to nie poradzi. Pewnie do tego czasu ona i Joseph będą już zaręczeni. To chyba żaden sekret, po co wuj Webster kazał mu przyjechać do Bath.

- Czyli ty też za nią nie przepadasz? - zapytała Lily.

- Bynajmniej - przyznała Lauren. - Chociaż, szczerze mówiąc, trudno by mi było wyjaśnić, dlaczego. Ona jest jakaś taka zbyt...

- Doskonała? - zasugerowała Lily, domyślając się, że Lauren nie usłyszała, jak panna Hunt krytykuje ją za zaproszenie zwykłej nauczycielki do wspólnej łąki w Vauxhall. - Wilma zbesztła Josepha za to, że pozwolił jej spacerować z księciem McLeithem, a sam czarował pannę Martin. Mówi, że mają się ku sobie.

- Panna Hunt i książę? - powątpiewała Lauren. - Niemożliwe, przecież to taki sympatyczny człowiek.

- Znacząca uwaga. - Lily się uśmiechnęła. - Ale obawiam się, że myślę dokładnie tak samo jak ty, Lauren. Panna Hunt jest podobna do Wilmy, tylko jeszcze gorsza. Wilma przynajmniej ubóstwia swoich chłopców. Nie wyobrażam sobie, żeby panna Hunt była skłonna kogokolwiek ubóstwiać, a ty? Tak sobie pomyślałam, że mogłabyś...

Lauren przerwała jej z błyskiem w oku.

- Lily, czyżbyś zamierzała się bawić w swatkę i mąciwodę? Mogę się pobawić z tobą?

- Zaprosz księcia do Alvesley - podsunęła Lily.

- Na uroczystość rodzinną? - zdziwiła się Lauren. - Czy to nie będzie trochę dziwnie wyglądało?

- Użyj sprytu - zasugerowała Lily.

- Ja? Sprytu? - zaśmiała się Lauren. Ale zaraz się ożywiła. - Christine mówiła mi dzisiaj, że zaprasza pannę Martin na część wakacji do Lindsey Hall. Siostra Christine przywozi tam na lato dziewczynki ze szkoły. Książę McLeith i panna Martin wychowali się w jednym domu, niemal jak

rodzeństwo, i właśnie odnaleźli się na nowo po latach rozłąki. Zwłaszcza on jest tym faktem zachwycony, ona zresztą chyba też. Mogę mu zaproponować, żeby do nas przyjechał - wtedy będą mogli spędzić razem jeszcze trochę czasu, zanim on wróci do Szkocji, a ona do Bath.

- Doskonale - ucieszyła się Lily. - Och, zrób tak, Lauren, a potem zobaczymy, co się uda zdziałać.

- Ależ to podstępne - zauważyła Lauren. -A wiesz, co myśli Susanna? Otóż ona uważa, że Josephowi chyba troszeczkę podoba się panna Martin. Kilka razy zabrał ją na przejażdżkę i dotrzymywał jej towarzystwa na różnych imprezach, na przykład wczoraj w Vauxhall. A dzisiaj tańczyli razem walca. Swoją drogą, ciekawe, gdzie on się teraz podziewa. I ona.

- To byłby chyba najbardziej nieprawdopodobny romans w historii - orzekła Lily, lecz oczy jej zalśniły ożywieniem. - Ale, och, Boże, Lauren, bardzo możliwe, że ona jest dla niego stworzona. Dotąd nie znalazł sobie nikogo takiego. Panna Hunt na pewno się dla niego nie nadaje.

- Wilma chyba pęknie ze złości - napomknęła lekko Lauren.

Wymieniły szelmowskie uśmiechy, a Neville, hrabia Kilbourne, który siedział niedaleko, złożył usta w ciup i zrobił bardzo niewinną minę.

13

Claudia i Susanna wróciły właśnie z wyprawy do biblioteki Hookhama, kiedy zaanonsowano odwiedzin księcia McLeitha. Wprowadzono go do porannego salonu, gdzie Claudia siedziała samotnie, kartkując nowo wypożyczoną książkę. Susanna poszła na górę do pokoju dziecięcego pilnować Harry'ego.

- Claudio - powiedział, idąc ku niej przez pokój. Owczarek z głośnym szczekaniem rzucił się ku niemu i zaczął merdać ogonem. - To twój pies?

- Chyba ja jestem bardziej jego człowiekiem - odparła, patrząc, jak Charlie drapie zwierzę za uszami. -W każdym razie przynajmniej dopóki nie znajdę mu porządnego domu.

- Pamiętasz Horacego? - zapytał.

Horacy! Spaniel, którego uwielbiała w dzieciństwie i który chodził za nią krok w krok, niby jej własny cień z oklapniętymi uszami. Uśmiechnęła się na to wspomnienie i oboje usiedli.

- Wicehrabia Ravensberg z żoną podeszli do mnie wczoraj wieczorem, kiedy wychodziłem z balu - zaczął Charlie. - Zaprosili mnie, żebym spędził parę tygodni w Alvesley Park, zanim pojadę do Szkocji. Podobno zjeżdża się tam spory tłum na rocznicę ślubu hrabiego i hrabiny Redfieldów. Przyznaję, że byłem zaskoczony: nie myślałem, że znamy się na tyle blisko, żebym zasługiwał na takie wyróżnienie. Ale hrabina mi wytłumaczyła, że ty w tym samym czasie będziesz w Lindsey Hall i że mielibyśmy okazję nacieszyć się swoim towarzystwem po tak długim niewidzeniu.

Urwał i przyjrzał się Claudii pytająco.

Ona splotła ręce na kolanach i patrzyła na niego bez słowa. Susanna i wszyscy jej przyjaciele byli, jak widać, oczarowani opowiedzianą przez niego historią ich znajomości - powiedział prawdę, rzecz jasna, ale nie całą prawdę. Niegdyś kochała go z zapalem dziewczęcego serca. Ale choć ich miłość zaczęła się niewinnie i w zgodzie z zasadami przyzwoitości, rozstanie już bynajmniej takie nie było.

Oddała Charliemu dziewictwo na wzgórzu za domem ojca.

On poprzysiągł, że wróci, jak tylko będzie to możliwe, i weźmie ją za żonę. Przysięgał też, przyciskając ją do siebie, kiedy obojgiem wstrząsały łkania, że zawsze będzie ją kochał, że nigdy jeszcze nikt nie kochał tak jak on. Ona oczywiście mówiła mu mniej więcej to samo.

- A więc? - zapytał. - Co o tym myślisz? Mam przyjąć to zaproszenie? Tak mało mieliśmy dotąd czasu na rozmowę, odkąd się znowu spotkaliśmy, a tyle jest przecież do opowiedzenia. Tyle wspomnień do odkurzenia i tyle rzeczy, których jeszcze o sobie nie wiemy. Chociaż mara wrażenie, że nowa Claudia podoba mi się tak samo jak dawna. Przeżyliśmy razem tyle szczęśliwych chwil. Rozumieliśmy się lepiej niż niejeden brat i siostra.

Nosiła w sobie gniew tak długo, że czasami sądziła, że już zniknął, odszedł w zapomnienie. Ale widać niektóre emocje z przeszłości wrastają w człowieka tak głęboko, że stają się częścią jego istoty.

- Ale nie byliśmy bratem i siostrą, Charlie - powiedziała z naciskiem. - A już na pewno nie uważaliśmy się za rodzeństwo przez jakiś rok czy dwa lata przed twoim wyjazdem. Byliśmy zakochani. - Patrzyła mu prosto w oczy. Pies ułożył się na jej stopach i westchnął z zadowoleniem.

- Byliśmy bardzo młodzi - rzekł, a uśmiech znikł z jego twarzy.
- Ci, którzy nie są już tacy młodzi, uważają zawsze, że młodzi nie potrafią prawdziwie kochać, że młodzieńcze uczucia są bez znaczenia.

- Młodym brakuje mądrości, która przychodzi z wiekiem - stwierdził. - To było prawie nieuniknione, żeśmy się w sobie zakochali, Claudio. Ale pewnie z czasem byśmy z tego wyrosli. Ja zresztą już prawie zapomniałem.

W jej sercu wezbrał gniew - nie ze względu na nią samą w tym momencie, ale ze względu na tę młodą dziewczynę, którą kiedyś była. Tę dziewczynę, która potem cierpiała latami.

- Teraz możemy się z tego śmiać - dodał.

Uśmiechnął się. Ona nie.

- Ja się nie śmieję - odparła. - Czemu zapomniałeś, Charlie? Bo tak mało dla ciebie znaczyłam? Bo pamięć o nas była dla ciebie niewygodna? Bo czułeś się winny z powodu tego ostatniego listu, który do mnie napisałeś?

„Jestem teraz księciem, Claudio. Musisz zrozumieć, że to ogromna różnica”.

„Jestem księciem...”

- I zapomniałeś też o tym, że byliśmy kochankami? - zapytała.

Na jego szyję i policzki wkradł się lekki rumieniec. Ona sama próbowała opanować wypieki. Ale nie mogła oderwać od niego oczu.

- To było nierozsądne - stwierdził, pocierając dłonią kark, jakby krawat nagle zrobił się dla niego za ciasny. - Nierozsądne ze strony twojego ojca, że dawał nam tyle swobody. Nierozsądne z twojej strony, kiedy ja miałem wyjechać, bo przecież mogło coś z tego wyniknąć. I nierozsądne z mojej strony...

- Bo przecież mogło coś z tego wyniknąć? - dokończyła, kiedy on się zawahał, szukając słów. - A to by wniosło niepotrzebne komplikacje w twoje nowe życie, jak mi to jasno wytłumaczyłeś w swoim ostatnim liście?

„Nie mogę spoufalać się zanadto z ludźmi, którzy należą do niższej sfery. Jestem teraz księciem...”

- Nie zdawałem sobie sprawy, Claudio, że masz w sobie tyle goryczy - westchnął. - Przykro mi.

- Gorycz pozostawiłam za sobą już dawno - sprostowała, choć nie była do końca pewna, czy to prawda. - Ale nie mogę pozwolić na to, Charlie, żebyś mnie traktował z takim dobrodusznym zadowoleniem, jak

odnalezioną po latach siostrę, nie mogę nie przypominać ci tego, co tak łatwo przyszło ci zapomnieć.

- Wcale nie było mi łatwo - odparł, opadając z powrotem na krzesło i spuszczać wzrok. - Ale byłem wtedy tylko chłopakiem, na którego nagle spadły obowiązki i wielka odpowiedzialność, otworzył się przede mną świat, o jakim dotąd nawet mi się nie śniło.

Nic nie odpowiedziała. Wiedziała, że to, co Charlie mówi, jest prawdą, a jednak...

A jednak wszystko to nie usprawiedliwiało okrucieństwa, z jakim się z nią obszedł. Jak mogła sobie wmawiać, że pozostawiła za sobą ból i gorzyc, skoro od tamtej pory nienawidziła, szczerze nienawidziła wszystkich mężczyzn z książęcym tytułem?

- Czasami zastanawiam się, czy to wszystko zasługiwało na takie poświęcenia - powiedział. - Czy warto było zrezygnować z moich marzeń o karierze prawnika. O tobie.

Wciąż milczała.

- Źle postąpiłem - przyznał wreszcie, wstając zniechęcony i podchodząc do okna. - Myślisz, że nie zdawałem sobie z tego sprawy? Ze przez to nie cierpiałem?

Rozumiała go, naprawdę. Zawsze miała świadomość, że w tamtym czasie musiała się przez jego życie przetoczyć prawdziwa burza. Ale pewnych rzeczy nie da się wybaczyć. A przynajmniej nie da się ich usprawiedliwić za pomocą banalnych wymówek.

Już dawno temu zniszczyła tamten ostatni list razem ze wszystkimi innymi, które go poprzedziły. Ale wiedziała, że ciągle jeszcze potrafiłaby go wyrecytować z pamięci, gdyby zaszła potrzeba.

- Jeśli cię to pocieszy, Claudio, to wiedz, że moje małżeństwo nie było szczęśliwe - ciągnął. - Mona zachowywała się jak prawdziwa sekutnica. Wyjeżdżałem z domu, kiedy tylko się dało.

- Nie ma tu z nami księżnej McLeith i nie może przemówić w swojej obronie.

- Ach, tak. - Odwrócił się do niej. -Widzę, że uparłaś się, żeby się ze mną spierać.

- Nie chcę się spierać, Charlie - odparła. - Chcę tylko, żebyśmy nie ukrywali prawdy. Jak możemy pójść dalej, jeśli pozwolimy sobie na skrzywiony obraz przeszłości?

- Możemy więc jednak pójść dalej? - spytał. - Przebaczysz mi to, co się stało? Będziesz to potrafiła rzucić na karb młodzieńczej głupoty i cię żaru odpowiedzialności, do której zupełnie nie byłem przygotowany?

Trudno to uznać za idealne przeprosiny. Nawet w tej chwili próbował się jeszcze usprawiedliwiać. Czy młodość ma większe prawo do błędów niż wiek dojrzały? Ale przecież łączyło ich wiele lat serdecznej przyjaźni, kilka lat miłości i jedno popołudnie namiętności. A potem rok tęsknych listów miłosnych, zanim przyszedł ten ostatni, który złamał jej serce i życie. Może nie należało go sądzić po tym jednym liście. Może czas wreszcie wybaczyć.

- Dobrze - powiedziała po długiej chwili milczenia. Podszedł do niej, ujął w ręce jedną jej dłoń i uściskał.

- Popełniłem największy w swoim życiu błąd, kiedy... - zaczął. - Zresztą nieważne. Powiedz, co mam zrobić z tym zaproszeniem?

- A co ty byś chciał z nim zrobić? - zapytała.

- Przyjąć je. Lubię Ravensbergów, ich rodzinę i przyjaciół. I bardzo chcę spędzić więcej czasu z tobą. Pozwól mi, Claudio. Pozwól mi znowu być dla ciebie bratem. Nie, nie bratem - poprawił się. - Pozwól mi być dla ciebie przyjacielem. Bo przecież zawsze byliśmy przyjaciółmi, prawda? Nawet pod koniec.

Ciekawe, o który koniec mu chodzi?

- Nie mogłem wczoraj spać - mówił dalej. - Zastanawiałem się, co powinienem zrobić i doszedłem do wniosku, że moje życie stało się uboższe, kiedy znalazłem się daleko od domu twojego ojca i od ciebie. I wiedziałem, że nie mogę przyjąć tego zaproszenia, dopóki ty się na to nie zgodzisz.

Ona też nie mogła wczoraj spać, ale ani razu nie pomyślała o Charliem. Myślała o dwojgu ludzi siedzących bez słowa prawie przez pół godziny na ławeczce pod wierzbą. Frak na jej ramionach, jeszcze ciepły od jego ciała, jego ramię przytrzymujące materiał na jej plecach, jej ręka w jego dłoni. To wspomnienie budziło w niej tyle samo emocji, ile ich pocałunek w ogrodach Vauxhall. Może nawet więcej. To drugie miało w sobie element pożądania. To pierwsze - nie. Wołała się nie zastanawiać, co takiego w sobie miało.

- Jedź więc do Alvesley - rzekła, wysuwając dłoń z jego uścisku. - Może nam się uda stworzyć tam nowe, lepsze wspomnienia na przyszłość.

Poczuła ucisk w gardle, kiedy się do niej uśmiechnął - tym entuzjastycznym uśmiechem, który przypominał jej chłopca, jakim kiedyś był. Nigdy nie sądziła, że ten chłopiec potrafi być okrutny. Czy w takim razie dobrze zrobiła? Czy mądrze będzie znowu mu zaufała? Ale przecież on prosi tylko o przyjaźń. Może dobrze będzie znów się z nim zaprzyjaźnić, zostawić za sobą przeszłość.

- Dziękuję - odparł. - W takim razie nie będę cię już dłużej zatrzymywał, Claudio. Pójdę do siebie i napiszę bilecik do lady Ravensberg, że przyjmuję jej zaproszenie.

Kiedy wyszedł, Claudia zerknęła znowu na książkę z biblioteki. Nie otworzyła jej jednak. Gładziła tylko dłonią skórzaną okładkę, aż pies podniósł się na nogi i położył łeb na jej kolanach.

- No, cóż.. Horacy - powiedziała, głaszcząc go po głowie. - Czuję się tak, jakbym jechała na zwariowanej karuzeli uczuć. To niezbyt miłe dla kogoś w moim wieku. Słowo daję, jeżeli Lizzie Pickford nie będzie chciała jechać ze mną do Lindsey Hall, to chyba pojedę prosto do Bath i niech diabli porwą Charliego... przepraszam za język. I markiza Attingsborough razem z nim. Ale co ja, na litość boską, zrobię z tobą?

Podniósł na nią oczy, nie unosząc łba, i westchnął przeciągle, bijąc ogonem w sofę.

- Otóż to! - stwierdziła. - Wy, mężczyźni, wszyscy uważacie, że nie można wam się oprzeć.

Do lady Balderston przyjechali w odwiedziny krewni z Derbyshire, toteż Joseph został zaproszony na rodzinny obiad, a potem wybierał się do opery.

Wciąż jeszcze nie udało mu się znaleźć czasu, żeby pomówić z Balderstone'em, ale zrobi to. Może nawet dziś wieczór. Powoli zaczynał się wstydzić własnej opieszałości w tej sprawie.

Może też dzisiaj spróbuje zjednać sobie Portię Hunt. Musi przecież mieć w sobie więcej romantyzmu, niż to okazała, kiedy jechali do Vauxhall, a od niego zależy, czy będzie potrafił ten romantyzm z niej wydobyć. Wiedział, że damy na ogół uważają go za czarującego i atrakcyjnego mężczyznę, chociaż rzadko wykorzystywał ten fakt, żeby flirtować czy uwodzić. „Rzadko” było tu słowem kluczowym. Niezręcznie się czuł z powodu sytuacji z panną Martin. A jednak wcale nie miał wrażenia, że

z nią flirtuje czy ją uwodzi. Wolał nie myśleć, czym wobec tego staje się ich znajomość.

Przez cały ranek, kiedy trenował w klubie bokserskim pana Jacksona, był w dość podłym nastroju. Zajeżdżając pod dom Whitleafów na Grosvenor Square, postanowił sobie, że będzie się starał zachować jak największy dystans. Zabiera pannę Martin do Lizzie, gdzie wspólnie przedstawia jej plany na lato i pozwolił podjąć decyzję. Będzie ją traktował uprzejmie, ale bez serdeczności.

Jak zwykle miała na sobie prostą suknię, tę samą co w dniu pikniku, tyle że pewnie od tamtej pory odprasowaną - i ten sam słomkowy kapelusz. Kiedy kamerdyner go zaanonsował, zeszła do holu, trzymając psa na rękach.

Patrząc na nią, miał wrażenie, że zna ją od zawsze, że jest częścią jego rodzinnego domu - cokolwiek by miała znaczyć ta dziwaczna myśl, która nagle przysłała mu do głowy.

- Jesteśmy gotowi - oznajmiła rażno.

- Na pewno chcesz zabierać psa na przejażdżkę, Claudio? - spytał Whitleaf. - Możesz go zostawić z nami.

- Przyda mu się trochę powietrza - stwierdziła. - Ale dziękuję ci, Peter. To bardzo miłe z twojej strony, biorąc pod uwagę fakt, że nie miałeś wielkiego wyboru. Mogłeś go przyjąć pod swój dach albo wyrzucić mnie razem z nim na bruk - roześmiała się.

- W takim razie jedź i baw się dobrze - powiedziała Susanna, ale Joseph zauważył, że mierzy go przy tym badawczym spojrzeniem.

Po raz pierwszy uderzyła go myśl, że przecież Whitleafowie - nie znając prawdziwego powodu, dla którego tak często zabiera pannę Martin na przejażdżki - muszą się zastanawiać, co on, u licha, kombinuje. Zwłaszcza że był już niemal po słowie z inną kobietą. Zdał sobie sprawę, że stawia pannę Martin w dość niezręcznej sytuacji.

Pojechali odkrytą kolaską, chociaż tego dnia nie było akurat tak ciepło, jak ostatnio. Upał nieco zelżał i na niebie pojawiło się parę chmur, od czasu do czasu przesłaniających słońce.

- Co pani powiedziała Susannie na temat dzisiejszego popołudnia? - zapytał.

- Ze jadę na przejażdżkę do parku.

- A poprzednio?

Zejadę na przejażdżkę do parku. - Całą uwagę skupiła na głaskaniu psa.

- I co ona na to?

Spojrzał na nią akurat w chwili, kiedy opuściła głowę, ale zauważył, że się rumieni.

- Och, nic takiego - odparła. - Czemu miałyby coś mówić?

Pewnie myślą, że z nią flirtuje, jednocześnie zalecając się do panny Hunt. Cały szkopał w tym, że nie było to aż tak dalekie od prawdy. Skrzywił się w duchu. Ależ to musi być dla niej przykre.

Zapadło między nimi milczenie, a tego należało dziś za wszelką cenę unikać, postanowił po chwili. Ona chyba miała podobne zdanie, bo przez resztę drogi rozmawiali wesoło o książkach, które oboje czytali. Nie była to jednak, jak się spodziewał, sztuczna, niezręczna rozmowa - wręcz przeciwnie, ożywiona i ciekawa, aż żałował, że droga nie trwa dłużej.

Lizzie czekała na niego w saloniku na górze. Rzuciła mu się na szyję, jak zwykle, a potem przechyliła główkę na bok.

- Ktoś z tobą przyszedł, papo - stwierdziła poważnie. - Czy to panna Martin?

- Tak - potwierdził, a jej twarzyczka rozjaśniła się uśmiechem.

- I nie tylko ja tu jestem - odezwała się panna Martin. - Przypro-wadziłam ci jeszcze kogoś, Lizzie. No, prawie można by go nazwać „kimś”. Przypro-wadziłam ze sobą Horacego.

Horacego? Joseph zerknął na nią z rozbawieniem, ale ona patrzyła na jego córkę.

- Przypro-wadziła pani swojego psa! - zawołała Lizzie, a psiak w tej samej chwili zaszczekał.

- On tylko chce się z tobą zaprzyjaźnić - uspokoiła ją panna Martin, bo Lizzie wzdrygnęła się ze strachu. - Na pewno nie zrobi ci krzywdy. Zresztą mocno go trzymam. Daj mi rękę.

Przeniosła rękę Lizzie na głowę psa i przesunęła w dół grzbietu. Owczarek odwrócił łeb i polizał nadgarstek dziewczynki. Lizzie cofnęła rękę, ale zaraz zaniósła się od śmiechu.

- Polizał mnie! - pisnęła. - Mogę go jeszcze raz dotknąć?

- To owczarek szkocki - wyjaśniła panna Martin, znowu kładąc jej rączkę na głowie psa. - Jedna z najinteligentniejszych ras. Owczarki często pilnują owiec, żeby się nie odłączały od stada i zaganiają je z pastwiska

do zagrody. Oczywiście, Horacy jest jeszcze niewiele większy od szczeniaka i nie był tresowany.

Joseph stanął przy otwartym oknie salonu i przyglądał się, jak jego córka zakochuje się w psie. Po chwili już siedziała na sofie, a pies obok niej; wzdychała z zachwytem, dotykając go swoimi delikatnymi, wrażliwymi dłońmi i śmiała się, kiedy znowu polizał jej rękę, a potem twarz.

- Och, papo! - zawołała. - Patrz na mnie. I na Horacego.

- Patrzę, skarbie.

Przyglądał się też pannie Martin, która usiadła obok psa z drugiej strony i opowiadała Lizzie o tym, jak trafił w jej ręce, ubarwiając opowieść tak, że wydawała się znacznie bardziej komiczna, niż była w rzeczywistości. Joseph miał wrażenie, że całkiem zapomniała o jego obecności, zaaferowana rozmową z jego córką. Łatwo można było zrozumieć, skąd brały się jej nauczycielskie sukcesy i dlaczego w jej szkole wyczuwało się taką przyjazną atmosferę.

- Pamiętam, jak mi mówiłaś, że we wszystkich twoich bajkach pojawia się pies - powiedziała panna Martin do Lizzie. - Może opowiesz mi jakąś historyjkę, a ja ją zapiszę?

- Teraz? - Lizzie ze śmiechem odsunęła się od psa, który znowu entuzjastycznie lizał ją po twarzy.

- Czemu nie? - rzekła panna Martin. - Jeśli twój papa znajdzie tylko papier, pióro i atrament.

Spojrzała na niego, unosząc brwi, więc bez zwłoki wyruszył na poszukiwania. Kiedy wrócił, siedziały na podłodze, drapiąc po brzuchu psa, który wyciągnął się między nimi. Głowy miały blisko siebie i obie chichotały.

Coś w nim drgnęło, głęboko.

Panna Martin usiadła przy małym stoliku i zaczęła zapisywać opowiadanie Lizzie, w której złe wiedźmy i czarnoksiężnicy uprawiali czarną magię w głębi ciemnego lasu, gdzie pewnego dnia zgubiła się mała dziewczynka. Drzewa zarastały jej drogę, korzenie próbowały ją przewrócić i wypuszczały macki, żeby ją pochwycić, nad głową biły pioruny i wkoło czyhało mnóstwo różnorodnych niebezpieczeństw, a jej jedyną nadzieją ocalenia były nieustraszona odwaga i zbłąkany pies, który pojawił się nagle, atakując wszystko, co jej zagrażało, a w końcu, krwawiący i wycieńczony, doprowadził dziewczynkę na skraj lasu, skąd słyszała już, jak

jej matka podśpiewuje w ogrodzie pełnym słodko pachnących kwiatów. Burza z piorunami najwyraźniej szalała tylko w lesie.

- No i proszę. - Panna Martin odłożyła pióro. -Wszystko zapisałam. Przeczytać ci?

I tak też uczyniła. Kiedy skończyła, Lizzie klasnęła w dłonie i roześmiała się głośno.

- To dokładnie moja bajka. Papo, słyszałeś?

- Pewnie - powiedział.

- Teraz będziesz mógł mi ją czytać - cieszyła się.

- A będę - zgodził się. - Ale nie na dobranoc, Lizzie. Może ty byłąbyś w stanie po tym zasnąć, ale ja na pewno nie. Jeszcze się trzęsę ze strachu. Myślałem, że oboje zginą.

- Och, papo! - oburzyła się. - Przecież bohaterowie w bajkach zawsze żyją długo i szczęśliwie. Dobrze wiesz.

Natknął się wzrokiem na spojrzenie panny Martin. Tak, w bajkach, być może. Ale w życiu zwykle bywa inaczej.

- A może, Lizzie, zabierzemy pannę Martin do ogrodu i pokażesz jej wszystkie kwiatki? - zaproponował. - Pies też może z nami iść.

Skoczyła na nogi i wyciągnęła do niego rączkę.

- Chodź ze mną po kapelusz - poprosiła.

Zrobił krok w jej stronę, ale zaraz przystanął.

- Pokaż, jaką jesteś mądrą dziewczynką i sama go przynieś - zaproponował. - Potrafisz to zrobić?

- Pewnie, że tak. - Jej buzia rozjaśniła się w uśmiechu. - Policz do pięćdziesięciu, papo, a jak skończysz, to już będę z powrotem. Ale nie tak szybko, głuptasie - dodała, śmiejąc się wesoło, kiedy zaczął terkotać jedną cyfrę po drugiej.

- Jeden... dwa... trzy... - zaczął od nowa, wolniej, a ona wyszła z pokoju. Po chwili pies wstał z podłogi i podreptał za nią.

- Naprawdę stać ją na wiele - zauważył. - Powinienem był wcześniej o nią zadbać. Moja wina. Ale to tylko mała dziewczynka i wydawało mi się, że wystarczy ją kochać i ochraniać.

- Niech się pan nie obwinia - uspokajała go panna Martin. - Miłość jest więcej warta od jakichkolwiek drogich prezentów. Zresztą nie jest jeszcze za późno. Jedenaście lat to piękny wiek, żeby odkryła, że ma skrzydła.

- Na których ode mnie odleci? - zapytał ze smutnym uśmiechem.
- Tak - przyznała. - A potem do pana wróci.
- Wolność. - Zamyślił się. - Czy to dla niej w ogóle możliwe?
- Tylko ona sama może o tym zdecydować.

Na schodach słysząc już było kroki powracającej Lizzie.

- ...czterdzieści... czterdzieści jeden... czterdzieści dwa... - zaczął liczyć głośno.

- Już jestem! - zawołała od drzwi, zaróżowiona z emocji; pies przemknął obok niej do pokoju. - I mam kapelusz! - Pomachała nim.

- Och, Lizzie, brawo - pochwaliła panna Martin.

Josephowi serce ścisnęło się boleśnie z miłości.

Spędzili w ogrodzie godzinę, zanim pani Smart przyniosła im tacę z herbatą. Lizzie bawiła się w jedną ze swoich ulubionych gier; mianowicie schylała się nad kwiatkami, dotykała ich i je wąchała, a potem odgadywała, co to za roślina. Czasami splatała rączki za plecami i rozpoznawała kwiaty tylko po zapachu. Panna Martin zamknęła oczy i też próbowała, ale myliła się tyle razy, ile odgadywała poprawnie. Lizzie śmiała się uszczęśliwiona. Słuchała też uważnie wykładu panny Martin z botaniki, czasem dotykając różnych części roślin, żeby lepiej zrozumieć, o czym mowa.

Joseph zaś patrzył. Prawie nigdy nie miał okazji obserwować swojej córeczki. Zwykle, kiedy przychodził, stawał się całym jej światem. Dziś miała pannę Martin i psa, i choć często wołała do niego, żeby zwrócić na coś jego uwagę, to w oczywisty sposób świetnie się bawiła w ich towarzystwie.

Czy tak właśnie wyglądałoby jego życie rodzinne, gdyby się ożenił jako młodzieniec, kiedy poznał i pokochał Barbarę? Czy zachwyciłby się swoją żoną i dziećmi, tak jak teraz zachwycił się panną Martin i Lizzie? Czy doświadczałby takiego zadowolenia i szczęścia?

Stykały się głowami, pochylając nad rosnącym w trawie bratkiem. Panna Martin luźno obejmowała Lizzie w talii, a dziewczynka opłótła ręką jej ramiona. Pies biegał wokoło, poszczekując i ganiając motyle.

O, mój Boże, pomyślał nagle Joseph. Niech to szlag, nie wolno mu tak myśleć. Przecież właśnie tego miał się wystrzegać.

Jeszcze będzie miał własne życie rodzinne. Żoną i matką nie zostaną Barbara ani też panna Martin, a żadne z dzieci nie zastąpi mu Lizzie. Ale

będzie je miał. Od dzisiaj stanowczo zacznie zalecać się do Portii Hunt. Jutro odwiedzi Balderstona, a potem oficjalnie jej się oświadczy. Ona na pewno okaże więcej uczuć, kiedy już będą po słowie. Chyba musi pragnąć w małżeństwie czułości, ciepła, rodzinnej bliskości. Oczywiście, że musi.

Przerwał te rozmyślenia, bo pojawiła się pani Smart z herbatą i zasiedli do stolika. Panna Martin naląła herbaty.

- Lizzie - podjęła, kiedy już wszyscy mieli przed sobą filiżanki i ciastka. - Dobrze by było, gdybyś tego lata pobyła więcej na świeżym powietrzu. Podobała ci się wycieczka do Richmond Park, prawda? Byłoby miło, gdybyś znowu mogła spacerować, skakać i biegać, i zrywać różne kwiatki i rośliny, których nawet jeszcze nie znasz. Cieszyłabym się, gdybyś pojechała ze mną na wieś na parę tygodni.

Lizzie, która siedziała obok Josepha, zaczęła go szukać rączką, w której nie trzymała talerza. Chwycił ją mocno za rękę.

- Nie chcę iść do szkoły, papo - powiedziała.

- To nie będzie szkoła - przekonywała panna Martin. - Jedna z moich nauczycielek, panna Thompson, zabiera dziesięć naszych uczennic na kilka tygodni do Lindsey Hall w Hampshire. To taki duży dom na wsi z ogromnym parkiem dookoła. Jadą tam na wakacje; ja też tam będę. Widzisz, niektóre z dziewczynek u nas w szkole nie mają domów i rodziców, więc muszą z nami zostawać w czasie wakacji i świąt. Zawsze się staramy, żeby miały dużo ciekawych zajęć i dobrej zabawy. Pomyślałam, że może chciałabyś pojechać ze mną.

- Ty też jedziesz, papo? - spytała Lizzie.

- Ja przez jakiś czas będę mieszkał w innym domu, niedaleko - odpowiedział. - I będę mógł do ciebie przyjeżdżać.

- To kto mnie tam zawiezie? - zdziwiła się Lizzie.

- Ja - odparła panna Martin.

Spojrzał uważnie na córeczkę. Lekkie rumieńce, które pojawiły się podczas zabawy na świeżym powietrzu, znikły bez śladu.

- Boję się - wyszeptła.

Mocniej ścisnął ją za rączkę.

- Wcale nie musisz tam jechać - rzekł. - Nigdzie nie musisz wyjeżdżać. Znajdę kogoś, kto będzie tu mieszkał i zajmował się tobą cały czas, kogoś miłego, kogo polubisz.

Może panna Martin się z tym nie zgadza? Może jej zdaniem powinien przekonywać Lizzie do rozwijania skrzydeł, do opuszczania przysłowiowego gniazda?

Ale ona milczała. Zresztą wcześniej mówiła coś zupełnie przeciwnego: że Lizzie musi sama podjąć decyzję.

- Te dziewczynki na pewno nie będą mnie lubiły - odezwała się Lizzie.
- Czemu tak myślisz? - spytała panna Martin.
- Bo ja mam dom i papę - wyjaśniła Lizzie.
- Nie sądzę, żeby cię miały za to nie lubić - stwierdziła panna Martin.
- Mogę nic im nie mówić o papie - ożywiła się dziewczynka. - I

udawać, że jestem taka jak one.

Co by odpowiadało opisowi panny Martin przedstawionemu księżnej Bewcastle - sieroty z ulicy, odnalezionej przez agenta szkoły. I markiz nic nie mówi, nie protestuje? Czyżby naprawdę się jej wstydził? Czy tylko podporządkowuje się temu, czego w towarzystwie wymaga się od dżentelmena?

- A czy one będą chciały się ze mną bawić? - dociekała Lizzie, zwracając twarz w stronę panny Martin. - Czy nic będę im przeszkadzać?

I znowu Joseph mógł doceniać szczerą panny Martin, bo nie pospieszyła z natychmiastowym zaprzeczeniem.

- Zobaczmy - powiedziała. - Na pewno będą dla ciebie grzeczne, bo w szkole uczą się dobrych manier. Ale to od ciebie zależy, czy się z nimi zaprzyjaźnisz.

- Ale ja nigdy nie miałam przyjaciół - zmartwiła się Lizzie.
- Wobec tego będziesz miała doskonałą okazję, żeby ich sobie znaleźć - orzekła panna Martin.
- I za kilka tygodni będę mogła tutaj wrócić? - dopytywała się Lizzie.
- Jeśli będziesz chciała.

Lizzie siedziała bez ruchu, nie trzymając się już Josepha. Widać było, że jest bardzo przejęta, bo zaciskała nerwowo palce i kołysała się w przód i w tył, jak zawsze, kiedy się czymś martwiła. Powieki jej trzepotały, a niewidzące oczy błędziły wokół niespokojnie. Bezgłośnie poruszała wargami.

Joseph opanował chęć przytulenia jej do piersi.

- Ale ja się tak bardzo boję - szepnęła znowu.

- W takim razie zostaniesz tutaj - oznajmił stanowczo. - Zaraz zacznę szukać dla ciebie kogoś do towarzystwa.

- Papo, ale ja wcale nie mówiłam, że nie pojedę - wyjaśniła. - Tylko że się boję.

Nie przestała się kołysać i wiercić na krześle; panna Martin milczała, co Joseph miał jej za złe - niesłusznie zresztą.

- W tych bajkach, które mi opowiadasz, papo, jest dużo o tym, że trzeba być odważnym - powiedziała wreszcie. - Ale odwagę można pokazać tylko wtedy, kiedy się boimy. Bo jak się nie boimy, to nie ma po co być odważnym.

- A ty zawsze chciałaś być bardzo dzielna, tak, Lizzie? - zapytała panna Martin. - Jak Amanda w twojej bajce, kiedy została w tym strasznym lesie dłużej, niż musiała, żeby uratować psa, który się złapał w sidła?

- Ale odwaga jest potrzebna nie tylko po to, żeby walczyć ze złymi czarownicami, prawda? - dociekała Lizzie.

- Nie tylko. To również robienie kroku w nieznaną, kiedy łatwiej trzymać się tego, co znajome i bezpieczne.

- Więc myślę, że chcę być dzielna - postanowiła Lizzie po krótkiej chwili namysłu. - Będziesz wtedy ze mnie dumny, papo?

- Zawsze jestem z ciebie dumny, skarbie - zapewnił. - Ale będę się szczególnie cieszył, jeżeli okażesz się na tyle odważna, żeby pojechać. I bardzo szczęśliwy, jeśli będziesz się tam dobrze bawić.

- No, to pojedę - zdecydowała i przestała się kołysać. - Pojadę z panią, panno Martin.

Odwróciła się gwałtownie do Josepha, złapała go za ramię i wdrapała mu się na kolana, tuląc do niego ze wszystkich sił, jakby próbowała się przed czymś schronić.

Objął ją ramionami i odchylił głowę w tył, zamykając oczy. Przełknął ślinę, bo nagle głupie łzy napłynęły mu do oczu. Kiedy je otworzył, zobaczył, że panna Martin przygląda im się poważnie i znowu wygląda jak surowa nauczycielka - albo jak jego serdeczna przyjaciółka.

Nie zastanawiając się, co robi, wyciągnął do niej dłoń poprzez stół, a ona po chwili namysłu wzięła go za rękę.

Ach, życie bywa czasem pełne gorzkiej ironii. Znowu poczuł się tak, jakby odnalazł rodzinę, której zawsze pragnął, ale to tylko złudzenie - zmuszony był oświadczyć się kobiecie, która nawet nie pragnęła jego pocałunków.

Zamknął w dłoni rękę panny Martin i uścisnął ją mocno.

Późnym popołudniem jakieś dwa tygodnie potem Claudia, ubrana w swoją starą, wysłużoną granatową suknię wieczorową, sama upinała sobie włosy, odmówiwszy księżnej Bewcastle, która uprzejmie zaproponowała jej pomoc służącej. Czuła się dziwnie przygnębiona, choć przecież miała wszelkie powody do zadowolenia.

W Lindsey Hall traktowano ją jak honorowego gościa, a nie jak opiekunkę stadka ubogich dziewcząt. A za pół godziny wybierała się z rodziną Bedwynów na uroczysty obiad i towarzyski wieczorek do Alvesley Park. Zobaczy się tam z Susanną i Anne, która dopiero wczoraj przyjechała z Walii z Sydnammem i dziećmi.

Podróż z Londynu przed paroma dniami przebiegła bez większych problemów, jedynie Lizzie rozplakała się, że odjedzie od domu i papy, i przez całą drogę kurczowo trzymała się Claudii. Ale Susanna i Peter, którzy jechali razem z nimi, byli dla niej bardzo mili, pies łąsił się do niej nieprzerwanie, więc do czasu postoju zdążyła się rozchmurzyć. Kiedy niania przyniosła małego Harry'ego jego matce, z zachwytem i przejęciem dotknęła jego małej rączki i pogładziła pokrytą delikatnym puszką główkę.

Dobrze było zobaczyć znowu Eleanor Thompson i dziewczęta, które przybyły do Lindsey Hall, a i one wyglądały na szczerze uradowane jej widokiem. Lizzie przywitały ostrożnie i z ciekawością, ale już pierwszego wieczoru szesnastoletnia Agnes Ryde, ciesząca się autorytetem wśród innych dziewczynek, zdecydowała się przyciągnąć „nową” pod swoje skrzydła, a Molly Wiggins, najmłodsza i najbardziej nieśmiała, wybrała sobie Lizzie na przyjaciółkę od serca i nie odstępowała jej na krok. Zaraz zaproponowała, że może ją uczesać, po czym pociągnęła w stronę ich wspólnego pokoju; Agnes prowadziła ją za drugą rękę.

Dobrze było znowu zobaczyć Florę i Ednę oraz odkryć, że obie cieszyły się nową pracą i nawet trochę puszyły się przed dawnymi koleżankami.

Księżna okazała się przemiłą. Podobnie lord i lady Aidan Bedwynowie, hrabia i hrabina Rosthornowie - młodsza z dwóch sióstr Bedwyn - oraz markiz Hallmere. Książę Bewcastle zachowywał się bardzo uprzejmie. Jednego wieczoru nawet zabawiał Claudię konwersacją przy obiedzie

przez całe dziesięć minut, a jego maniery pozostawały bez zarzutu. Raz nawet lady Hallmere, wracając ze stajni po porannej przejażdżce, przywitała Claudię z uśmiechem, a potem porozmawiała chwilę z Molly i Lizzie, które pracowicie plotły wianki ze stokrotek. Pies biegał wokół nich, goniąc własny ogon i atakując każdego owada, który był na tyle nieroztropny, żeby się do niego zbliżyć.

Lady Hallmere rozdawała łaski jak dumna królowa, która zniża się, żeby porozmawiać z najpodlejszymi ze swoich poddanych, pomyślała Claudia niezyczliwie, ale zaraz sama się zganiła za niesprawiedliwość. Przecież ta kobieta wcale nie musiała do nich podchodzić, spokojnie mogła je zignorować. Poza tym Claudii wciąż jeszcze dźwięczały w uszach słowa markizy wypowiedziane w Londynie: „Długo chowa pani urazę, panno Martin”.

Charlie przyjeżdżał codziennie z Alvesley, a raz poszli na długi spacer dookoła jeziora i rozmawiali bez chwili przerwy. Jakby wróciły dawne czasy - no, może niezupełnie. Wtedy Charlie był dla niej bohaterem, niezdolnym do popełnienia najmniejszego błędu czy złego postępu. Teraz już nie miała takich złudzeń. Był człowiekiem i tak jak wszyscy, podlegał ludzkim słabościom. Ale nie dało się zaprzeczyć, że dobrze się czuła w jego towarzystwie. Nie była pewna, czy kiedyś jeszcze będzie potrafiła mu zaufać, ale on wcale tego od niej nie oczekiwał. Chciał tylko odbudować ich przyjaźń.

I wtedy z Alvesley Park przyszło zaproszenie - w Lindsey Hall zostawała tylko Eleanor, która dobrowolnie podjęła się w tym czasie opieki nad dziewczętami. Nie było to dla niej, jak oświadczyła swojej siostrze i Claudii, żadne wyrzeczenie, bo na większości imprez towarzyskich koszmarnie się nudziła.

I właśnie to zaproszenie należało obarczać winą za jej niespodziewany napad przygnębienia, pomyślała Claudia, odkładając szcztokę i biorąc do ręki wzorzysty szal. Wszyscy wybierali się na uroczysty obiad, chociaż do obchodów rocznicy hrabiego i hrabiny Redfieldów pozostawał jeszcze cały tydzień.

Dzisiejsza uroczystość odbywała się z okazji niedawnych zaręczyn.

Panny Hunt z markizem Attingsborough.

Claudia wmawiała sobie, że jest w złym humorze bez żadnego wyraźnego powodu, ale to był klasyczny przypadek mydlenia oczu.

A więc pojedzie do Alvesley i będzie świętować zaręczyny Josepha. Mogłaby się pewnie łatwo wykręcić, ale uznała, że tchórzostwem byłoby nie pojechać. Zresztą ucieczka od rzeczywistości nie leżała w jej naturze. A poza tym szczerze się cieszyła na spotkanie z Anne i Susanną.

Jakąś godzinę później, kiedy towarzystwo z Lindsey Hall dotarło już do Alvesley, Claudia momentalnie wpadła w wir radosnych powitań. Nim się obejrzała, już roześmiana Anne trzymała ją w ramionach. W tej chwili przestała żałować, że zdecydowała się przyjechać.

- Claudio! - zawołała Anne. - Och, jak cudownie cię widzieć. Wyglądasz świetnie i podobno bierzesz Londyn szturmem, o ile wierzyć Susanie.

Claudia się roześmiała.

- Lekka przesada - powiedziała. - Anne, ty też wyglądasz wspaniale. Aż tryskasz zdrowiem. Ale, ale, czy to opalenizna?

- To zasługa morskiego klimatu - wyjaśniła Anne. - Sydnam wierzy, że to walijskie powietrze tak działa.

Sydnam stał tuż obok, więc Claudia podała mu rękę, pamiętając, żeby wyciągnąć lewą, bo nie miał prawego ramienia. Potrząsnął jej dłonią, uśmiechając się tym swoim czarującym krzywym uśmiechem - poparzenia z prawej strony twarzy zniszczyły część nerwów.

- Claudio - przywitał się. - Miło cię znowu widzieć.

Anne wzięła go pod ramię i spojrzała na Claudię rozświetlonymi oczami.

- Mamy wspaniałe nowiny - zdradziła. - I opowiadamy o tym każdemu, kto tylko chce słuchać. - Popatrzyła na męża ze śmiechem. - No, dobrze, to ja wszystkim o tym opowiadam. Sydnam jest na to za skromny. Jego trzy obrazy zostaną jesienią wystawione w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Czy to nie fantastyczne?

W pobliżu rozległ się głośny pisk i podbiegła do nich hrabina Rosthorn, ściskając Sydnama Butlera ze wszystkich sił.

- Syd! - zawołała. - Czy to prawda? Och, taka jestem szczęśliwa, że chyba się rozplaczę. No i popatrz, już płaczę. Ależ ze mnie głuptas. Wiedziałam, że cię na to stać. Po prostu wiedziałam. Gervase, chodź tutaj i posłuchaj, co oni mówią, i przynieś mi, proszę, chusteczkę.

Pan Butler przed wojną w Hiszpanii, w której stracił prawą rękę i oko, był utalentowanym malarzem. Potem został zarządcą, przekonawszy

księcia Bewcastle'a, żeby mu powierzył część swojego majątku w Walii. Po ślubie z Anne przed dwoma laty za namową żony znowu zaczął malować, używając lewej dłoni i ust.

Claudia wzięła Anne za ramię i uścisnęła ją serdecznie.

- Tak się cieszę, Anne - powiedziała. - A jak tam mały David? I Megan?

David Jewell był synem Anne, urodził się dziewięć lat wcześniej, niż Anno poznała pana Butlera. Kiedy uczyła w szkole w Bath, David mieszkał tam razem z nią. Po ich wyjeździe Claudii brakowało chłopczyka niemal tak bardzo, jak samej Anne.

Ale prawie nie usłyszała, co przyjaciółka odpowiada na jej pytanie, bo właśnie zobaczyła markiza Attingsborough. Rozmawiał z księżną Bewcastle i lady Hallmere. Imponująco wysoki i przystojny, uśmiechał się i sprawiał wrażenie bardzo szczęśliwego.

Wygląda jak ktoś całkiem obcy, pomyślała Claudia. Jednak w tej samej chwili ich spojrzenia spotkały się nad głowami gości rozmawiających w zatłoczonym holu i wiedziała, że to ten sam człowiek, który w przeciągu kilku tygodni spędzonych w Londynie stał jej się tak dziwnie drogi i bliski.

Za moment zorientowała się, że on zmierza w jej stronę. Odwróciła się od Anne, żeby się przywitać.

- Panno Martin. - Podał jej rękę.

- Lordzie Attingsborough. - Odwzajemniła jego gest.

- Co z Lizzie? - spytał, niżając głos.

- Wyjątkowo dobrze sobie radzi - uspokoila go Claudia. - Znalazła już nowe przyjaciółki i plecie wianki ze stokrotek. A Horacy nie ma w sobie za grosz lojalności: porzucił mnie nieodwołalnie i chodzi za nią jak cień. Stajenny księcia robi dla niego obrożę i smycz, żeby mógł prowadzić Lizzie. Pies chyba się orientuje, że ona potrzebuje opieki; myślę, że przy odpowiedniej tresurze mógłby dla niej być niezastąpionym kompanem.

- Wianki ze stokrotek? - Uniósł brwi.

- To wcale nie przekracza jej możliwości - wyjaśniła. - Potrafi przecież znaleźć w trawie stokrotki, a samo plectenie nie jest znowu takie trudne. Chodzi teraz ciągle obwieszona girlandami i wieńcami.

Uśmiechnął się.

- A przyjaciółki?

- Agnes Ryde, najbardziej bojowa z moich uczennic, sama się miano wała jej opiekunką - powiedziała mu. - A Molly Wiggins i Doris Chalmers rywalizują o pozycję jej najlepszej przyjaciółki. Choć myślę, że w zasadzie ta rywalizacja już się rozstrzygnęła, bo Molly pierwsza wpadła na ten pomysł, a do tego dzieli pokój z Lizzie. Są praktycznie nierozłączne.

Twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu. Ale nie zdążyli porozmawiać dłużej, bo panna Hunt, wyjątkowo tego wieczoru śliczna w samych różach, zjawiała się u jego boku i wzięła go pod ramię. Uśmiechnęła się do niego, a Claudii raczyła skinać głową.

- Chodź, musisz porozmawiać z księciem i księżną Bewcastle - za rządziła. - Stoją tam, z mamą i papą.

Skłonił się Claudii i odszedł razem z narzeczoną.

Claudia stanowczo otrząsnęła się z przygnębienia, które dręczyło ją od rana. To doprawdy upokarzające - pragnąć mężczyzny, który należy do innej. Ale oto z jednej strony szła ku niej Susanna, uśmiechając się radośnie na powitanie, a z drugiej podchodził Charlie, z równie serdecznym uśmiechem na ustach. Miała wszelkie powody ku temu, żeby być zadowolona.

I była, naprawdę.

W sumie Joseph czuł się szczęśliwy. Jego oświadczyzny zostały życzliwie przyjęte zarówno przez Balderstonów, jak i przez samą Portię. Lady Balderston nie posiadała się z radości.

Ślub miał się odbyć na jesieni w Londynie. Tak postanowiły lady Balderston i Portia. To wielka szkoda, uważały obie, że nie da się urządzić ślubu w jakimś lepszym terminie, kiedy całe towarzystwo zjedzie do miasta, ale za długo trzeba by czekać do rozpoczęcia wiosennego sezonu, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę nadwątlone zdrowie księcia Anburey.

Od chwili zaręczyn rozmawiały wyłącznie - a przynajmniej zawsze ilekroć Joseph był w pobliżu - o sukniach ślubnych, listach gości i podróżach poślubnych. Wszystko to dawało mu nową nadzieję, że może jednak jego małżeństwo będzie szczęśliwe. Oczywiście, w całym tym zamieszaniu związanym z planowaniem ślubu, a potem z wyjazdem do Alvesley, trudno mu było znaleźć chwilę sam na sam z narzeczoną, ale to się na pewno zmieni, kiedy już będą mieli za sobą dzisiejsze uroczystości. I nie da się ukryć, że cieszył się, widząc całą prawie rodzinę, która zjechała się

tu z tej okazji, łącznie z matką i ojcem, którzy przybyli z Bath. Zjawili się też oboje Balderstonowie, ale mieli wyjechać następnego dnia, zanim na dobre rozpoczyna się obchody rocznicowe.

Portia, jak nakazywały dobre maniery, nie dotrzymywała mu towarzysztwa po obiedzie, kiedy wszyscy przeszli do salonu. Siedziała razem z Neville'em, Lily i McLeithem i popijała herbatę. To Nev zaprosił ją do stolika, ku pewnemu zaskoczeniu Josepha. Wiedział, że ani on, ani Lily za nią nie przepadają. Może próbują się do niej przekonać.

Jedna tylko rzecz stanowiła skazę na jego szczęściu - no, może dwie, jeśli liczyć obecność panny Martin, którą podczas pobytu w Londynie polubił odrobinę za bardzo. Ogromnie tęsknił za Lizzie. Przebywała w Lindsey Hall, tak blisko niego - zawierała nowe przyjaźnie i plotła wianki ze stokrotek, bawiła się z owczarkiem szkockim. Chciał tam być razem z nią, kłaść ją wieczorem do łóżka, czytać jej bajki na dobranoc. Jednak w myśl obowiązujących w towarzystwie zasad dżentelmen nie tylko powinien trzymać swoje nieślubne potomstwo z dala od rodziny i przyjaciół, ale wręcz ukrywać ich istnienie.

- Widzę, Josephie, że myślisz o niebieskich migdałach - odezwała się jego kuzynka Gwen, wdowa po lordzie Muir, siadając obok niego.

- Powiedz mi, Gwen, czemu socjeta ma nad nami taką władzę? - zapytał.

- Interesujące pytanie. - Uśmiechnęła się. - Socjeta, jak każda grupa społeczna, składa się z pojedynczych ludzi; ale z drugiej strony, ma własną, zbiorową osobowość, nieprawdaż? A co jej daje władzę nad nami? Nie wiem. Tradycja? Przyzwyczajenie? Może jedno i drugie? Albo nasz strach, że jeśli pozwolimy sobie na jakieś zaniedbania, to nasze miejsce zajmą klasy niższe, których się tak lękamy? Widmo rewolucji francuskiej, obawiam się, straszy i u nas. Choć to przecież wszystko bzdury. Dlatego ja staram się trzymać z dala od modnego towarzystwa, o ile to możliwe. A czemu pytasz?

Miał wyznaczenie na końcu języka. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby powiedział jej o Lizzie, tak jak przed laty zwierzył się jej bratu. Wiedział, że zrozumiałaby i nie przeżyła wstrząsu. Ale nie mógł tego zrobić. Owszem, była jego kuzynką i przyjaciółką, ale przede wszystkim była damą. Odpowiedział pytaniem na jej pytanie.

- Czy zdarzyło ci się kiedyś, że chciałaś się zaszyć w jakimś najdalszym zakątku świata i zacząć nowe życie gdzieś, gdzie nikt by cię nie znał i niczego od ciebie nie oczekiwał?

- Naturalnie, że tak- odparła. -Ale szczerze wątpię, czy gdzieś na świecie istnieje taki zakątek. - Dotknęła jego dłoni i zniżyła głos. - Czyżbyś zaczął tego żałować, Josephie? Chyba wuj Webster cię do tego nie zmusił?

- Mówisz o moich zaręczynach? - Zaśmiała się niedbale. - Nie, oczywiście, że nie. Portia świetnie nadaje się na księżną.

- Na żonę też? - Przyjrzała mu się uważnie. - Chciałabym, żebyś był szczęśliwy, Josephie. Muszę ci wyznać, że zawsze byłeś moim ulubionym kuzynem. Nie licząc Lauren, oczywiście, bo nie mogę powiedzieć, żebym ciebie kochała bardziej niż ją. Ale Lauren i ja wychowałyśmy się razem niemal jak siostry.

Jak gdyby przywołana własnym imieniem, Lauren pojawiła się nagle obok nich, prowadząc ze sobą pannę Martin.

- Gwen - szepnęła. - Chodź ze mną na moment do jadalni, dobrze? Chciałabym, żebyś mi coś doradziła.

Joseph dostrzegł, że Neville i Lily wychodzą na dwór przez otwarte drzwi balkonowe. Zabierali ze sobą Portię i McLeitha, pewnie szli na krótki spacer.

Tak więc znowu znaleźli się tylko we dwoje, on i panna Martin. Miała na sobie ciemnoniebieską suknię, którą pamiętał z kilku okazji w Londynie. Włosy upięła skromnie, jak zwykle. Znowu wyglądała na typową nauczycielkę; w porównaniu z innymi damami prezentowała się wyjątkowo przeciętnie. Ale on już nie patrzył na nią tymi samymi oczami co kiedyś. Teraz widział w niej tylko siłę charakteru, dobroć, mądrość i... tak, pasję życia, a wszystko to sprawiało, że była mu bardzo droga.

- Cieszy się pani, że znowu może być ze swoimi uczennicami? - zapytał.

- O, tak - odparła. - Moje miejsce jest z nimi.

- Chciałabym je zobaczyć - powiedział. - Chcę zobaczyć Lizzie.

- A ona bardzo tęskni za panem - odrzekła. - Wie, że pan jest niedaleko. Ale jednocześnie jest przekonana, że inne dziewczynki przestaną ją lubić, jeśli się dowiedzą, że ma ojca, i to zamożnego. Powiedziała mi, że jeśli pan przyjedzie, uda, że pana nie zna. Uważa, że to będzie świetna zabawa.

Rzecz jasna, jemu to bardzo odpowiadało. Ale opanowało go nagle przygnębienie na myśl, że teraz oboje mają powody, żeby ukrywać swoje pokrewieństwo.

Panna Martin dotknęła jego dłoni, podobnie jak wcześniej Gwen.

- Naprawdę jest szczęśliwa - uspokoiła go. - Tych kilka tygodni to dla niej wspaniała przygoda, chociaż wczoraj wieczorem powiedziała mi, że nadal nie chce jechać do szkoły. Woli wrócić do domu.

Paradoksalnie, ta wiadomość go pocieszyła, chociaż powinno mu za-
leżeć, żeby Lizzie uczyła się w szkole.

- Może jeszcze zmieni zdanie - wysunęła przypuszczenie panna
Martin.

- Czy to znaczy, że mogłaby się czegoś nauczyć?

- Myślę, że tak. Eleanor Thompson też tak uważa. Naturalnie, wy-
magałoby to wiele zachodu, żeby ułożyć dla niej specjalny rozkład zajęć,
który byłby dla niej z korzyścią, a zarazem nie za trudny. Ale my nigdy
nie cofamy się przed wyzwaniem.

- Co pani daje zadowolenie z życia? - zapytał, nachylając się do niej.
I zaraz pożałował, że pozwolił sobie na tak impulsywne i niedyskretne
pytanie.

- Mam w życiu wiele osób, lordzie Attingsborough, które kocham z
różnych powodów - odpowiedziała. - Nie każdy może się tym pochwalić.

Taka odpowiedź mu nie wystarczała.

- Ale czy nie pragnie pani kogoś jednego, szczególnego? - drążył
dalej.

- Kogoś takiego jak Lizzie? - upewniła się.

Nie o to mu chodziło. Nawet Lizzie nie dawała mu tego, czego po-
trzebował. Och, tak, jej miłość wystarczała mu w zupełności, ale gdzieś
w głębi duszy kryło się pragnienie dzielenia życia z kimś, kto będzie mu
równy, komu odda serce i ciało.

Kompletnie w tym momencie zapomniał, że ma już przecież taką
osobę. Ma przecież narzeczoną.

- Tak- odparł.

- Ale jednak nie o to panu chodziło, prawda? - Zajrzała mu w oczy. -
No cóż, nie wszystkim nam pisana druga połowa. A czasem los chce,
żebyśmy ją utracili. Co można wtedy począć? Siąść i płakać nad swoim
nieszczęściem przez resztę życia? Czy pokochać innych ludzi, dać im za-
czerpnąć z tego źródła miłości, które bije w nas bezustannie, o ile sami go
nie zdusimy?

Odchylił się na oparcie krzesła, nie spuszczać z niej wzroku. Tak,
on miał tego kogoś jednego, szczególnego. Ale ta osoba tkwiła na
marginesie jego życia - i tam będzie musiała pozostać. Pojawiła się zbyt
późno. Cho-

cięż pewnie żadna chwila nie byłaby odpowiednia na ich spotkanie. Panna Martin po prostu nie należała do jego świata - ani on do jej.

- Ja wybieram miłość do innych - ciągnęła. - W moim sercu wystarczy miejsca dla wszystkich moich uczennic, nawet dla tych, które tak trudno kochać. A proszę mi wierzyć, jest ich sporo. - Uśmiechnęła się.

Ale właśnie przyznała się do czegoś, co zawsze podejrzewał, zawsze w niej wyczuwał. W głębi duszy była samotną kobietą. On też był samotny - nawet w ten wieczór, kiedy tak liczne grono rodziny i przyjaciół zgromadziło się, żeby świętować jego zaręczyny, i kiedy właśnie udało mu się przekonać samego siebie, że jest szczęśliwy.

Będzie to musiał wynagrodzić Portii. Postara się ją pokochać całym sercem.

- Powiniennem w takim razie brać z pani przykład, panno Martin - powiedział.

- Może to wystarczy, że kocha pan Lizzie.

Ach, czyli ona wie. A przynajmniej wie tyle, że on nie kocha Portii tak, jak powinien.

- Nie wiem, czy to wystarczy, skoro nie mogę się do niej przyznać przed innymi.

Przechyliła głowę na bok i się zamyśliła. Taka reakcja była dla niej typowa - wiele osób już miałooby na języku jakąś banalną odpowiedź.

- Rozumiem, że czuje się pan winny - odparła. - Może zresztą słusznie. Tylko powody powinny być inne. Na pewno się pan jej nie wstydzi. Widziałam was razem i jestem o tym przekonana. Ale utknął pan pomiędzy dwoma światami: tym, w którym się pan urodził, z którym wiąże pana fakt, że jest dziedzicem książęcego tytułu, i tym, który sam pan dla siebie stworzył w momencie, kiedy urodziła się Lizzie. Oba światy są dla pana równie ważne: jeden, bo stara się pan odpowiedzialnie wypełniać obowiązki, a drugi, bo pociąga pana miłość. I będzie się pan między nimi miotał już zawsze.

- Zawsze - powtórzył ze smutnym uśmiechem.

- Tak. Obowiązek i miłość. Ale przede wszystkim miłość.

Właśnie miał wziąć ją za rękę, niepomny tego, że nie są sami, kiedy podeszli do nich Portfrey i Elizabeth. Elizabeth chciała zapytać o tę niewidomą dziewczynkę, którą, jak słyszała, panna Martin przywiozła ze sobą do Lindsey Hall.

Panna Martin opowiedziała jej więc o Lizzie.

- To naprawdę odważne z pani strony, panno Martin - rzekła Elizabeth. - Bardzo bym chciała ją poznać, i pozostałe dziewczynki też. Mogę? Czy będzie to wyglądało na próżną ciekawość? Widzi pani, Lyndon i ja powiększyliśmy szkołę u nas w domu, tak że wszystkie miejscowe dzieci mogą teraz do niej chodzić, ale zastanawiałam się nad internatem, żeby przyjmować też dzieci, które mieszkają dalej.

- Myślę, że dziewczynki będą zachwycone, jeśli pani je odwiedzi - stwierdziła panna Martin.

- Właśnie uprosiłem pannę Martin, żeby mi pozwoliła zrobić to samo - wtrącił Joseph. - Poznałem dwie z jej uczennic, kiedy wiozłem je do Londynu kilka tygodni temu, a teraz akurat są obie w Lindsey Hall, jedna pracuje jako guwernantka dla lady Hallmere, a druga opiekuje się dziećmi Aidana Bedwyna.

- Ach - ucieszyła się Elizabeth. - W takim razie możemy pojechać razem, Joseph. Panno Martin, czy możemy umówić się na jutro po południu, pod warunkiem że będzie ładnie?

I w ten sposób problem się rozwiązał - tak po prostu.

Jutro zobaczy Lizzie.

I znowu spotka się z panną Martin.

Zauważył, że Lily i Neville weszli do środka.

Portia i McLeith zostali na zewnątrz.

Kiedy wróci, pomyślał Joseph, będzie musiał z nią spędzić resztę wieczoru. Może uda mu się nawet porozmawiać z nią w cztery oczy. Będzie się nią czule opiekował, na Jowisza, nawet jeśli nigdy się w niej nie zakocha. Tyle przynajmniej był jej winien.

Panna Martin wstała, pożegnała go, po czym podeszła do Butlerów i Whitleafów. Już za chwilę promieniowała radością i ożywieniem.

15

Niektóre ze starszych dziewczynek poszły na spacer. W pokoju szkolnym Lindsey Hall jedna z młodszych uczennic nieśmiało i nieudolnie próbowała grać na klawesynie. Jeszcze inna czytała sobie, skulona na pa-

rapecie okna, kolejna haftowała okazałych rozmiarów stokrotkę w rogu bawełnianej chusteczki. Molly czytała na głos *Robinsona Crusoe*, a Becky, starsza córka lady Aidan, przysłuchiwała się z zapartym tchem. Claudia próbowała nauczyć Lizzie robić na drutach - nawlokła dwadzieścia oczek i przerobiła kilka rzędów, żeby łatwiej jej było zacząć. Owczarek leżał u ich stóp z głową opartą na łapach i obserwował je leniwie.

Claudia podniosła oczy, kiedy otworzyły się drzwi. Do pokoju weszła Eleanor, która do tej pory nieśpiesznie jadła śniadanie w towarzystwie siostry.

- Panno Martin - powiedziała. - Księżę McLeith znowu przyjechał z Alvesley i chciałby się z panią widzieć. Ja mogę teraz popilnować dziewcząt. O, Lizzie uczy się robić na drutach? Może będę mogła pomóc. Przepraszam cię, Molly, że przerwałam. Czytaj dalej.

Patrzyła na Claudię z wesołym błyskiem w oczach. Po ostatniej wizycie Charliego odbyły długą pogawędkę. Eleanor była przekonana, że nie kierują nim wyłącznie braterskie uczucia.

Claudia znalazła go w porannym salonie na parterze, pogrążonego w rozmowie z księciem Bewcastle'em i lordem Aidanem. Ale obaj wkrótce się wycofali.

Usiadła, ale Charlie nie poszedł w jej ślady. Przeszedł przez pokój do okna i wyjrzał na zewnątrz. Poruszał nerwowo palcami splecionych za plecami rąk.

- Odkąd zmusiłaś mnie, żebym spojrzał wstecz, Claudio, wspomnienia zalały mnie jak rzeka - odezwał się. - Przypomniałem sobie nie tylko fakty, bo te łatwo umykają z pamięci. Przypomniałem sobie uczucia, które nie giną nigdy. Można je tylko w sobie stłumić. W ostatnim tygodniu nie myślałem o niczym innym, jak tylko o tym, jak bardzo byłem nieszczęśliwy, kiedy cię zostawiłem, jak nie potrafiłem przyjechać, żeby spojrzeć ci w oczy, gdy postanowiłem ożenić się z kimś innym. Wiesz przecież, że naprawdę nie miałem wyboru. Musiałem wziąć za żonę...

- Kogoś z twojego świata - przerwała mu. - Kogoś, kto nie przyniósłby ci wstydu niskim urodzeniem i nieodpowiednim wychowaniem.

Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Nie o to chodziło - tłumaczył. - Nigdy tak o tobie nie myślałem, Claudio.

- Czyżby? Czy to znaczy, że ktoś, kto wysłał mi ten ostatni list, podrobił twoje pismo?

- Nic takiego nie napisałem - zaprotestował.
- Było ci przykro, że piszesz tak bez ogródek - zacytowała z pamięci - ale, jak napisałeś, właściwie źle się stało, że mój ojciec cię przygarnął, skoro istniała możliwość, że pewnego dnia zostaniesz księciem. Powinieneś był otrzymać dom i wychowanie stosowne do pozycji. To, że przez tyle lat mieszkałeś z nami, stawiało cię w złym świetle w oczach ludzi równych ci urodzeniem. Powinnaś zrozumieć, że musisz zerwać ze mną wszelkie kontakty. Zostałeś księciem. Nie wolno ci było spoufalać się z ludźmi, którzy należą do niższej sfery. Postanowiłeś poślubić lady Monę Chesterton, która miała wszystko, co powinna mieć twoja żona i przyszła księżni.
- Claudio! - Aż pobladł z przerażenia. - Ja tego nie napisałem.
- Ciekawe kto w takim razie - odparowała. - Stracić ukochaną osobę to najgorsze, co może spotkać człowieka. Ale zostać przez tę osobę odrzuconym, bo jest się mniej wartym, pogardzanym, niewystarczającym... Lata całe zajęło mi odzyskiwanie poczucia godności i wiary w siebie. I leczenie złamanego serca. Jeszcze się dziwisz, że na twój widok nie wpadłam w zachwyty, kiedy znowu się spotkaliśmy te parę tygodni temu w Londynie?
- Claudio! - Przechesał ręką przerzedzoną czuprynę. - O, mój Boże! Musiałem być wtedy tak skołowany, że nie wiedziałem, co piszę.
- Nie uwierzyła w to ani przez chwilę. To książęcy tytuł uderzył mu wtedy do głowy. Stał się zarozumiałym, aroganckim człowiekiem, zdolnym do postępków, o które nigdy by go nie podejrzewała.
- Usiadł na krześle pod oknem i wbił w nią wzrok.
- Wybacz mi - poprosił. - Boże, Claudio, wybacz mi. Byłem chyba jeszcze większym idiotą, niż mi się wydawało. Ale przecież udało ci się odzyskać wiarę w siebie. Bo też jest w kogo wierzyć.
- Tak sądzisz?
- Udowodniłaś, że jesteś silna, zawsze to wiedziałem. A ja już spłaciłem swój dług wobec tej siły, która dwukrotnie wyrwała mnie z objęć rodziny: raz, gdy miałem pięć lat, a drugi gdy miałem lat osiemnaście, i rzucała w kompletnie obce mi środowisko. Nie ma już żadnych powodów, dla których nie moglibyśmy wrócić do tego, co nas kiedyś łączyło. Prawda?
- O co mu chodzi? Do czego on chce wracać?
- Mam swoje życie - rzekła. - I jestem odpowiedzialna za wiele innych osób. Prowadzę szkołę. A ty musisz wypełnić zobowiązania, w których nikt inny cię nie zastąpi. Masz syna.

- Nie istnieją przeszkody nie do pokonania - oświadczył. - Byliśmy rozdzieleni przez osiemnaście lat, Claudio, to połowa mojego życia. Czy to znaczy, że tak musi pozostać do końca naszych dni tylko dlatego, że ty masz swoją szkołę, a ja syna, który nawiasem mówiąc, jest już prawie dorosły? Czy może nareszcie za mnie wyjdiesz?

Później obawiała się, że w tym momencie ze zdumienia szeroko otworzyła usta.

Gdyby się tego spodziewała, gdyby uwierzyła Eleanor, może byłaby lepiej przygotowana, pomyślała. Tymczasem siedziała osłupiała i patrzyła na niego bez słowa.

Podszedł do niej i pochylił się, żeby wziąć obie jej ręce w swoje dłonie.

- Przypomnij sobie, co było między nami, Claudio - mówił żarliwie.
- Przypomnij sobie naszą miłość i namiętność, która przesłaniała nam wszystko inne. Przypomnij sobie, jak kochaliśmy się na wzgórzu... to był chyba jedyny raz w moim życiu, kiedy się z kimś kochałem, a nie tylko dawałem upust żądzy. Te lata rozłąki były długie i ciężkie, ale jeszcze nie jest dla nas za późno. Wyjdź za mnie, moja ukochana, a wynagrodzę ci tamten list i osiemnaście lat pustki.

- Moje życie nie było puste, Charlie - zaoponowała.

Chociaż, tak naprawdę, było, przynajmniej pod pewnymi względami.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Powiedz, że mnie nie kochałaś - nalegał. - Ze teraz mnie nie kochasz.

- Kochałam cię. - Zamknęła oczy. - Wiesz, że cię kochałam.

- I kochasz.

Emocje kłębiły się w niej, kiedy wspominała dawno minioną miłość, jej fizyczne spełnienie, trwającą rok udrękę rozłąki, a wreszcie bezlitosny, raptowny koniec. Nie potrafiła odwrócić biegu wydarzeń, zapomnieć, że nawet jako chłopiec był zdolny skrzywdzić tę jedną osobę, którą, jak wcześniej twierdził, kochał nad życie.

A zresztą za późno już na powroty.

Pojawił się ktoś inny.

- Charlie - powiedziała. - Przez tych osiemnaście lat oboje się zmieniliśmy. Jesteśmy teraz zupełnie innymi ludźmi.

- To prawda - przyznał. - Ja straciłem trochę włosów, a ty z dziewczyny wyrosłaś na kobietę. Ale w głębi serca, Claudio? Czy nie jesteśmy

tacy sami, wczoraj, dziś i jutro? Nigdy nie wyszłaś za mąż, chociaż konkurentów ci nie brakowało, nawet przed moim wyjazdem. To chyba o czymś świadczy. A ja już ci mówiłem, że nie byłem szczęśliwy z Moną, chociaż rzadko ją zdradzałem. Rzadko? Och, Charlie!

- Nie mogę za ciebie wyjść - powtórzyła, nachylając się ku niemu.

- Gdybyśmy się wtedy pobrali, pewnie kochałabym cię przez całe życie. Ale nie pobraliśmy się wtedy.

- A więc miłość może umrzeć? - spytał. - Czy ty w ogóle mnie kochałaś?

Targnął nią gniew. A czy on w ogóle ją kochał?

- Pewne rodzaje miłości umierają, kiedy się ich nie karmi - odparła.

- Od czasu naszego ponownego spotkania w Londynie znów stajesz mi się bliski: jak przyjaciel, którym byłeś dla mnie w dzieciństwie.

Zaciskał szczęki, jak zawsze, kiedy czuł niezadowolenie lub złość, przypomniawszy sobie.

- Za wcześnie ci o tym powiedziałem - stwierdził. - Muszę przyznać, że sam byłem zaskoczony gwałtownością moich pragnień. Zostawię ci czas, żebyś spróbowała odzyskać dawne uczucia. Nie dawaj mi dzisiaj zdecydowanej odmowy. Już to wprawdzie zrobiłaś, ale umówmy się, że zapomnimy o tym, co powiedziałaś. Pozwól mi cię znowu zdobywać, że bym wymazał z twojej pamięci to, co kiedyś do ciebie napisałem.

Jeszcze raz uściskał jej dłonie, zanim je puścił.

- Mój Boże, Charlie - jęknęła. - Spójrz tylko na mnie. Jestem trzydziestopięcioletnią starą panną, która uczy w szkole.

Uśmiechnął się powoli.

- Jesteś Claudią Martin - odrzekł. - Odważną, pełną życia dziewczyną, którą kochałem, w przebraniu starej panny. Gdybyś mogła wtedy spojrzeć w przyszłość, powiedziałaśbyś pewnie: „A to dobry kawał!”

Gdyby mogła wtedy spojrzeć w przyszłość, skamieniałaby z przerażenia.

- To nie przebranie - sprzeciwiła się.

- Wybacz, ale uważam inaczej - oświadczył. - Teraz muszę już jechać, obiecałem w Alvesley, że wrócę na lunch. Ale przyjadę znowu, jeśli pozwolisz.

Kiedy wyszedł, Claudia długo siedziała bez ruchu, wbijając wzrok w dłonie złożone na kolanach. Jakie dziwne bywa życie. Przez lata całym

jej światem była szkoła, dawno pogrzebała marzenia o miłości, roman-
sach i małżeństwie. A jednak, kiedy podjęła pozornie niewinną decyzję,
że pojedzie z Florą i Edną do Londynu, żeby osobiście pomówić z panem
Hatchardem, jej życie - i cały jej świat - zmieniło się bezpowrotnie.

Z niepokojem zastanawiała się, czy kiedy już wróci do Bath, będzie
potrafiła odzyskać względny spokój i zadowolenie z życia.

Rozległo się dyskretne pukanie i w drzwiach ukazała się Eleanor.

- Ach, jeszcze tu jesteś - powiedziała, wchodząc do środka. - Widzia-
łam przez okno, że księżę już pojechał. Louise dalej gra na klawesynie,
ale wszystkie inne dziewczynki poszły na dwór, oprócz Molly i Lizzie.
Becky zabrała je do pokoju dziecinnego, żeby im pokazać swoją małą sio-
strzyczkę, Hannah, nową guwernantkę i całą gromadkę małych kuzynów
i kuzynek. Lizzie świetnie daje sobie radę, Claudio, minio że dzisiaj rano
znalazłaś ją w łóżku zapłakaną.

- To wszystko jest dla niej bardzo nowe i ekscytujące, ale na pewno
też czuje się zagubiona - stwierdziła Claudia.

- Biedactwo - wzruszyła się Eleanor. - Zastanawiam się, jak do tej
pory wyglądało jej życie. Pan Hatchard nic nie mówił?

- Nie - odparła Claudia.

- Księżę McLeith nie zabawił dzisiaj długo. - Eleanor zmieniła temat.

- Przyjechał poprosić mnie o rękę - wyjawiała Claudia.

- Niemożliwe! - Eleanor otworzyła szeroko oczy. - I...?

- Odmówiłam mu, rzecz jasna - odpowiedziała spokojnie Claudia.

- Jak to: rzecz jasna? - Eleanor opadła na najbliższe krzesło. - Jesteś
pewna, Claudio? Czy chodzi ci o szkołę? Nigdy nic nie mówiłam, bo wy-
dawało mi się to nie na miejscu, ale często sobie myślę, że miałabym ochotę
ją prowadzić. I wydaje mi się, że potrafiłabym godnie cię zastąpić. Wspo-
mniałam o tym kiedyś Christine, a ona oznajmiła, że to wspaniały pomysł,
i nawet obiecała dać mi pieniądze w formie pożyczki albo po prostu jako
prezent, jeśli bym zgodziła się je przyjąć... i oczywiście jeśli kiedykolwiek
zaistniałaby taka sytuacja. A Wulfric, który akurat czytał wtedy książkę,
podniósł tylko głowę i powiedział, że w grę wchodzi wyłącznie prezent.
Jeśli więc odmówiłaś, bo martwisz się o to, co się stanie ze szkołą, to...

- Och, Eleanor - roześmiała się Claudia. - Wcale nie dlatego. Cho-
ciaż, gdybym chciała za niego wyjść, pewnie rzeczywiście bym się tym
przejmowała.

- Ale nie chcesz? - zdziwiła się Eleanor. - To przecież taki uroczy człowiek i widać, że za tobą przepada. A poza tym pewno góry pieniędzy, jeśli spojrzeć na sprawę interesownie. Oczywiście, jest księciem, co od razu stawia go na gorszej pozycji, biedaka.

- Kochałam go kiedyś - wyznała Claudia. - Ale teraz to przeszłość. A zresztą jestem całkiem zadowolona z życia, jakie mam. Dawno już minęły czasy, kiedy myślałam o małżeństwie. Wolę zachować niezależność, nawet jeśli mój majątek jest dość skromny.

- Ja tak samo - przyznała Eleanor. - Też kiedyś byłam zakochana, i to do szaleństwa. Ale on zginął na wojnie w Hiszpanii i jakoś od tamtej pory nie czułam potrzeby, żeby szukać kogoś, kto by go zastąpił w moim sercu. Wolę być sama. Ale jeżeli zmienisz kiedyś zdanie, wiedz, że w sprawie szkoły zawsze możesz na mnie liczyć.

Zaśmiała się; Claudia też się uśmiechnęła.

- Będę o tym pamiętać - zapewniła -jeśli jeszcze kiedyś zakocham się w kimś bez pamięci. Dziękuję ci, Eleanor.

Do południa na niebie nie zostało już ani śladu po porannych chmurach. Wobec tego jeszcze parę osób zdecydowało się pojechać do Lindsey Hall z Josephem i Elizabeth - Lily i Portfrey, Portia i troje kuzynów Kita. Lily próbowała namówić McLeitha, żeby się z nimi wybrał, ale on był już w Lindsey Hall wcześniej tego ranka.

Kiedy wjechali na teren posiadłości, Joseph zauważył na dworze wiele osób, w tym mnóstwo dzieci - wśród nich były pewnie także dziewczęta panny Martin. Wodził wzrokiem, usiłując wypatrzeć z daleka znajomą sylwetkę.

Zostawił swojego konia przy stajni, podobnie jak pozostali. Portia, Lily i Elizabeth wróciły razem z nim na trawnik przed domem, pozostali weszli do środka.

Dziewczynki tańczyły wokół ustawionego na środku trawnika masztu przy akompaniamencie śpiewu jednej z nich oraz śmiechów i wrzawy pozostałych. Joseph nie dostrzegął wśród nich Lizzie, dopóki nie zorientował się ze zdumieniem, że tańczy razem z innymi. To właśnie ona wywoływała najwięcej zamieszania - i okazywała największą radość.

Trzymała się kurczowo oburącz jednej ze wstążek oplatających maszt i stawiała dziarskie, choć nieporadne kroki. Panna Martin szła za nią,

obejmując ją w talii. Ona również głośno się śmiała. Była bez kapelusza, włosy miała w nieładzie i policzki mocno zaróżowione.

Lizzie pokrzykiwała ze szczęścia głośniejszym głosem niż inne dziewczynki.

- Jakie to słodkie - odezwała się Elizabeth bez żadnej drwiny w głosie.

- Czy to jest ta ślepa dziewczynka, o której mówiliście? - rzuciła Portia w przestrzeń. - Tylko psuje zabawę innym. I robi z siebie pośmiewisko, biedactwo.

Lily roześmiała się i zaczęła klaskać w rytm piosenki.

W tym momencie kilka dziewczynek zauważyło nowo przybyłych; taniec został przerwany, bo wszystkie stanęły w miejscu, przyglądając się gościom, po czym grzecznie dygnęły.

Lizzie chwyciła spódnicę panny Martin.

- Taniec majowy w czerwcu? - zawołała Lily. - W sumie, czemu nie? Świetny pomysł.

- Agnes to wymyśliła - wyjaśniła panna Martin. - Miałyśmy grać w piłkę, ale wtedy Lizzie Pickford, która jest tu z nami na wakacjach, nie mogłaby się bawić.

Zerknęła przelotnie na Josepha.

- Lizzie wie już, że trzeba się trzymać wstążki - ciągnęła. - I nawet potrafi tańczyć w kole, nie wpadając na nikogo i nie gubiąc rytmu.

- W takim razie trzeba ją nauczyć właściwych kroków - zawyrokowała Portia - żeby nie wyglądała tak niezdarnie.

- Mnie się wydaje, że radziła sobie wyjątkowo dobrze - sprzeciwiła się Elizabeth.

- Ja też tak myślę - przyłączył się Joseph.

Lizzie przechyliła główkę na bok, a jej buzię rozjaśnił sekretny uśmiech. Przez chwilę pragnął, żeby go zawołała i wyciągnęła do niego rączki, co wreszcie położyłoby kres tej nieznośnej maskaradzie.

Ale za moment podniosła twarz w kierunku panny Martin i zrobiła szelmowską minę. Panna Martin objęła ją za ramiona.

- Nie przeszkadzajcie sobie - powiedziała Elizabeth. - Nie mieliśmy zamiaru wam przerywać.

Joseph widział z daleka, że jakieś młodsze dzieci - ale nie uczennice - mocują się na trawniku z Hallmere'em, piszcząc i krzycząc z uciechy. Lady Hallmere stała z boku i dopingowała. Pies, uwiązany do drzewa niedaleko masztu ze wstążkami, siedział i leniwie obserwował otoczenie,

bijąc ogonem w ziemię. Księżna spieszyła w ich stronę, zostawiwszy gromadkę małych dzieci nieco dalej na trawie.

- Chyba wszyscy już się zmęczyli - zauważyła panna Martin. - Pora na coś mniej wyczerpującego.

- Pogramy w piłkę? - rzuciła jedna ze starszych dziewczynek.

Panna Martin jęknęła, ale inna dama, w której Joseph rozpoznał pannę Thompson, tę nauczycielkę, którą widział w dniu wyjazdu z Bath, podeszła do nich razem z księżną.

- Jeśli chcecie grać, to ja mogę sędziować - zaoferowała się.

- Horacy ma nową obrozę i smycz - oświadczyła głośno Lizzie. - Ja się go mocno trzymam, a on mnie prowadzi, żebym się nie przewróciła ani na nic nie wpadła.

- Bardzo sprytnie - pochwaliła Elizabeth. - Może nam pokażesz?

- To dziecko powinno się nauczyć, że nie należy się odzywać bez pytania - zwróciła się Portia do Josepha półgłosem. - Ślepotą nie jest żadną wymówką dla braku dobrych manier.

- Ale może jest nią dziecięca radość życia - odpowiedział, przyglądając się, jak Lizzie chwytając rączką powietrze, czekając, aż panna Martin odwiąże psa i poda jej smycz. Całą siłą woli zmuszał się, żeby nie podbiec z pomocą.

- Jak chcesz, Lizzie, to mogę z tobą pospacerować. - Jedna z dziewczynek, mniej więcej w wieku Lizzie, wzięła ją za rękę.

Lizzie odwróciła się w jego stronę.

- Czy... pan... też by chciał iść z nami? - zapytała.

- Też coś! - wykrzyknęła Portia. - Bezcelność!

- Z przyjemnością - odparł. - Panno... Pickford, czy tak?

- Tak - roześmiała się radośnie.

- Panna Martin też powinna pójść - zasugerowała Lily.

- A my wszyscy zostaniemy tutaj i będziemy się oddawać słodkiemu nieróbstwu - orzekła księżna. - A potem pójdziemy do domu napić się herbaty. Och, jak się cieszę, żeście przyjechali.

Pies ruszył truchtem przed siebie, a Lizzie i jej towarzyszka pobiegły za nim, krzycząc z uciechy. Ale owczarek chyba zdawał sobie sprawę z powierzonej mu odpowiedzialności, bo zaraz zwolnił kroku. Przeszedł na drugą stronę podjazdu, a potem szerokim łukiem ominął kamienną

fontannę, stojącą naprzeciwko drzwi frontowych, i poprowadził dziewczynki na drugą stronę domu, trzymając się z dala od drzew.

- Mam nadzieję, panno Martin, że nie jest pani zbyt przywiązana do tego psa - odezwał się Joseph, zakładając ręce za plecami. - Jakoś nie widzę, żeby Lizzie była skłonna się z nim rozstać po wakacjach. Naprawdę psiak wygląda teraz nad podziw zdrowo. Czy mi się zdaje, czy zrobił się dwa razy grubszy?

- Zdaje się panu, dzięki Bogu. - Uśmiechnęła się. - Ale przynajmniej zebra mu już tak nie sterczą i sierść wydaje się bardziej lśniąca.

- No i Lizzie - podjął. - Nie mogę uwierzyć, że idzie sobie teraz za rękę z inną dziewczynką, prowadzona przez psa. I że wcześniej tańczyła.

- A dziś rano robiła na drutach - dodała panna Martin. - Choć obawiam się, że więcej oczek spuściła, niż przerobiła.

- Jak mam pani dziękować? - Pochylił ku niej głowę.

- Albo ja panu - odparła z uśmiechem. - Postawił pan przede mną wyzwanie. Czasem rutyna nas zaślepia, och, pan wybaczy, tak mi się tylko powiedziało.

Dziewczynki, ciągnięte przez psa, kierowały się w stronę dużego jeziora. Joseph natychmiast przyspieszył kroku, ale panna Martin złapała go za rękaw.

- Poczekajmy - rzekła. - Mało prawdopodobne, żeby Horacy wszedł do wody, a jeśli nawet, to przecież jest jeszcze Molly.

Ale pies zatrzymał się nad samym brzegiem, a z nim obie dziewczynki. Molly poprowadziła Lizzie naprzód, po czym obydwie uklęknęły i dotknęły lustra wody, Lizzie z początku dość niepewnie.

Joseph podszedł do nich i przykucnął obok córeczki.

- Na brzegu leży dużo kamieni - powiedział, podnosząc jeden z ziemi. - Jak się je wrzuci do wody, im dalej, tym lepiej, to słyhać taki śmieszny plusk. Posłuchajcie!

I zademonstrował rzut kamieniem. Molly przypatrywała mu się z obawą, ale Lizzie odwróciła głowę i zaczęła poruszać noskiem; wiedział, że czuje jego znajomy zapach. Uśmiechnęła się, kiedy rozległ się głośny plusk i wzięła go za rękę.

- Niech mi pan pomoże znaleźć kamień - poprosiła.

Uściskał jej rączkę, a ona oddała uścisk. Widział po minie, że jest zachwycona tą zabawą w udawanie nieznanym.

Przez następnych kilka minut zabawiła się rzucaniem kamieni, które dla niej wynajdywał. Jej nowa przyjaciółka przełamała opory i też włączyła się do zabawy. Śmiały się obie, kiedy jakiś kamień wywoływał wyjątkowo głośny plusk. Wreszcie Lizzie się zmęczyła.

- Może już wrócimy, Molly? - zaproponowała. - Nie chcesz się z nimi pobawić w piłkę? Mną się nie przejmuj. Mogę posiedzieć z boku i posłuchać.

- Nie, nie. Posiedzę z tobą i popatrzę, jak grają - powiedziała Molly. - I tak nigdy nie potrafię złapać piłki.

- Panno Martin - odezwała się Lizzie. - Czy może pani zostać tu razem z p... razem z tym panem, kiedy my będziemy wracać? Chcę pokazać, że potrafimy to zrobić same. Myśli pan, że damy sobie radę?

- Będę pod ogromnym wrażeniem, jeśli wam się uda - zapewnił. - No, to ruszajcie. Panna Martin i ja popatrzymy.

I poszły, prowadzone znowu przez psa.

- Tak szybko wyrosły jej skrzydła? - zapytał z żalem, kiedy już były poza zasięgiem głosu.

- Chyba tak - odparła panna Martin. - Mam nadzieję, że nie stanie się zbyt pewna siebie. Ale nie wydaje mi się. Wie, że potrzebuje Molly albo Agnes, albo innej z dziewcząt, no i oczywiście Horacego. To lato będzie dla niej bardzo dobrym doświadczeniem.

- Może usiądziemy? - zaproponował. Usiedli więc obok siebie na pochyłym brzegu jeziora. Ona przyciągnęła do siebie kolana i oplótła je ramionami.

Podniósł z ziemi jeszcze jeden kamień i puścił kaczkę na wodzie.

- O - ucieszyła się. - Też tak potrafiłam, kiedy byłam mała. A pewnego pamiętnego dnia udało mi się tak rzucić kamień, że podskoczył aż sześć razy. Niestety, nie miałam na to żadnego świadka i nikt mi potem nie uwierzył.

Zaśmiał się pod nosem.

- Słowo daję, dla uczennic to ogromne szczęście mieć taką dyrektorkę.

- Niech pan nie zapomina, że są wakacje - powiedziała. - W czasie roku szkolnego zachowuję się zupełnie inaczej. Jestem bardzo surowa i wymagająca, lordzie Attingsborough. Muszę taka być.

Przypomniał sobie tamten dzień, kiedy wyjeżdżali z Bath, jaka cisza zapanowała wśród rozgadanych dziewcząt w chwili, gdy panna Martin stanęła w drzwiach.

- Dyscyplinę można też wprowadzać bez humoru i wrażliwości - stwierdził. - A pani używa jednego i drugiego. Co do tego jestem pewien.

Nic nie odpowiedziała, tylko ciałniej opłótła kolana rękami.

- Nie zdarza się pani czasem marzyć o innym życiu? - zapytał zniechęcony.

- Mogłam je mieć - przyznała. - Właśnie dziś rano otrzymałam propozycję małżeństwa.

McLeith! Mówił, że odwiedził ją dziś rano.

- McLeith? - upewnił się. - I co to znaczy: mogłam? Odmówiła mu pani?

- Tak - przyznała. Ogromnie był z tego rad.

- Nie potrafi mu pani przebaczyć?

- Przebaczenie to nie taka prosta sprawa - odrzekła. - Niektóre rzeczy można przebaczyć, ale zapomnieć nigdy. Przebaczyłam mu, ale już nigdy nie będzie między nami tak, jak dawniej. Mogę co najwyżej uważać go za przyjaciela, ale nic więcej. Nie potrafiłabym zaufać, że nie postąpi podobnie jak kiedyś.

- Czyli już go pani nie kocha? - spytał.

- Nie.

- A więc miłość nie trwa wiecznie?

- On spytał mnie dziś o to samo. Nie, miłość nie jest wieczna, zwłaszcza miłość zdradzona. Człowiek przekonuje się wtedy, że kochał jedynie złudzenie, kogoś, kto naprawdę nie istnieje. Miłość wprawdzie nie umiera od razu ani nawet wkrótce potem. Ale w końcu ginie i już nie da się jej przywrócić do życia.

- Nigdy nie sądziłem, że przestanę kiedyś kochać Barbarę - zwierzył się. - Ale tak się stało. Patrzę na nią z czułością, ilekroć się widzimy, ale wątpię, czy byłbym w stanie znowu ją pokochać, nawet gdybyśmy oboje byli wolni.

Patrzyła teraz wprost na niego, więc i on odwrócił się do niej.

- To pewna pociecha - mówiła - że miłość w końcu umiera. Nie-wielka pociecha, to prawda, ale zawsze coś.

- Tak pani myśli? - spytał cicho.

Nie wiedział, czy mówi teraz o nich, ale w powietrzu między nimi aż iskrzyło.

- Nie - szepnęła. - Wcale nie. Opowiadałam bzdury. Przyszła obojętność nie jest żadną pociechą, kiedy w chwili obecnej dopada nas cierpienie.

A kiedy nachylił się do jej ust, nie odwróciła głowy. Jej wargi zdrzętały pod jego dotykiem, oddały pocałunek i rozchyliły się, pozwalając mu badać językiem ciepłe wnętrze jej ust.

- Claudio - westchnął kilka chwil później, zamykając oczy i opierając się czołem o jej czoło.

- Nie! - rzuciła stanowczo. Odsunęła się od niego i wstała. Tkwiła tak przez chwilę, spoglądając na jezioro.

- Przepraszam - szepnęła tylko. I naprawdę żałował - tego, jak się wobec niej zachował i jaki brak szacunku okazał przy tym Portii, z którą był przecież zaręczony. Żałował, że nie umiał nad sobą zapanować.

- Zaczynam się zastanawiać, czy to nie jest przypadkiem taki schemat, który się powtarza w moim życiu co osiemnaście lat - przemówiła z goryczą. - Księżę, albo książęcy dziedzic, wybiera sobie żonę, która ma odpowiednią pozycję społeczną, a mnie pozostają smutek i żal.

O, do licha ciężkiego! Wciągnął powoli powietrze.

- I co ja takiego powiedziałam? - zapytała. - Po co się przyznałam? Ale to już bez znaczenia. Na pewno i tak się pan domyślił. Naprawdę, jestem żałosna.

- O Boże! - krzyknął, podnosząc się z ziemi i stając obok niej. - Myśli pani, że pocałowałam panią z litości? Pocałowałam panią, bo panią...

- Nie! - Odwróciła się do niego gwałtownie i wyciągnęła rękę. - Niech pan tego nie mówi. Proszę, niech pan tego nie mówi, nawet jeżeli to prawda. Nie zniósłabym tego.

- Claudio... - powiedział cicho.

- Dla pana jestem panną Martin, lordzie Attingsborough. - Uniosła podbródek i wyglądała w każdym calu jak surowa nauczycielka, choć fryzurę miała w nieładzie. - Zapomnimy o tym, co miało miejsce przed chwilą. Zapomnimy o Vauxhall i balu u Kingstonów. Zapomnimy.

- Czyżby? - spytał. - Przykro mi, że tak panią zdenerwowałam. To niewybaczalne.

- Wcale pana nie obwiniam - odparła. - Jestem na tyle dorosła, że powinnam być mądrzejsza. Nie będę, niestety, mogła wmówić sobie, że wpadłam w sidła doświadczonego uwodziciela, choć o to pana podejrzewałam, kiedy po raz pierwszy pana zobaczyłam. Tymczasem okazał się

pan prawdziwym dżentelmenem, którego cenię i podziwiam. I w tym tkwi cały problem, jak sądzę. Ale zaczynam już pleść od rzeczy. Wracajmy, bo inaczej wszyscy, a w szczególności panna Hunt, zaczną się zastanawiać, co ja takiego knuję.

A przecież, pomyślał, kiedy wracali na trawnik przed domem, zostali w tyle za dziewczynkami ledwie kilka minut, nie dłużej.

Kilka minut, które wyrządziło nieodwracalne szkody w ich życiu. Już nie będzie mógł udawać, że jej nie kocha. Ona nie będzie już mogła udawać, że nie kocha jego.

I już nie będą mogli bez wyrzutów sumienia widywać się sam na sam.

Poczuł się tak, jakby ktoś go nagle uderzył pięścią w żołądek.

16

Po powrocie z Lindsey Hall Joseph siedział razem z Portią w reprezentacyjnym ogrodzie po wschodniej stronie domu. Czuł się potwornie przygnębiony. Po pierwsze, bardzo mało czasu spędził z Lizzie i chociaż ukrywanie ich relacji zdawało się ją bawić, dla niego samego było niegodne. Po drugie, od tej chwili będzie musiał trzymać się z dala od Claudii Martin. Nie wolno mu nawet cieszyć się jej przyjaźnią.

A po trzecie, odkrył właśnie, że pod otoczką piękna, godności osobistej i doskonałych manier, które Portia prezentuje otoczeniu, nie kryje się ani odrobina ciepła, współczucia czy dobroci, najmniejsza nawet iskierka namiętności. A bardzo się starał to z niej wydobyć.

- Cieszę się, że lubisz jeździć konno - powiedział jej w drodze powrotnej do Alvesley. - To jedna z moich ulubionych rozrywek. To będzie coś, co będziemy mogli robić razem.

- Och - odparła. - Wcale nie oczekuję, że po ślubie przez cały czas będziesz się mną zajmował; ja też nie zamierzam chodzić za tobą krok w krok. Będziemy zajęci różnymi obowiązkami i przyjemnościami.

- A te przyjemności nie mogą być wspólne? - zapytał.

- Kiedy zajdzie potrzeba, to tak - odparła. - Oczywiście, na pewno często będziemy przyjmować gości, zwłaszcza kiedy już zostaniesz księciem Anburey.

- Ale ja mówię o bardziej prywatnych przyjemnościach - nalegał. - Takich, jak wspólny spacer, obiad we dwoje czy po prostu zwykła rozmowa albo przeczytanie książki? Będziemy na to zbyt zajęci? Nie znajdziemy na to czasu? - Nie wspomniał o tym, że miłość fizyczna jest jeszcze jedną z prywatnych przyjemności, na które będą sobie mogli pozwolić po ślubie.

- Przypuszczam, że będziesz dość zajęty - stwierdziła. - Ja w każdym razie na pewno będę miała czas wypełniony obowiązkami markizy Attingsborough, a potem księżnej Anburey. Nie oczekuję, że będziesz mnie bez przerwy zabawiał.

Nie drażył dalej tematu.

Teraz, siedząc w ogrodzie, próbował jej pomóc się zrelaksować i po prostu cieszyć się otaczającym ich pięknem.

- Posłuchaj! - powiedział ledwie kilka chwil temu, unosząc rękę. - Czy przyszło ci kiedyś do głowy, ile nas w życiu omija, bo ciągle gonimy za jakimiś obowiązkami? Posłuchaj, Portio.

W głębi ogrodu, pośród kwiatów, płynął strumień, przez który przerzucono prosty drewniany mostek. Za nim wznosiły się wzgórza. I oczywiście w gałęziach drzew ptaki dawały tak piękny koncert, jak owego dnia w Richmond Park. Słysząc było też pluskanie strumienia. Powietrze było rozgrzane, a od kwiatów znad wody niósł się przepiękny zapach.

Uprzejmie zamilkła na chwilę.

- Ale to właśnie przez wypełnianie obowiązków pokazujemy innym ludziom, ile jesteśmy warci - oznajmiła wreszcie. - Nieróbstwa należy unikać, a nawet nim pogardzać. Ono sprowadza ludzi do poziomu zwierząt.

- Takich, jak pies Lizzie Pickford, który siedział obok masztu i czekał, żeby ją bezpiecznie poprowadzić tam, dokąd będzie chciała iść? - zapytał z uśmiechem.

Ale popełnił błąd, wspominając to konkretne zwierzę.

- To dziecko nie powinno być chwalone za zbyt dużą śmiałość w stosunku do wyżej urodzonych - oświadczyła. - Ślepotą to żadna wymówka. Bardzo miło z twojej strony, że poszedłeś z nią nad jezioro, księżna Bewcastle bardzo chwaliła twoją uprzejmość i dobre serce, ale wydaje mi się, że mogła to uznać za brak taktu.

- Brak taktu?

- Był tam przecież jej syn, markiz Lindsey - wytknęła. - A oprócz tego dzieci markiza Hallmere'a, hrabiego Rosthorna i lorda Aidana Bedwyna.

Lepiej byś zrobił, gdybyś zainteresował się którymś z nich, jeżeli już koniecznie chciałeś się bawić z dziećmi.

- Żadne z nich nie zaprosiło mnie na spacer - zaproponował. - I żadne z nich nie jest niewidome.

I żadne z nich nie jest jego własnym dzieckiem.

- Księżna Bewcastle to przemiła osoba - mówiła dalej Portia. - Ale ciągle się zastanawiam, czy księżę nie żałuje swojego meżaliansu. Przecież ona kiedyś uczyła w wioskowej szkole. Jej ojciec też był nauczycielem, a siostra uczy w szkole panny Martin w Bath. A teraz zaprosiła do Lindsey Hall te wszystkie biedne uczennice i mówi o nich tak, jakby dawały jej tyle samo radości, ile jej własne dzieci. Nie powinny tam być. Dla ich własnego dobra.

- Jak to: dla ich własnego dobra? - zdziwił się.

- Powinny znać swoje miejsce w życiu - wyjaśniła. - Muszą się nauczyć, że od wyżej urodzonych dzieli je przepaść. Że takie domy jak Lindsey Hall to nie miejsce dla nich. To naprawdę okrutne pozwolić im, żeby tam spędzały wakacje.

- Czyli powinny były zostać w szkole - upewnił się. - Powinny szyć, cerować i żyć o chlebie i wodzie?

- Wcale nie o to mi chodziło. Zgodzisz się ze mną na pewno, że w ogóle nie powinny się znaleźć w tej szkole razem z innymi dziewczynkami, których rodzice płacą za naukę. To wprowadzie tylko córki kupców, lekarzy i adwokatów, ale zawsze to przecież klasa średnia, nie niższa, a to znaczna różnica.

- W takim razie nie chciałabyś, żeby nasza córka chodziła kiedyś do tej szkoły? - zapytał.

Spojrzała na niego i wybuchnęła śmiechem. Wyglądała na szczerze rozbawioną.

- Nasze córki będą się uczyły w domu - odparła. - W tym się na pewno zgodzimy.

- A więc zatrudnimy guwernantkę, być może nawet ze szkoły panny Martin albo jakiejś podobnej?

- Oczywiście - przytaknęła. - Służącą.

Znowu zamilkli. Joseph czuł, że jego dobry humor ulatnia się bezpowrotnie. Nie ma żadnej nadziei, żadnego światełka w tunelu. Powinien był nalegać na odpowiednio długi czas zalotów przed ostatecznymi oświadczeniami. Powinien był...

Ale teraz nic już nie da się zrobić. Był narzeczonym Portii Hunt. Był z nią związany tak nierozzerwalnie, jakby ślub już się odbył.

Z tarasu za ich plecami dobiegły wesołe kobiece głosy, po czym do ogrodu weszły Lauren, Gwen, Lily i Anne Butler.

- Przepraszam, że wam przerywamy tę sielankę - zawołała Lauren na ich widok - ale chcemy wejść na wzgórze, żeby zobaczyć, czy ładny jest stamtąd widok! Byliście tam już?

- Nie, tak sobie tutaj siedzimy i odpoczywamy - odpowiedział Joseph z uśmiechem.

- A my usiądziemy tam na górze i będziemy snuć plany - oznajmiła Lily.

- Plany? - spytała Portia.

- Planujemy piknik na dzień przed uroczystościami rocznicowymi - wyjaśniła Lily. - Elizabeth i ja opowiadałyśmy wszystkim o tym uroczym obrazku, który zastałyśmy dzisiaj w Lindsey Hall: wszędzie pełno bawiących się dzieci.

- I wtedy mojej teściowej i mnie przyszedł do głowy świetny pomysł - dodała Lauren. - Tutaj też jest mnóstwo dzieci, ale wszystkie oficjalne uroczystości są właściwie nie dla nich. Postanowiłyśmy więc natychmiast zorganizować piknik dla dzieci na dzień przed balem.

- Cudownie - mruknęła Portia.

- Ale teraz trzeba to zaplanować - wtrąciła pani Butler. - A ponieważ uczyłam kiedyś w szkole, zaraz zostałam uznana za eksperta w tej dziedzinie.

- Lauren i lady Redfield chcą też zaprosić wszystkie dzieci z Lindsey Hall - dodała Gwen. - I dzieci niektórych sąsiadów. To będzie istna armia.

- Zapraszacie też dziewczynki panny Martin? - zapytał Joseph. Zastanawiał się, jak to zrobić, żeby znowu zobaczyć Lizzie.

- Oczywiście, że nie. - Portia była oburzona.

- Oczywiście, że tak - rzekła w tej samej chwili Lily. - Urocze były, prawda, Joseph, kiedy tańczyły wokół masztu? A ta mała niewidoma dziewczynka zupełnie się nie przejmowała swoją ułomnością.

- Lizzie?

- Tak, Lizzie Pickford. Lauren zaprasza je wszystkie.

- Alvesley już nigdy nie będzie takie samo - powiedziała Lauren ze śmiechem. - Nie wspominając o nas.

Joseph uśmiechnął się do niej. Był czas, przypomniał sobie, kiedy Lauren, podobnie, jak teraz Portii, zupełnie brakowało humoru i radości życia. Ale miłość do Kita, a potem małżeństwo, zmieniły ją w kobietę o gorącym sercu, którą miał dziś przed sobą. Może i dla niego jest jakiś cień nadziei? Musi być wytrwały. Musi znaleźć drogę do serca Portii. Musi. Nie chciał myśleć, co będzie, jeśli mu się nie uda.

- Chcecie iść z nami? - Gwen spojrzała na Portię.

- Słońce trochę za mocno przygrzewa - stwierdziła Portia. - Raczej wrócimy do domu.

Cztery damy przeszły przez mostek i podążyły stromą ścieżką prowadzącą na szczyt wzgórza. Nawet Gwen szła dziarskim krokiem, mimo że mocno utykała na skutek upadku z konia jeszcze za czasów małżeństwa, za życia Muira.

- To bardzo miłe ze strony lady Ravensberg i lady Redfield, że o tym pomyślały - powiedziała Portia, kiedy już wstali i Joseph podawał jej ramię. - Ale mam nadzieję, że starannie zaplanują ten piknik. Nie ma nic gorszego niż dzieci płaczące się pod nogami i biegające wokół jak szalone.

- Dla dorosłych, którzy mają się nimi opiekować, może tak - zaśmiał się. - Ale dla dzieci to prawdziwa radość.

Ciekawe, czy Lizzie przyjedzie? A

Claudia Martin?

Claudia nie widziała markiza Attingsborough od czterech dni. Sama była z tego bardzo zadowolona. Musi o nim zapomnieć - tak po prostu - a najlepszym sposobem na to będzie brak jakichkolwiek kontaktów.

Ale Lizzie pograżyła się w smutku.

Nie pokazywała tego po sobie, o nie. Nie była już tak blada i chudziutka jak przedtem. Miała przyjaciółki, które z nią chodziły na spacer i czytały jej książki. Mogła słuchać muzyki, bo kilka dziewcząt próbowało grać na klawesynie, a kilka innych lubiło śpiewać. Claudia próbowała opowiadać jej to i owo z historii, a potem ją odpytywała. Nie zdziwiło jej, że Lizzie ma doskonałą pamięć. Na pewno można będzie ją wiele nauczyć. Dziewczynka podyktowała jeszcze dwie wymyślone przez siebie bajki, jedną Claudii, a drugą Eleanor, i nigdy jej nie nudziło słuchanie, jak ktoś je głośno czyta. Lubiła robotę na drutach, chociaż ciągle jeszcze nie orientowała się, że spuściła oczko i nie potrafiła go na nowo zebrać, kiedy ktoś jej o tym powiedział.

Pies chodził za nią krok w krok, a coraz częściej służył jej jako przewodnik. Z dnia na dzień stawała się coraz odważniejsza i nawet zdarzało się jej przejść kawałek tylko w towarzystwie psa, podczas gdy Claudia, Agnes albo Molly szły z tyłu, żeby w razie czego pomóc, albo z przodu, żeby poprowadzić Horacego w odpowiednim kierunku.

W krótkim czasie stała się ulubienicą księżnej i innych gości. Często z nią rozmawiali albo zabawiali ją, kiedy akurat nie była w stanie robić tego, co inne dziewczęta. Któregoś dnia lord Aidan Bedwyn zabrał ją ze sobą, kiedy cała rodzina wybrała się na konną przejażdżkę; jego żona trzymała przed sobą na siodle najmłodszą córeczkę, a reszta dzieci dosiadała własnych wierzchowców.

Mimo to Lizzie była niepokieszona.

Pewnego popołudnia, gdy dziewczęta pod opieką Eleanor poszły na długą pieszą wyprawę, Claudia znalazła Lizzie w jej pokoju, skuloną na łóżku. Policzki miała mokre od łez.

- Lizzie? - odezwała się do niej. - Smutno ci, że musiałaś zostać? Jak chcesz, to się z tobą pobawię.

- Czemu on nie przyjeżdża? - załkała Lizzie. - Czy ja coś złego zrobiłam? Czy to dlatego, że mówiłam do niego „proszę pana”, a nie „papo”? Czy to przez to, że chciałam, żeby zaczekał z panią nad jeziorem, żebym mogła mu pokazać, że potrafię wrócić do domu tylko z Molly i Horacym?

Claudia pogładziła gorącą, rozczochraną główkę Lizzie.

- Nic złego nie zrobiłaś. Twój papa jest bardzo zajęty w Alvesley, ale na pewno tęskni za tobą tak bardzo, jak ty za nim.

- On chce mnie wysłać do pani szkoły - pożałowała się Lizzie. - Ja wiem, że tak będzie. Ożeni się z panną Hunt... tak mi powiedział, jak jeszcze byliśmy w domu. Czy to ta pani, która powiedziała, że niezgrabnie tańczy? Papa na pewno mnie wyśle do szkoły.

- A nie chcesz pojechać? - spytała Claudia. - Wiesz, że spotkałabyś tam Molly, Agnes i inne dziewczynki, a oprócz tego mnie i pannę Thompson.

- Chcę być w domu razem z papą - powtórzyła Lizzie. - I chcę, żeby pani do nas przychodziła z Horacym, tak jak wcześniej, tylko częściej. Codziennie. I chcę, żeby papa zawsze zostawał na noc. Chcę... chcę do domu.

Claudia nie przestawała głaskać jej po głowie. Nic nie powiedziała, choć serce jej się kroiło, bo to dziecko pragnęło jedynie tego, do czego każde dziecko ma prawo. Po kilku chwilach Lizzie usnęła.

Ale już następnego dnia Claudia miała dla niej o wiele radośniejsze nowiny. Właśnie je usłyszała od Susanny i Anne, które przyjechały z Alvesley razem z lady Ravensberg, i postanowiła, że Lizzie dowie się pierwsza. Dziewczynka była razem z Molly na dworze, koło fontanny, mimo że dzień był chłodny i wietrzny, i zanosilo się na deszcz. Chichocząc, pluskały rękami w wodzie, a czasem podnosiły je wysoko, żeby poczuć spadające z góry krople.

- Dziewczynki, jedziecie jutro do Alvesley - oznajmiła Claudia, podchodząc do nich. - Wszystkie dzieci są zaproszone na piknik.

- Na piknik? - Molly miała oczy jak talerze. Fontanna i woda momentalnie straciły urok. - Wszyscy pojedą, proszę pani?

- Wszyscy - przytaknęła Claudia z uśmiechem. - Czy to nie wspaniałe?

- A inne dziewczynki już wiedzą? - zapytała podekscytowana Molly.

- Wam pierwszym to mówię.

- To ja im powiem! - krzyknęła Molly i pobiegła szukać pozostałych dziewcząt. Lizzie została.

Podniosła do Claudii rozpromienioną z radości twarzyczkę.

- Ja też jadę? - spytała. - Do Alvesley? Tam, gdzie jest papa?

- Właśnie tak - potwierdziła Claudia.

- Och... - wyszeptała Lizzie. Schyliła się, szukając dłonią Horacego, który siedział spokojnie obok niej, i chwyciła w rękę smycz. - Ale czy on będzie chciał się ze mną zobaczyć?

- Myślę, że już odlicza godziny do jutra - zapewniła ją Claudia.

- Horacy, zabierz mnie do pokoju - zakomenderowała Lizzie. - Och, panno Martin, ile jeszcze tych godzin?

Horacy, rzecz jasna, nie był jeszcze tak dobrze wytresowany, choć może z czasem się tego nauczy. Zawsze pilnował, żeby Lizzie na nic nie wpadła, ale nie miał zbyt dobrej orientacji w terenie, choć Lizzie pokładała w nim ogromne zaufanie. Claudia weszła do domu i skierowała się po schodach na górę, a Horacy podreptał za nią, ciągnąc za sobą Lizzie. Dziewczynkę bardzo cieszyło to, że staje się niezależna.

Tej nocy nie mogła zasnąć. Claudia musiała siedzieć przy jej łóżeczku i czytać jej bajki, głaszcząc ją po rękę, a Horacy zwinął się w kłębek tuż obok.

Claudia wątpiła, czy sama będzie w stanie usnąć. Podjęła niechętną decyzję, że wypada jej pojechać do Alvesley - nie mogła oczekiwać, że

Eleanor weźmie na siebie całą odpowiedzialność za dziewczęta. Ale naprawdę, naprawdę nie chciała tam jechać. Była bardzo zajęta planowaniem nadchodzącego roku szkolnego i umacnianiem przyjaźni z Charliem, który nadal codziennie odwiedzał ją w Lindsey Hall.

Jednak teraz jeszcze raz będzie musiała spotkać markiza Attingsborough. Głupotą byłoby oczekiwać, że będzie się trzymał z dala od dzieci. Na pewno tęskni za Lizzie tak samo, jak ona za nim.

Czy tylko jej się tak wydawało, czy rzeczywiście złamane serce bardziej boli za drugim razem? Pewnie to tylko takie wrażenie, stwierdziła. Kiedy miała siedemnaście lat, pragnęła umrzeć. Teraz zaś chciała żyć - pragnęła wrócić do życia sprzed owego pamiętnego popołudnia, kiedy weszła do saloniku dla gości w szkole i zastała tam markiza Attingsborough.

I odzyska to życie. Jeszcze będzie szczęśliwa i spełniona. Na pewno. Po prostu trochę potrwa, zanim tak się stanie.

Tylko wolałaby nie spotykać markiza.

Tęsknota za Lizzie paliła go od środka niczym rzeczywisty, fizyczny ból. Co dzień walczył z chęcią pokłusowania konno do Lindsey Hall. Powstrzymywał się od tego po części dlatego, że nie wiedziałby, jak wytłumaczyć to, że chce ją widzieć, gdyby nawet już tam pojechał, a po części uważał, że zarówno ze względu na Claudię Martin, jak i na Portię - o sobie samym nie wspominając - powinien się trzymać z daleka.

Ale nie tylko o panie Martin myślał, kiedy kawalkada powozów z Lindsey Hall zajechała przed dom. Połowa gości i prawie wszystkie dzieci wyległy na taras, żeby powitać nowo przybyłych, którzy właśnie zaczęli wysypywać się z pojazdów. Bardzo szybko powstały straszliwy harmider i kotłowanina, w której dzieci biegały między nogami dorosłych w poszukiwaniu nowych przyjaciół i mówiły do siebie tak głośno, jakby dzieliła je odległość co najmniej kilku mil.

Joseph też wyszedł na taras, więc zaraz dostrzegł pannę Martin, jak wysiadała z jednego z powozów. Miała na sobie bawełnianą suknię, w której widział ją w Londynie, i swój zwykły słomkowy kapelusz. Na jej twarzy malowała się surowość granicząca z ponurą determinacją, jak gdyby z całego serca pragnęła być gdziekolwiek indziej, tylko nie tam, gdzie akurat się znajdowała. Odwróciła się, żeby komuś pomóc wysiąść z powozu.

Lizzie! Wystrojona w swoją najładniejszą białą sukienkę, z włoskami związanymi wysoko z tyłu wielką białą kokardą. Podbiegł do nich.

- Pani pozwoli. - Wziął córkę w ramiona i postawił ją na ziemi.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Papo - zamruczała.

- Skarbie...

Pies wyskoczył z powozu i zaczął biegać w kółko, szczekając, a za nim po stopniach zesła Molly.

- Dziękuję panu - powiedziała głośniejszym głosem Lizzie, podnosząc ku niemu twarz rozpromienioną w porozumiewawczym uśmiechu. - Czy to pan poszedł z nami w zeszłym tygodniu na spacer nad jezioro?

- Tak jest - odparł, splatając ręce za plecami. - A pani jest... panną Pickford, jak sądzę?

- Pamięta mnie pan - zachichotała uszczęśliwiona.

Zaraz też z powozu wysypały się inne dziewczęta. Jedna ze starszych wzięła Lizzie za rękę, a Molly chwyciła ją za drugą. Pociągnęły ją w stronę innego powozu, którym jechała reszta ich koleżanek razem z panną Thompson.

Joseph spojrzął na pannę Martin. To niesamowite, że już dwa razy pocałował tę surową kobietę, a jeszcze bardziej niewiarygodne, że był w niej zakochany. Znowu sprawiała wrażenie typowej nauczycielki - srogiej i powściągliwej.

Ale kiedy spojrzął jej w oczy, przestał się temu dziwić. W tych oczach była głębia, która w jednej chwili potrafiła wciągnąć go do środka. Pod zbroją nieprzystępnej starej panny ukrywała się kobieta pełna ciepła i namiętności.

- Witaj, Claudio - powiedział cicho, zanim zdołał wymyślić jakieś bardziej stosowne powitanie.

- Dzień dobry, lordzie Attingsborough - odrzekła rażno. A potem spojrzała ponad jego ramieniem i się uśmiechnęła. - Witaj, Charlie.

Ktoś ciągnął Josepha za chwost przy cholewie buta. Zerknął w dół i zobaczył tam najmłodszego synka Wilmy i Suttona, który natychmiast wyciągnął do niego rączki.

- Wujku Joe. Na barana - zażądał.

Wujek Joe schylił się więc posłusznie i podniósł chłopczyka, sadzając go sobie na ramionach.

Opróżnione powozy z Lindsey Hall odjeżdżały w stronę stajni, żeby zrobić miejsce dla następnych, przywożących dzieci i dorosłych z sąsiedztwa. Jakieś dziesięć minut później istna armia dzieci - cytując przenośnię Gwen - przemieszczała się już wśród wielkiego zamieszania na miejsce, gdzie miał się odbyć piknik. Starsze dzieci pobiegły przodem, młodsze jechały na ramionach dorosłych, a niemowlęta - jeśli nie spały - podskakiwały na rękach matek.

Całkiem możliwe, że zanim to popołudnie dobiegnie końca, wszyscy stracą słuch przez tę straszliwą wrzawę, pomyślał Joseph z rozbawieniem.

I wtedy dostrzegł, że Lizzie, Molly i ich starsza koleżanka biegną w podskokach.

17

W miarę upływu czasu tego popołudnia Claudia nabierała przekonania, że hrabia i hrabina Redfieldowie oraz lord i lady Ravensbergowie wykazali się nie lada odwagą, organizując piknik na tak ogromną skalę zaledwie dzień przed uroczystościami rocznicowymi. Bo przecież razem z dziećmi zjawili się też ich rodzice. Na trawniku obok zachodniego skrzydła domu kręciło się pewnie przynajmniej tyle samo osób, ile jutro wieczorem zapełni salę balową.

W takim tłumie nie byłoby trudno unikać markiza Attingsborough, gdyby nie to, że oboje czujnie strzegli Lizzie.

Ale nie było konieczności zanadto jej pilnować. Lizzie bawiła się jak jeszcze nigdy w życiu. Horacy trzymał się jej jak cień, choć w zasadzie tutaj nie potrzebowała go za przewodnika. Lady Redfield, księżna Anbury, pani Thompson i parę innych dam, które siedziały na krzesłach ustawionych w cieniu drzew, z chęcią wzięłyby ją pod swoje skrzydła i kilka razy na krótko sadzały ją na krześle obok siebie. Ale inni wcale o niej nie zapomnieli. Wkrótce Molly wraz z kilkoma dziewczętami odciągnęły ją w inną stronę, żeby poznała Davida Jewella, który zachwycony, że spotkał dawne koleżanki ze szkoły, opowiadał im o swoim nowym domu w Walii. Zabrali Lizzie nad jezioro, żeby posiedzieć na brzegu.

Po jedzeniu paru dżentelmenów zorganizowało dla chętnych dzieciaków partię krykieta; niektóre dziewczęta Claudii razem z Davidem przyłączyły się do gry. Molly nie chciała grać, a Lizzie nie mogła, ale stały na skraju pola i Molly, obserwując rozgrywkę, relacjonowała przyjaciółce, co się dzieje. I wtedy nadszedł ten zaskakujący moment, gdy na lady Hallmere - jedyną damę biorącą udział w grze - przyszła kolej, żeby odbijać. Z wielką starannością ustawiła się przed bramką, po czym zablokowała dwie piłki, które wyrzucił lord Aidan Bedwyn. Jej drużyna zaczęła wiwatować, a przeciwnicy wznosili okrzyki niezadowolenia. Ale zanim jej brat wziął zamach po raz trzeci, markiza wyprostowała się i spojrzała z namysłem na stojące z boku dziewczynki.

- Zaczekajcie - zarządziła. - Potrzebuję wsparcia. Lizzie, chodź, po mozesz mi odbić piłkę, może przyniesiesz mi szczęście.

Podeszła do Lizzie, wzięła ją za rękę i zaprowadziła na miejsce odbijającego, przed bramką. Claudia przytrzymała za obrożę wyrywającego się Horacego. Lady Hallmere nachyliła się i zaczęła tłumaczyć coś dziewczynce.

- Tak! - krzyknęła Agnes Ryde, czekając na swoją kolejkę. - Lizzie będzie odbijać. Dawaj, Lizzie!

Przez chwilę w jej głosie zabrzmiał podejrzenie gwarowy akcent. Claudia zmarszczyła brwi, patrząc, jak lady Hallmere staje za Lizzie, ustawia kij, który trzymały obie naraz, i spogląda na brata.

- No, dalej, Aidan, rzucaj śmiało! - zawołała. - Pokaż, co potrafisz. My i tak odbijemy za sześć punktów, co, Lizzie?

Lizzie była rozpromieniona.

Claudia odwróciła na moment głowę, żeby spojrzeć na markiza Attingsborough, który dotąd niezmordowanie podrzucał w górę i łapał kilkuletnie dzieci, czekające na tę przyjemność w kolejce, ale teraz z przejęciem przypatrywał się grze.

Lord Aidan w kilku susach podbiegł do środka pola, po czym bardzo delikatnie rzucił piłkę w stronę kija. Lady Hallmere, trzymając dłonie na rączkach Lizzie, wzięła zamach, omal nie przewracając stojącej za nimi bramki, i uderzyła kijem w piłkę. Rozległ się głośny, satysfakcjonujący stuk.

Lizzie krzyknęła z uciechy i się roześmiała.

Piłka poszybowała w powietrzu prosto w wyciągnięte dłonie hrabiego Kilbourne'a, który jednak tajemniczym sposobem jej nie złapał, tylko po kilku nieudolnych próbach pozwolił jej upaść na ziemię.

Ale lady Hallmere nic czekała na to, aż piłka wytoczy się na aut. Chwyła Lizzie w pól i pomknęła na drugi kraniec pola i z powrotem, żeby zdobyć dla swojej drużyny dwa punkty.

Zaśmiewała się w głos, a razem z nią Lizzie. Ich drużyna wznosiła radosne okrzyki.

Markiz też się śmiał, bił brawo i gwizdał.

- Dobra robota, panno Pickford! - zawołał.

Wtedy lady Hallmere nachyliła się i ucałowała Lizzie w policzek, a księżna Bewcastle podeszła i wzięła dziewczynkę za rękę, żeby odprowadzić ją na bok, gdzie bawiono się w inne gry.

Claudia wciąż stała i patrzyła, więc nie umknęło jej uwagi, że lady Hallmere szuka jej wzrokiem. Przez jeden krępujący moment ich spojrzenia się spotkały. Lady Hallmere uniosła brwi, przybierając przy tym wyniosłą minę, po czym znowu zajęła się grą.

Nie można było zaprzeczyć, że markiza zrobiła to z dobroci serca, przyznała Claudia z niechęcią. To odkrycie nieco ją zaniepokoiło. Przez większą część swojego życia czuła głęboką niechęć i odrazę do dawnej lady Freyji Bedwyn. Nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że być może ta kobieta się zmieniła, przynajmniej do pewnego stopnia. „Długo pani chowa urazę, panno Martin”.

Księżna ustawiała właśnie gromadkę najmłodszych w kółeczko. Umieściła Lizzie pomiędzy dwojgiem dzieci, wkładając ich rączki w jej dłoń, a potem sama zajęła miejsce w kole, żeby zacząć zabawę w „koło młyńskie”.

- Hej! - zawołał markiz Attingsborough, zanim jeszcze zaczęli, i podbiegł, niosąc na barana małą dziewczynkę. Był bez kapelusza i dziewczynka trzymała się go za włosy. - My też chcemy się bawić.

Postawił dziewczynkę na ziemi i zajął miejsce między nią a Lizzie, która podała mu rączkę i podniosła ku niemu twarzyczkę opromienioną taką radością, jakby nagle załazy ją promienie słońca. On zaś spoglądał na córeczkę z tak wielką czułością, że Claudia była zdumiona, jak to możliwe, że nikt się jeszcze nie domyślił.

Cała gromadka zaczęła chodzić w kółko, potem w odpowiednim momencie przewracali się na ziemię wśród pisków i chichotów, a później pozbięrali się na nogi, utworzyli koło i zabawa zaczęła się od nowa. Tyle że Lizzie i jej ojciec nie puszczały swoich dłoni. Upadali razem, zaśmiewając się, a Lizzie po prostu promieniała szczęściem i zachwytem.

Claudia przyglądała się temu razem z Susanną, a Sydnam i Anne, z małą Megan w ramionach, dopingowali Davida, który właśnie miał odbijać w rozgrywanym obok meczu krykieta. Poczwała, że zbiera jej się na płacz, ale nie potrafiła powiedzieć, dlaczego. A może i potrafiła, ale tyle spraw budziło w niej sprzeczne emocje, że nie wiedziała, która z nich akurat bierze górę.

- Lizzie to takie słodkie dziecko - odezwała się Susanna. - Wszyscy się nią zachwycają. A czy Joseph nie jest wspaniały? Bawi się z maluchami bez chwili wytchnienia. Ogromnie żałuję, że ma się żenić z panną Hunt. Myślałam, że może ty i on... No, ale nieważne. Nadal wiąże duże nadzieje z księciem McLeithem, mimo że już raz mu odmówiłaś.

- Susanno, jesteś niepoprawną romantyczką - westchnęła Claudia.

Jednak Susanna miała rację - ciężko było wyobrazić sobie, że markiz Attingsborough będzie szczęśliwy z panną Hunt. Choć przysłała na piknik, cały czas trzymała się z daleka od dzieci i ich zabaw, siedząc nieco z boku z hrabiną Sutton, jej mężem i jakimiś dwiema osobami, których Claudia nie znała. Nie mogła też zapomnieć, co markiz powiedział jej wtedy w Vauxhall: że panna Hunt uważa pocałunki za niepotrzebne sentymentalne bzdury.

On sam wyglądał jeszcze bardziej czarująco i przystojnie niż zwykle, kiedy tak dokazywał z dziećmi i cieszył się swoją córeczką. Zasługiwał na kogoś lepszego niż panna Hunt. W tym momencie podszedł Charlie; zatrzymał się obok niej i Susanny.

- Chyba nigdy nie widziałem naraz tylu tak uszczęśliwionych dzieci - oświadczył. - Wszystko jest dopięte na ostatni guzik, prawda?

I tak właśnie było. Przed podwieczorkiem były różne zabawy, potem krykiet i „koło młyńskie”, oprócz tego trwała w najlepsze zabawa w żywe posągi, prowadzona przez Eleanor i lady Ravensberg. Hrabina Rosthorn uczyła kilkoro nastolatków strzelania z łuku. Markiz Hallmere razem z jakimś innym dżentelmenem zabierali chętnych na przejażdżkę łodzią. Grupa dzieci bawiła się na brzegu we własnym gronie, a pilnowało ich kilka starszych dam. Jeszcze inne dzieciaki wspinały się na drzewa, a niemowlęta były zabawiane przez rodziców albo dziadków.

Na razie nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek zbierał się do odjazdu.

- Claudio - odezwał się Charlie. - Może przejdziemy się brzegiem jeziora?

Claudia rozejrzała się i stwierdziła, że nie jest potrzebna na pikniku. Wszystkie dziewczęta były pod czyjąś opieką. Susanna uśmiechała się do niej porozumiewawczo.

Poza tym chciała się stąd wydostać choćby na parę minut. Żałowała, że w ogóle tu przyjechała. Spokojnie mogła zostać w Lindsey Hall.

- Dziękuję - odparła. - Z przyjemnością.

I naprawdę było przyjemnie. Uroczy spacer w ciepłych promieniach słońca, malownicze otoczenie i miłe towarzystwo. W ciągu ostatnich kilku dni udało jej się znów zaprzyjaźnić z Charliem. Oprócz wspominek z dzieciństwa, mówił też wiele o tym, co to znaczy być księciem. Ona opowiadała o szkole. Rozmawiali i dzielili się przemyśleniami na różne tematy. Powróciła dawna zażyłość. Charlie nie ponawiał już swoich oświadczeń sprzed tygodnia. Wyglądało na to, że zadowala się jej przyjaźnią.

Dzieci niełatwo ulegały zmęczeniu. Kiedy Claudia i Charlie wrócili ze spaceru, po upływie jakiejś godziny, tłum maluchów, pędraków i podrostków wciąż jeszcze kłębił się na trawniku przy domu, bawiąc się to w tę, to w inną grę, a dorośli, jeśli nie brali udziału w zabawie lub nie pilnowali latorośli, siedzieli, przyglądając się swoim pociechom, albo rozmawiali.

Claudia zauważyła z ulgą, że nie ma wśród nich markiza Attingsborough, choć zirytowała się sama na siebie, że jego pierwszego szuka wzrokiem. Zaraz potem zaczęła się rozglądać za Lizzie. Dwukrotnie przecesała wzrokiem cały teren, nim doszła do wniosku, że dziewczynki po prostu nie ma.

Żołądek nieprzyjemnie jej się ścisnął.

- Gdzie jest Lizzie? - zwróciła się do Anne, która stała niedaleko z małą Megan na rękach.

- Trzyma Harry'ego. - Anne pokazała palcem. Ale Harry'ego trzymała Susanna, a Peter z błogim uśmiechem kucał obok krzesła, głaszcząc synka po głowie i spoglądając na żonę z rozanieloną miną.

- Gdzie jest Lizzie? - zapytała Claudia, nieco już bardziej nerwowo.

- Ta niewidoma dziewczynka? - odezwał się Charlie. - Nie martw się, cały czas ktoś się nią zajmuje.

- Gdzie jest Lizzie?

- Morgan pokazuje jej łuk i strzały, panno Martin! - zawołała lady Redfield.

Ale lady Rosthorn strzelała właśnie do celu, a grupka młodzieży przyglądała się z podziwem - lecz nie było wśród nich Lizzie. Na pewno poszła gdzieś z ojcem.

- Och - sapnęła wdowa Kilbourne. - Wydaje mi się, że poszła na spacer z panną Thompson i innymi dziewczynkami z pani szkoły, panną Martin. Przy okazji muszę bardzo pochwalić pani dziewczęta. Mają doskonałe maniery.

- Dziękuję. - Claudia się uśmiechnęła, oddychając z ulgą. Charlie krzepiąco uścisnął jej rękę. Rzeczywiście, nie widziała w tłumie Eleanor ani kilku ze swoich dziewcząt. Lizzie musiała pójść z nimi na spacer. I pewnie zabrała ze sobą Horacego.

Charlie zaprowadził ją na wolne krzesło; kiedy usiadła, zobaczyła, że markiz Attingsborough wraca na piknik, prowadząc pod ramię pannę Hunt. Byli z nimi hrabia i hrabina Suttonowie, i jeszcze jedna para. Lizzie oczywiście nie było.

Jednak w chwili, gdy zaczęła oddychać spokojniej, tłumacząc sobie, że niepotrzebnie się tak wystraszyła, bo Lizzie miała oprócz niej jeszcze z tuzin innych opiekunów, dojrzała Eleanor i grupkę dziewcząt zbliżającą się od strony wschodniego skrzydła domu - wracały z przechadzki.

Eleanor, Molly, Doris, Miriam, Charlotte, Becky - córeczka księcia Aidana - jakaś nieznajoma dziewczynka, David Jewell, Davy - braciszek Becky...

Claudia podniosła się z krzesła, wpatrując się w małą grupkę z coraz większą uwagą.

Lizzie z nimi nie było.

- Gdzie jest Lizzie?

Nikt nie odpowiedział.

- Gdzie jest Lizzie?

Lizzie była w siódmym niebie. Cieszyła się bardzo na ten wyjazd do Alvesley, bo wiedziała, że tam jest jej papa, ale nie oczekiwała wiele. Po pierwsze, nie chciała, żeby nowe koleżanki przestały ją lubić, a mogłyby tak się stać, gdyby się dowiedziały, że ma bogatego, kochającego ojca. Postanowiła więc, że będzie bardzo ostrożna, żeby sekret się nie wydał. Poza tym wiedziała też, że papa wolałby, żeby inni nie poznali prawdy. Wiedziała, że jest nieślubnym dzieckiem arystokraty i operowej tancerki

- matka wszystko jej wyjaśniła. Wiedziała, że nie należy do tego samego świata, co jej papa, że nie powinna się w nim otwarcie pokazywać. I wiedziała, że papa ożeni się z jakąś damą - matka zawsze jej powtarzała, że kiedyś tak się stanie.

W związku z tym nie miała wielkich oczekiwań, jadąc na piknik. Uszczęśliwiło ją już to, że wziął ją na ręce, kiedy wysiadała z powozu, a potem dopingował ją, kiedy razem z lady Hallmere odbijała piłkę w krykiecie. Znalazła się w siódmym niebie, kiedy przyszedł pobawić się z nią w „koło młyńskie”, tak samo jak kiedyś w domu, kiedy była całkiem mała. Trzymali się za ręce, śmiali i razem przewracali na trawę. A kiedy zabawa się skończyła, nie wypuścił jej ręki, tylko powiedział, że przewiezie ją łódką.

Serduszko omal nie pękło jej z radości.

Ale wtedy przyszła jakaś pani o głosie, który Lizzie wcale się nie spodobał, i powiedziała, że papa zaniedbuje pannę Hunt, która jest bliska omdlenia z gorąca, i że powinien natychmiast pójść do domu, żeby trochę z nią posiedzieć w chłodzie. Papa tylko westchnął, powiedział do tej pani „Wilmo”, a potem wyjaśnił Lizzie, że przejażdżka łódką będzie musiała poczekać, ale obiecał, że o niej nie zapomni.

Kiedy już poszedł, Lizzie pomyślała sobie, że na pewno zapomni. A jeśli nawet nie, to ta pani Wilma razem z panną Hunt i tak już mu nie pozwolą się z nią bawić.

Zatęskniła do panny Martin, ale kiedy zapytała lady Whitleaf, która przyszła i wzięła ją za rękę, okazało się, że panna Martin poszła na spacer i wróci niedługo.

Lady Whitleaf pozwoliła jej potrzymać Harry'ego i Lizzie, która jeszcze nigdy nie miała na rękach dzidziusia, omal nie popłakała się ze wzruszenia. Ale mały po krótkiej chwili zrobił się marudny, a lady Whitleaf powiedziała, że musi pójść go nakarmić. Wtedy lady Rosthorn zapytała, czy Lizzie chce dotknąć łuków i strzał i posłuchać, jak świszczą, kiedy się je wystrzela, a potem stukają, kiedy trafiają w cel.

Prawie w tym samym momencie panna Thompson spytała, czy Lizzie chce iść na przechadzkę z nią i kilkorgiem innych dzieci, ale Lizzie nadal była trochę smutna, więc odmówiła. Jednak już za parę minut, kiedy lady Rosthorn i jacyś inni ludzie zajęli się strzelaniem z łuku, pożałowała, że nie poszła. To by jej skróciło czas oczekiwania na to, aż papa do niej

przyjdzie -jeśli w ogóle przyjdzie. No i aż panna Martin wróci ze swojego spaceru.

I wtedy Lizzie przyszedł do głowy pewien pomysł. Coś, co sprawi, że będzie mogła być z siebie bardzo dumna - była pewna, że papa i panna Martin też będą ją za to chwalić.

Panna Thompson na pewno nie odeszła jeszcze daleko.

Lizzie ścisnęła mocniej smycz Horacego i nachyliła się, żeby mu coś powiedzieć. Horacy dyszał jej prosto w nos, więc skrzywiła się i zachichotała.

- Szukaj panny Thompson i Molly, Horacy - poleciła.

- Lizzie, dokąd idziesz? - zapytała lady Rosthorn.

Będzie chciała ją odprowadzić, pomyślała Lizzie, i wszystko popsuje.

- Do koleżanek - odpowiedziała wymijająco.

W tej samej chwili ktoś inny poprosił lady Rosthorn o pomoc w utrzymaniu łuku.

- I sama je znajdziesz? - upewniła się lady Rosthorn. Ale nie czekała nawet na odpowiedź. - Mądra dziewczynka.

Tak więc Horacy ruszył przed siebie - a Lizzie w ślad za nim. Wiedziała, że na pikniku kręci się mnóstwo ludzi i że bez przerwy dzieje się coś nowego. Liczyła wobec tego, że nikt jej nie zauważy, nie dogoni i nie będzie chciał odprowadzić do panny Thompson. Sama sobie poradzi. Horacy będzie jej przewodnikiem. Zaprowadzi ją tam, dokąd będzie chciała.

Odetchnęła lżej, kiedy wydostała się z tłumu i nikt jej nie zawołał ani do niej nie podbiegł. Buzia jej się rozjaśniła i zaśmiała się sama do siebie.

- Szukaj, Horacy - powtórzyła.

Po chwili nie czuła już pod stopami trawy, lecz ubitą ziemię ścieżki albo podjazdu. Horacy prowadził ją wzdłuż drogi, a nie w poprzek - wciąż miała tę twardą powierzchnię pod nogami.

Początkowa euforia i poczucie przygody szybko się ulotniły. Grupa panny Thompson musiała ją wyprzedzić bardziej, niż jej się wydawało. Żaden dźwięk nie wskazywał na to, żeby znajdowały się gdzieś w pobliżu. W pewnej chwili zatrzymała Horacego, by posłuchać dźwięków, i zawołała pannę Thompson, ale nikt nie odpowiadał.

Horacy pociągnął ją naprzód, aż poczuła pod stopami dudniącą pustkę i domyśliła się, że jest na moście. Macając rękami po bokach, natrafiła na kamienną balustradę. W dole szemrała płynąca bystro woda.

Kiedy przedtem jechali powozem z Lindsey Hall, usłyszała to głucho dudnienie i panna Martin potwierdziła, że rzeczywiście przejechali przez most.

Czy panna Thompson z dziewczynkami poszła drogą przez most? Czy Horacy prowadzi ją ich śladem? Czy może poszły zupełnie gdzie indziej?

Czy to możliwe, że się zgubiła?

Przez moment poczuła narastającą panikę. Ale nie, nie będzie takim głuptasem. Pamiętała z bajek, które czytał jej papa, że główne bohaterki nigdy nie wpadały w panikę, tylko zawsze zachowywały się dzielnie. Wystarczyło, że odwróciły się z powrotem w stronę, z której przyszły. Horacy na pewno zna drogę powrotną. A jak już podejną blisko, usłyszy przecież głosy.

Nachyliła się do Horacego, ale noga zaplątała się jej w smycz; potknęła się i przewróciła na ziemię. Na szczęście nic sobie nie zrobiła. Horacy podszedł do niej, skomląc żałośnie i polizał ją po twarzy, więc zarzuciła mu rączki na szyję i przytuliła się do niego.

- Ty głuptasku - powiedziała. - Stałeś ze złej strony. Teraz musisz mnie zaprowadzić z powrotem. Oby tylko nikt nie zauważył, że poszliśmy sami, bo będzie mi strasznie wstyd.

Niestety, cały problem polegał na tym, że kiedy już wstała, otrzepała sukienkę ze żwiru i złapała znowu smycz, nie była pewna, z której strony przyszła.

Pozwoliła Horacemu zadecydować. Pociągnęła lekko za smycz.

- Zaprowadź mnie z powrotem - poleciła mu.

Szybko zorientowała się, że idzie w złą stronę. Czuła na twarzy i na ramionach chłód cienia, ale nie takiego, jaki dają chmury skrywające słońce - był to cień drzew. W powietrzu unosił się ich zapach.

Po tamtej stronie mostu drzewa nie rosły.

W tej chwili Horacy, który coś zobaczył albo usłyszał z boku drogi, pomknął jak strzała po nierównej ziemi i pociągnął Lizzie między drzewa. Ujadał zawzięcie.

Za moment tak bardzo przyspieszył, że przestała za nim nadązać, więc wypuściła z ręki smycz.

Znalazła pień drzewa i przywarła do niego. Poczuła, że włosy opadają jej na twarz, i odkryła, że zgubiła gdzieś kokardę.

Nie miała wątpliwości, że to najstraszniejszy moment w jej życiu.

- Panno Thompson! - zaczęła krzyczeć. - Molly!

Ale już jakiś czas temu nabrała pewności, że one wcale nie poszły tą drogą.

- Papo! - krzyknęła przenikliwie. - Papo! Panno Martin!

Nagle poczuła na łokciu dotknięcie zimnego nosa Horacego, który zaczął skomleć u jej boku.

- Horacy - załkała, chwytając mocno smycz. - Zaprowadź mnie na drogę.

Gdyby tylko udało jej się tam dotrzeć, pomyślała, trzymałaby się gościńca. Nawet gdyby poszła w złą stronę, przecież dokądś by w końcu dotarła, ktoś by ją znalazł. Droga nie mogła być daleko.

Tylko w którą stronę?

Horacy prowadził ją naprzód, trochę ostrożniej niż przedtem. Starał się pilnować, żeby Lizzie nic wpadała na drzewa ani nie potykała się o korzenie. Ale szli już kilka minut, a drogi wciąż nie było. Wchodzili głębiej w las.

Lizzie przypomniała sobie swoje opowiadanie, to pierwsze, które panna Martin dla niej zapisała. Teraz już ciężko jej było zapanować nad strachem. Łkała głośno.

Ale wtedy Horacy się zatrzymał, sapiąc tryumfalnie, a Lizzie, wyciągając przed siebie wolną rękę, natrafiła na kamienną ścianę. Najpierw pomyślała, że jakimś cudem udało im się wrócić do Alvesley, ale wiedziała, że to niemożliwe. Macając ścianę, odkryła najpierw framugę, potem drewniane drzwi, a wreszcie gałkę w drzwiach. Przekreśliła ją i drzwi się otworzyły.

- Halo! - zawołała drżącym od łez głosikiem. Przypominały jej się wszystkie bajki o wiedźmach i czarodziejach. - Halo. Jest tu kto?

Nikogo nie było. Nikt nie odpowiedział i nie słyszała żadnych oddechów poza własnym, no i poza sapaniem Horacego.

weszła do środka i zaczęła badać wnętrze.

Odkryła wkrótce, że chatka jest bardzo mała, ale ma trochę mebli. Ciekawe, czy ktoś tu mieszka? Jeśli tak, to może niedługo wróci do domu i powie jej, którądy ma iść, żeby trafić do Alvesley. Przecież źli ludzie i czarownice są tylko w bajkach, prawda?

Nadal łkała głośno. Nie opuszczał jej straszny lęk, ale rozpaczliwie starała się zachować spokój.

- Proszę, wracajcie - płakała, zwracając się do nieznanym właścicieli chatki. - Proszę, niech ktoś przyjdzie. Proszę!

Znalazła łóżko przykryte kocami. Położyła się na nim i zwinęła w kłębek, wkładając piastkę do buzi.

- Papo -jęczała. - Papo. Panno Martin. Papo.

Horacy wskoczył na łóżko obok niej, zaskomlał żałośnie i polizał ją po twarzy.

- Papo.

W końcu zasnęła.

18

Joseph spędził w salonie Alvesley około pół godziny, rozmawiając z Portią, Wilmą i George'em oraz z Vreemontami, kuzynami Kita. Rzeczywiście w środku było chłodniej i znacznie ciszej, ale i tak był mocno zirytowany.

Po pierwsze, nic nie wskazywało na to, żeby Portia miała zemdleć z upału; nawet nieco się zdziwiła, kiedy troskliwie dopytywał o jej samopoczucie. Naturalnie, to był tylko mały podstęp Wilmy, żeby odciągnąć go od Lizzie. Na pewno uważała, że powinien dotrzymać towarzystwa narzeczonej, mimo że piknik zorganizowano przecież przede wszystkim dla dzieci i większość dorosłych stawała na głowie, żeby dostarczyć maluchom rozrywki.

Po drugie, nie mógł spełnić swojej obietnicy, że zabierze Lizzie na przejażdżkę łodzią. Oczywiście, robi to natychmiast po powrocie, ale tak czy inaczej, na nowo z całą mocą uświadomił sobie, że Lizzie już zawsze będzie w jego życiu grała drugie skrzypce, będzie musiała się zadowolić strzępami jego czasu, który będzie należał przede wszystkim do nowej rodziny.

Po trzecie, miał ochotę przyłożyć McLeithowi pięścią w twarz, kiedy ten zaprosił Claudię Martin na spacer. Ten człowiek jeszcze zmięczy jej opór i przekona ją, żeby za niego wyszła - co w sumie powinno Josepha ucieszyć. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że panna Martin w głębi duszy pragnie miłości, małżeństwa i domu rodzinnego, chociaż zarzekała się, że samotna egzystencja nauczycielki i dyrektorki szkoły wystarcza jej do szczęścia.

Ale i tak miał ochotę przyłożyć McLeithowi.

W końcu wrócili na piknik. Zaraz jak tylko będzie to możliwe, przewiezie Lizzie łodzią. Nikt nie powinien się dziwić - wielu innych dorosłych też ją dzisiaj zabawiało.

Ale kiedy wreszcie dotarł na trawnik przed domem i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu córki, ponad powszechnym gwarem i rozgardiaszem wzniósł się jeden głos - głos nauczycielki, przyzwyczajonej do przekrzykiwania rozgadanych uczennic.

- Gdzie jest Lizzie?! - chciała wiedzieć panna Martin. Zauważył, że Claudia właśnie wstaje z krzesła obok McLeitha. Natychmiast zwiększył czujność.

- Gdzie jest Lizzie?

Teraz już w jej głosie było mniej opanowania, a więcej przestachu.

- O, mój Boże! - wykrzyknął, wyrrywając rękę z uścisku Portii i podbiegając naprzód. - Gdzie ona jest?

Rozejrzał się dookoła, ale jej nie zobaczył. Rozejrzał się jeszcze raz - znowu nic.

Wszyscy zaczęli się rozglądać i mówić jednocześnie.

- Bawi się w kółku z Christine.

- Ta zabawa skończyła się dawno temu.

- Jest z Susanną i jej małym.

- Nie, tu jej nie ma. To też było już jakiś czas temu. Musiałam pójść nakarmić Harry'ego.

- Może popłynęła z kimś łódką.

- Lady Rosthorn zabrała ją tam, gdzie ćwiczyła strzelanie z łuku.

- Na pewno poszła z Eleanor i innymi dziećmi.

- Nie, nie poszła z nimi. Poszła ze mną obejrzeć łuki i strzały. A potem powiedziała, że idzie do koleżanek.

- W stu procentach nie ma jej z panną Thompson. Patrzcie, właśnie wracają ze spaceru i Lizzie z nimi nie ma.

- Na pewno poszła do domu.

- Na pewno...

- Na pewno...

Przez cały ten czas Joseph dziko rozglądał się dookoła.

Gdzie jest Lizzie?

Krew dudniła mu w żyłach, panika chwyciła go za gardło, strach pozabawiał tchu i zdolności logicznego myślenia. Nie wiedząc nawet, jak

i kiedy tam się znalazł, już stał u boku Claudii Martin i trzymał ją za nadgarstek.

- Ja byłem w domu - powiedział.

- Ja poszłam na spacer. - Spojrzała na niego, blada ze strachu.

Zostawili Lizzie samą.

To Bewcastle przejął w końcu kontrolę nad sytuacją, a pomógł mu w tym Kit.

- Nie mogła odejść nigdzie daleko - uspokajał księżę, pojawiając się zniemacka wśród nich, a jego przepelniona charyzmą osobowość sprawiła, że wszyscy, nawet większość dzieci, zamilkli, chociaż nie podniósł wcale głosu. - Dziecko na pewno się zgubiło i teraz nie umie znaleźć drogi powrotnej. Musimy się rozejść po okolicy: dwie osoby wokół jeziora z tej strony, dwie z tamtej, dwie do stajni, dwie do domu, dwie do...

Dyrygował dalej, niby generał na polu bitwy.

- Syd - wtrącił Kit. - Ty idź prosto do stajni. Znasz tam przecież wszystkie zakamarki. Lauren i ja poszukamy w domu, bo najlepiej się tam orientujemy. Aidan, ty idź...

Joseph zszedł na brzeg i wbił wzrok w powracającą z przejażdżki łódź. Siedziało w niej dwoje dzieci, ale nie było tam Lizzie.

- Lizzie! - krzyknął, odchylając głowę do tyłu.

- Nie mogła odejść daleko.

Z boku dobiegł go cichy, drżący głos. Nagle zdał sobie sprawę, że ciągle ściska ją za nadgarstek.

- Nie mogła odejść daleko - powtórzyła Claudia Martin. Widział, że rozpaczliwie próbuje odzyskać panowanie nad sobą; przecież jako nauczycielka powinna mieć doświadczenie w sytuacjach kryzysowych. - I na pewno jest z nią Horacy, jego też nigdzie nie widać. Ona wierzy, że ten pies może ją zaprowadzić wszędzie, dokąd będzie chciała.

Wszyscy - i dorośli, i dzieci - rozeszli się w różnych kierunkach, nawołując Lizzie. Joseph zauważył, że Redfieldowie, a nawet jego rodzice i ciotka Clara, też pomagali w poszukiwaniach.

Stał, sparaliżowany strachem i niezdecydowaniem. Chciał zacząć działać natychmiast, ale dokąd iść? Chciał jej szukać wszędzie naraz.

Gdzie ona jest? Gdzie ona jest?

Naraz serce ścisnął mu nowy lęk, kiedy zorientował się, co robi;| Bewcastle i Hallmere. Obaj ściągnęli buty i koszule, a potem zanurkowali do jeziora.

Wymowa tego faktu była tak przerażająca, że Joseph nareszcie wyrwał się z odrętwienia.

- Niemożliwe, żeby tam ją znaleźli - powiedziała Claudia Martin głosem tak drżącym, że właściwie zmienionym nie do poznania. - Hora cy biegałby wtedy sam.

Chwycił ją za rękę.

- Musimy jej poszukać - postanowił, stanowczo odwracając się od wody.

Tuż przed nimi stały Wilma i Portia.

- Bardzo mi przykro, panno Martin - odezwała się Portia - ale naprawdę powinna była pani lepiej jej pilnować. Przecież to pani odpowiada że te wszystkie ubogie dziewczynki, prawda?

- Niewidome dziecko w ogóle nie powinno tu przyjeżdżać - dodała Wilma.

- Trzymajcie język za zębami! - rzucił ostro Joseph. - Obie.

Nie czekając na ich reakcję, odszedł szybkim krokiem, ciągnąc za sobą Claudię.

Ale dokąd teraz?

- Dokąd ona mogła pójść? - zapytała Claudia, choć, rzecz jasna, nie oczekiwała od niego odpowiedzi. Ścisnęła jego dłoń tak mocno, jak on jej. - Dokąd chciała dotrzeć? Zastanówmy się. Może chciała znaleźć pana w domu?

- Wątpię - stwierdził. Zresztą, jak widział, w stronę domu spieszyli już Lauren i Kit, również trzymając się za ręce.

- Może w takim razie zamierzała dogonić Eleanor oraz resztę dziewczynek?

- Przeszły przed domem, kiedy ja tam byłem - powiedział. - Szły w stronę tego małego mostku i ścieżki spacerowej.

- Zobaczyłyby ją, gdyby poszła tamtędy - uznała. - Pan zresztą też. A poza tym już cztery osoby jej tam szukają. Nie ma sensu iść za nimi.

Zatrzymali się na podjeździe w chwili strasznego niezdecydowania. Lizzie nawoływano ze wszystkich stron, ale nie pojawiał się żaden okrzyk świadczący o tym, że ktoś ją znalazł.

Joseph wziął kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Dalsze uleganie panice do niczego nie doprowadzi.

- Jedyny kierunek, którego nikt jeszcze nie sprawdza - oznajmił- to droga wyjazdowa z Alvesley.

Spojrzała na prawo, na długi trawnik przecięty drogą, na przerzucony przez rzekę kryty most z kolumnami i las na drugim brzegu.

- Niemożliwe, żeby poszła w tamtą stronę - stwierdziła.

- Ona może nie - zgodził się. - Ale pies?

- O, mój Boże - jęknęła. - O Boże, gdzie ona jest? - Przygryzła wargę, a jej oczy napełniły się łzami. - Gdzie ona jest?

- Chodźmy - polecił zdecydowanie, pociągając ją za sobą wzdłuż drogi. - Nic innego nam nie zostało.

- Jak to się mogło stać? - zapytała.

- Ja poszedłem do domu - rzekł ostrym tonem.

- A ja na spacer.

- Nie powinienem był jej zabierać z Londynu - wyrzucał sobie. - Tam nic jej nie groziło.

- Nie powinnam była spuścić jej z oka - mówiła ona. - Przecież przyjechałam tu dzisiaj tylko ze względu na nią. To moja wina. Panna Hunt miała rację.

- Przestańmy się obwiniać - przerwał. - Nie my jedni się nią dzisiaj opiekowaliśmy. Wszyscy jej pilnowali.

- W tym cały problem - stwierdziła. - Skoro wszyscy jej pilnowali, to tak naprawdę nikt się nią nie przejmował. Każdy zakładał, że jest akurat z kimś innym. Powinnam była to przewidzieć, mam przecież doświadczenie ze szkoły. Och, Lizzie, gdzie jesteś?

Stali przez parę chwil na moście, rozglądając się na wszystkie strony, rozpaczliwie wypatrując jakiegoś śladu zaginionej dziewczynki.

Czemu nie odpowiada na wołania? Nawet z tej odległości Joseph słyszał okrzyki od strony domu.

- Liiiiizzieeeee! - zawołał z jednej strony mostu, osłaniając usta dłońmi.

- Lizzie! - wołała Claudia z drugiej strony.

Nic.

Kolana osłabły mu nagle i niemal stracił równowagę.

- Idziemy dalej? - zapytał. - Chyba nie doszłaby aż tak daleko.

Może jednak wpadła do jeziora. Poczuł, że musi tam wrócić i przekonać się na własne oczy.

- Musimy iść dalej - orzekła Claudia. Podeszła do niego i wzięła go znowu za rękę. - Co nam innego pozostało?

Ich spojrzenia spotkały się i na krótką chwilę ona przycisnęła twarz do jego piersi.

- Znajdziemy ją - oświadczyła z przekonaniem. - Znajdziemy.

Ale jak? I gdzie? Jeśli naprawdę tędy poszła, to czy dotarła do wioski? Czy ktoś się nią tam zaopiekuje i pośle wiadomość do Alvesley? A co, jeśli skręciła z drogi i zgubiła się w lesie?

- Lizzie! - krzyknął znowu.

Zatrzymał się w niezwykle sprzyjającym momencie. Claudia odwróciła głowę, wydała nieartykułowany okrzyk i pociągnęła go za rękę.

- Co to? - Pokazała palcem. Kiedy podeszli bliżej do białej wstążki zwisającej z niższej gałęzi drzewa, krzyknęła z radości. - To kokarda Lizzie. A więc na pewno tędy szła.

Odczepił wstążkę i przycisnął ją do ust, zaciskając oczy.

- Bogu dzięki - westchnęła. - Och, Bogu dzięki. Więc jednak nie leży na dnie jeziora.

Otworzył oczy i spojrzał na nią z powagą. Widać oboje dręczyła ta sama obawa, odkąd zobaczyli, jak Bewcastle i Hallmere nurkują do wody.

- Lizzie! - zaczął nawoływać w głąb lasu.

- Lizzie! - przyłączyła się.

Żadnej odpowiedzi. Jak mogli teraz odgadnąć, w którą stronę poszła? Jak mogli iść za nią i sami nie zgubić drogi? Ale żadne z nich nawet nie pomyślało, żeby się zatrzymać albo wrócić po pomoc, zwłaszcza po Kita i Sydnama, którzy znali ten las.

Ruszyli przed siebie, co chwila nawołując Lizzie.

Wreszcie między drzewami coś zaszeleściło i rozległo się radosne szczekanie - z zarośli wypadł Horacy z wywieszonym z pyska jęczorem, merdając szaleńczo ogonem.

- Horacy! - Claudia przyklękła i przytuliła go do siebie, a pies polizał ją po twarzy. - Gdzie ona jest? Zaprowadź nas do niej w tej chwili.

Z początku wydawało się, że psiak woli podskakiwać i bawić się, ale ona pokiwała mu groźnie palcem, a potem wzięła z ręki Josepha kokardę i pomachała nią psu przed nosem.

- Szukaj, Horacy. Zaprowadź nas do niej.

Owczarek szczechnął raz, odwrócił się, i pomknął przez las, jakby to była najlepsza na świecie zabawa. Joseph znowu chwycił Claudię za rękę i pobiegli za psem.

Prędko natrafili na niewielki domek - chatkę leśnika. Wyglądało na to, że jest w dość dobrym stanie. Drzwi stały otworem. Horacy wbiegł do środka.

Joseph podszedł do drzwi, tłumiąc w sobie nadzieję. Claudia kurczowo złapała go za rękę i przywarła do jego boku, kiedy otwierał szerzej drzwi, żeby zajrzeć do wnętrza. W środku panował półmrok, ale mdłe światło pozwalało dojrzeć, że stoi tam trochę mebli i że na wąskim łóżku pod ścianą śpi jego córka, zwinięta w kłębuszek. U jej stóp Horacy dyszał zadowolony.

Joseph odwrócił głowę, chwycił Claudię wpół i przyciągnął do siebie, wtulił twarz w zagłębienie jej szyi i załkał. Ona przywarła do niego całym ciałem.

Przez jeden króciuteńki moment, kiedy wysuwał się z jej objęć, spojrzeli sobie głęboko w oczy i jego mokre wargi dotknęły jej ust.

Lecz w następnej chwili już był we wnętrzu chatki, już klęczał na podłodze obok łóżka i drżącą dłonią odsuwał włosy z twarzyczki Lizzie. Jeśli wcześniej spała, to teraz na pewno się obudziła. Oczy miała zaciśnięte, a ramiona skulone i zeszywniałe. Ssała piąstkę.

- Skarbie - zamruczał.

- Papa? - Opuściła rączkę i zaczęła poruszać noskiem, wciągając jego zapach. - Papa?

- To ja - potwierdził. - Znaleźliśmy cię, panna Martin i ja. Już jesteś całkiem bezpieczna.

- Papa?

Z jej ust wyrwał się wysoki, przeciągły jęk. Rzuciła mu się na szyję i przylgnęła do niego ze wszystkich sił. On wziął ją na ręce i odwrócił się, siadając na łóżku z Lizzie na kolanach. Bez namysłu wyciągnął rękę i posadził Claudię obok siebie. Pogłaskała Lizzie po nodze.

- Już nie ma się czego bać - uspokajała.

- Panna Thompson zabrała Molly i inne dzieci na przechadzkę - zaczęła mówić Lizzie, pośpiesznie i bez tchu. - Chciała, żebym z nimi poszła, ale ja zostałam, a potem żałowałam, że się nie zgodziłam, bo ty, papo, poszedłeś do domu, a panna Martin była na spacerze. Pomyślałam, że ich dogonimy z Horacym. Myślałam, że będziesz ze mnie dumny. Ze pan-

na Martin też będzie ze mnie dumna. Ale Horacy nie mógł ich znaleźć. A potem był most i ja się przewróciłam, i już nie wiedziałam, w którą stronę mam iść, a potem zaczęły się drzewa i Horacy sobie uciekł, a ja tak chciałam być dzielna, ale myślałam cały czas o czarownicach, chociaż wiem, że tak naprawdę ich nie ma, a potem Horacy wrócił i przyszliśmy tutaj, ale nie wiedziałam, kto tu mieszka, i czy będzie miły, czy niedobry, a kiedy wy przyszliscie, myślałam, że to ten ktoś wrócił do domu i że zje mnie żywcem, chociaż wiem, że to głupie, i...

- Skarbie. - Ucałował ją w policzek i ukołysał w ramionach, a ona znowu zaczęła ssać piąstkę, czego nie robiła, odkąd skończyła pięć lat. - Nikogo więcej tu nie ma, tylko ty, ja i panna Martin.

- Naprawdę byłaś bardzo, bardzo dzielna, Lizzie - pochwaliła Claudia - że odważyłaś się pójść sama i nie wpadłaś w panikę, kiedy się zgubiłaś. Musimy lepiej wytresować Horacego, zanim znowu wypuścisz się bez opieki, ale i tak jestem z ciebie ogromnie dumna.

- Ja zawsze jestem z ciebie dumny - dodał Joseph. - Ale dzisiaj szczególnie. Moja mała dziewczynka dorasta i staje się samodzielna.

Wreszcie przestała ssać piąstkę. Wtuliła się w niego ciasniej i ziewnęła głośno. Tyle dziś miała ruchu na świeżym powietrzu - nic dziwnego, że była wykończona, pomijając nawet to straszne doświadczenie, które przeżyła.

Nie przestawał kołysać jej w ramionach jak kiedyś, kiedy była malutkim dzieckiem. Odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Czuł, że znowu zbiera mu się na płacz - i nagle jedna łza wymknęła mu się spod powieki, spływając po policzku.

Lekki jak piórko dotyk kazał mu otworzyć oczy. Zobaczył, że Claudia opuszkami palców wyciera łzę.

Wpatrzyli się w siebie i wydawało mu się, że zagląda w jej myśli, w najgłębszą istotę, do jej duszy.

Kocham cię. Chciał to powiedzieć głośno, ale żaden dźwięk nie dostał się z jego ust.

Ale ona i tak odczytała to z ruchu jego warg. Odchyliła się o kilka cali, odrobinę uniosła podbródek, zacisnęła wargi w wąską kreskę. Jednak jej oczy się nie zmieniły. Nie mogły się zmienić. Były jak okno w tej ciasnej zbroi, którą znowu próbowała włożyć. Jej oczy mu odpowiedziały, choć wszystko inne przeczyło temu, co mówiły.

Ja też cię kocham.

- Lepiej zabierzmy Lizzie z powrotem - zaproponował - żeby inni przestali się zamartwiać. Na pewno ciągle jej szukają.

- Mnie? - zdumiała się Lizzie. - Mnie szukają?

- Wszyscy cię pokochali, skarbie. - Znowu ucałował ją w policzek i wstał, nie wypuszczając jej z ramion. - I muszę powiedzieć, że wcale mnie to nie dziwi.

Kiedy tylko wyszli na zewnątrz i Claudia zamknęła za nimi drzwi, okazało się, że od domku odchodzi słabo widoczna ścieżka. Chatka była czysta i wygodnie umeblowana. Na pewno ktoś z niej często korzystał i ta osoba - albo osoby - wydeptały ścieżkę, prawdopodobnie od strony gościńca. Poszli naprzód i rzeczywiście, wkrótce znaleźli się na ubitej drodze, niedaleko rzeczki.

Claudia wyprzedziła go na moście i poszła przodem, machając rękami i wołając do kilku osób w zasięgu wzroku. Zrozumieli wiadomość. Poszukiwania dobiegły końca - Lizzie się znalazła.

Zanim dotarli nad jezioro, wszyscy inni już się tam zgromadzili. Lizzie prawie zasnęła Josephowi na rękach. Horacy biegł przodem, dysząc i szczekając.

Powitano ich jak bohaterów. Każdy chciał dotknąć Lizzie, zapytać, czy nic jej nie jest, dowiedzieć się, co się stało; jeden przez drugiego mówili, jak to szukali i szukali, i już prawie stracili nadzieję.

- Ręce ci się pewnie zmęczyły, Attingsborough - powiedział Rosthorn. - Może teraz ja ją wezmę. Chodź, *cherie*.

- Nie. - Joseph mocniej przytulił ją do siebie. - Dziękuję, ale tu jest jej dobrze.

- Naprawdę uważam, że należy ją natychmiast odwieźć do Lindsey Hall - odezwała się Wilma. - Tyle przez nią zamieszania i mogła zepsuć taki wspaniały piknik. A pani, panno Martin, powinna była robić to, co do niej należy, i pilnować tej małej, a nie chodzić sobie na spacer z lepiej urodzonymi.

- Wilmo - wtrącił się Neville. - Zamknij się, dobrze?

- Coś takiego! - oburzyła się. - Żądam natychmiastowych prze...

- Teraz nie czas na przytyki i wyrzuty - włączyła się Gwen. - Cicho bądź, Wilmo.

- Ale naprawdę trzeba powiedzieć - dodała Portia - że to brak szacunku wobec lady Redfield i lady Ravensberg, przywozić tutaj te dziew-

czynki z ulicy, pozwolić im się bawić z dobrze urodzonymi dziećmi, a potem zostawić je bez opieki. A już ślepe dziecko z ulicy, to doprawdy szczyt wszystkiego. Powinno się...

- Lizzie Pickford - powiedział Joseph czystym, mocnym głosem, tak że słyszeli go wszyscy: jego ojciec, matka i siostra, jego narzeczona, liczni krewni, znajomi i tłum obcych ludzi - jest moją córką. I kocham ją nad życie.

Poczuł na ramieniu rękę Claudii. Pochylił głowę, żeby ucałować zwróconą ku niemu twarzyczkę Lizzie. Neville chwycił go za ramię i uściśnął krzepiąco.

I wtedy dotarło do niego, że zapadła okropna cisza, głośniejsza nawet niż głosy bawiących się obok dzieci.

19

Słowa lady Sutton i panny Hunt ugodziły Claudię jak nożem. Choć zostały wypowiedziane złośliwie, czuła się wobec nich bezradna. Jej wina w tej sytuacji była niezaprzeczalna. Spacerowała sobie z Charliem - ach, tak, z „lepiej urodzonymi” - podczas gdy powinna była pilnować Lizzie.

Ale większy jeszcze niż obraza i poczucie winy był gniew, głęboki i bezsilny, że ktoś ubliżył jej ukochanym charytatywnym uczennicom, i to w ich obecności. A jednak nie mogła ich w żaden sposób obronić. Może lady Ravensberg by to zrobiła i powiedziała pannie Hunt, że dziewczęta są tu na jej szczególne zaproszenie. Jednakże markiz Attingsborough odezwał się pierwszy.

„Lizzie Pickford jest moją córką. I kocham ją nad życie”.

I gniew, i poczucie winy natychmiast poszły w niepamięć w obliczu tego wyznania. Claudia położyła rękę na jego ramieniu i popatrzyła na Lizzie z niepokojem.

Większość młodszych dzieci wciąż się bawiła, z typową dla maluchów niezmordowaną energią, kompletnie nieświadomych dramatu, który rozgrywał się obok nich. Ale ich radosne głosy tylko pogłębiały martwą ciszę, jaka zapadła po słowach markiza.

Śliczna, choć kulejąca lady Muir odezwała się pierwsza.

- Och, Wilmo - zaczęła. - Zobacz, co narobiłaś. I pani też, panno Hunt. To bardzo nieładnie z waszej strony.

- Dziewczęta panny Martin - wtrąciła hrabina Redfield - są tutaj na moje osobiste zaproszenie.

- I moje - dodała lady Ravensberg. - I bardzo się cieszę, że przyjechały. Wszystkie.

Ale kiedy księżę Anburey podniósł się z miejsca, znowu zapadła cisza.

- Co to ma znaczyć? - zapytał, marszcząc groźnie brwi, choć nie wyglądało na to, że spodziewa się jakiejś odpowiedzi. - Mój syn w towarzystwie mówi o tak wulgarnych sprawach? Przed lordem i lady Redfield, w ich własnym domu? Przed swoją matką i siostrą? Przed swoją narzeczoną? Przed całym światem?

Claudia opuściła rękę. Lizzie wtuliła twarz w kamizelkę ojca.

- Przez całe moje życie nikt mnie jeszcze nie obraził tak jak dzisiaj - oznajmiła panna Hunt. - I jak ja mam to znieść?

- Niechże się pani uspokoi, moja droga panno Hunt. - Hrabina Sutton poklepała ją po ręce. - Wstyd mi za ciebie, Josephie, i mogę tylko mieć nadzieję, że powiedziałaś to pod wpływem chwilowego impulsu i że zaczniesz już tego żałować. Myślę, że papie, pannie Hunt i lady Redfield należą się publiczne przeprosiny

- Przepraszam wszystkich - powiedział - za wstrząs, na jaki was naraziłem, kiedy tak otwarcie przyznałem się wreszcie do Lizzie. Ale nie żałuję tego, że mam córkę. Ani tego, że ją kocham.

- Och, Joseph - odezwała się księżna Anburey. Wcześniej wstała z krzesła razem z mężem, a teraz podeszła do syna. - To twoje dziecko? Twoja córeczka? Moja wnuczka?

- Sadie! - upomniał ją księżę.

- Ależ ona jest śliczna. - Księżna dotknęła grzbietem dłoni policzka Lizzie. - Tak się cieszę, że nic jej nie jest. Wszyscy tak bardzo się martwiłiśmy.

- Sadie - powtórzył księżę.

Wicehrabia Ravensberg odchrząknął.

- Sugeruję, żeby przenieść się z tą dyskusją do środka - zaproponował. - W ten sposób ci, których ta sprawa dotyczy, będą mogli porozmawiać na osobności. A Lizzie pewnie dobrze byłoby zabrać do cienia. Lauren?

- Pójdę pierwsza - zgodziła się jego żona - i znajdę jakiś cichy pokój, gdzie będzie mogła się położyć i odpocząć. Wygląda na zupełnie wykończoną, biedactwo.

- Położę ją w moim pokoju, Lauren - powiedział markiz Attingsborough.

Księżę Anburey już ujął księżnę za ramię i prowadził ją w stronę domu. Panna Hunt uniosła z ziemi suknię i podążyła za nimi. Lady Sutton wzięła ją pod ramię i poszła razem z nią. Z drugiej strony panny Hunt szedł lord Sutton.

- Ponieść ją za ciebie, Joe? - zaproponował hrabia Kilbourne.

- Nie. - Markiz pokręcił głową. -Ale dzięki, Nev.

Zrobił kilka kroków w stronę domu, lecz zaraz przystanął i odwrócił się do Claudii.

- Pójdzie pani z nami? - poprosił. - Posiedzi pani z Lizzie?

Skinęła głową i ruszyła u jego boku. Co za nieprzyjemne zakończenie pikniku dla wszystkich pozostałych, pomyślała, idąc. A może i nic. Tego pikniku raczej prędko nie zapomną. Z całą pewnością sprawa Lizzie będzie tematem ożywionych dyskusji przez najbliższe dni, ba, może nawet tygodnie.

Nastroje wśród idących do domu były niewesołe, może z wyjątkiem Horacego, który dysząc, biegał tam i z powrotem z wywieszonym językiem, jakby to była nowa zabawa, wymyślona specjalnie dla jego rozrywki. Tuż przed domem Claudię i markiza dogonili wicehrabia i hrabina Ravensbergowie.

- Gdzieście ją znaleźli, Joseph? - spytała cicho hrabina.

- W lesie po drugiej stronie mostu jest taka mała chatka - wyjaśnił markiz. - Lizzie była w środku.

- Ach - przypomniał sobie hrabia. - Musieliśmy zapomnieć ją zamknąć, kiedy tam ostatnio byliśmy, Lauren. Czasem nam się to zdarza.

- I dzięki Bogu, że zapomnieliśmy - powiedziała hrabina. - Och, Joseph, ona jest taka słodka. I oczywiście podobna do ciebie jak dwie krople wody.

Weszli do domu i hrabia pokierował wszystkich do biblioteki.

Markiz nie poszedł za innymi. Wszedł na górę po schodach do swojego pokoju, a Claudia zaraz za nim. Był to duży, wygodny pokój gościnnie z widokiem na ogród po wschodniej stronie domu i dalej, na wzgórze.

Claudia odrzuciła pościel na łożu z baldachimem i markiz położył Lizzie na materacu. Usiadł obok niej, trzymając ją za rączkę.

- Papo - odezwała się. - Powiedziałeś im o mnie.

- Tak jest - potwierdził. - Powiedziałem.

- I teraz wszyscy będą na mnie źli.

- Moja matka nie będzie - uspokoił ją. - I kuzyn Neville też nie. Ani kuzynka Lauren, która właśnie powiedziała, że jesteś słodka i bardzo do mnie podobna. Gdybyś miała zdrowe oczy i mogła nimi patrzeć kilka minut temu, zobaczyłabyś, że większość osób spoglądała na ciebie z życzliwością i sympatią, i cieszyła się, że jesteś cała i zdrowa.

- Ona mnie me lubi - upierała się Lizzie. - Panna Hunt.

- Myślę, Lizzie, że to mnie w tym momencie nie lubi - odparł.

- Czy dziewczynki się na mnie obrażą?

Tym razem odpowiedziała Claudia.

- Molly na pewno nie - pocieszyła ją. -Widziałam, jak płakała z radości, że znowu cię widzi. Co do innych, nie wiem, ale mogę ci powiedzieć jedno. To chyba nie najlepszy pomysł, próbować zdobyć miłość innych, udając kogoś, kim się naprawdę nie jest, a ty przecież nie jesteś biedną sierotą, prawda? Myślę, że lepiej zaryzykować, że inni nas pokochają, albo i nie, takimi, jacy jesteśmy.

- Ja jestem córką papy - oznajmiła Lizzie.

- Właśnie.

- Jestem córką z nieprawego łoża - dorzuciła.

Claudia zobaczyła, że markiz zmarszczył brwi i już otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Odezwała się pierwsza.

- To prawda - przyznała. - Ale to określenie oznacza kogoś, kto jest niechciany i niekochany. Czasem to, jakiego użyjemy słowa, ma duże znaczenie, a piękno języka polega na tym, że istnieje wiele słów na określenie tego samego. Wydaje mi się, że ładniej będzie brzmiało, jeśli nazwiesz się nieślubnym dzieckiem swojego papy, albo, jeszcze lepiej, owocem miłości. Bo tym właśnie jesteś. Ale to nadal nie jest cała prawda o tobie. Nikomu nie można przyklejać etykietki, ani jednej, ani stu, ani tysiąca.

Lizzie z uśmiechem podniosła rączkę, żeby pogłaskać ojca po twarzy.

- Jestem twoim owocem miłości, papo - powiedziała.

- Pewnie, że jesteś. - Złapał jej rączkę i ją ucałował. - Ale teraz muszę iść na dół, skarbie. Panna Martin z tobą zostanie, chociaż wydaje mi się, że i tak prędziutko zaśniesz. Masz za sobą męczący dzień.

Ziewnęła szeroko, jakby przyznając mu rację.

Kiedy już wstał z łóżka, spojrzął na Claudię. Uśmiechnęła się do niego smutno. On tylko wzruszył lekko ramionami i wyszedł z pokoju bez jednego słowa.

- Mm... - zamruczała Lizzie, gdy Horacy wskoczył na łóżko i zwinął się w kłębek przy jej boku. - Poduszka pachnie jak papa.

Claudia zmierzyła spojrzeniem Horacego, który przyglądał jej się z całkowitym zadowoleniem, wsparłszy pysk na przednich łapach. Gdyby tamtego popołudnia w Hyde Parku nie pospieszyła go bronić, to najprawdopodobniej nic by się nie wydarzyło. Jaki dziwny jest los; splot pozornie ze sobą niezwiązanych, drobnych wydarzeń i okoliczności może mieć w rezultacie bardzo poważne konsekwencje.

Lizzie znowu ziewnęła i po chwili już spała.

Claudia zaczęła się zastanawiać. I co teraz? Czy zabierze Lizzie ze sobą do szkoły, kiedy za jakiś tydzień ona i Eleanor będą wracać z dziewczętami do Bath? Mimo iż wie, że Lizzie nie chce jechać? Ale czy będzie miała jakiś wybór? Czy dla tego niewidomego dziecka istnieją inne możliwości? Claudia mogła sobie tylko wyobrazić, co się dzieje na dole, w bibliotece. A ona sama, jaki miała wybór w tej sprawie? Pokochała Lizzie.

Jakieś dziesięć minut później ktoś zastukał cicho do drzwi i nie czekając na odpowiedź, do pokoju na paluszkach wsunęły się Susanna i Anne.

- Och - szepnęła Susanna, patrząc w stronę łóżka. - Zasnęła. To dobrze. Tam nad jeziorem wyglądała na bardzo przestraszona.

- Kochane biedactwo - powiedziała Anna, też spoglądając na Lizzie. - Szkoda, że to popołudnie tak przykro się dla niej skończyło. Wcześniej tak dobrze się bawiła. Kilka razy byłam bliska łez, widząc, jak bardzo się wszystkim cieszy.

Wszystkie trzy usiadły pod oknem, z dala od łóżka.

- Goście już zaczynają się zbierać do domu - rzekła Susanna. - Dzieciaki na pewno są wykończone. Już prawie wieczór, a one bawiły się od wczesnego popołudnia bez przerwy.

- Lizzie się boi - wyjawiała Claudia - że teraz wszyscy ją znienawidzą.

- Wręcz przeciwnie - orzekła Anne. - Owszem, była to dość szokująca nowina, zwłaszcza dla Lauren i Gwen, i reszty rodziny lorda Attingsborough, ale myślę, że większość osób w głębi duszy ujęło to, że przyznał się do córeczki. I tak wszyscy za nią przepadają.

- Tak się zastanawiałam - kontynuowała Claudia - czy Lizzie i ja nadal będziemy mile widziane w Lindsey Hall. W końcu przywiozłam ją tam pod fałszywymi pozorami.

- Słyszałam przypadkiem, jak księżę Bewcastle mówił do księżnej - zdradziła Susanna - że niektórym już dawno należało przytrzeć nosa i dobrze, że ktoś to wreszcie zrobił. Oczywiście jest, że miał na myśli lady Sutton i pannę Hunt.

- A lady Hallmere oświadczyła - dodała Anne - że wyznanie markiza to dla niej najpiękniejszy moment tego popołudnia, a może i w całym życiu. I wszyscy chcieli się dowiedzieć, jak to się stało, że Lizzie się zgubiła,

i gdzie ją znaleźliście. No właśnie, gdzieżeście ją znaleźli?

Claudia opowiedziała im wszystko.

- Domyślam się - przyznała Susanna - że odwiedzałaś Lizzie w Londynie, Claudio?

- Kilka razy - przytaknęła Claudia.

- Tak myślałam - westchnęła Susanna. - No, to mogę się pożegnać z moją teorią, że Joseph tak często zabierał cię na przejażdżki, bo mu się podobasz. Ale może to i dobrze. Wasz romans i tak byłby z góry skazany na tragiczne zakończenie, skoro on miał się oświadczyć pannie Hunt, prawda? Choć mam na jej temat z dnia na dzień coraz gorsze zdanie.

Anne przyglądała się Claudii uważnie.

- Wcale nie jestem pewna, czy udało się zapobiec tej tragedii, Susanno - orzekła. - Pomijając nawet jego aparycję, markiz Attingsborough jest wyjątkowo czarującym mężczyzną. A urok mężczyzny jeszcze wzrasta, kiedy widać, że jest oddany swojemu dziecku. Czy nie, Claudio?

- Co za bzdury! - Claudia zaprzeczyła energicznie, choć nadal mówiła półgłosem. - Ja i markiz załatwiamy tylko interesy. On chce umieścić Lizzie w mojej szkole, więc przywiozłam ją tu z Eleanor i innymi dziewczętami na próbę. Nic innego nas nie łączy. Zupełnie nic.

Ale obie przyjaciółki patrzyły na nią z głębokim współczuciem wypisanym na twarzy, jakby właśnie wyznała im, że kocha tego mężczyznę do szaleństwa.

- Och, Claudio - westchnęła Susanna. - Tak mi przykro. Pamiętam, że w Londynie żartowałyśmy sobie z tego razem z Frances, ale teraz widzę, że nie było w tym nic wesołego. Tak mi przykro.

Anne tylko nachyliła się, żeby wziąć Claudię za rękę i uściśnęła ją krzepiąco.

- No, cóż - powiedziała Claudia sztucznie pogodnym głosem. - Czy nie mówiłam zawsze, że księżęta przynoszą same kłopoty? Markiz Attingsborough wprawdzie jeszcze nie jest księciem, ale i tak powinnam była uciekać, gdzie pieprz rośnie, kiedy tylko go pierwszy raz zobaczyłam.

- I to też z mojej winy - zmartwiła się Susanna.

Teraz już nie będzie mogła ukrywać przed nimi prawdy, pomyślała Claudia. Odtąd już zawsze będą się nad nią litować. Wyprostowała ramiona i zacisnęła usta.

Kiedy lokaj otworzył przed nim drzwi biblioteki i Joseph wszedł do środka, zastał tam tylko matkę i ojca. Matka siedziała przy kominku, a ojciec przemierzał pomieszczenie długimi krokami, z rękami założonymi z tyłu. Zatrzymał się, kiedy zobaczył syna, i spojrzał na niego z marsową miną.

- I? - odezwał się po chwili milczenia, podczas której mierzył go wzrokiem. - Co masz nam do powiedzenia na swoją obronę?

Joseph nie ruszył się z miejsca, nadal stał tuż za drzwiami.

- Lizzie jest moją córką - wygłosił. - Ma prawie dwanaście lat, chociaż wygląda na mniej. Urodziła się niewidoma. Przez całe jej życie za pewniałem jej dom i utrzymanie. Często ją odwiedzam. Bardzo ją Kocham.

- To takie słodkie maleństwo, Joseph - rozrzewniła się jego matka. -Jakie to smutne, że jest...

Księżę uciszył ją jednym spojrzeniem.

- Nie prosiłem - oznajmił surowo - żebyś mi opowiadał historię jej życia. Oczywiście, że przyjąłeś odpowiedzialność za swojego bękarta. Ni czego innego nie mógłbym się spodziewać od dżentelmena, i w dodatku mojego syna. Czego oczekuję, to żebyś mi wyjaśnił, co to dziecko robi w tej okolicy i dlaczego pojawiło się w tym domu, gdzie naraziłeś swoją matkę, siostrę i narzeczoną na to, że ją spotkają.

Zupełnie jakby Lizzie była czymś skażona. Ale w oczach socjety pewnie była.

- Mam nadzieję umieścić ją w szkole panny Martin - wytłumaczył. - Jej matka zmarła w zeszłym roku. A dzisiaj to Lauren zaprosiła pannę Martin i pannę Thompson razem ze wszystkimi dziewczynkami na piknik.

- I nic pomyślałeś, żeby im powiedzieć, że to szczyt nieokrzesania, przywieźć ze sobą to ślepe dziecko? - Twarz ojca była czerwona z gniewu, na czole pulsowała mu żyła. - Nic nie mów, nie chcę nawet słuchać twoich wymówek. I nie próbuj się tłumaczyć z tego, jak skandalicznie odezwałeś się wcześniej do Wilmy i panny Hunt, kiedy zganiły tę nauczycielkę. Nie ma na to żadnego wytłumaczenia.

- Webster - odezwała się matka Josepha. - Uspokój się. Znowu się pochorujesz.

- Wtedy będziesz wiedziała, Sadie, czyja to zasługa.

Joseph zacisnął wargi.

- Żądam jedynie - ojciec zwrócił się znów do syna - żeby ani twoja matka, ani Wilma, ani panna Hunt nie usłyszały słowa więcej o twoich prywatnych sprawach. Matkę przeprosisz przy mnie. Przeprosisz też Wilmę, lady Redfield, Lauren i księżną Bewcastle, której dom tak pokalałeś. Poprosisz o wybaczenie pannę Hunt i złożysz jej obietnicę, że już nigdy nie usłyszy od ciebie nic podobnego.

- Mamo - powiedział Joseph, odwracając się do niej. Obie ręce trzymała przyciśnięte do piersi. - Przysporzyłem ci dzisiaj zmartwienia i wcześniej na pikniku, i teraz. Ogromnie mi przykro.

- Och, Joseph - wyszeptwała. - Na pewno martwiłeś się bardziej niż ktokolwiek z nas, kiedy to biedactwo zniknęło. Czy coś jej jest?

- Sadie... - zaczął księżę z gniewną miną.

- Jest tylko przestraszona i zmęczona, mamó - odparł Joseph. - Ale nie zrobiła sobie żadnej krzywdy. Teraz czuwa przy niej panna Martin. Pewnie już zasnęła.

- Biedactwo - powtórzyła.

Joseph spojrział znowu na ojca.

- Pójdę poszukać Portii - oznajmił.

- Siedzi w ogrodzie z twoją siostrą i Suttonem - wyjaśnił ojciec.

Ojciec ganił tylko jego i jego postępowanie, tłumaczył sobie Joseph, wychodząc z biblioteki - to, że pozwolił zabrać Lizzie do Lindsey Hall na lato i dzisiaj do Alvesley Park, gdzie musiała się zetknąć z jego rodziną

oraz narzeczoną. A także to, że dał się sprowokować i przyznał się do niej przed wszystkimi.

To jego ganił, nie Lizzie. Ale, do licha, brzmiało to zupełnie tak, jakby ją też ganił.

„... swojego bękarta...”

„... to ślepe dziecko...”

Być może rzeczywiście powinien się wstydzić tego, jak postąpił. Złamał niepisane, ale powszechnie w towarzystwie respektowane zasady. Jego „prywatne sprawy”, jak nazwał to ojciec - jak gdyby tego się spodziewano po każdym mężczyźnie. Ale nie, nie będzie się wstydził. Gdyby przyznał, że postąpił źle, to jednocześnie odebrałby Lizzie prawo do przebywania w Lindsey Hall, do przyjazdu na dzisiejszy piknik, do bycia razem z nim.

Życie nie jest łatwe - oto głęboka myśl dzisiejszego dnia!

Portia, tak jak mu powiedział ojciec, istotnie siedziała w ogrodzie z Wilmą i Suttonem. Wilma patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby go chciała zamordować.

- Niewybaczalnie nas wszystkich obraziłeś, Joseph - syknęła. - Żeby przyznać się do czegoś takiego, i to przy tylu ludziach! Jeszcze nigdy nie czułam się tak potwornie zażenowana. Mam nadzieję, że przynajmniej jest ci wstyd.

Żałował, że nie może jej powiedzieć, żeby się zamknęła, jak wcześniej Neville, ale niestety, racja leżała po jej stronie. Jego wyznanie naprawdę było nieprzemyślane i nie na miejscu, nawet choćby ze względu na Lizzie.

Tyle że jednocześnie te słowa go wyzwoliły.

- I ciekawe, co masz do powiedzenia pannie Hunt? - spytała Wilma.

- Będziesz miał dużo szczęścia, jeżeli w ogóle zechce cię wysłuchać.

- Myślę, Wilmo - odparł - że to, co ja mam jej do powiedzenia, i to, co ona mi na to odpowie, powinno pozostać między nami dwojgiem.

Wyglądała, jakby miała ochotę zaprotestować. Już nawet wzięła oddech. Jednak Sutton odchrząknął dyskretnie i ujął ją za łokieć, więc odwróciła się bez słowa i dumnym krokiem odmaszerowała za nim do domu.

Portia, wciąż w tej samej jasnożółtej muślinowej sukni, którą miała na pikniku, wyglądała tak ślicznie i świeżo, jak na początku tego popołudnia. Sprawiała przy tym wrażenie spokojnej i opanowanej.

Stał tak, patrząc na nią, i bił się z myślami. Nie był wobec niej bez winy. Nie da się ukryć, że przysporzył jej wstydu przed rodziną i licznymi znajomymi. Ale w jaki sposób może ją przeprosić, nie odtrącając jednocześnie Lizzie?

Ona odezwała się pierwsza.

- Kazałeś mnie i lady Sutton trzymać język za zębami - oświadczyła.

Dobry Boże! Naprawdę tak powiedział?

- Wybacz mi, proszę. To musiało być wtedy, kiedy się okazało, że Lizzie zginęła. Byłem oszalały ze zmartwienia. Chociaż to żadna wymówka dla takiego zachowania. Bardzo cię przepraszam. I nie tylko za to, ale...

- Nie życzę sobie więcej słyszeć o tym dziecku, lordzie Attingsborough - rzekła cicho i z godnością. - Oczekuję, że zostanie stąd natychmiast zabrane i wywiezione z Lindsey Park najpóźniej jutro. Wtedy może zapomnę o tym nieszczęsnym incydencie. Nie obchodzi mnie, dokąd wysyłasz takie jak ona albo te... kobiety, które je rodzą. Nie potrzebuję ani nie chcę o tym wiedzieć.

- Nie mam żadnych innych dzieci - zaprotestował. - Ani kochanek. Czy przez to, czego się dziś dowiedziałeś, doszłaś do wniosku, że jestem rozwiązły? Zapewniam cię, że tak nie jest.

- Kobiety nie są głupie, lordzie Attingsborough - stwierdziła Portia - choć wy, mężczyźni, uważacie nas za naiwne i łatwowieczne. Świetnie wiemy, że drzemiamy w was zwierzęce żądze, i nie przeszkadza nam, że je zaspokajacie, byle nie z nami i bylebyśmy nic o tym nie wiedziały. Wszystko, o co prosimy... wszystko, o co ja proszę... to zachowanie pozorów przyzwoitości.

O Boże! Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Ale może prawda ją uspokoi, przekona, że nie wychodzi za mąż za zwierzę w skórze dżentelmena.

- Portio - powiedział, spoglądając na nią z góry. -Ja uznaję wyłącznie nie związki monogamiczne. Odkąd Lizzie się urodziła, byłem tylko z jej matką aż do jej śmierci w zeszłym roku. To dlatego do tej pory się nie ożeniłem. A po ślubie będę ci wierny do końca życia.

Podniosła ku niemu oczy i nagle uderzyło go, jak bardzo są inne od oczu Claudii. Jeśli kryła się za nimi jakaś głębia charakteru, jakieś uczucia, to na pewno dobrze to ukrywała.

- Będzie pan robił, co pan uzna za stosowne, lordzie Attingsborough - odpowiedziała - bo takie jest prawo mężczyzny. Ja tylko proszę o zachowanie dyskrecji. I proszę mi obiecać, że to niewidome dziecko zniknie stąd natychmiast, a z Lindsey Hall do jutra.

„To niewidome dziecko”.

Odszedł na kilka kroków i odwrócił się do niej plecami, twarzą do grządki hiacyntów porastających drewnianą pergolę. To niezbyt wygórowane żądanie, uznał. W jej oczach - i pewnie w oczach wszystkich innych świadków dzisiejszej sceny - przywiezienie Lizzie tutaj musiało być bardzo niestosowne.

Tylko że Lizzie była osobą. Niewinnym dzieckiem. I była jego.

- Nie - wyrzucił wreszcie. - Obawiam się, że nie mogę ci tego obiecać, Portio.

W panującej ciszy było więcej wyrzutu niż w jakichkolwiek słowach.

- Przez lata dbałem o pozory przyzwoitości - mówił dalej. - Moja córka miała matkę i wygodny dom w Londynie, a ja mogłem ją odwiedzać, kiedy chciałem, czyli codziennie, o ile byłem w mieście. Nikt o niej nie wiedział oprócz Neville'a i nie zabierałem jej w miejsca, gdzie ktoś mógłby nas razem zobaczyć. Nie miałem powodu sprzeciwiać się zasadom, dopóki Sonia nie umarła i Lizzie nie została całkiem sama.

- Nie chcę tego słuchać - przerwała mu Portia. - To nie wypada.

- Ale ona nie ma jeszcze nawet dwunastu lat - powiedział. - Jest za mała, żeby się usamodzielniać, nawet gdyby nie była niewidoma. - Zwrócił się do niej twarzą. - I kocham ją - oświadczył. - Nie mogę jej zepchnąć na margines mojego życia, Portio. Nie zrobię tego. Ale widzę teraz, że popełniłem błąd, nie mówiąc ci o tym wszystkim wcześniej. Miałaś prawo o tym wiedzieć.

Przez chwilę siedziała bez słowa, nieruchoma jak posąg, niewiarygodnie delikatna i śliczna.

- Myślę, że nie mogę za pana wyjść, lordzie Attingsborough - oznajmiła w końcu. - Wcale nie chciałam nic wiedzieć o tym dziecku i zdużmiewa mnie, że uważa pan, że powinien był mi powiedzieć o tej wstrętnej istocie, która nawet nie widzi. Nie chcę o niej więcej słyszeć i nie zniosę dłużej jej obecności ani tu, ani w Lindsey Hall. Jeśli nie może pan obiecać, że ją usunie, i nie chce pan przestać o niej mówić, to jestem zmuszona wycofać zgodę na pańskie oświadczenia.

Może to dziwne, ale na te słowa wcale nie poczuł ulgi. Kolejne zerwane zaręczyny - choć dla wszystkich w towarzystwie będzie oczywiste, że w obu wypadkach nie ponosiła winy - na pewno jej nie pomogą wyjść dobrze za mąż. A nie była już taka młoda. Musiała mieć sporo po dwudziestce. Zresztą w oczach socjety jej żądania z pewnością miały uzasadnienie.

Ale - „ta wstrętna istota” ...

Lizzie!

- Przykro mi to słyszeć - powiedział. - Może jeszcze zmienisz zdanie. Wciąż jestem tym samym człowiekiem, którego znasz od kilku lat. Lizzie urodziła się na długo przedtem, zanim się poznaliśmy.

Wstała.

- Pan tego nie rozumie, prawda, lordzie Attingsborough? - zapytała. - Proszę natychmiast przestać o niej mówić. Idę napisać do papy. Będzie bardzo niezadowolony.

- Portio... - zaczął.

- Sądzę - rzekła - że nie ma pan już prawa mówić do mnie po imieniu, milordzie.

- Czy to znaczy, że zrywa pani zaręczyny? - upewnił się.

- Nie wyobrażam sobie, co mogłoby mnie skłonić do zmiany zdania na ten temat - odparła i odwróciwszy się na pięcie, poszła do domu.

Stał i patrzył, jak odchodzi. Dopiero kiedy znikła mu z oczu, ogarnęło go uniesienie. Był wolny!

20

W końcu Claudia pojechała do Lindsey Hall bez Lizzie. Zanim markiz Attingsborough wrócił do pokoju, mała już twardo zasnęła i można było się spodziewać, że prześpi spokojnie całą noc, jeśli nikt nie będzie jej niepokoił. Lady Ravensberg zaproponowała, że każe dla niego ustawić składane łóżko w garderobie.

Nalegał, że odwiezie Claudię do Lindsey Hall swoim powozem - pozostali goście już dawno pojechali do domu. Hrabina, Anne i Susanna obiecały doglądać Lizzie do czasu jego powrotu.

Claudia próbowała się upierać, że pojedzie sama, ale nie chciał o tym słyszeć. Ani on, ani Susanna i Anne, które przypomniały jej, że zapadł już wieczór. W końcu uznała, że nie warto się o to spierać. Zeszli więc we dwoje na dół i udali się na podjazd, gdzie już czekał na nich powóz.

Byli tam też wicehrabia Ravensberg z żoną i lady Redfield.

- Panno Martin - zwróciła się do niej hrabina. - Mam nadzieję, że nie wzięła sobie pani do serca nic z tego, co powiedziały wcześniej lady Sutton i panna Hunt. Mnie i mojemu mężowi było bardzo miło, że mogliśmy gościć panią i dziewczęta ze szkoły, łącznie z Lizzie Pickford, i wcale nie uważamy, że zaniedbała pani swoje obowiązki, kiedy poszła na spacer z przyjacielem z dzieciństwa, księciem McLeithem. Wszyscy jej pilnowaliśmy, więc wszyscy odpowiadamy za to, że się zgubiła.

- Z całą pewnością nie ma w tym winy panny Martin - wtrącił markiz Attingsborough. - Kiedy ona szła na spacer, Lizzie bawiła się ze mną. Miała wszelkie powody, żeby wierzyć, że będę nad nią czuwał.

Pomógł Claudii wejść do powozu i sam wsiadł zaraz za nią.

- Panno Martin - odezwała się wicehrabim, nachylając się do wnętrza powozu, zanim stangret zatrzasnął drzwi. - Wybiera się pani do nas na jutrzejszy bal z okazji rocznicy, prawda?

Claudia nie wiedziała, czy istnieje miejsce, w którym mniej pragnęłaby się znaleźć, niż ów bal.

- Może lepiej, żebym nie przyjeżdżała - stwierdziła.

- Nie ma mowy - sprzeciwiła się wicehrabina. - W ten sposób jedynie niektórzy z naszych gości mogą się utwierdzić w przekonaniu, że mają większy wpływ na to, kto jest mile widziany w naszym domu, niż my sami.

- Lauren ma świętą rację, panno Martin. Niech pani przyjdzie - przytaknęła hrabina. W jej oczach zapaliły się przekorne iskierki. - Zresztą nie wygląda pani na kobietę, której brakuje odwagi.

Wicehrabia mrugnął porozumiewawczo, kiedy Claudia na niego zerknęła.

- Państwo są naprawdę bardzo mili - odparła. - No cóż, dziękuję bardzo, przyjdę.

Tak naprawdę marzyła o tym, żeby wrócić do Lindsey Hall, spakować walizki i wyjechać z pierwszym brzaskiem. Kiedy zamknęły się drzwiczki i powóz szarpnął, ruszając z miejsca, wspomniała swoje poprzednie odejście z Lindsey Hall. Och, jaką miała ochotę zrobić teraz dokładnie to samo!

Nagle poczuła się przytłoczona obecnością markiza w powozie - w tym samym powozie, w którym schronił się przed deszczem, kiedy jechali z Bath do Londynu. Już wtedy miała krępującą świadomość, że jest bardzo męski. Teraz także to czuła, ale nie tylko to.

I przypomniała sobie coś, o czym - o dziwo! - prawie udało jej się zapomnieć w całym tym zamieszaniu. Kiedy siedzieli na łóżku w tamtej małej chatce, powiedział jej coś bez słów - samymi tylko wargami. A jednak usłyszała go jasno i wyraźnie.

„Kocham cię”.

Jej zbolełe serce, pomyślała, ma dużą szansę stać się niedługo sercem złamanym. Można nawet powiedzieć, że już się to stało.

- Panna Hunt zerwała zaręczyny - oznajmił niespodziewanie markiz, kiedy koła powozu zadudniły na moście.

Czasami nawet krótkie zdanie trudno od razu pojąć. Usłyszała, co powiedział, ale przez moment nie umiała złożyć pojedynczych wyrazów w sensowną całość.

- Nieodwołalnie? - zapytała.

- Oświadczyła, że nie wyobraża sobie, że mogłaby zmienić zdanie w tej sprawie.

- To dlatego, że ma pan nieślubne dziecko?

- Wygląda na to - odparł - że wcale nie dlatego. Jej nie interesuje to, czy mam kochanek oraz dzieci na pęczki. Ba, nawet się tego po mnie spodziewa. .. jak zresztą po każdym mężczyźnie. Obraził ją fakt, że przyznając się do Lizzie, złamałem jedną z kardynalnych zasad obowiązujących w towarzystwie. Oznajmiła mi, że nie może za mnie wyjść, ponieważ nie zgodziłem się wywieźć Lizzie z Alvesley jeszcze dziś, a z Lindsey Hall najdalej jutro, i już nigdy więcej o niej nie wspomnieć.

- Być może, kiedy ochłonie i się namyśli, zmieni jednak zdanie.

- Być może.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Co będzie dalej? - zapytała w końcu. - Co się stanie z Lizzie? Uznałyśmy z Eleanor, że można ją wiele nauczyć, zresztą jest bardzo chętna do

nauki. Z przyjemnością wzięłybyśmy ją do szkoły. Jednak nie wiem, czy Lizzie tego chce, chociaż jestem pewna, że spodobały jej się towarzystwo rówieśniczek i wspólne zajęcia.

- Od chwili śmierci Soni miałem ochotę zrobić jedno - powiedział markiz - zabrać Lizzie do Willowgreen, do mojego domu w Gloucestershire. Zawsze wydawało mi się, że to nieosiągalne, ale może teraz mi się uda. W końcu i tak już wszyscy o niej wiedzą, a poza tym stwierdziłem, że to, co o mnie myśli socjeta, obchodzi mnie tyle, ile brud za paznokciem. Zresztą nie taki diabeł straszny. Anne i Sydnam przywieźli swojego syna do Alvesley, a to przecież też nieślubne dziecko, urodził się dziewięć lat wcześniej, niż się poznali, ale pani oczywiście dobrze zna tę sprawę. W każdym razie David Jewell jest tu traktowany na równi z innymi dziećmi.

- Och. - Claudia się uśmiechnęła. - Myślę, że w Willowgreen, na wsi, Lizzie byłaby szczęśliwa.

Jej sercem targnęła nieokreślona tęsknota - która pewnie nie pozostałaby taka, gdyby Claudia pozwoliła sobie na to, żeby się nad nią dłużej zastanowić.

- Myślał pan już o tym, jak zapewnić jej wykształcenie? - zapytała.

- Wynająłbym dla niej kogoś do towarzystwa i guwernantkę - wyjaśnił. - Ale sam też mógłbym z nią spędzać więcej czasu. Opowiadałbym jej o życiu na wsi, o roślinach i zwierzętach, o Anglii i historii. Zatrudniłbym kogoś, kto ją nauczy grać na fortepianie albo na skrzypcach, albo na flecie. Może za rok czy dwa byłaby lepiej przygotowana do szkoły niż teraz. A ja mógłbym przyjeżdżać do domu na dłużej niż do tej pory, kiedy mieszkała w Londynie. Robiłbym coś pożytecznego. Może nawet wreszcie znalazłaby pani we mnie coś, co można docenić.

Spojrzała w jego stronę. Powóz wyjeżdżał właśnie pomiędzy drzew, mijając bramę wjazdową. Jego twarz oświetliły ukośne promienie słońca, które stało nisko na niebie. Zauważyła, że wszystko, co powiedział, było jedynie przypuszczeniem, jakby do końca nie wierzył, że jest wolnym człowiekiem.

- Tak - zgodziła się. - Może bym znalazła.

Z wolna jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

- Chociaż muszę panu powiedzieć, że już to w panu znalazłam - stwierdziła. - Nie jeździł pan do miasta z błahych powodów. Robił to pan z miłości. Nie ma nic szlachetniejszego. A teraz jeszcze publicznie przyznał się pan do córki. To też pochwalam.

- Wygląda pani teraz - rzekł z uśmiechem - zupełnie jak ta nieprzystępna nauczycielka, którą poznałem w Bath.

- Bo to przecież ja - odparła, składając ręce na kolanach.
- Czy to nie pani - zapytał - powiedziała niedawno mojej córce, że ludzie nie da się opisać za pomocą etykietek?

- Mam wartościowe życie, lordzie Attingsborough - rzekła. - Ciężko na nie pracowałam i jestem z niego zadowolona. Zupełnie nie przypomina tego życia, jakim żyłam przez ostatnie tygodnie, i już nie mogę się doczekać, żeby do niego wrócić.

Odwróciła głowę i wbiła wzrok w przesuwany się za oknem krajobraz.

- Przepraszam - oświadczył - za to, że wniosłem w pani życie tyle zamętu.

- Nie wniosłby pan niczego, gdybym panu na to nie pozwoliła - odparła.

Znowu zapadła cisza, zarazem pełna napięcia i dziwnie spokojna. To, rzecz jasna, napięcie erotyczne. Claudia nie miała złudzeń. Ale nie była to żądza. To, co iskrzyło między nimi, nie było wyłącznie fizycznym pociąganiem, pragnieniem zespolenia. Miłość nadawała temu łagodniejszą nutę, miłość, która nadal mogła się skończyć rozczarowaniem. Panna Hunt wciąż jeszcze mogła zmienić zdanie.

A jeśli jednak nie zmieni?

Lecz Claudia nie potrafiła przeskoczyć w myślach tej przeszkody.

Księżę i księżna Bewcastle wyszli przed drzwi frontowe Lindsey Hall, gdy powóz ominął wielką fontannę i zatrzymał się przed wejściem.

- Och! - zawołała księżna, kiedy stangret otworzył drzwiczki powozu i opuścił stopnie - widzę, że odwiózł panią markiz Attingsborough, panno Martin. Tak się cieszę. Martwiliśmy się, że będzie pani wracać sama. Ale czemu nie przywiozła pani Lizzie?

- Zasnęła - wyjaśnił markiz, wysiadając i podając rękę Claudii. - Wolałem jej nie budzić. Jutro odwiozę ją gdzie indziej, jeśli sobie tego państwo życzyście.

- Gdzie indziej? - zdziwiła się księżna. - Mam nadzieję, że nie zabiera jej pan z Lindsey Hall? Tu jest jej miejsce, przynajmniej dopóki Eleanor i panna Martin nie wrócą do Bath. Ja ją tu zaprosiłam.

- Myślałam, że lepiej będzie, jeśli ja też wyjadę - odezwała się Claudia.

- Panno Martin. - Teraz przemówił księżę. - Chyba nie chce pani nas opuścić tak jak ostatnim razem? Freyja wprawdzie uważa, że wyrzuty

sumienia i wstyd, jaki czuła po pani odejściu, poprawiły jej charakter, ale ja nie mogłem się tak pocieszać, zwłaszcza po tym, jak usłyszałem, że Redfield podwiózł panią swoim powozem razem z ciężką walizką, bo nie chciała pani jechać moim.

Mówił wyniosłym i jakby ospałym tonem; w jednym ręku trzymał monokl, niedbale unosząc go do oka.

Księżna się roześmiała.

- Żałuję, że tego nie widziałam - powiedziała. - Freyja opowiedziała nam tę historię, kiedy wracaliśmy z Alvesley. Ale chodźcie oboje do środka, wszyscy są w bawialni. A jeśli obawia się pan krytycznych spojrzeń, lordzie Attingsborough, to nie zna pan rodziny Bedwynów, ani kobiet, ani mężczyzn. Prawda, Wulfric?

- Prawda - przytaknął księżę, unosząc brwi.

- Nie będę wchodził - odparł markiz. - Muszę zaraz wracać do Alvesley. Panno Martin, czy zechciałaby pani przedtem pójść ze mną jeszcze na krótki spacer?

Joseph nie najlepiej znał park wokół Lindsey Hall. Skierował się najpierw do jeziora, gdzie przed prawie tygodniem Lizzie spacerowała z psem. Szli w milczeniu, on z rękami z tyłu, ona - z dłońmi splecionymi w talii.

Zatrzymali się nad brzegiem, blisko miejsca, gdzie pokazywał Lizzie, jak rzucać kamieniami do wody, żeby było słychać plusk. Lustro jeziora lśniło w promieniach zachodzącego słońca. Niebo rozciągało się nad ich głowami, nad horyzontem jeszcze jasne, wyżej już ciemne od zapadającego zmierzchu. Pojawiały się pierwsze gwiazdy.

- Bardzo możliwe, że mój ojciec i siostra przekonają Portię, że zerwanie zaręczyn nie leży w jej interesie - zaczął.

- Wiem.

- Chociaż powiedziała mi, że nie zmieni zdania - dodał - a ja nie zamierzam ustąpić. Dłużej nie będę ukrywał obecności Lizzie w moim życiu. Ale dla damy zerwanie zaręczyn to okropne przeżycie, zwłaszcza po raz drugi. Jeszcze może się namyślić.

- Wiem.

- Nie mogę niczego obiecywać.

- A ja o nic nie proszę - zastrzegła. - Nawet gdyby nie było tej przeszkody, znajdują się inne. Nie ma dla nas żadnych obietnic, żadnej przyszłości.

Nie do końca się z nią zgadzał, ale nie było sensu teraz o tym dysku-
tować. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większą miał pewność, że
ojciec i Wilma zdołają przekonać Portię do utrzymania zaręczyn.

- Żadnej przyszłości - powtórzył. - Jest tylko ta chwila. A w tej
chwili jestem wolnym człowiekiem.

- Wiem.

Wyciągnął do niej rękę, a ona podała mu swoją. Ich palce splotyły się
ze sobą i poszli naprzód wzdłuż brzegu jeziora. Przed nimi ciągnął się las,
schodzący niemal nad samą wodę.

Zatrzymali się, kiedy ogarnął ich cień drzew. Pod stopami mieli wy-
soką, miękką trawę. Odwrócił się twarzą do niej i ujął też jej drugą rękę,
przyciągając ją do siebie, tak że jej piersi, brzuch i uda przylegały do nie-
go. Głowę miała odchylną do tyłu, ale w zapadającym zmierzchu nie
widział wyraźnie jej twarzy.

- Mam w planie więcej niż tylko pocałunki - wyjaśnił, pochylając się
nad nią.

- Wiem - odparła. -Ja też.

Uśmiechnął się w ciemnościach. Jej surowy, powściągliwy ton głosu
zupełnie nie pasował do słów, które właśnie wypowiedziała, ani do cie-
płego kobiecego ciała, które trzymał w ramionach.

- Claudio - zamruczał.

- Josephie.

Znów się uśmiechnął. Teraz jej głos zabrzmiał jak pieszczota. Nigdy
wcześniej nie mówiła do niego po imieniu.

Pochylił głowę i dotknął wargami jej ust.

Wciąż nie mógł się nadziwić, dlaczego spośród tylu kobiet, które
poznał w ciągu ostatnich kilkunastu lat, jego serce wybrało właśnie ją.
Bładła przy niej nawet jego dawna miłość do Barbary. Pragnął tej silnej,
mądrej i zdyscyplinowanej kobiety mocniej niż czegokolwiek w życiu.

Ich pocałunek był miłosnym spotkaniem warg, zębów i języków; dłoń
Claudii wciąż trzymał za swoimi plecami. Jej usta zapraszały
gorącem i wilgocią, więc wsunął do środka język, pieszcząc delikatne
wnętrze, aż z jękiem wciągnęła go głębiej. Odchylił głowę i uśmiechnął
się znowu. Teraz, kiedy jego oczy przyzwyczyły się już do ciemności,
widział, że i ona się uśmiecha, zmysłowo, z rozmarzeniem.

Wypuścił jej rękę, żeby zdjąć frak. Ukłął na jedno kolano i rozpostarł go na ziemi, a potem wyciągnął dłoń do Claudii.

Podąła mu rękę i opadła obok niego na kolana, a potem położyła się na ziemi, tak że pod głową i plecami miała jego frak.

Wiedział, że to może być ich jedyny raz. Jutro wszystko może się znowu zmienić. Ona także o tym wiedziała. Wyciągnęła do niego ramiona.

- Nie obchodzi mnie przeszłość ani przyszłość - powiedziała. - I tak za bardzo pozwalamy, żeby wpływały na nasze życie. Liczy się tylko ta chwila. Liczy się tylko teraz.

Pochylił głowę, żeby ją pocałować i położył się obok niej.

Ona miała za sobą osiemnaście lat celibatu, on prawie trzy. Czuł bijące od niej pożądanie i próbował jakoś opanować własną żądzę. Ale namiętność rzadko słucha innych nakazów niż własne.

Zawładnął jej ustami, wdarł się między wargi językiem. Jego niecierpliwie dłonie odkrywały kształtne, ponętne ciało. Uniósł jej spódnicę i zsunął pończochy, gładząc jedwabistą skórę nóg, ale naraz dotyk przestał mu wystarczać. Pochylił głowę i okrył jej łydki lekkimi pocałunkami, a potem polizał delikatne miejsce z tyłu kolana, aż zaczęła gwałtownie oddychać i wczepiła palce w jego włosy. Odnalazł guziki z tyłu sukni i rozpiął je jeden po drugim; zsunął z jej ramion suknię i halkę, odsłaniając piersi.

- Nie jestem piękna - szepnęła.

- Pozwól, że ja to ocenię.

Dotykał i głaskał jej piersi, wodził po nich ustami i lizał sterczące sutki, póki znowu nie zaczęła dyszeć.

Ale nie leżała bez ruchu, poddając się biernie pieszczotom. Jej ciało przeżyło się pod jego dotykiem, a dłonie podjęły własną wędrówkę, wsuwając się pod kamizelkę. Wyciągnęły koszulę ze spodni i pieściły jego plecy aż do ramion. W pewnej chwili Claudia zsunęła jedną rękę w dół, pomiędzy ich ciała, i przez spodnie objęła dłonią jego męskość.

Stanowczo chwycił ją za nadgarstek i odsunął rękę, splatając jej palce ze swoimi.

- Litości, kobieto - jęknął z wargami na jej ustach. - Bo zaraz stracę resztki opanowania.

- Ja już straciłam - odpowiedziała.

Zaśmiał się i włożył znowu rękę pod jej spódnicę, przesuwając ją w górę, wzdłuż nogi. Tam, gdzie jej uda stykały się ze sobą, była gorąca i wilgotna.

Westchnęła.

Po chwili mocowania się z guzikami od spodni położył się na niej, przycisnął udami jej nogi, wsunął ręce pod pośladki, żeby nie dotykała twardej ziemi i jednym ruchem wszedł w nią głęboko, aż poczuł, że jej ciało zaciska się wokół niego.

Ugięła kolana i oparła stopy na ziemi. Podniosła biodra, żeby przyjąć go w siebie jeszcze głębiej. Z twarzą przy jej twarzy wziął długi, drżący oddech.

- Claudio - szepnął jej do ucha.

Te trzy lata wydawały mu się teraz wiecznością. I wiedział, że nie odwlecze tego, co zaraz nastąpi. Ale chciał dobrze zapamiętać, że robi to z Claudią i że to coś więcej niż seks.

- Joseph - powiedziała niskim, gardłowym głosem.

Wysunął się i wszedł w nią znowu, a po chwili już oboje wznosili się w odwiecznym rytmie miłości ku narastającemu crescendo, aż wreszcie wybuchła w nim rozkosz.

O wiele za szybko, pomyślał z żalem, kiedy spełnienie ustąpiło miejsca leniwej błogości.

- Jak jakiś rozochocony młodzik - mruknął. Zaśmiała się cicho i obróciła głowę, żeby go pocałować.

- Ja nie miałam takiego wrażenia.

Zsunął się z niej i teraz oboje leżeli na boku, patrząc na siebie.

Miała rację. Nie było w tym nic złego. Wręcz przeciwnie, wszystko odbyło się tak, jak trzeba - dokładnie tak.

Na razie musi im to wystarczyć. Być może to wszystko, co będzie im dane. Przytulił do serca tę chwilę, przygarniając do siebie Claudię, i żałował, że nie da się zatrzymać czasu.

Nad jego głową świecił księżyc, znad jeziora wiała rześka bryza, obok siebie miał ciepłe kobiece ciało. Uznał, że w tej chwili ma prawo czuć się szczęśliwy.

Claudia wiedziała, że nie będzie tego żałować - tak jak nie żałowała, że pozwoliła mu się pocałować w Vauxhall.

Wiedziała też, że mają dla siebie tylko tę noc - a właściwie tylko ten wieczór. Niedługo Joseph będzie musiał wracać do Alvesley.

Była więcej niż pewna, że panna Hunt łatwo nie zrezygnuje z tak doskonałej partii, jak markiz Attingsborough. Księżę Anburey i hrabina Sutton nie będą się pewnie musieli bardzo starać, żeby ją przekonać. A on - Joseph - oczywiście nie będzie miał wyboru i przyjmie ją z powrotem, skoro o zerwaniu zaręczyn nikt jeszcze nie wiedział. Był w końcu dżentelmenem.

Tak więc, wszystko, co mieli - to ten jeden wieczór.

Ale nie zamierzała żałować. Cierpieć będzie na pewno, ale to i tak było nieuniknione.

Starła się nie zasnąć. Patrzyła na księżyc i gwiazdy odbijające się w tafli jeziora, wsłuchiwała się w cichy plusk fal o brzeg, czuła chłód trawy pod nogami. W powietrzu unosił się zapach drzew i jego wody kolońskiej, a na jej wargach pozostał jeszcze smak pocałunków.

Była zmęczona, zupełnie wyczerpana. A jednak nigdy z równą mocą nie czuła, że żyje.

Nie dostrzegała go zbyt dobrze w ciemnościach, ale wiedziała, że na chwilę zasnął i zaraz się ocknął. Co za szkoda, że nie można zatrzymać czasu.

O tej porze za tydzień będzie już znowu w szkole, przygotowując lekcje i planując następny rok. To był dla niej zawsze czas nowych chęci i zapału. I będzie pełna zapału.

Ale jeszcze nie teraz.

Błagam, jeszcze nie teraz. Przyszłość zbyt szybko chciała zająć miejsce teraźniejszości.

- Claudio - odezwał się. - Gdyby się okazało, że jesteś...

- Daj spokój - zachnęła się. - Nie ma się czego obawiać. Mam trzydzieści pięć lat.

Oczywiście, mówiła bzdury. Miała tylko trzydzieści pięć lat. Jej regularne miesiączki świadczyły o tym, że wciąż mogła urodzić dziecko. Nie pomyślała o tym. A gdyby nawet pomyślała, pewnie i tak by się tym nie przejęła. Ależ była głupia.

- Tylko trzydzieści pięć lat - sprostował, jak gdyby czytając w jej myślach. Ale nie dokończył tego, co zamierzał powiedzieć wcześniej. Bo i jak? Co mógłby powiedzieć? Że się z nią ożeni? Jeśli panna Hunt nie zechce zwrócić mu słowa, nie będzie mógł tego zrobić. A nawet gdyby zechciała i byłby wolnym człowiekiem...

- Nie mam zamiaru niczego żałować - oświadczyła stanowczo - ani myśleć w tej chwili o nieprzyjemnych sprawach.

Ta lekkomyślna krótkowzroczność - to było dokładnie to, przed czym zawsze przestrzegała swoje uczennice, zwłaszcza te charytatywne, które były narażone na więcej niebezpieczeństw niż inne, bo nie miały opieki rodziny.

- Naprawdę? - ucieszył się. - To dobrze.

Jego ręce na nowo podjęły miłosną wędrówkę po skórze jej ramion, a usta pieściły jej ucho i szyję; objęła go ciaśniej i obsypała pocałunkami - muskała wargami zagłębienie szyi, brodę, wreszcie usta. Na brzuchu poczuła twardy dotyk jego męskości i zrozumiała, że to jeszcze nie koniec.

Leżeli na boku, twarzą do siebie. On uniósł jej nogę, oparł ją o swoje biodro i znowu znalazł się w jej wnętrzu.

Tym razem nie było w ich ruchach gorączkowości ani pośpiechu. Poruszał się w niej mocnymi, długimi posunięciami, a jej biodra tańczyły w tym samym powolnym rytmie. Czowała go w sobie, jej wilgotna, gorąca kobiecość przyjmowała go zachłannie. Ich otwarte usta spotkały się w delikatnym, przeciągłym pocałunku.

I nagle Claudia zrozumiała, że naprawdę jest piękna. Ze jest kobieca i namiętna, taka, jaka czuła się kiedyś, zanim straciła wiarę w siebie, zanim jeszcze w pełni stała się kobietą. On także był piękny, i oto teraz się kochali.

Przy nim nareszcie czuła się wolna - wolna od wątpliwości i kompleksów, które dręczyły ją przez ostatnie osiemnaście lat. Osiągnęła pełnię, odzyskała swoje prawdziwe ja. Była nauczycielką i kobietą. Człowiekiem sukcesu i kochanką. Była zdecydowana i wrażliwa. Zdyscyplinowana i namiętna.

Była po prostu sobą - bez żadnych etykietek, fałszywych wymówek, bez ograniczeń.

Idealna.

I on też.

I to, co razem stworzyli.

Po prostu idealne.

Ścisnął w dłoniach jej pośladki, wchodząc w nią jeszcze głębiej, ale nawet teraz nie było pośpiechu, tylko spokojne dążenie do celu. Poca-

łował ją i wymruczał w jej usta coś, co pojmowała sercem, chociaż nie słyszała wyraźnie słów. Wciąż poruszał się w niej, wypełniał ją; przywarła do niego całą sobą i nagle coś w głębi niej pękło, znikła ostatnia bariera - i już nie było jego ani jej, byli tylko oni.

Przez długą chwilę leżeli tak bez słowa, wtuleni w siebie, ale wreszcie wypuścił ją z objęć i ze smutkiem stwierdziła, że znowu stali się dwojgiem, a nie jednością - i tak już pozostanie zawsze.

Ale nie będzie żałować.

- Powiniennem cię odprowadzić do domu - odezwał się, siadając i poprawiając ubranie. Ona też wygładziła dłońmi spódnicę, później pochyliła się, żeby podciągnąć pończochy i gors sukni. - A potem muszę wracać do Alvesley.

- Wiem - powiedziała, poprawiając spinki we włosach.

Kiedy wstał z ziemi, podał jej rękę. Pociągnął ją na nogi, tak że stali naprzeciwko siebie, nie dotykając się.

- Claudio - zaczął. - Nie wiem...

Położyła mu palec na wargach i przypomniała sobie, że to samo zrobiła wtedy w Vauxhall.

- Nie dzisiaj - przerwała mu. - Niech dzisiejszy wieczór będzie idealny. Chcę go tak zapamiętać na całe życie.

Wziął ją za rękę i ucałował palec leżący na jego ustach.

- Może jutrzejszy wieczór też będzie idealny - rzekł. - Może już odtąd wszystkie wieczory takie będą.

Tylko się uśmiechnęła. Ani przez chwilę w to nie wierzyła - ale o tym pomyśli jutro albo pojutrze...

- Przyjdiesz na bal? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała. - Wolalabym nie przychodzić, ale obawiam się, że mogę w ten sposób zrobić przykrość lady Ravensberg, a może nawet ją obrazić.

Zresztą, jak mogłaby nie przyjść, nawet bez względu na prośbę hrabiny?

Możliwe, że po jutrzejszym balu już go więcej nie zobaczy. Nigdy.

Zanim wypuścił jej dłoń, musnął jeszcze wargami nadgarstek.

- Cieszę się - szepnął.

Księżę Anburey żąda, żeby markiz Attingsborough przyszedł natychmiast do biblioteki, poinformował kamerdyner, kiedy tylko Joseph przestąpił próg Alvesley. Nie poszedł jednak od razu do ojca. Najpierw udał się na górę do swojego pokoju, gdzie zastał Anne i Sydnama czuwających przy Lizzie. Powiedzieli mu, że odkąd pojechał do Lindsey Hall, nie obudziła się ani razu.

- Ojciec chce ze mną rozmawiać - wyjąwił.

Sydnam rzucił mu spojrzenie pełne współczucia.

- Idź. - Anne uśmiechnęła się do niego krzepiąco. - My dopiero jakieś pół godziny temu zmieniliśmy Petera i Susannę. Jeszcze tu trochę posiedzimy.

- Dziękuję.

Stał obok łóżka i leciutko grzbietem dłoni dotknął policzka Lizzie. Trzymała w ręku rożek poduszki i dotykała nim nosa. Joseph poczuł ogromną ulgę, że ich pokrewieństwo nie jest już żadną tajemnicą. Nachylił się, żeby ją ucałować. Mała mruknęła coś niezrozumiale przez sen i znowu ucichła.

W bibliotece, kiedy tam wreszcie dotarł, rozpętała się straszliwa awantura. Ojciec był wściekły. Wyglądało na to, że zdołał udobruchać Portię i przekonać ją, że syn zachowa się jak należy, że nie będzie musiała więcej oglądać jego nieślubnego dziecka i już nigdy o nim nie usłyszy. Portia w związku z tym gotowa była podtrzymać zaręczyny.

Joseph jednak nie zamierzał znowu poddać się woli ojca. Oznajmił mu, że nie będzie dłużej ukrywać Lizzie. Planował ją zabrać do Willowgreen, żeby móc z nią spędzać więcej czasu. A skoro Portia wcześniej zwróciła mu słowo, teraz musi przyjąć te warunki, jeśli zaręczyny mają zostać wznowione.

Nie ustąpił nawet wtedy, gdy ojciec zagroził, że odbierze mu Willowgreen - formalnie wciąż należało do niego. Joseph odparł na to, że w takim wypadku znajdzie inne miejsce, gdzie będzie mógł zamieszkać razem z córką. W końcu nie jest finansowo zależny od ojca. Kupi inny dom na wsi.

Kłócili się dość długo - Joseph, nie podnosząc głosu, uparcie obstawał przy swoim zdaniu, a ojciec krzyczał i groził. Matka, która przez cały czas siedziała z nimi w bibliotece, nie odezwała się ani słowem.

Wreszcie ojciec i matka wyszli z biblioteki i przysłali do niego Portię. Weszła, opanowana i piękna w bladobłękitnej sukni. Stał przed wygasłym kominkiem z rękami splecionymi za plecami, podeszła więc do niego i usiadła, poprawiając spódnicę. Podniosła na niego oczy, ale w jej pięknej twarzy nie dało się wyczytać żadnych emocji.

- Bardzo mi przykro z powodu tej całej sytuacji, Portio - zaczął. - Wina jest oczywiście po mojej stronie. Odkąd matka Lizzie umarła, wiedziałem, że moja córka musi stać się jeszcze ważniejszą częścią mojego życia niż do tej pory. Wiedziałem, że muszę zapewnić jej dom, poświęcić czas i uwagę, dać miłość. Ale jakoś dopiero dzisiaj zdałem sobie sprawę z tego, że nie będę mógł tego zrobić, jeśli nadal będę prowadził podwójne życie, jakiego wymaga tak zwana przyzwoitość. Gdybym o tym wcześniej pomyślał, omówiłbym to z pani ojcem i z moim, zanim wciągnąłem panią w tę sytuację i naraziłem na takie nieprzyjemności jak dzisiaj.

- Przyszłam tutaj, lordzie Attingsborough - odpowiedziała - spodziewając się, że nie wspomni pan już ani słowem o tym okropnym niewiódym dziecku. Zgodziłam się podtrzymać zaręczyny i oszczędzić panu hańby w oczach całego towarzystwa pod warunkiem, że wszystko będzie tak, jakby pańskie nieodpowiednie słowa dzisiaj na pikniku w ogóle nie padły. A nie doszłoby do tego, gdyby ta nieudolna nauczycielka robiła, co do niej należy, zamiast przewracać oczami do księcia.

Wciągnął powietrze przez zęby.

- Widzę, że nic z tego - powiedział. - Chociaż jestem w stanie panią zrozumieć, Portio, to nie mogę się z panią zgodzić. Moje dziecko musi być przy mnie. Musi mieć ojca. Tak każe obowiązek, a serce mówi mi to samo. Kocham ją. Jeśli nie potrafi pani tego zaakceptować, to obawiam się, że nasze małżeństwo będzie skazane na niepowodzenie.

Wstała z krzesła.

- Pan chce zerwać zaręczyny? - zapytała. - Cofnąć wszystkie obietnice i złamać wiążący kontrakt? Nie sądzę, lordzie Attingsborough. Nie zwrócę panu słowa. Papa też panu nie daruje. A księżę Anburey pana wydziedziczy.

Ach, więc jednak miała czas, żeby przemyśleć sprawę, dokładnie tak, jak się spodziewał. Nie była już młoda jak na pannę na wydaniu. I choć pochodziła z dobrej rodziny, była bogata i piękna, to miałyby problem po kolejnych zerwanych zaręczynach. To mogła być jej ostatnia szansa na tak

korzystną partię. Poza tym wiedział, że skrycie marzy jej się zostać kiedyś księżną.

Ale nie mógł pojąć, dlaczego tak naciska na małżeństwo, skoro oczywiste było, że oboje będą w nim nieszczęśliwi.

Przymknął oczy

- Myślę, Portio - powiedział - że powinniśmy porozmawiać z pani ojcem. Wielka szkoda, że on i pani matka nie zostali dłużej. Dzisiejszy dzień musiał być dla pani okropny, bo nie miała pani u boku nikogo bliskiego. Zawrzyjmy rozejm, dobrze? Jutro, na czas uroczystości, będziemy robić dobrą minę do złej gry, a pojutrze stąd wyjedziemy. Zawiozę panią do domu i porozmawiamy z pani ojcem.

- On pana nie zwolni - oznajmiła. - Proszę na to nie liczyć. Będzie się pan musiał ze mną ożenić i zapomnieć o tym wstrętnym stworzeniu.

- Lizzie jest w moim życiu najważniejsza, to nie podlega żadnej dyskusji - rzekł cicho. - Ale zostawmy to na razie, dobrze? Już niedługo będzie pani miała wsparcie psychiczne w osobie matki, a ojciec będzie mógł negocjować w pani imieniu. Tymczasem pani pozwoli, że ją odprowadzę do bawialni.

Podał jej ramię, a ona oparła na nim rękę i pozwoliła się wyprowadzić z biblioteki.

A więc znowu był oficjalnie zaręczony. I być może - kto wie? - już nigdy nie odzyska wolności. Poważnie się obawiał, że Balderston może się zgodzić na jego warunki, a Portia po ślubie znowu ich nie uszanuje.

Cóż, zmierzy się z tym wszystkim, kiedy przyjdzie na to pora, przecież nie ma innego wyboru.

Ale na razie nie jest wolny, i może już nigdy nie będzie.

Ach, Claudio!

Nie śmiał wracać do niej myślą, odkąd znowu przestąpił próg tego domu.

Ach, ukochana.

Następnego ranka Lizzie siedziała przy małym stoliku w sypialni Josepha, ubrana w tę samą sukienkę, co wczoraj na pikniku, ale wyczyszczoną i odprasowaną przez jedną z pokojówek. Włoski miała uczesane i związane białą kokardą, również świeżo wyprasowaną. Jadła właśnie śniadanie i odbierała hołdy niczym królowa.

Po śniadaniu miała wrócić do Lindsey Hall, ale tymczasem do pokoju ciągle ktoś zaglądał. Kit i Lauren przyszli z Anne i Sydną mem, którzy przyprowadzili synka, potem zjawiła się Gwen z ciocią Clarą, Lily i Neville'em, a zaraz po nich - Susanna i Whitleaf. Wszyscy chcieli powiedzieć Lizzie „dzień dobry” i zapytać, jak jej się spało.

I wszyscy uśmiechali się do Josepha.

Może były to tylko uśmiechy współczucia, bo domyślali się, przez co musiał przejść poprzedniego dnia, chociaż większość rozmów odbyła się za zamkniętymi drzwiami. Ale i tak wyrzucał sobie, że niepotrzebnie czekał tyle czasu z wyjawieniem swojego sekretu. Prawda, że w towarzystwie obowiązują pewne zasady, ale w jego rodzinie nie brakowało kochających, wyrozumiałych ludzi.

A potem przyszła jego matka. Uściskała go bez słowa i usiadła przy stole. Lizzie czujnie uniosła głowę, domyślając się, że oprócz niej i ojca ktoś jeszcze jest w pokoju.

- Lizzie. -Jego matka ujęła jej rączkę w obie dłonie. - Czy to zdrobienie od Elizabeth? Oba imiona są bardzo ładne. Moje kochane dziecko. Wyglądasz zupełnie jak twój papa. Ja jestem jego mamą, a twoją babcią.

- Moją babcią? - spytała Lizzie. - Słyszałam pani głos już wczoraj.

- Tak, kochanie - przytaknęła jego matka, głaszcząc jej dłoń.

- Po tym, kiedy poszłam na spacer z Horacym i się zgubiłam - do-dała Lizzie. - Ale papa i panna Martin mnie znaleźli. Papa powiedział, że wytresuje Horacego, żeby już nigdy nie zgubił drogi.

- Byłaś bardzo dzielna - pochwaliła księżna. - Tak jak twój papa, kiedy był mały. Ciągle wspinał się na drzewa albo pływał w jeziorze, nawet kiedy mu zabraniałam, i nic nikomu nie mówiąc, znikał gdzieś na całe godziny, bo wypuszczał się na wyprawy badawcze. Aż dziw, że ani razu nie dostałam przez niego zawału.

Lizzie uśmiechnęła się i wybuchnęła uszczęśliwionym śmiechem.

Matka znowu pogłaskała jej rączkę; Joseph widział, że ma łzy w oczach. Jej samej też nie brakowało odwagi, skoro przyszła tutaj, lekceważąc zakazy ojca. Wyściskała i wyciąowała jego i Lizzie, bo właśnie przyszedł czas, żeby wracać do Lindsey Hall. Wyszła na taras razem z lady Redfield, żeby im pomachać na pożegnanie.

Joseph pojechał konno, wioząc Lizzie przed sobą w siodle. Pies biegł obok, póki się nie zmęczył i trzeba go było też wziąć na siodło, ku wielkiej

uciesze Lizzie. Jechał z nimi McLeith, który, rzecz jasna, wybierał się w odwiedziny do Claudii. Joseph zastanawiał się, czy uda mu się ją przekonać do małżeństwa, ale mocno w to wątpił.

Kiedy dotarli do Lindsey Hall, markiz przez lokaja posłał pannie Martin bilecik, który przygotował wczoraj wieczorem, a potem wyszedł na zewnątrz, gdzie księżna Bewcastle, lord i lady Hallmere rozmawiali z Lizzie. McLeith wszedł do środka, żeby zobaczyć się z Claudią, Joseph zaś zabrał Lizzie i psa na przechadzkę nad jeziorem.

- Papo - szepnęła, przytulając się do niego. - Ja nie chcę iść do szkoły.

- I nie pójdziesz - zapewnił ją. - Zostaniesz ze mną, dopóki nie będziesz na tyle dorosła, że się zakochasz, wyjdiesz za mąż i zostawisz mnie samego.

- Głuptasie - rzuciła. - Nic takiego nie zrobię. Ale jeśli nie pójde do szkoły, to stracę pannę Martin.

- Czy to znaczy, że ją lubisz?

- Kocham ją - wyznała z uczuciem. - Czy to coś złego, papo? Matkę też kochałam. Kiedy umarła, było mi tak smutno, że też już nie chciałam żyć. Myślałam, że nigdy przy nikim oprócz ciebie nie będę się uśmiechała i czuła bezpiecznie.

- A panna Martin taka właśnie jest?

- Tak.

- Nie ma w tym nic złego. - Ścisnął jej rączkę. - Twoja matka zawsze będzie twoją matką. Zawsze pozostanie dla niej miejsce w twoim serduszku. Ale miłość żyje i rozwija się, Lizzie. Im bardziej kochasz, tym więcej możesz kochać. Nie musisz czuć się winna, że kochasz pannę Martin.

W przeciwieństwie do niego.

- Może panna Martin będzie nas odwiedzać, papo? - zapytała.

- Może.

- Będę za nią tęsknić - westchnęła. Stali na brzegu jeziora. Joseph zerknął przed siebie, tam gdzie drzewa schodziły prawie do wody. To przecież właśnie tam... - I za Molly, i Agnes, i panną Thompson.

- Już niedługo zabiorę cię do domu - obiecał.

- Do domu - westchnęła znowu, opierając główkę o jego ramię. - Papo, a czy panna Martin zabierze ze sobą Horacego?

- Myślę - powiedział - że z przyjemnością zostawi go tobie.

W pewnej odległości od nich Claudia Martin spacerowała z McLeithem. Musieli wejść na wzgórze za domem i zejść między drzewami

Postanowił całą uwagę skupić teraz na córeczce. Jak cudownie, że po tak długim czasie wreszcie nie muszą już niczego ukrywać.

- W końcu wczoraj po południu nie popłynęliśmy na przejażdżkę łodzią - powiedział - co, skarbie? Co ty na to, żebyśmy teraz poszukali sobie jakiejś łódki?

- O, taaak! - zawołała, a jej buzię rozpromieniło radosne podniecenie.

- Nie zdziwiłbym się, Claudio - mówił Charlie - gdybym cię zastał gotową do odjazdu, jak tylko to dziecko wróciło i mogło z tobą wyjechać. Ale byłbym zły, gdyby tak się stało. To Attingsborough powinien ją stąd wywieźć, i to jak najszybciej. W ogóle nie należało jej tu przywozić. Dla Bewcastle'a musiało to być szalenie niezręczne, a panna Hunt została ciężko obrażona, nie wspominając już o Anbureyu.

- To nie był jego pomysł, żeby tu przywieźć Lizzie - wyjaśniła Claudia - tylko mój.

- W ogóle nie powinien był ci o niej mówić - oburzył się Charlie. - Jesteś przecież damą.

- A Lizzie - odparowała - jest osobą.

- Panna Hunt - mówił dalej - bardzo to przeżywa, chociaż niczego po sobie nie pokazuje, zbyt wiele ma godności. Została publicznie poniżona przed tłumem gości z Alvesley i Lindsey Hall, nie mówiąc już o sąsiadach, którzy przyszedli na piknik. Spodziewałem się nawet, że nie będzie chciała po tym wszystkim wyjść za Attingsborough, ale wygląda na to, że mu przebaczyła.

Tak. Nie trzeba jej było tego mówić. Przeczytała lakoniczny bilecik, który Joseph jej przesłał, kiedy go dojrzała z okna pokoju do nauki. Ledwo zauważyła, że byli z nim Charlie i Lizzie. Czekwała, nie mając nadziei - ale kiedy przeczytała krótki liścik, zdała sobie sprawę, że się oszukuje. Do tej pory miała cień nadziei. Ale nagle ta nadzieja, ta nikła szansa szczęścia, została jej odebrana.

Wyszli spomiędzy drzew przy dalszym krańcu jeziora, a jej spojrzenie mimo woli powędrowało w stronę miejsca, gdzie wczoraj kochali się z Josephem - i zobaczyła go nieco dalej, stojącego razem z Lizzie

nad samą wodą. Wielkim wysiłkiem woli wróciła myślą do tematu rozmowy.

- Charlie - powiedziała mu. - Lizzie została poczęta ponad dwanaście lat temu, kiedy markiz Attingsborough był jeszcze bardzo młody, na długo przedtem, zanim w ogóle poznał pannę Hunt. W jaki sposób istnienie Lizzie mogłoby jej zagrażać?

- Tu nie chodzi o jej istnienie, Claudio - wyjaśnił. - Tylko o to, że teraz panna Hunt i wielu innych ludzi o niej wie, a wkrótce będzie o tym wiedział każdy, kto choć trochę liczy się w towarzystwie. To po prostu nie wypada. Dżentelmen takie rzeczy zachowuje dla siebie. Znam zasady panujące w towarzystwie; musiałem się ich nauczyć, kiedy miałem osiemnaście lat. Ty nie miałas z nimi dotąd zbyt wiele do czynienia.

- Charlie - rzekła, tknięta nagłym przypuszczeniem. - Czy ty masz jeszcze jakies inne dzieci oprócz Charlesa?

- Claudio! - Wyraźnie był zażenowany. - Dama nie zadaje takich pytań dżentelmenowi.

- To znaczy, że masz - domyśliła się. - Masz jeszcze inne dzieci. Prawda?

- Nie odpowiem na to pytanie - oponował. - Doprawdy, Claudio, zawsze byłaś bardziej szczerą, niż powinnaś. To jedna z cech, które zawsze w tobie podziwiałem, i nadal podziwiam, ale jednak są pewne granice...

- Masz dzieci! - powtórzyła. - Powiedz, kochasz je i o nie dbasz?

Roześmiał się nagle i pokręcił smutno głową.

- Jesteś niemożliwa! - rzucił. - Jestem dżentelmenem, Claudio. Ro bię to, co do mnie należy.

Biedna świętej pamięci księżna, pomyślała Claudia. Nieślubne dzieci Charliego, w przeciwieństwie do Lizzie, musiały się urodzić już w czasie, kiedy Charlie był żonaty. Ciekawe, ile ich jest. I jakie prowadzą życie. Ale nie wypadało jej o to zapytać. Honor dżentelmena nie pozwalał mu rozmawiać z damą o takich sprawach.

- Ta rozmowa trochę zepsuła nastrój, który chciałem dzisiaj stworzyć - westchnął. - Dziś wieczorem jest bal, Claudio. Jutro, a najpóźniej pojutrze będę musiał wyjechać. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że jestem jedynym gościem w Alvesley, który nie należy do rodziny. Nie wiem, kiedy cię znowu zobaczę.

- Będziemy do siebie pisać - obiecała.
- Wiesz dobrze, że mnie to nie wystarczy.

Obróciła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. Przecież znowu byli przy jaciółmi, prawda? Zgodziła się puścić w niepamięć dawny ból i cierpienie i pozwoliła sobie na to, żeby na nowo go polubić, choć nie wszystko jej się w nim podobało. Chyba nie zamierza znowu...

- Claudio - zaczął. - Chcę, żebyś za mnie wyszła. Kocham cię i wy daje mi się, że ty lubisz mnie troszkę bardziej, niż przyznajesz sama przed sobą. Powiedz mi, że zostaniesz moją żoną, a na dzisiejszym balu będę się czuł jak w niebie. Nie musimy dzisiaj nic ogłaszać, bo cała uroczystość jest na cześć Redfieldów, a zresztą żadne z nas nie jest blisko związane z tą rodziną. Ale będę mógł powiedzieć niektórym prywatnie. Jeśli się zgodzisz, stanę się najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. Wiem, że to brzmi jak wyświechtany frazes, ale to prawda. Co ty na to?

Przez kilka dobrych minut nie była w stanie znaleźć słów. Zaskoczył ją kompletnie - po raz kolejny. To, co dla niej było rozwijającą się przyjaźnią, jemu musiało się wydawać pogłębiającym się romansem. Doprawdy, dzisiaj nie miała na to wszystko siły.

- Charlie - odparła wreszcie. - Ja cię nie kocham.

Zapadła długa, krępująca cisza. Szli teraz tak wolno, że prawie nie posuwali się do przodu. Zobaczyła, że od brzegu odbija łódź - to markiz Attingsborough i Lizzie. Uderzyło ją wspomnienie dnia, kiedy zabrał ją na przejażdżkę łodzią na garden party u pani Corbette-Hythe. Ale powściągnęła uciekające myśli. Spojrzała znowu na Charliego.

- Podałś jedyny powód, którego nie mogę obalić żadnym argumentem - powiedział. - A przecież kochałaś mnie kiedyś, Claudio. Kochałaś się ze mną. Nie pamiętasz?

Na moment przymknęła oczy. Nie, prawdę mówiąc, niewiele pamiętała poza tym, że na początku nie bardzo wiedzieli, jak się zabrać do rzeczy, potem trochę ją bolało, a na koniec ogarnęło ją radosne poczucie, że odtąd należą do siebie już na zawsze.

- To było dawno temu - wyszeptała. - Teraz jesteśmy zupełnie inni, Charlie. Mam dla ciebie ogromną sympatię, ale...

- Do cholery z twoją sympatią - mruknął i uśmiechnął się do niej żałośnie. - I do cholery z tobą. A teraz muszę cię pokornie przeprosić za to, że w twojej obecności użyłem tak niestosownego słownictwa.

- Ale nie przepraszasz za niestosowne uczucia?
- Nie. Za to nie. Czy to znaczy, że do końca życia mam znosić karę?
- Och, Charlie - westchnęła. - To nie jest żadna kara. Przebaczyłam ci przecież, kiedy mnie o to prosiłeś. Ale...
- Do diabła z miłością - przerwał jej znowu. - I tak możesz za mnie wyjść. Zresztą na pewno w głębi duszy mnie kochasz. Jestem pewien, że tak.
- Kocham cię jak przyjaciela.
- Auć! - Skrzywił się. - Pomyśl jeszcze. Dobrze się zastanów. A wieczorem znów cię zapytam. Potem już przestanę cię zadreć. Obiecay, że pomyślisz i spróbujesz zmienić zdanie.
Z westchnieniem pokręciła głową.
- Nie zmienię zdania do wieczora - oznajmiła. - Dla nas jest już za późno.
- Ale i tak się zastanów - nalegał. - Bo zapytam cię o to wieczorem. Zatańczysz ze mną pierwszy taniec?
- Dobrze.
Znowu zapadła między nimi cisza.
- Żałuję - odezwał się po chwili - że kiedy miałem osiemnaście lat, nie wiedziałem tego, co wiem teraz: że są w życiu rzeczy, z których nie wolno rezygnować. Lepiej wracajmy już do domu. Zrobiłem z siebie kompletnego idiotę, prawda? Ty widzisz we mnie tylko przyjaciela. A mnie to nie wystarcza. Może namyślisz się do wieczora. Ale chyba nie mogę liczyć, że tak będzie, tylko dlatego, że ja bym tego chciał.
Mimo to, pomyślała Claudia, idąc u jego boku, gdyby nie spotkali się tego lata w Londynie, całkiem możliwe, że do końca życia nie zaszczyciłby jej nawet wspomnieniem.
Z daleka widziała, że Lizzie wodzi ręką po powierzchni wody - tak samo, jak ona wtedy na Tamizie. Dobiegł ją dźwięczny śmiech - jego i Lizzie.
Nagle poczuła się bardzo, bardzo samotna. W sercu miała czarną dziurę bez dna.
Portia nie miała ze sobą żadnych krewnych w Alvesley Park. Nie miała tu też bliskich przyjaciół, może z wyjątkiem Wilmy. A teraz jeszcze Joseph pojechał na cały ranek do Lindsey Hall.

Krewni Josepha nie byli ludźmi bez serca. Mimo że prawie nikt oprócz jego najbliższej rodziny nie pochwalał zachowania jego przyszej małżonki, szczerze jej współczuli. Na pikniku przeżyła przykry wstrząs, choć można powiedzieć, że w pewnym stopniu sama sobie była winna. Ale to rozumiały, że teraz czuje się upokorzona. Oprócz tego, coś nieprzyjemnego musiało zajść między nimi, kiedy Joseph wrócił wieczorem, odwiózłszy pannę Martin do Lindsey Hall. Zaręczyny jednak jakimś cudem nadal były aktualne - tak oznajmiła im Wilma.

Susanna i Anne powiedziały Gwen, Lauren i Lily, że to wielka szkoda, bo Claudia Martin jest zakochana w Josephie - a on w niej, jak można się domyślać. To przecież z nią poszedł szukać Lizzie, prawda? I to ją poprosił, żeby czuwała nad dziewczynką, kiedy sam rozmawiał z ojcem i panną Hunt. Potem uparł się, że odwiezie ją do Lindsey Hall, chociaż Kit zaproponował, że on to zrobi. I jakoś długo stamtąd nie wracał.

Ale damy stać było na życzliwość. Pomimo tego, że mogły się zająć przygotowaniami do wieczornego balu z okazji rocznicy, zaprosiły pannę Hunt na spacer - i Wilmę również. Powolnym krokiem minęły oficjalną część ogrodu, przeszły przez mostek i skierowały się na ścieżkę wśród drzew. Lily zapytała pannę Hunt o plany związane ze ślubem, ona zaś z wyraźną przyjemnością zaczęła opowiadać o przygotowaniach.

- Jakie to urocze - westchnęła Susanna, kiedy pozostawiły za sobą zakręt prowadzący na wzgórze i poszły dalej prosto - kiedy dwoje zakochanych planuje ślub.

- Och - odparła Portia. - Nie zamierzam się zniżyć do czegoś tak pospolitego i prymitywnego, jak zakochanie, lady Whitleaf. Dama wybiera sobie męża roztropnie i z rozwagą.

- Słusznie - wtrąciła Wilma. - Żadna z nas nie chciałaby chyba zostać żoną jakiegoś młynarza, bankiera albo guwernera tylko dlatego, że się w nim zakochała, prawda?

Susanna spojrzała na Anne, Gwen i Lauren też wymienily ukradkiem spojrzenia, a Lily tylko się uśmiechnęła.

- Ja uważam - orzekła - że najlepiej jest wyjść za człowieka, który ma i tytuł, i pieniądze, i urodę, i charakter, a przy okazji być w nim po uszy zakochana. Pod warunkiem, oczywiście, że on czuje to samo.

Roześmiały się wszystkie z wyjątkiem Portii. Nawet Wilma zachichotała. Chociaż w rodzinie uważano hrabiego za nudnego sztywniaka, nie było żadną tajemnicą, że państwo Sutton bardzo się lubią.

- Najlepiej jest - stwierdziła Portia - nigdy nie stracić nad sobą panowania.

Zawróciły w stronę domu wcześniej, niż zamierzały, bo chociaż niebo nadal było błękitne i bezchmurne, a gałęzie drzew nad ich głowami nie tak gęste, żeby całkiem zasłonić słońce, to jednak nagle w powietrzu powiało dziwnym chłodem.

Na mostku w ogrodzie stał książę McLeith; ręce oparł o drewnianą poręcz i wpatrywał się w wodę. Kiedy zobaczył damy, wyprostował się z uśmiechem.

- Już pan wrócił z Lindsey Hall? - spytała Susanna, choć było to oczywiste. - Widział się pan z Claudią?

- Tak. - Twarz miał dosyć markotną. - Wygląda na to, że jest równie oddaną nauczycielką, jak zaprzysięgłą starą panną.

Susanna i Anne wymieniły spojrzenia.

- Myślę - powiedziała Wilma - że powinna być wdzięczna za to, że Wasza Wysokość raczył zwrócić na nią uwagę.

- Ależ, lady Sutton, myśmy się razem wychowali - odparł książę. - Ona zawsze miała własne zdanie. Gdyby była mężczyzną, daleko by w życiu zaszła. Nawet jako kobieta ma się czym pochwalić. Jestem z niej dumny. Ale jestem też trochę... - urwał.

- Trochę...? - zachęciła go Gwen.

- Melancholijny - dokończył.

- A Joseph też wrócił z panem? - chciała wiedzieć Lauren.

- Nie. Zabrał swoją có... zabrał kogoś na przejażdżkę łodzią i uznałem, że nie będę na niego czekał.

- On jest niepoprawny! - wykrzyknęła Wilma ze złością. - Wczoraj i tak miał szczęście, że panna Hunt była na tyle wspaniałomyślna, żeby mu przebaczyć coś, co moim zdaniem jest niewybaczalne, a przecież to mój brat. Ale dzisiaj już wyraźnie kusi los. Powinien był wrócić natychmiast.

- No cóż - oświadczyła rażno Lauren. - Ja naprawdę muszę już iść do domu. Chyba z tysiąc rzeczy trzeba jeszcze załatwić na wieczór. Gwen, ty i Lily obiecałyście mi pomóc układać kwiaty.

- A ja powinnam niedługo nakarmić Harry'ego - stwierdziła Susanna.

- Och, a ja obiecałam, że pójde popatrzeć, jak David i Sydnam malują - przypomniała sobie Anne. - Megan pewnie już na mnie czeka.

- Wilmo. - Lauren zwróciła się do kuzynki. - Twoje przyjęcia zawsze są w najlepszym guście. Mogłabyś pójść z nami, żeby mi doradzić w sprawie dekoracji sali balowej i ustawienia stołów przy kolacji?

Tu spojrziała na Portię.

- Panno Hunt - powiedziała. - Może dotrzyma pani księciu towarzystwa? Nie chciałabym, żeby pomyślał, że wszystkie go porzucamy, ledwo zaczęliśmy rozmowę.

- Proszę się mną nie przejmować, lady Ravensberg - Charlie pośpieszył z zapewnieniem. - Ale mówiono mi, panno Hunt, że widok z tamtego wzgórza wart jest wspinaczki na szczyt. Miałaby pani ochotę przejść się ze mną i zobaczyć, czy to prawda?

- Z przyjemnością - odparła.

- Joseph będzie miał naprawdę dużo szczęścia - podjęła Wilma, kiedy już znalazły się poza zasięgiem słuchu - jeśli księżę McLeith nie sprzątnie mu panny Hunt sprzed nosa. Zresztą, kto by mu się dziwił? Albo jej? Słowo daję, nigdy nie myślałam, że się będę musiała wstydzić za własnego brata, ale doprawdy...

- Ja też byłam na niego zła. - Gwen wzięła Wilmę pod ramię. - Żeby ukrywać przed nami coś takiego. Zupełnie, jakbyśmy byli jakimś kolegium sędziowskim, a nie jego rodziną. A Neville, to samo. On przez cały czas o wszystkim wiedział, prawda, Lily?

- Tak - odparła Lily. - Ale nie zdradził się ani słóweczkiem, nawet przede mną. Myślę, że za taką lojalność należy mu się uznanie, Gwen. Ale szkoda, że nie wiedzieliśmy o tym wcześniej. Lizzie to takie słodkie dziecko, prawda?

- Podobna jest do Josepha - orzekła Lauren. - Będzie z niej ślicznotka.

- Przecież jest niewidoma - oburzyła się Wilma.

- Coś mi się wydaje - Anne się uśmiechnęła - że w niczym jej to nie przeszkodzi. Teraz, skoro już wszyscy o niej wiemy, ciekawie będzie patrzeć, jak się rozwija.

Wilma nic na to nie powiedziała.

Gdy dotarli do domu, zajęły się przygotowaniami do balu, a pocieszenie panny Hunt pozostawiły w rękach księcia McLeitha.

Czymże ja sobie zasłużyłam na takie zwariowane lato? - zapytała, wzdychając Claudia.

Pytanie było czysto retoryczne, ale Eleanor i tak na nie odpowiedziała:

- Postanowiłaś pojechać do Londynu, a ja cię do tego zachęcałam. Namówiłam cię nawet, żebyś została dłużej, niż na początku planowałaś.

- Pan Hatchard bardzo wymijająco pisał mi o przyszłych pracodawcach Edny i Flory - ciągnęła Claudia. - Susanna namówiła Frances, żeby zaśpiewała u nich w domu i zaprosiła mnie na koncert. Przysłała markiza Attingsborough, prosząc, żeby mnie przywiózł do miasta, bo właśnie wracał z Bath, a on, tak się złożyło, ma córkę, którą chciał oddać do szkoły. Charlie akurat tej wiosny zdecydował się wyjechać ze Szkocji po raz pierwszy od lat. A ty przypadkiem jesteś siostrą księżnej Bewcastle i przyjęłaś jej zaproszenie, żeby przyjechać z dziewczętami na lato. W ten sposób odkąd tylko wyjechałam z Bath, dosłownie na każdym kroku potykam się o Bedwynów. I tak dalej, i tak dalej... można by ciągnąć tę wyliczankę w nieskończoność. W jaki sposób dotrzeć do prawdziwej przyczyny wydarzeń, Eleanor? Cofnąć się do Adama i Ewy? To oni są winni wszelkich nieszczęść ludzkości.

- Nie, nie, Claudio, przestań. - Eleanor stanęła za plecami Claudii, siedzącej przy toalecie w swojej sypialni. - Powyrywasz sobie włosy, jeśli będziesz je tak ściągać do tyłu. Daj, ja to zrobię. - Wyjęła z ręki Claudii szczotkę i poluźniła odrobinę kok spleciony na karku, tak że włosy ułożyły się swobodniej. Poprawiła też samo upięcie. - No, tak lepiej. Teraz wreszcie zaczynasz przypominać kogoś, kto wybiera się na bal. I bardzo mi się podoba ta zielona muślinowa suknia. Pokazywałaś mi ją wprawdzie w Bath, ale dzisiaj pierwszy raz widzę ją na tobie.

- Czemu ja właściwie idę na ten bal? - jęknęła Claudia. - Czemu to ty masz zostać i pilnować dziewcząt?

- Dlatego - powiedziała Eleanor, posyłając Claudii w lustrze szelmowskie spojrzenie - że to ciebie obraziła wczoraj jedna z tych kobiet, a lady Redfield i jej synowa bardzo chciały, żebyś się tam pojawiła. I dlatego, że nigdy nie cofasz się przed wyzwaniem. Dlatego, że obiecałaś zatańczyć pierwszy taniec z księciem McLeithem, chociaż dziś rano powie-

działaś biedakowi bez ogródek, że za niego nie wyjdiesz. Dlatego, że ktoś musi zostać z dziewczętami, a wszystkim wiadomo, że ja nigdy nie bywam na balach ani na innych tego typu ekstrawaganckich przyjęciach.

- Wystarczy - przerwała jej sucho Claudia, wstając ze stołka. - Ja za to bywam na tego typu przyjęciach, bo czasem uważam to za swój obowiązek w przeciwieństwie do niektórych osób, których nie wymienię tu z imienia.

- A poza tym - dodała jeszcze Eleanor - pójdziesz na bal, bo to być może ostatnia okazja, żeby się z nim zobaczyć.

Claudia spojrzała na nią z ukosa.

- Z jakim „nim”?

Eleanor podała Claudii wzorzysty szal, który leżał na łóżku.

- Myliłam się przez całe lato - powiedziała. - Myślałam, że to księżę McLeith, ale nie miałam racji. Tak mi przykro. Naprawdę. I nie tylko mnie. Wszystkim innym też.

- Wszystkim?!

- Christine - wyliczyła Eleanor. - Eve, Morgan, Freyji...

- Lady Hallmere?!

Czy to możliwe, żeby wszyscy ci ludzie wiedzieli? Ale biorąc szal z rąk Eleanor, wiedziała, że tak jest. Wszyscy musieli się tego domyślić. Co za potworny wstyd.

- Nie mogę iść - stwierdziła. - Poślę im bilecik z jakimś usprawiedliwieniem. Eleanor, proszę cię, pójdz i powiedz...

- Oczywiście, że pójdziesz - wpadła jej w słowo Eleanor. - Jesteś przecież Claudią Martin.

Tak, była Claudią Martin. A Claudia Marin nie jest z tych, co zaszywają się gdzieś w ciemnym kącie albo chowają głowę pod poduszkę z powodu byle poniżenia, upokorzenia czy złamanego serca.

Wyprostowała się, uniosła podbródek, zacisnęła surowo wargi i spojrzała na przyjaciółkę z wojowniczym błyskiem w oku.

- Niech nieba mają w swojej opiece tego, kto ci dzisiaj wejdzie w drogę - roześmiała się Eleanor, po czym uściskała ją serdecznie. - Idź i pokaż tym dwóm jędzom, że przed dyrektorką szkoły z Bath nie mają co zadzierać tych swoich arystokratycznych nosów.

- Jutro wracam do Bath - oświadczyła Claudia. - Jutro wracam do normalności i do mojego świata. Jutro wracam do życia, jakie

wiodłam, zanim wsiadłam do powozu markiza Attingsborough pewnego ranka jakieś tysiąc lat temu. Ale dziś wieczór, Eleanor... Cóż, dziś wieczór...

Roześmiała się, choć wcale nie było jej do śmiechu.

Stanowczym krokiem wyszła z sypialni. W sumie niewiele jej potrzeba, pomyślała niewesoło. Tarczy w jednym ręku i włóczni w drugim - a na głowie hełmu z rogami.

Przed balem podano wystawny obiad dla rodziny i goszczących w domu przyjaciół. Atmosfera była bardzo uroczysta i radosna, wznoszono toast za toastem. Hrabia i hrabina Redfieldowie wyglądali na wzruszonych i szczęśliwych.

Joseph chciał zaprowadzić Portię prosto do sali balowej zaraz po posiłku, bo większość gości już się tam udawała. Zaczęli się też zjeżdżać inni. Ona jednak musiała wrócić na chwilę do pokoju, żeby poprawić fryzurę i zabrać swój wachlarz, tak więc poszedł sam.

Chodził po sali, rozmawiając z innymi gośćmi. Nietrudno było udawać, że jest w wesołym, towarzyskim nastroju, że dobrze się bawi - przychodziło mu to z równą łatwością, jak oddychanie.

Ku wielkiemu zadowoleniu zebranych, hrabia i hrabina Redfield obiecali zatańczyć pierwszy taniec wraz ze swoimi gośćmi, starodawnego kadryla.

Portia znowu chyba chciała go ukarać, uznał Joseph, kiedy muzycy zaczęli grać. Spóźniła się, a on został na lodzie. Bo oczywiście poprosił ją o pierwszy taniec. Wobec tego podszedł do matki, która rozmawiała z ciocią Clarą i dwiema ciotkami Kita. Wkrótce kobiety śmiały się wesoło, oczarowane.

Claudia też nie tańczyła. Starał się trzymać od niej z daleka, odkąd przyjechała razem z resztą towarzystwa z Lindsey Hall, ale jego myśli wciąż nieproszone wracały do niej. A teraz, kiedy stał w miejscu i rozmawiał, jego spojrzenie wciąż biegło do niej.

Znowu wyglądała bardzo nieprzystępnie, chociaż miała na sobie tę ładniejszą ze swoich dwóch wieczorowych sukien. Stała sama, przyglądając się tańczącym. Dziwił się, jak mógł dać się zwieść pozorom wtedy w Bath, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Bo to sztywno wyprostowane ciało było tak

naprawdę ciepłe, miękkie i uległe, a ta twarz o surowych rysach i lśniących inteligencją szarych oczach była piękna. Ona cała była piękna. A wczoraj, mniej więcej o tej porze...

Celowo odwrócił się tak, żeby mieć ją za plecami. Spojrzał w stronę drzwi. Portii nadal ani śladu.

Do następnego tańca poprosił Gwen, która bardzo lubiła tańczyć, mimo że lekko utykała. Z zadowoleniem stwierdził, że Claudia tańczy z Rosthorem. Kiedy orkiestra umilkła, razem z Gwen podeszli do Lauren i Whitleafów. Pochwalił Lauren za piękny wystrój sali i pogratulował jej przyjęcia, które już teraz zapowiadało się na udane. Zastanawiał się przy tym w duchu, czy nie powinien posłać na górę pokojówki, żeby zapukała do sypialni Portii. Może zjadła coś, co jej zaszkodziło, albo zdarzył się jakiś wypadek? To naprawdę dziwne, że opuściła całą godzinę balu.

Ale zanim zdecydował, co zrobić, poczuł lekkie dotknięcie w ramię, a kiedy się obrócił, zobaczył przed sobą jednego z lokajów, który wręczył mu złożoną kartkę papieru.

- Dziękuję. - Wziął papier od służącego.

Może to odpowiedź Claudii na jego wcześniejszy bilecik?

Przeprosił towarzystwo, odwrócił się od grupy i przełamawszy pieczęć, rozłożył kartkę. Najpierw powędrował wzrokiem na koniec, do podpisu - list był od Portii. Miał szczerą nadzieję, że jednak się nie pochorowała. Już się zastanawiał, jakby tu wezwać medyka, nie psując jednocześnie zabawy gospodarzom i innym gościom.

„Lordzie Attingsborough - przeczytał. - Z żalem muszę Pana poinformować, że po dojrzałym namyśle doszłam do wniosku, iż nie mogę tolerować u mojego przyszłego męża takiego obnoszenia się z nieślubnym dzieckiem. Nie mam też przyjemności dłużej przebywać w domu, gdzie jedynie księżę Anburey oraz lord i lady Suttonowie wydawali się szczerze zgorzgni Pana niestosownym zachowaniem i skłonni je zganić. Wobec tego zamierzam opuścić to miejsce jeszcze przed rozpoczęciem balu. Wyjeżdżam wraz z księciem McLeithem, który zabierze mnie ze sobą do Szkocji i tam uczyni swoją żoną. Nie będę Panu pochlebiać, nazywając się szczerze Panu oddaną”.

I jej podpis.

Złożył kartkę.

Zerkając przez salę na Claudię, zauważył, że ona robi dokładnie to samo.

- Coś nie tak, Josephie? - Zaniepokojona Lauren położyła rękę na jego ramieniu.

- Nie, nic takiego - odparł z uśmiechem. - To tylko Portia wyjechała. Uciekła z McLeithem.

Kiedy to powiedział, zdał sobie sprawę, jak dziwnie zabrzmiały jego słowa w odpowiedzi na jej pytanie. Ale w głowie mu huczało.

- Przepraszam - powiedział, odchodząc. Lauren zastygła w zdumieniu, z oczyma jak spodki i ustami otwartymi w idealnie okrągłe „O”.

Szybkim krokiem wyszedł z sali balowej i wbiegł na piętro, przeskakując po dwa schody. Zastukał do sypialni Portii, a kiedy nie doczekał się odpowiedzi, zajrzał ostrożnie do środka. Choć w pokoju panował mrok, to nawet w mdłym świetle księżyca mógł stwierdzić, że Portia naprawdę wyjechała. Na toalecie i na nocnym stoliku nie leżały żadne drobiazgi. Szafa była pusta.

Głupia, pomyślał. Głupia! Ucieczka nie rozwiązywała sytuacji. W oczach towarzystwa to Portia będzie tą, która zerwała zaręczyny, żeby uciec do Szkocji z innym mężczyzną. Socjeta ją potępi - sama siebie skazała na istnienie poza nawiasem. I to właśnie Portia! Ona, która zawsze tak dbała o zachowanie przyzwoitości.

I do tego McLeith!

Jechać za nimi? Na pewno zyskali już dobrą godzinę, jeśli nie więcej. Zresztą, jaki by to miało sens, nawet gdyby ich dogonił? Oboje byli przecież dorośli. Może Portia zazna szczęścia z McLeithem. W końcu zostanie żoną księcia od razu, nie będzie musiała czekać, aż umrze jego ojciec. I pewnie zamieszkają w Szkocji, gdzie hańba ucieczki może tak bardzo jej nie zaszkodzi.

Ależ to głupie ze strony Portii, pomyślał, wyglądając przez okno na tonący w mroku ogród. Mogła przecież zerwać zaręczyny, pojechać do domu, a potem dopiero ogłosić rychły ślub z McLeithem. To do niej niepodobne, żeby zrobić coś tak lekkomyślnego.

Ale przynajmniej poczuł do niej odrobinę sympatii.

Domyślił się, że list, który czytała Claudia, był od McLeitha.

Po raz pierwszy, odkąd wczoraj wieczorem wrócił do Alvesley, pozwolił sobie na to, żeby jego myśli pobiegły w jej stronę.

Ledwo mógł uwierzyć, że jest wolny. Może się jeszcze okazać, że kiedy zejdzie na dół do sali balowej, zobaczy tam Portię, która się opamiętała i wróciła do Alvesley i do niego.

Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Z początku Claudia czuła jedynie ulgę, kiedy Charlie nie zjawił się, by poprosić ją do obiecanego pierwszego tańca. Naprawdę nie miała ochoty usłyszeć po raz kolejny pytania, które zadał jej dzisiaj rano. Ale gdy rozległy się pierwsze takty muzyki, górę wzięło w niej rozdrażnienie. Jakiś dżentelmen, którego poznała wczoraj na pikniku, poprosił ją do tańca, a ona mu odmówiła, tłumacząc, że już obiecała ten taniec komuś innemu.

Dość upokarzające było tak stać z boku i przyglądać się, jak wszyscy poniżej pięćdziesiątego roku życia wirują na parkiecie. A w dodatku ten dżentelmen mógł sobie pomyśleć, że mu skłamała, bo nie chciała z nim tańczyć.

Charlie naprawdę nie powinien jej stawiać w tak niezręcznej sytuacji. To nie po dżentelmeńsku. I powie mu to bez ogródek, jak tylko się zjawi. Oczywiście, przyszło jej do głowy, że może chciał ją w ten sposób ukarać za to, że mu odmówiła. Ale przecież poprosił ją o ten taniec już po tym, kiedy usłyszał od niej stanowcze „nie”.

Zatańczyła następny taniec - był to szybki, żywiołowy kontredans - z hrabią Rosthornem, i właśnie dołączyła do Anne i Sydnama, kiedy ktoś lekko dotknął jej ramienia. To lokaj przyniósł jej liścik. Od Charliego? A może od Josepha? Charlie wciąż jeszcze się nie zjawił.

- Przepraszam - powiedziała, odwracając się od przyjaciół, żeby sobie zapewnić odrobinę prywatności, złamała pieczęć i otworzyła list.

Był od Charliego. Nieco ją to rozczarowało, ale zignorowała to uczucie.

„Moja Najdroższa Claudio - pisał. - Wydaje mi się to w sumie uczciwe, że ja muszę cierpieć teraz, tak jak Ty cierpiełaś przed osiemnastu laty. I ja wtedy cierpiałem, chociaż to ja odrzuciłem wówczas Ciebie, tak, jak Ty dzisiaj mnie. To okropne uczucie, kochać i być odtrąconym. Nie będę dziś wieczorem czekał na Twoją odpowiedź. Dałaś mi ją przecież już dzisiaj rano, więc nie chcę Cię dręczyć, każąc Ci to powtarzać. Panna Hunt też jest nieszczęśliwa. Uważa, i zresztą słusznie, że źle ją tu potraktowano. Dzisiaj udało nam się odnaleźć w sobie nawzajem pewną pociechę, którą może warto zachować do końca życia. W chwili, kiedy będziesz

czytać te słowa, my będziemy już w drodze do Szkocji, gdzie bezzwłocznie weźmiemy ślub. Myślę, że panna Hunt będzie dla mnie stosowną żoną i przykłądną księżną, a ja postaram się być dla niej dobrym mężem. Życzę Ci wszystkiego dobrego, Claudio. Na zawsze pozostaniesz dla mnie siostrą, której nigdy nie miałem, przyjaciółką, z którą dzieliłem szczęśliwe lata młodości, i kochanką, z którą rozłączył mnie los. Wybacz, że nie zatańczyłem dziś z Tobą, jak się umawialiśmy. Twój szczerze oddany sługa, McLeith (Charlie)".

O Boże.

Z powrotem złożyła kartkę.

O, mój Boże.

- Coś się stało; Claudio? - Anne położyła jej dłoń na ramieniu.

- Nic takiego. - Uśmiechnęła się. - Charlie wyjechał. Uciekli z panną Hunt.

Wachlowała się listem, nie wiedząc, co z nim począć.

- Wydaje mi się - powiedział Sydnam, wyjmując jej kartkę z ręki i wkładając do kieszeni - że w jadalni podają już herbatę. Chodźmy tam, Claudio, zamówię dla ciebie filiżankę.

- O Boże - westchnęła. - Tak. Dziękuję. Tego mi właśnie potrzeba, Dziękuję.

Portii nie było jednak w sali balowej. McLeitha też nie.

Ani Claudii.

Pary ustawiały się już do następnego tańca. Zauważył, że nikt nie poprosił starszej córki pastora, ale dziewczyna mimo to uśmiechała się radośnie, siedząc u boku matki, jakby podpieranie ścian na balu było najlepszą rozrywką pod słońcem. Joseph podszedł więc do nich, skłonił się przed matką i zapytał, czy może mieć zaszczyt poprosić jej córkę do tańca.

Claudia wróciła na salę wraz z Anne i Sydnamem Butlerami, podczas kiedy on tańczył i zabawiał córkę pastora. Zanim odprowadził dziewczynę do matki i chwilę z nimi porozmawiał, do trójki przyjaciół dołączyli jeszcze Susanna i Whitleaf, Gwen, Lily i Neville. Widząc, jak mu się przyglądają, kiedy do nich podchodził, Joseph domyślił się, że Lauren odzyskała w końcu głos po tym, jak zostawił ją oniemiałą ze zdumienia.

- Cóż, Joe - powiedział Neville, klepiąc go w ramię.

- Cóż, Nev. -Joseph uklonił się Claudii, a ona dygnęła w odpowiedzi. -Widzę, że plotka się rozniosła.

- Na razie tylko my o tym wiemy - uspokoiła go Gwen. - Lauren i Kit nie chcą jeszcze mówić hrabiemu i hrabinie. Ten wieczór należy do nich i nie można im psuć zabawy.

- Nie zamierzam wchodzić na podium dla orkiestry, żeby to publicznie ogłaszać - stwierdził Joseph.

- Wspaniały bal - odezwała się Susanna. - Zaraz będą grali walca.

Whitleaf wziął jej rękę, położył sobie na ramieniu i lekko pogłaskał.

- No to lepiej już chodźmy się ustawić - zaproponował. Nikt się nie ruszył z miejsca - nawet Whitleafowie.

- Panno Martin. - Joseph skłonił się przed nią. - Czy mogę mieć zaszczyt zatańczyć z panią tego walca?

Choć w sali balowej panował śmiech i gwar, Josephowi wydawało się, że grupka osób wokół niego zamarła w bezruchu i wstrzymała oddech, z napięciem czekając na odpowiedź na jego pytanie.

- Tak - odparła. - Z przyjemnością, lordzie Attingsborough.

W innych okolicznościach wybuchnąłby śmiechem. Powiedziała to swoim surowym, nauczycielskim głosem. Tymczasem jednak uśmiechnął się tylko i podał jej ramię, a ona położyła na nim dłoń. Jak za dotknięciem różdżki, wszyscy inni też ruszyli na parkiet. Jeden z kuzynów Kita poprosił Gwen, a Whitleaf porwał Susannę. Neville poszedł tańczyć z Lily, a Sydnam Butler z żoną - widać nie przeszkadzał mu w tańcu brak jednej ręki i oka. Joseph i Claudia udali się za nimi.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, czekając, aż wszyscy ustawią się do tańca.

- Jest ci przykro? - zapytał.

Jak zwykle odpowiedziała dopiero po chwili namysłu.

- Tak - powiedziała wreszcie. - Kochałam go bardzo, kiedy byliśmy młodzi, a w ciągu ostatnich kilku tygodni zupełnie nieoczekiwanie zno wu szczerze go polubiłam. Liczyłam na to, że zostaniemy przyjaciółmi do końca życia, ale teraz na pewno tak się nie stanie. Charlie nie jest ide ałem, jak mi się wydawało, kiedy byłam młodą dziewczyną. Ma różne wady, w tym pewną słabość charakteru i nieumiejętność stawiania czoła problemom. Ale wszyscy przecież mamy wady. To ludzka sprawa. Zmar twiłam się przez niego, ale i ze względu na niego. Nie przypuszczam, że

będzie szczęśliwy. - Mówiła bardzo poważnym tonem, marszcząc czoło w głębokim namyśle. - A ty? - zapytała. - Też jesteś zmartwiony?

- Źle postąpiłem - odpowiedział. - Powinienem był jej powiedzieć o Lizzie, zanim ją poprosiłem o rękę. I powinienem to zrobić na osobności. Zamiast tego najpierw milczałem na ten temat, a potem poniżyłem ją swoim publicznym wyznaniem. Później nie chciałem się zgodzić na warunki, które w jej oczach, i pewnie w oczach całego towarzystwa, były jak najbardziej rozsądne. Nie miała tu wsparcia rodziców ani nikogo z rodziny, kto mógłby jej doradzić czy ją pocieszyć. I zrobiła coś bardzo lekkomyślnego, co zupełnie nie leży w jej charakterze. Tak, zmartwiło mnie to. Możliwe, że przeze mnie zrujnowała sobie reputację.

Dziwne to było miejsce na tak poważną rozmowę. Otaczała ich feeria barw, w powietrzu mieszały się zapachy perfum, wokół rozlegały się głosy i śmiechy -jak to podczas wielkiego balu. I oto rozbrzmiały pierwsze takty muzyki, więc objął ją w tali, drugą ręką ujął jej dłoń i porwał do walca.

Przez kilka minut miał przedziwne wrażenie, że oboje z Claudią stali się nagle ośrodkiem uwagi. Prawie wszyscy goście tańczyli. Kiedy rozejrzał się dookoła, zobaczył Bewcastle'a ze swoją księżną i Hallmere'a z markizą. Nikt z tej czwórki nie patrzył w ich stronę. Lauren i Kit, Rosthorneowie, Aidan Bedwyn z żoną - wszyscy z pozoru zajęci byli tańcem, podobnie jak pary, z którymi przed chwilą rozmawiali.

A jednak...

A jednak nie mógł się pozbyć tego dziwnego uczucia, że wszyscy o nich myślą. I to nie tylko o nim. Czy o Claudii. Ale o nim i o Claudii razem. Jakby nie tylko się zastanawiali, co pocznie Joseph, skoro jego narzeczona wychodzi za innego, ani też jak Claudia zareaguje na wiadomość, że jej przyjaciel uciekł z inną kobietą. Jakby wszyscy się zastanawiali, co teraz będzie z nimi dwojgiem - z Josephem i Claudią.

Jakby wszyscy wiedzieli.

- Niezbyt pewnie się czuję - odezwała się Claudia. Minę miała surową, wargi zaciśnięte.

- Chodzi o walca? - zapytał.

- Chodzi o to, że czuję się tak, jakby wszyscy nam się przyglądali - wyjaśniła. - Co, oczywiście, jest zupełnie absurdalne. Przecież nikt na nas nie patrzy. Bo i czemu mieliby patrzeć?

- Bo wiedzą - odparł - że teraz oboje jesteśmy wolni.

Spojrzała mu znowu w oczy i wzięła głęboki oddech. Ale powiedziała tylko jedno słowo.

- Och.

Uśmiechnął się do niej.

- Claudio - rzekł. - Cieszymy się tym walcem, dobrze? I do diabła z każdym, kto się na nas gapi.

- Słusznie - odparła surowym tonem. - Do diabła z nimi wszystkimi.

Jego uśmiech stał się prawdziwie szelmowski, a ona odrzuciła głowę w tył i roześmiała się głośno - teraz już faktycznie kilka osób zaczęło im się otwarcie przyglądać.

Wirowali we dwoje, wciąż patrząc sobie w oczy, na wpół tylko świadomi kalejdoskopu barw i światła świec, które ich otaczały. Ani na chwilę nie przestali się uśmiechać.

- Och - westchnęła z żalem, kiedy przebrzmiały ostatnie tony dźwięki, jak gdyby zdziwiona, że muszą już opuścić ten swój prywatny, mały świat, w którym przebywali przez ostatnie pół godziny.

- Chodźmy na dwór - zaproponował.

Uniosła brwi.

- Do kolacji jeszcze ponad pół godziny - przekonywał. - A potem znowu tańce. Nikt nie będzie wracał do Lindsey Hall przez co najmniej dwie godziny.

- Rozumiem, że nie zapraszasz mnie tylko na przechadzkę po tarasie?

- Nie. - Wypuścił ją z ramion i splótł dłonie za plecami. Taniec się skończył, inne pary wokół nich też zaczęły rozmawiać. - Jeśli wolisz, możemy tu zostać, tańcząc z innymi partnerami i rozmawiając z innymi ludźmi, każde osobno.

Spojrzała na niego, a jej twarz znowu przybrała zwykły powściągliwy wyraz.

- Pójdę po szal.

Patrząc za nią, pomyślał, że nie będzie to łatwe dla żadnego z nich. Być zakochanym, wiedząc, że to uczucie nie ma żadnej przyszłości - to jedno. Ale być wolnym i móc robić to, co się chce - to coś zupełnie innego. Wolność nie była taka łatwa. Nawet teraz, kiedy Portia już nie stała między nimi, istniały inne przeszkody, wysokie na milę i szerokie na dwie.

Czy miłość będzie potrafiła je przewyciężyć?

Ale wszystkie przeszkody, jak go nauczyło doświadczenie trzydziestu pięciu lat życia, można pokonywać tylko po kolei, jedną po drugiej, cierpliwością i uporem.

Jeśli w ogóle.

Ruszył w stronę drzwi prowadzących na zewnątrz, ignorując Wilmę, która na niego kiwała. Na szczęście stała daleko od drzwi. Podszedł więc do wyjścia, żeby poczekać na Claudię.

23

Wcześniej, kiedy tańczyła z Josephem, Claudia była przekonana, że inni przyglądają się im z ciekawością jako potencjalnej parze. Ale kiedy szła po szal, przyszło jej do głowy, że być może te spojrzenia -jeśli w ogóle ktoś na nich patrzył - były raczej pełne niedowierzania. Albo nawet politowania.

Od kiedy to zaczęła się uważać za niewartą jakiegoś mężczyzny, kimkolwiek by on był?

Nie była gorsza od nikogo.

Kiedy wróciła na salę balową i znalazła Josepha, czekającego na nią za drzwiami, z jej ruchów biła zacięta stanowczość, a w oczach pojawił się wojowniczy błysk.

I od kiedy to zaczęła go w myślach nazywać Josephem?

- Może jednak chodźmy tylko na krótki spacer - zasugerowała.

Wyszczerył się do niej. Jest pewna różnica między uśmiechem a szczerzeniem zębów, a on zdecydowanie się wyszczerył. Zapieniła się z oburzenia. No, proszę, ona tutaj wychodzi na idiotkę przed połową angielskiej socjety, a jego to bawi.

Ujął ją za łokieć i poprowadził na zewnątrz.

- Mam taką teorię - oświadczył - że twoje dziewczęta słuchają cię nie dlatego, że się ciebie boją, ale dlatego, że cię kochają.

- Wiele z nich - odparła oschłym tonem - mocno by się zdziwiło, słysząc to, lordzie Attingsborough. Możliwe, że nie przestałyby się śmiać aż do Gwiazdki.

Wyszli na taras. Nie było na nim nikogo, ale z góry, od sali balowej, dobiegały dźwięki muzyki. A od strony stajni dochodziły odgłosy zabawy

i muzyka zupełnie innego rodzaju. To pewnie stangreci, woźnice i może jakieś służące, które akurat miały wolne, zabawiali się po swojemu, czekając, aż przyjdzie czas, żeby zabrać swoich państwa do domu.

- A więc znowu jestem lordem Attingsborough, panno Martin?

- droczył się, prowadząc ją w kierunku stajni. - Po tym, co zaszło między nami wczoraj wieczorem, to chyba trochę śmieszne.

Ale wczoraj wieczorem ich lekkomyślny postępek wydawał jej się w jakiś sposób usprawiedliwiony, bo już nigdy nie miał się powtórzyć

- wiedziała, że panna Hunt nie wypuści markiza z ręki. Wczorajszy wieczór był jednym z tych, które przytrafiają się tylko raz na całe życie; chciała go zapamiętać na zawsze, swoją własną tragiczną historię miłosną, którą będzie mogła tulić do serca bez śladu goryczki.

Fakt, że panna Hunt dzisiaj ponownie zerwała zaręczyny - i to na dobre

- powinien ułatwić jej życie, napędzić ją nadzieją, uszczęśliwić, zwłaszcza że on natychmiast poprosił ją do walca, a potem zabrał na spacer.

Tymczasem wszystko wydawało jej się jeszcze bardziej skomplikowane niż dotychczas.

- Gdybyś mogła cofnąć czas - odezwał się, wpadając w sam środek jej myśli - i odmówić mi, kiedy zaproponowałem, że zawiozę cię i dziewczęta do Londynu, zrobiłabyś to?

Czyby to zrobiła? Jakaś jej część bez namysłu odparła, że tak. Gdyby mu odmówiła, jej życie byłoby nadal takie jak przedtem - spokojne, uporządkowane, znajome. A może i nie. Możliwe, że i tak spotkałaby Charliego na koncercie u Petera i Susanny - możliwe, że zareagowałyby inaczej. Gdyby nie Joseph, całkiem możliwe, że znowu zakochałaby się w Charliem. Być może właśnie w tej chwili podejmowałyby jakąś decyzję co do wspólnej przyszłości. Być może...

Nie, to niemożliwe. Tak by się nie stało. A jednak...

- Nie ma sensu żałować, że nie można zmienić jakiegoś wydarzenia z przeszłości - orzekła. - Bo i tak nie da się tego zrobić. A nawet, gdyby było można, nierozsądnie tego próbować. Moje życie ułożyłoby się zupełnie inaczej, gdybym ci odmówiła, choć minęło zaledwie parę tygodni. Nie mam pojęcia, jak by się wszystko potoczyło.

Zaśmiał się pod nosem i zostawił ją na moment samą, wchodząc do stajni, a za chwilę pojawił się znowu z zapaloną latarnią w ręku.

- A ty byś coś zmieniła? - zapytała.

- Nie. - Podał jej wolne ramię.

Był wysoki, silny i biło od niego przyjemne ciepło. Wspaniale pachniał. Przystojny, czarujący, bogaty i bardzo dystyngowany - pewnego dnia miał zostać księciem. Gdyby kiedykolwiek marzyła, nawet w tym wieku, o romantycznych uniesieniach - a nie da się ukryć, że marzyła -w jej marzeniach pojawiłby się mężczyzna inny od niego prawie pod każdym względem.

- O czym myślisz? - spytał.

Zorientowała się, że idą drogą wjazdową w stronę kamiennego mostu z kolumnami. Noc była dosyć ciemna, księżyc i gwiazdy skryły się za chmurami, zrobiło się znacznie chłodniej niż wczoraj wieczorem.

- O mężczyźnie moich marzeń - odparła.

Odwrócił do niej głowę i uniósł latarnię, żeby móc widzieć jej twarz - a ona spojrzała na niego. Oczy miał ciemne i nieprzeniknione.

- Tak?

- To ktoś zupełnie zwyczajny, bez wielkich pretensji - ciągnęła. - Nie ma tytułu ani olbrzymiego majątku. Ale za to jest inteligentny i świetnie się z nim rozmawia.

- Wygląda mi na nudziarza - stwierdził.

- Tak, to też - zgodziła się. - Nuda to coś, czego wiele osób nie docenia.

- A więc ja nie jestem mężczyzną twoich marzeń? - zapytał.

- O, nie. Bynajmniej.

Weszli na most i zatrzymali się przy kamiennej balustradzie, żeby popatrzeć na wodę płynącą w stronę jeziora. Postawił latarnię na poręczy.

- Ja zresztą też na pewno nie jestem kobietą z twoich snów.

- Czyżby?

Nie widziała jego twarzy, bo latarnia stała za nim. Po tonie głosu trudno było stwierdzić, czy jest raczej rozbawiony, czy melancholijny.

- Nie jestem piękna - stwierdziła.

- Nie jesteś ładna - przyznał. - Ale bezapelacyjnie jesteś piękna.

No proszę. Szarmancki aż do przesady.

- Nie jestem młoda.

- To kwestia punktu widzenia - zbył ją. - Twoje uczennice na pewno uważają cię za chodzącą skamieniałość, ale dla osiemdziesięciolatka byłabyś młodziutką dziewczeczką. A ponieważ jesteśmy prawie równi wiekiem, a ja nie uważam, że jestem stary... ba, daleko mi do tego... wobec tego muszę z uporem twierdzić, że jednak jesteś młoda.

- Nie jestem elegancka ani bardzo towarzyska, ani... - zabrakło jej pomysłów.

- Wiem, kim jesteś - stwierdził. - Jesteś kobietą, która straciła wiarę w swoją urodę, wdzięk i ponętność w zastraszająco młodym wieku. Jesteś kobietą, która znalazła ujście dla swojej energii w pracy zawodowej. Jesteś kobietą o silnym charakterze i woli, o imponującej wiedzy i inteligencji. Jesteś kobietą, której serce przepełnia miłość i współczucie dla innych. I jesteś kobietą, której ciało ma pragnienia, jakich nie zaspokoiliby ten twój wymarzony spokojny, nudny intelektualista, chyba że i on skrywałby w sobie głębię uczuć. Ale dla rozmowy załóżmy, że to zwyczajny, nudny człowiek, który zabawia cię rozmową i niewiele więcej ma do zaoferowania. Nie ma w nim namiętności. To nie jest mężczyzna ze snów, Claudio. Chyba raczej z koszmarów.

Uśmiechnęła się mimo woli.

- Tak już lepiej - powiedział. Zdała sobie sprawę, że on widzi jej twarz, bo pada na nią światło latarni. - Bardzo lubię tę nauczycielkę, pannę Martin, ale możliwe, że w łóżku okazałaby się oziębła. Claudia Martin, kobieta, na pewno taka nie będzie. Wiem to nawet z doświadczenia.

- Lordzie Attingsborough... - zaczęła.

- Claudio - przerwał jej. - Zrobiliśmy już sobie krótki spacer. Może my teraz wrócić do domu i do sali balowej. Prawdopodobnie nie więcej niż połowa gości zorientowała się, że nas nie ma. Możemy cieszyć się tym czasem, który pozostał nam na balu, oczywiście osobno, żeby ta druga połowa gości nie miała powodu do plotek. Jutro przyjadę zabrać Lizzie, a ty wrócisz do Bath. W ciągu najbliższych tygodni i miesięcy pozostanie nam tylko uporać się z bledącymi wspomnieniami o tym, co mogło się zdarzyć. Ale możemy też pójść dalej.

Wpatrywała się w niego w ciemności.

- To jeden z tych momentów - mówił - kiedy trzeba podjąć decyzję, która może zmienić całe życie.

- Nieprawda - zaprzeczyła. - A przynajmniej nie można powiedzieć, że jakieś momenty są ważniejsze od innych. Każda chwila wymaga podjęcia jakiejś decyzji i każda decyzja popycha nas nieodwołalnie ku reszcie naszego życia.

- Skoro tak mówisz, niech tak będzie - odparł. - Ale od twojej decyzji w tym momencie zależy życie nas obojga. Więc co wybierasz?

Rozpaczliwą próbę powrotu do tego, co było, zanim zjawiłem się w Żeńskiej szkole panny Martin w Bath z listem od Susanny w kieszeni? Czy też krok w ciemność, dosłownie, i szansę na coś nowego i prawdopodobnie wspaniałego? Może nawet idealnego.

- Nic w życiu nie jest idealne - zauważyła.

- Nie mogę się z tobą zgodzić. Owszem, nic nie pozostaje idealne na zawsze. Ale są momenty idealne, jest wola i pragnienie, żeby wybierać to, co takie momenty ze sobą przyniesie. Wczorajszy wieczór był idealny. Naprawdę, Claudio. Nie możesz temu zaprzeczyć. Był po prostu idealny.

Westchnęła.

- Tyle jest różnych komplikacji - powiedziała.

- Jak zawsze. Takie jest życie. Kto jak kto, ale ty powinnaś to rozumieć. Na przykład jedną z możliwych komplikacji jest to, że drzwi tej malej chatki w lesie mogą być dziś wieczorem zamknięte, chociaż wczoraj po południu były otwarte.

Zaniemówiła - chociaż już w momencie, kiedy zaproponował jej spacer, wiedziała, dokąd pójść. Nie było sensu oszukiwać samej siebie.

- Może klucz będzie nad drzwiami albo pod schodami, albo w jakimś innym miejscu, gdzie łatwo go znajdziemy.

Wciąż nie widziała dobrze jego twarzy, ale przez ułamek sekundy wydało jej się, że błysnął zębami w uśmiechu.

- Lepiej chodźmy poszukać - zaproponowała, otulając się szczelnie szalem.

- Pewna jesteś? - zapytał bardzo cicho.

- Tak.

Tym razem, kiedy ruszyli dalej, nie zaproponował jej ramienia, tylko wziął ją za rękę i splótł jej palce ze swoimi. Latarnię trzymał w górze. Przyda się za mostem, gdzie gałęzie drzew zasłaniały nagle światło księżycy, przebijające zza chmur. Znaleźli wąską ścieżkę, którą wczoraj wracali, i weszli w głąb lasu, aż dotarli pod drzwi chatki.

Były otwarte.

W środku - wczoraj ledwie rzuciła okiem na wnętrze domku - był kominek, w którym czekała podpałka. Obok leżał przygotowany równy stos drewna. Na środku stał stół, na nim parę książek, krzesiwo i lampa. Obok bujany fotel z kocem przewieszonym przez oparcie. A wzdłuż jednej ze ścian - wąskie łóżko, na którym znaleźli wczoraj Lizzie.

W nocy wszystko tu wyglądało przyjemniej, jakby przytulniej. Joseph postawił latarnię na stole, wziął krzesiwo i przykłęknął obok paleniska, żeby rozpaść w kominku. Claudia usiadła na fotelu i przyglądała mu się, bujając się leniwie i bawiąc końcem szala. Drżała w oczekiwaniu na to, co się zaraz stanie. Przez cały dzień jej piersi były wyjątkowo wrażliwe, a uda i delikatne wnętrze jej ciała lekko obolałe po tym, jak się wczoraj kochali.

Za chwilę znowu to zrobią.

Jakie cudowne musi być małżeństwo...

Odchyliła głowę na oparcie krzesła.

Ogień wreszcie zapłonął, więc Joseph wstał i odwrócił się do niej. W ciepłym blasku kominka jego oczy były jakby bardziej niebieskie, włosy ciemniejsze, a twarz jeszcze przystojniejsza niż zwykle. Jedną nogą zatrzymał fotel, położył ręce na oparciu i pochylił się, muskając wargami jej usta.

- Claudio - powiedział, unosząc nieznacznie głowę. - Chcę, żebyś miała pewność, że jesteś piękna. Wydaje ci się, że już nikt cię nigdy nie pokocha, bo kiedyś życie skłoniło mężczyznę bez charakteru, żeby cię zo stawił, a teraz jesteś starą panną po trzydziestce, która uczy w szkole. Wy daje ci się, że nie wzbudzasz już pożądania w mężczyznach. Pewnie nawet wmawiasz sobie, że to, co się zdarzyło wczoraj, stało się tylko dlatego, że ja nie sądziłem, że będę dzisiaj wolny. Mylisz się pod każdym względem. Chcę, żebyś wiedziała, że dla mnie jesteś niewiarygodnie piękna, bo masz w sobie wszystko to, co dało ci życie przez te ponad trzydzieści lat. Wi dzisz, gdybyś była młodsza, nie wydawałabyś mi się taka piękna. I chcę, żebyś wiedziała, że dla mnie jesteś nieskończenie pociągająca.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma.

- Tak bardzo pociągająca. - Ujął jej dłoń i rozpostarłszy jej palce, położył ją sobie w miejscu, gdzie rzeczywiście widniał niezaprzeczalny dowód jego podniecenia.

- Och - westchnęła.

- Nieskończenie pociągająca - powtórzył.

Jej dłoń opadła z powrotem na kolana, a on obiema rękami zaczął wy- ciągać jej z włosów szpilki. O, nie, pomyślała, później trzeba to będzie upinać bez pomocy szczotki i lustra. Ale tym będzie się martwiła potem.

- To prawdziwa zbrodnia - powiedział, kiedy jej włosy ciężką masą rozsypały się na ramiona - żeby te piękne włosy spinać tak ciasno, jak ty to robisz, Claudio. - Wziął ją za rękę i pomógł jej wstać. - Miałaś rację.

Nie jesteś kobietą z moich marzeń. Nie byłbym w stanie wymarzyć sobie kogoś takiego jak ty, Claudio. Jesteś wyjątkowa. Nie mam słów, żeby ci powiedzieć, jaka jesteś cudowna.

Spojrzała mu w oczy, szukając śladów ironii, czy choćby rozbawienia, ale nie znalazła ani jednego, ani drugiego. Po chwili widok całkiem przesłoniły jej łzy wzruszenia. Zamrugła, a on pochylił się, zlizął słone kropelki z jej policzków i pocałował ją namiętnie.

Jestem piękna, powtarzała sobie, kiedy powoli, nieśpiesznie rozbierali się nawzajem, przerywając co chwila pieścizotami i objęciami. Jestem piękna. Kiedy już zdjęła z niego frak, kamizelkę, fantazyjnie zawiązany fular i koszulę, rozpostarła dłonie na jego muskularnym torsie, czując pod palcami nieznaczną szorstkość włosów. A on wodził dłońmi po jej całym ciele, nim chwycił jej obie piersi, pocierając sutki kciukami; schylił głowę, wziął je do ust - najpierw jeden, potem drugi - ssał lekko tak, że impuls czystego pożądania pobiegł wprost do jej łona i zawibrował między udami.

Teraz już nie będzie się wstydzić i czuć się od nikogo gorsza. Jest piękna.

I godna pożądania.

Nie mogła w to dłużej wątpić, kiedy zsunęła jego wieczorowe jedwabne spodnie i pończochy.

Była godna pożądania.

I nie tylko ona była piękna.

Objęła go za szyję ramionami i przywarła do niego całym nagim ciałem, odnajdując jego usta. Westchnęła, kiedy wsunął jej język do ust. Miał rację, istnieją momenty idealne - ta chwila właśnie taka była, choć oboje dygotali z pożądania.

- Myślę, że lepiej, żebyśmy zrobili użytek z tego łóżka. - Spojrzał na nią z uśmiechem. - Będzie nam chyba wygodniej niż wczoraj na ziemi.

- Jest za wąskie. - Przyjrzała mu się powątpiewająco.

- Do spania może tak - zgodził się, uśmiechając w taki sposób, że palce jej bosych stóp skurczyły się na twardej podłodze. - Ale do naszych celów nada się w zupełności.

Odrzucił koce, a ona położyła się na prześcieradle i wyciągnęła do niego ramiona.

- Chodź do mnie - poprosiła.

Kiedy się na niej położył, oplótł ją nogami. Oboje byli gotowi. Pocałował ją krótko, mrużąc jej do ucha słowa pełne czułości. Ona oddała pocałunek i wsunęła palce w jego włosy. Podłożył ręce pod jej pośladki, unosząc ją z łóżka i wszedł w nią, nie czekając dłużej.

Wciąż nie mogła się oswoić z rozmiarem jego męskości. Wzięła oddech, przesuając się tak, żeby poczuła go jeszcze pełniej, i objęła tam w środku, głęboko. To chyba najcudowniejsze uczucie na świecie.

A może i nie. Wysunął się niemal całkowicie i znowu wszedł głęboko, i znowu, i znowu, póki jej biodra nie zaczęły się poruszać w tym samym rytmie. Zachwyciła ją prosta cielesność tego aktu. To musi być najwspanialsze uczucie na świecie - te pierwsze chwile, kiedy rozkosz jest jeszcze pod kontrolą, i ta ostatnia minuta, szybka, gorączkowa, kiedy zbliża się szczyt uniesienia.

I wtedy przyszło spełnienie - dla obojga dokładnie w tym samym momencie; otworzyła się na deszcz miłości, jednocześnie dawała i brała rozkosz, i to właśnie było najpiękniejsze uczucie pod słońcem, a nawet wykraczało poza wszelkie czucie, poza zasięg słów i myśli.

Była piękna.

Była godna pożądania.

I wreszcie...

Ach.

Wreszcie była po prostu kobietą.

To po prostu idealne.

Nie, pomyślała, kiedy przyszła już do siebie, gdyby mogła cofnąć czas, nie zmieniłaby absolutnie niczego. Miała przed sobą mnóstwo komplikacji, problemów i przeszkód nie do przejścia, ale jeszcze nie teraz. Teraz żyła wyłącznie tą chwilą.

Wciągnął głośno powietrze, a potem wypuścił je z westchnieniem.

- Ach, Claudio - zamruczał. - Moja ukochana.

Te dwa słowa zostaną z nią do końca życia jak najdroższy skarb. Nie oddałaby ich nawet za najcenniejszy klejnot świata.

„Moja ukochana”.

Powiedział to do niej, do Claudii Martin. Była czyjaś ukochaną. Jeszcze kilka tygodni temu nigdy by w to nie uwierzyła. Ale teraz wszystko się zmieniło. Była piękna, była godna pożądania i... Uśmiechnęła się.

Podniósł głowę i przyglądał jej się spod wpół przymkniętych powiek, jedną ręką odsuwając jej włosy z twarzy.

- Powiedz, o czym myślisz.
Otworzyła oczy.

- Jestem kobietą - powiedziała.

- Wiem, że może trudno ci w to uwierzyć - odparł, a oczy mu się śmiały - ale zdążyłem zauważyć.

Roześmiała się. Ucałował jedną jej powiekę i drugą, a potem jego wargi znowu spoczęły na jej ustach.

- Co mnie dziwi - przyznał - to to, że dla ciebie to coś nowego.
Znowu się roześmiała.

- Nie masz nawet pojęcia, na ile dla kobiety bycie kobietą oznacza wczesne zamążpójście, rodzenie dzieci i prowadzenie wzorowego domu.

- Gdybyś chciała, na pewno mogłaś mieć to wszystko. Nie wierzę, że McLeith był jedynym mężczyzną, który się tobą interesował w młodości.

- Miałam inne propozycje - potwierdziła.

- Czemu więc z nich nie skorzystałaś? - zdziwił się. - Tak bardzo go kochałaś?

- Po części tak. A po części nie chciałam wybierać łatwego rozwiązania kosztem... uczciwości względem samej siebie. Chciałam stać się kimś, być osobą, nie tylko kobietą. Wiem, że to dziwnie brzmi. Prawie nikt tego nie rozumie. Tego właśnie chciałam: być kimś. Ale wydawało mi się wtedy, że nie da się pogodzić jednego i drugiego: stać się kimś i jednocześnie być kobietą. Musiałam poświęcić swoją kobiecość.

- Żałujesz? - zapytał. - Chociaż muszę stwierdzić, że nie wydaje mi się, żebyś ją poświęciła tak nieodwołalnie.

Pokręciła głową.

- Gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym dokładnie to samo - odparła. - Ale to naprawdę było dla mnie poświęcenie.

- Cieszę się, że tak wybrałaś. - Pokrył jej policzek i linię brody delikatnymi pocałunkami, po czym znowu podniósł na nią oczy.

Zmarszczyła brwi w niemym pytaniu.

- Gdybyś wybrała inaczej - wyjaśnił - nie byłoby cię tamtego dnia w Bath, kiedy przyszedłem do ciebie z listem od Susanny A gdybym cię nawet spotkał gdzie indziej, nie byłabyś wolna. A zresztą mógłbym tego w tobie w ogóle nie rozpoznać.

- Czego nie rozpoznać?

- Że jesteś biciem mego serca.

Do oczu znowu napłynęły jej łzy i przygryzła wargę. Dobięło jej niktę echo wspomnienia tego, co powiedział w powozie, gdy jechali do Londynu, a Flora i Edna poprosiły, żeby im powiedział, o czym marzy.

„Marzę o miłości i rodzinie - o żonie i dzieciach, które będą mi tak bliskie i drogie, jak bicie mego serca”.

Wtedy sądziła, że nie mówi szczerze.

- Nie mów takich rzeczy - zaprotestowała.

- W takim razie, co my tu robimy? - Obrócił się teraz tak, że leżał od ściany i przyciągał ją mocno do siebie, żeby nie spadła z łóżka. - To tylko seks?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Dobry seks - poprawiła go.

- Zgoda. Ale nie przyprowadziłem cię tu dla seksu, Claudio - wyjaśnił. - W każdym razie nie tylko dlatego, czy może nie przede wszystkim dlatego.

Nie zapyta go, dlaczego nie. Ale on i tak odpowiedział, chociaż nie zadała tego pytania.

- Przyprowadziłem cię tutaj - oświadczył - bo cię kocham i wierzę, że ty też mnie kochasz. Bo oboje jesteśmy wolni. Bo...

Położyła mu palce na ustach. Uśmiechnął się i je ucałował.

- Ja wcale nie jestem wolna - powiedziała. - Prowadzę szkołę. Zależą ode mnie moje uczennice i nauczyciele.

- Ale czy ty zależysz od nich? - zapytał.

Zmarszczyła brwi.

- To ważne pytanie - nalegał. - Pomyśl, czy ty zależysz od nich? Czy twoje szczęście albo poczucie spełnienia zależy od tego, czy będziesz dalej prowadzić szkołę? Jeśli tak, to istotny argument. Masz takie samo prawo do szczęścia jak ja. Ale ja mogę zarządzać Willowgreen na odległość, jak to robiłem przez wiele lat. Zamieszkamy z Lizzie w Bath. Będziemy przy tobie.

- Nie opowiadaj głupstw - skarciła go.

- Będę opowiadał głupstwa - odparł - jeśli to nam pomoże znaleźć jakieś rozwiązanie. Claudio, zrozum, przez ostatnie dwanaście lat żyłem, oględnie mówiąc, w mało satysfakcjonującym związku, choć Sonia była mi na swój sposób droga, w końcu to ona dała mi Lizzie. W tym roku znalazłem się o włos od zawarcia małżeństwa, które pewnie unieszczęśliwiłoby mnie do końca życia. I nagle dzisiaj dowiaduję się, że jestem wolny. Nie dziw się, że wreszcie wybieram szczęście. I miłość.

- Josephie - tłumaczyła. - Należysz do wyższych sfer. Kiedyś zostaniesz księciem. Mój ojciec był zwykłym ziemianinem. Ja sama przez osiemnaście lat pracowałam jako guwernantka i nauczycielka. Nie możesz rzucić wszystkiego i zamieszkać ze mną w szkole.

- Niczego nie będę rzucał - odpowiedział. - Nie mogę, nawet gdybym chciał. Niekoniecznie jedno z nas musi poświęcić wszystko, żebyśmy mogli być razem. Możemy oboje zachować nasze życie i miłość.

- Twój ojciec dostałby chyba apopleksji - stwierdziła.

- Myślę, że nie. Chociaż zgadzam się, że ten temat trzeba będzie z nim poruszyć bardzo ostrożnie, ale stanowczo. Jestem jego synem, ale też jestem dorosłym człowiekiem, który ma prawo do własnych decyzji.

- Twoja matka...

- Pokocha każdego, kto mnie uszczęśliwi - odparł.

- Hrabina Sutton...

- Wilma może sobie myśleć, mówić i robić, co jej się żywnie podoba - powiedział. - Moja siostra nie będzie kierować moim życiem, Claudio. Ani twoim. Jesteś od niej silniejsza.

- Towarzystwo...

- Może iść w diabły, jeśli o mnie chodzi - rzucił lekko. - Zresztą nie bylibyśmy pierwsi. Bewcastle ożenił się z wioskową nauczycielką i uszło mu to płazem. Dlaczego ja nie mogłbym się ożenić z właścicielką i dyrektorką szacownej placówki edukacyjnej dla dziewcząt?

- Może dasz mi wreszcie coś powiedzieć?

- Słucham.

- Absolutnie nie widzę siebie w roli markizy albo księżnej - przyznała. - Absolutnie nie wyobrażam sobie, jak mogłabym regularnie udzielać się w towarzystwie. I absolutnie nie nadaję się na żonę dla ciebie. Przecież ty potrzebujesz dziedziców. A ja mam trzydzieści pięć lat.

- Ja też - odparł. - I jeden dziedzic w zupełności mi wystarczy. A nawet i tego mi nie trzeba. Wolę ożenić się z tobą i nie mieć innych dzieci oprócz Lizzie, niż spłodzić dwunastu synów z inną żoną.

- Wszystko pięknie - rzekła. - Ale to naprawdę bez sensu z praktycznego punktu widzenia.

- Mój Boże, pewnie że tak - przytaknął. - Przy tylu chłopakach nie miałbym ani chwili spokoju.

- Jo-se-phia!

- Clau-dio - droczył się z nią. Położył jej palec na nosie i uśmiechnął się łobuzersko.

W kominku z sykiem pękła kłoda. Ogień zaczął przygasać. W domku było ciepło jak w ulu.

- Zgadzam się, że są problemy, nad którymi trzeba pomyśleć - przyznał po chwili. - Faktycznie jesteśmy z dwóch różnych światów i wygląda na to, że ciężko będzie je do siebie dopasować. Ale nie mów mi, że to niemożliwe; nie wierzę w to. Może się wydawać, że tylko naiwni głupcy sądzą, że miłość zwycięża wszystko, ale jak można w to nie wierzyć? Jeżeli to nie miłość zwycięża wszystko, to co? Nienawiść? Przemoc? Rozpacz?

- Joseph - westchnęła. -A co z Lizzie?

- Pokochała cię całym sercem. A jeśli za mnie wyjdiesz i zamieszkas z nami, nie będzie już musiała się bać, że zabierzesz jej psa.

- To naprawdę niemożliwe - upierała się.

- Mówisz to zupełnie bez przekonania - stwierdził. - Sama widzisz, że wygrywam.

- Joseph - westchnęła ze łzami w oczach. - To nie są zawody. To naprawdę jest niemożliwe.

- Pomówimy o tym jutro - zdecydował. - Przyjadę do Lindsey Hall, żeby się zobaczyć z Lizzie, i wtedy porozmawiamy. Ale może powinnaś zapytać moich kuzynów, zanim stąd dzisiaj wyjedziesz: Neville'a, Lauren i Gwen. Wilmy raczej nie pytaj, choć pewnie powiedziałyby ci to samo. Otóż oni wszyscy mogą ci powiedzieć, że jako mały chłopak nigdy nie grałem fair, zawsze musiałem postawić na swoim. Byłem naprawdę niezdolny. I nadal nie zawsze gram fair, kiedy mi na czymś wyjątkowo zależy.

Mówiąc to, przysunął się bliżej -jeśli to w ogóle było możliwe - a teraz muskał wargami jej ucho i szyję, jednocześnie gładząc jej biodro, pośladki i plecy w taki sposób, że znów podkuliła palce u nóg.

- Lepiej ubierzmy się już i wracajmy - powiedziała. - Będzie straszny wstyd, kiedy towarzystwo z Lindsey Hall zbierze się do powrotu, a mnie tam nie będzie.

- Mm... - wymruczał jej do ucha. - Za chwilę. Albo może nawet za parę chwil.

Przesunął się tak, że teraz on leżał na plecach, a ona wspierała się na jego piersi.

- Kochaj mnie - poprosił. - Nie zastanawiaj się, czy to możliwe albo praktyczne. Po prostu mnie kochaj, Claudio. Moja ukochana.

Rozsunęła nogi, tak że kolanami obejmowała jego biodra. Podparła się rękami i spojrzała na niego z góry. Jej włosy rozsypały się, tworząc wokół nich zasłonę.

- Dawno, dawno temu - westchnęła po raz kolejny - uważałam się za kobietę o silnej woli.

- Czyżbym miał na ciebie zły wpływ? - zapytał.

- Zdecydowanie tak - odparła ponuro.

- To dobrze. - Wyszczrzył się. - Kochaj mnie.

Cóż miała zrobić?

24

Dzień był wietrzny i niespokojny. Po niebie pędziły chmury, w jednej chwili przepuszczając promienie słońca, a w następnej rzucając na ziemię cień. Gałęzie drzew kołysały się, kwiaty pochylały główki. Ale było dosyć ciepło. A poza tym, pomyślał Joseph, zajeżdżając do Lindsey Hall przed południem, to może będzie najpiękniejszy dzień jego życia.

Może będzie.

Bo jak na razie nie było łatwo.

Ojciec trząsł się z wściekłości już na samą wieść o ucieczce Portii i McLeitha. Nie szukał dla niej wymówek - bynajmniej. Ale uważał, że Joseph też jest winien, bo swoim postępowaniem doprowadził ją do tak pochopnej decyzji.

- Jej hańba będzie ci ciążyć na sumieniu do końca życia - wyrzucił synowi. - O ile ty w ogóle masz sumienie.

A potem Joseph napomknął o Claudii Martin. Z początku ojciec nie dowierzał.

- Ta stara panna ze szkoły?

A kiedy pojął wreszcie, że naprawdę chodzi o nią, wybuchnął takim gniewem, że Joseph i jego matka poważnie zaniepokoiili się o jego zdrowie.

Joseph jednak był nieugięty i bezwstydnie wyciągnął swojego asa z rękawa.

- Pan Martin, jej ojciec - wytłumaczył - był prawnym opiekunem księcia McLeitha. Książę wychowywał się w ich domu od piątego roku życia. Uważa Claudię niemal za siostrę.

Oczywiście, McLeith tego ranka nie był akurat w łaskach u jego ojca, ale niemniej dorównywał mu rangą, choć wprawdzie miał tylko szkocki tytuł.

Matka Josepha zadała jedyne pytanie, które się dla niej liczyło.

- A czy ty kochasz tę pannę Martin, Josephie?

- Tak, mam - odpowiedział szczerze. - Z całego serca.

- Nigdy za bardzo nie polubiłam panny Hunt - przyznała. - Jest w niej jakiś dziwny chłód. Można tylko mieć nadzieję, że kocha tego swojego księcia McLeitha.

- Sadie!

- Nie, Webster - odparła. - Nie będę milczeć, kiedy w grę wchodzi szczęście moich dzieci. Choć muszę przyznać, że jestem zaskoczona. Ta panna Martin wydaje mi się zbyt stara, zbyt niepozorna i zbyt surowa dla Josepha, ale skoro on ją kocha, a ona jego, to jestem spokojna. No i przynajmniej nie będzie kręcić nosem na naszą kochaną Lizzie, prawda, Joseph? Gdybym była u siebie w domu, zaraz zaprosiłabym je obie na herbatę.

- Sadie...

- Ale nie jestem - ciągnęła. - Jedziesz dziś do Lindsey Hall, Joseph? Powiedz, proszę, pannie Martin, że chciałabym ją odwiedzić po południu. Jeśli twój ojciec nie pojedzie ze mną, to może namówię Clare, Gwen albo Lauren.

- Dziękuję, mam - powiedział, podnosząc jej rękę do ust.

Zanim pojechał do Lindsey Hall, musiał jeszcze, rzecz jasna, stawić czoło Wilmie. Nie dało się tego uniknąć. Czekala na niego pod drzwiami biblioteki i wciągnęła go do małego saloniku tuż obok. Co zaskakujące - być może - tym razem wszystkie wymówki i wyrzuty, jakie posypały się z jej ust, były pod adresem nieszczęsnej Portii. Ale powiedziała mu też, że jest głęboko wstrząśnięta z powodu pewnej pogłoski, której żadna z kuzynek nie chciała ani potwierdzić, ani zaprzeczyć. Nie żeby sama nie miała oczu.

- Tańczyłeś walca z tą nauczycielką - mówiła - jakby nic oprócz niej dla ciebie nie istniało.

- Bo tak było - wyjaśnił.

- To bardzo w złym guście - stwierdziła. - Zrobiłeś z siebie kompletnego błazna.

Tylko się uśmiechnął.

- A potem jeszcze zniknęliście razem! - oburzała się. - Wszyscy na pewno zauważyli. Co za skandal! Lepiej uważaj, bo ani się obejrzysz, a wpadniesz w jej sidła i będziesz się musiał z nią ożenić. Nawet nie wiesz, do czego są zdolne takie kobiety, Josephie. Ona...

- To ja - przerwał jej - próbuję ją usidlić, jak się wyraziłaś, czy może po prostu przekonać, żeby za mnie wyszła. A nie będzie to łatwe. Ona nie przepada za księżętami ani nawet za dziedzicami książęcych tytułów i wcale nie ma ochoty zostać księżną, nawet jeśli taki obrót spraw wciąż jeszcze jest w dość odległej perspektywie, jeśli będziemy dbać o zdrowie papy. Przepada za to za swoimi uczennicami, zwłaszcza, jak podejrzewam, za tymi kształconymi charytatywnie. Czuje się związana z nimi i ze szkołą, którą założyła i z powodzeniem prowadzi od piętnastu lat.

Wpatrywała się w niego oniemiała.

- A więc ty naprawdę chcesz się z nią żenić?

- Jeśli ona mnie zechce - odparł.

- Oczywiście, że cię zechce.

- Boże, Wil - powiedział. - Obyś się nie myliła.

- Wil? - zdziwiła się. - Od lat tak do mnie nie mówiłeś.

Znienacka złapał ją za ramiona i mocno przytulił.

- Życz mi szczęścia - poprosił.

- Czy ona naprawdę tyle dla ciebie znaczy? - zapytała. - Nie widzę w niej nic atrakcyjnego.

- I nie musisz - odpowiedział. - Życz mi szczęścia.

- Wątpię, żebyś go potrzebował - oznajmiła sucho. Ale oddała mu uścisk. - No to jedź i zdobywaj ją, skoro musisz. Postaram się ją tolerować, jeżeli twierdzisz, że jesteś z nią szczęśliwy.

- Dzięki, Wil. - Błysnął zębami w uśmiechu i wypuścił ją z objęć.

Neville klepnął go w ramię, kiedy minął go na schodach po wyjściu z saloniku.

- Widzę, że jeszcze żyjesz, Joe - rzucił. - Potrzeba ci kogoś, kto cię wysłucha ze współczuciem? Kto pojedzie z tobą wyszaleć się na koniu w najdzikszych ostępach? Kompana od kieliszka, z którym będziesz mógł się upić w sztok, chociaż jest jeszcze przed południem? Mów, czego ci potrzeba, ja służę pomocą.

- Jadę do Lindsey Hall - rzekł Joseph z uśmiechem. - Jak tylko rodzina przestanie mi zawracać głowę.

- No i dobrze. - Neville cofnął rękę. - Zostawiłem Lily w pokoju, siedzi z Gwen i Lauren, a wszystkie trzy są bliskie łez, bo wuja Webstera słysząc było aż na piętrze, i nie wyglądało na to, żeby szalał z zachwytu. W każdym razie wszystkie są zachwycone, że nareszcie, pomimo protestów wuja Webstera, nasz drogi Joseph będzie szczęśliwy. Chyba chodzi im o to, że być może ożenisz się z panną Martin.

Uśmiechnął się szeroko, jeszcze raz trzasnął go w plecy i poszedł w swoją stronę.

Tak więc Joseph jechał do Lindsey Hall na skrzydłach nadziei, mimo że nic jeszcze nie zostało postanowione. Sama Claudia stanowiła ostatnią i najpoważniejszą przeszkodę. Wczoraj wieczorem kochała się z nim tak namiętnie, zwłaszcza za drugim razem, kiedy na nim usiadła i wzięła inicjatywę w swoje ręce z takim ogniem, że jeszcze dziś robiło mu się gorąco na samo wspomnienie. Poza tym go kochała. W to nie wątpił. Ale miłość i seks to nie to samo, *co* małżeństwo.

Małżeństwo byłoby dla niej decydującym krokiem - ważniejszym niż dla większości kobiet. Bo dla większości kobiet małżeństwo jest jedynie ucieczką ku większej wolności i niezależności, bardziej aktywnemu i ciekawszemu życiu, osobistemu spełnieniu, a Claudia wszystko to już osiągnęła.

Po wejściu do domu zapytał o nią służbę, ale ona przysłała do niego Lizzie. Jego córka przyszła sama, prowadzona tylko przez psa. Kiedy lokaj otworzył jej drzwi, weszła do salonu z promiennym uśmiechem na buzi.

- Papo?

W dwóch krokach był już przy niej, objął ją ramionami i zakręcił w powietrzu.

- Jak się dzisiaj miewa moja najukochańsza córeczka? - zapytał.

- Bardzo dobrze - odpowiedziała. - Czy to prawda, papo? Edna i Flora usłyszały od jednej pokojówki, której powiedziała inna pokojówka, a ta usłyszała to od pewnej damy... chyba od księżnej, chociaż nie wiem na pewno. Ale wszystkie przysięgają, że to prawda. Czy panna Hunt sobie pojechała?

Ach.

- To prawda.

- I już nigdy nie wróci?

- Nigdy.

- Och, papo! - Przycisnęła rączki do piersi i podniosła ku niemu buzię. - Tak się cieszę!

- Ja też.

- A czy to prawda - pytała dalej - że zamiast tego ożenisz się z panną Martin?

Dobry Boże!

- Czy to też ci powtórzyły Flora, Edna i te wszystkie służące?

- Tak.

- A co ci powiedziała panna Martin?

- Nic. Rozgniewała się, kiedy ją zapytałam. Powiedziała, że nie powinnam słuchać plotek służby. A kiedy inne dziewczynki ją pytały, rozgniewała się jeszcze bardziej i powiedziała, że jak nie przestaną, to każe im rozwiązywać równania matematyczne, chociaż są wakacje. Ale potem panna Thompson zabrała wszystkich na dwór, oprócz Julii Jones, która grała na klawesynie.

- I oprócz ciebie - dodał.

- Tak. Wiedziałam, że przyjdiesz, papo. Czekałam na ciebie. Chciałam, żeby panna Martin zeszła ze mną na dół, ale ona powiedziała, że ma inne rzeczy do roboty.

- Nie powiedziała przypadkiem, że ma ważniejsze rzeczy do roboty? - zapytał.

- Właśnie tak powiedziała.

Wygląda na to, że Claudia Martin tego ranka jest płochliwa i nastroszona jak jeż. Miała całą noc - a przynajmniej parę godzin - żeby zastanowić się nad wczorajszym wieczorem.

- Chyba sprzedam dom w Londynie - oznajmił Lizzie. - Zamierzam cię zabrać do Willowgreen. To taki duży dom na wsi z pięknym parkiem dookoła. Będziesz tam miała mnóstwo miejsca i świeże powietrze, i kwiaty, i instrumenty muzyczne, i...

- I ciebie, papo? - zapytała.

- I mnie - przytaknął. - Będziemy wreszcie mogli mieszkać razem w tym samym domu przez cały czas. Już nie będziesz musiała wyczekiwać, kiedy przyjadę cię odwiedzić, a ja nie będę musiał się zastanawiać, kiedy czas i obowiązki pozwolą mi się z tobą zobaczyć. Będziemy razem każdego dnia. Cały czas w domu, który będzie też twoim domem.

- I domem panny Martin, papo?

- Chciałabyś, żeby tak było?
- Strasznie bym chciała, papo! - pisnęła. - Uczy mnie różnych ciekawych rzeczy i mam przy tym świetną zabawę. I lubię jej głos. Czuję się z nią bezpiecznie. Myślę, że ona też mnie lubi. Nie, myślę, że mnie kocha.

- Nawet, kiedy się gniewa?

- Dzisiaj rano - zawyrokowała Lizzie - to chyba gniewała się dlatego, że tak naprawdę chce za ciebie wyjść.

Co było, jak przypuszczał, doskonałym przykładem kobiecej logiki.

- W takim razie nie masz nic przeciwko temu, żebym się z nią ożenił?

- Głuptasie - odparła. - Jeśli się z nią ożenisz, to wtedy ona będzie moją tak jakby mamą, prawda? Kochałam matkę, papo. Naprawdę. I strasznie za nią tęsknię. Ale chciałabym mieć nową mamę, jeśli to będzie panna Martin.

- Nie będzie twoją tak jakby mamą - sprostował. - Będzie twoją macochą.

- Moją tak jakby macochą - zgodziła się. - Bo ja jestem dzieckiem z nie... jestem twoim owocem miłości. Nie jestem twoją prawdziwą córką. Matka mi to wyjaśniła.

CMoknął z niezadowoleniem, wziął ją stanowczo za rękę, otworzył drzwi i pomaszzerował w stronę schodów. Pies podreptał za nimi.

Claudia była nadal w pokoju do nauki - sama. Julia Jones skończyła już widocznie grać na klawesynie i poszła szukać sobie innego zajęcia.

- Potrzebujemy twojej opinii w pewnej sprawie - powiedział do niej Joseph, zamykając drzwi. Claudia poderwała się z miejsca, ręce splecione w pasie, plecy sztywno wyprostowane, usta zaciśnięte. - Lizzie twierdzi, że gdybyś za mnie wyszła, to byłabyś jej tak jakby macochą. Nie prawdziwą macochą, bo ona nie jest moją prawdziwą córką. Jest tylko owocem miłości, co rozumie jako łagodne określenie na dziecko z nieprawego łoża. Ma rację? Czy nie?

Lizzie, która wypuściła jego rękę, spoglądała to na jedno z nich, to na drugie, zupełnie jakby mogła ich widzieć.

- Och, Lizzie - rzekła Claudia z westchnieniem, w jednej sekundzie z powściągliwej, nieprzystępnej nauczycielki przemieniając się w pełną ciepła kobietę. - Nie byłabym twoją tak jakby macochą ani prawdziwą macochą, chyba że w urzędowych dokumentach. Nie byłabym dla ciebie

nawet tak jakby matką. Byłabym twoją mamą. Kochałabym cię tak mocno, jak tylko matka potrafi kochać swoje dziecko. Bo ty jesteś owocem miłości i to w najlepszym tego słowa znaczeniu.

- A co by było - zapytała Lizzie - gdybyście mieli dzieci, pani i mój papa? Prawdziwe dzieci?

- Wtedy je też bym kochała. - Policzki Claudii przybrały interesujący odcień różu. Joseph nie odrywał od niej wzroku, a ona dla odmiany patrzyła wszędzie, tylko nie na niego. Nie, teraz był niesprawiedliwy; cały czas patrzyła na jego córkę. - Kochałabym je tak samo jak ciebie. Ani mniej, ani więcej. Miłości nic da się podzielić, Lizzie. To jedyna na świecie rzecz, której nie ubywa, kiedy się ją rozdaje. Więcej nawet, rośnie. To prawda, że w oczach świata byłabyś zawsze inna od dzieci, które twój ojciec i... i ja moglibyśmy mieć, gdybyśmy się pobrali. Ale w moich oczach nie byłoby żadnej różnicy.

- Ani w moich - wtrącił Joseph.

- No to będziemy sobie mieszkać w Willowgreen we troje - ucieszyła się Lizzie. Podeszła do Claudii z wyciągniętymi rękami, a Claudia chwyciła je w swoje dłonie. - I z Horacym. To jest dom papy na wsi. I tam pani będzie mnie uczyć różnych rzeczy, i papa też, i napiszecie wszystkie moje bajki, i zrobimy z nich książkę, i może moje koleżanki będą nas czasami odwiedzać, a kiedy będziecie mieli dzidziusia, ja go będę codziennie nosić i kołysać, i...

Rumieniec na policzkach Claudii spąsował.

- Lizzie - powiedziała, ściskając ręce dziewczynki. - Ja mam w Bath szkołę, którą prowadzę. Czekają tam na mnie uczennice i nauczyciele. Czekają tam na mnie moje życie.

Lizzie uniosła twarzyczkę. Powieki jej drżały, a usta poruszały się bezgłośnie, zanim odpowiedziała.

- Czy te inne dziewczynki są ważniejsze ode mnie? - zapytała. - Czy ci nauczyciele są ważniejsi od papy? Czy w szkole jest ładniej niż w Willowgreen?

- Lizzie - przerwał jej Joseph. - To nie fair. Panna Martin ma swoje życie. Nie możemy oczekiwać, że za mnie wyjdzie i zamieszka z nami w Willowgreen tylko dlatego, że my tak chcemy, dlatego że ją kochamy i nie wyobrażamy sobie bez niej życia.

Patrzył przez cały ten czas na Claudię, która wyraźnie była mocno przejęta i zmartwiona - póki nie usłyszała jego ostatnich słów. Bo wtedy zrobiła oburzoną minę. Zaryzykował uśmiech.

Lizzie cofnęła rękę.

- Nie kocha pani mojego papę?

- Ależ kocham - westchnęła Claudia. - Tylko że w życiu nie wszystko jest takie proste, Lizzie.

- A dlaczego? - chciała wiedzieć Lizzie. - Wszyscy zawsze tak mówią. Dlaczego to nie jest proste? Jeśli kocha pani mnie i papę, a my kochamy panią, to co może być prostszego?

- Myślę, że pora na spacer - oznajmił Joseph. - Taka rozmowa we trójkę jest stanowczo nie w porządku wobec panny Martin. Teraz jesteśmy my dwoje na nią jedną. Porozmawiam z nią na ten temat, kiedy będę z nią sam na sam. Trzymaj, tu jest smycz. Pokaż nam, czy potrafisz znaleźć drogę na dwór i nad jezioro całkiem sama, bez niczyjej pomocy.

- Pewnie, że potrafię - powiedziała, chwytając smycz. - Patrz tylko.

- Właśnie zamierzam patrzeć - zapewnił.

Ale kiedy parę minut później wszyscy troje znaleźli się na dworze, Lizzie zatrzymała się i przechyliła głowę. Poprzez szum i plusk wielkiej fontanny usłyszała coś jeszcze. To panna Thompson nadchodziła z dziewczynkami. Podniosła rękę i zawołała do nich:

- Molly?! Doris? Agnes?

Dziewczęta podeszły i przywitały się, dygając.

- Idę z wami - oświadczyła Lizzie. - Mój papa chce być sam na sam z panną Martin. Mówi, że to nie w porządku, żeby było dwoje na jednego.

Panna Thompson spojrzała na swoją przełożoną z komicznie ściągniętymi ustami i błyskiem rozbawienia w oku.

- Czyli jednak dziś nie wyjeżdżasz, Claudio? - upewniła się. - Przekażę to Wulfrickowi. Miłego spaceru.

I zagoniła dziewczynki - łącznie z Lizzie - z powrotem do domu.

- No i dobrze - stwierdził Joseph, podając jej ramię. - Teraz jest jeden na jednego, jak w uczciwej walce. Jeśli oczywiście chcesz ze mną walczyć. Ja o wiele bardziej wolałbym planować ślub.

Eleanor czekała na nią wczoraj do późna - czy raczej do wczesnego ranka. Claudia zwierzyła jej się z najważniejszych wydarzeń wieczoru, a reszty Eleanor pewnie sama się domyśliła.

Powtórzyła swoją propozycję przejęcia od niej szkoły, a nawet jej odkupienia. Kazała Claudii dobrze się zastanowić, nie decydować za szybko,

nie myśleć o tym, jak powinna postąpić, ale raczej o tym, jak chciałaby postąpić.

- Pewnie to zbyt wielkie uproszczenie i zbyt wytarty slogan, powiedzieć ci: „idź za głosem serca”, Claudio, a ja nie za bardzo się nadaję do udzielania rad w sprawach sercowych, prawda? Ale... Cóż, to naprawdę nie moja sprawa, i w dodatku już dawno powinnam być w łóżku. Dobranoc.

Ale dosłownie kilka sekund po wyjściu z pokoju znowu wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

- I tak ci to powiem - stwierdziła. - Claudio, głuptasie, na litość boską, idź za głosem serca.

Gdy przyszedł ranek, wydawało się, że wiedzą już o tym absolutnie wszyscy.

Było to szalenie krępujące, łagodnie mówiąc.

- Czuję się tak - powiedziała do Josepha, idąc w stronę jeziora - jakbym stała na olbrzymiej scenie w teatrze, a wokół mnie pełna widownia.

- I wszyscy z zapartym tchem czekają na twoją ostatnią kwestię? - domyślił się. - Nie wiem wobec tego, czyja jestem częścią tej widowni, czy gram z tobą na scenie. Ale jeżeli też jestem aktorem w tej sztuce, to chyba nie mieliśmy wcześniej prób, bo inaczej znałbym tę twoją ostatnią kwestię.

Zeszli w milczeniu nad brzeg jeziora.

- To jest niemożliwe - powtórzyła, patrząc na popychane wiatrem fale z białymi pióropuszcami piany.

- Nieprawda - sprzeciwił się. - To wcale nie jest niemożliwe. Ani nawet nieprawdopodobne. Powiedziałbym, że jest prawdopodobne, ale nie do końca pewne. I to właśnie ta niepewność sprawia, że serce tłucze mi się w piersi, kolana się pode mną uginają, a żołądek wyczynia dzikie harce.

- Twoja rodzina nigdy mnie nie zaakceptuje.

- Moja matka i siostra już to zrobiły - sprostował - a ojciec mnie nie wydziedziczył.

- A może to zrobić?

- Nie. - Uśmiechnął się. - Ale mógłby mi bardzo uprzykrzyć życie. Nie robi tego jednak. Bardziej kocha swoje dzieci, niż jest skłonny przyznać. I choć nie zdaje sobie z tego sprawy, to bezapelacyjnie jest pod pantoflem matki.

- Nie będę ci mogła dać dzieci - wyliczała dalej.
- Jesteś pewna?
- Nie - przyznała.
- Gdybym się ożenił z jakimś podlotkiem, też mogłoby się okazać, że nie da mi potomstwa. Wiele kobiet nie może mieć dzieci. A ty może będziesz mogła. Taką mam przynajmniej nadzieję. Oczywiście, trzeba zapewnić sukcesję rodu, i tak dalej, ale, co ważniejsze, ja chcę mieć z tobą dzieci, Claudio. Jednak to, czego pragnę najbardziej, to spędzić z tobą resztę życia. I wcale nie bylibyśmy bezdzietni. Mamy przecież Lizzie.

- Nie mogę zostać markizą - powiedziała - ani księżną. Nie mam zielonego pojęcia, jak wygląda takie życie i jestem już za stara, żeby się nauczyć. Zresztą, wcale nie wiem, czy miałabym w ogóle ochotę się uczyć. Lubię siebie taką, jaka jestem. Może brzmi to zarozumiale i sugeruje, że nie chcę się zmieniać ani rozwijać. Owszem, chcę jednego i drugiego, ale wolałabym sama wybrać kierunek, w jakim się rozwijam.

- Wystarczy, żebyś zmieniła się na tyle, żeby mnie wpuścić do swojego życia - odparł. - Proszę cię, Claudio. O nic więcej, tylko o to. Jeśli nie chcesz, żebyśmy z Lizzie przeprowadzili się do Bath, to w takim razie ty zamieszkaj w Willowgreen. Uczyni je swoim domem, swoim życiem, czym tylko chcesz, ale bądź moja. Proszę, bądź moja.

Nagle ze zdwojoną siłą uderzyła ją nierealność sytuacji. Zupełnie jakby cofnęła się o krok i spojrzała z zewnątrz - zobaczyła obcego człowieka, który pojawił się w salonie dla odwiedzających w jej szkole. Widziała, jaki jest przystojny, elegancki, arystokratyczny i pewny siebie. Czy to możliwe, że teraz ten człowiek błaga ją o rękę? Ze ją kocha? Ale wiedziała, że to prawda. Ten dziwny obraz ulotnił się po kilku sekundach i kiedy ponownie spojrzała, stał przed nią znowu jej ukochany Joseph.

- Myślę, że w Willowgreen powinno być tak jak w mojej szkole - stwierdziła - tylko trochę inaczej. Wyzwanie kształcenia Lizzie, kiedy jeszcze sądziłam, że będzie moją uczennicą, było ogromnie ekscytujące, bo przekonałam się, że mogę ją zarazić pasją poznawania świata. Nie wiem, czemu do tej pory nie pomyślałam o przyjmowaniu do szkoły niepełnosprawnych dzieci. Moglibyśmy je mieć w Willowgreen. Przyjść niektóre z nich do domu, może nawet adoptować inne niewidome dzieci albo upośledzone fizycznie czy umysłowo. Anne była swego czasu guwernantką kuzynki markiza Hallmere'a, o której wszyscy mówili, że jest

opóźniona w rozwoju. Wyrosła na uroczą młodą kobietę. Wyszła za rybaka, rodzi mu zdrowe dzieci, prowadzi dom i jest szczęśliwa.

- Adoptujemy tuzin takich dzieci - powiedział cicho - będą się uczyć i mieszkać w Willowgreen. Pokochamy je, Claudio.

Spojrzała na niego z westchnieniem.

- Nic z tego - rzekła. - To zbyt ambitne marzenia.

- Ale o to właśnie w życiu chodzi - przekonywał. - O to, żeby marzyć i dążyć do spełnienia tych marzeń z całym samozaparciem i miłością.

W tej chwili przerwano im rozmowę.

Spomiędzy drzew wyłonili się markiz i markiza Hallmere'owie z dwójką starszych dzieci, a za nimi hrabia i hrabina Rosthornowie z chłopcami. Pewnie wracali ze spaceru. Pomachali im wesoło z daleka i wkrótce zniknęliby im z oczu, gdyby nie to, że markiza naraz zatrzymała się i wbiła w nich uważne spojrzenie, po czym odłączyła się od grupki i energicznym krokiem ruszyła w ich stronę. Markiz podążył za nią, a pozostali zawrócili w kierunku domu.

Podczas minionego tygodnia Claudia musiała przyznać sama przed sobą, że dawna lady Freyja Bedwyn naprawdę nie jest już takim potworem, jakim była jako dziewczynka. Ale tak czy inaczej, nie powinna im przerywać prywatnej rozmowy.

- Panno Martin - odezwała się, ledwo skinąwszy głową Josephowi.

- Słyszałam, że oddaje pani szkołę Eleanor.

Claudia uniosła brwi.

- Miło słyszeć, że pani już wie, jaką podejmę decyzję.

Kątem oka zauważyła, że obaj mężczyźni wymieniają pozornie niezainteresowane spojrzenia.

- To trochę dziwne, że rezygnuje pani z pracy tak krótko po tym, jak osiągnęła pani pełną niezależność - stwierdziła lady Hallmere - ale muszę powiedzieć, że mnie to cieszy. Zawsze panią podziwiałam za to, że miała pani odwagę mi się przeciwstawić, ale aż do zeszłego tygodnia tak naprawdę nigdy pani nie lubiałam. Teraz uważam, że zasłużyła sobie pani na szczęście.

- Freyjo. - Markiz chwycił ją za łokieć. - Chyba tylko tutaj przeszkadzamy. A zaraz powiesz coś, czego potem będziesz żałować.

Ale Claudia ledwie go słyszała. Wpatrywała się w lady Hallmere z napięciem.

- Skąd pani wie - zapytała - że właśnie osiągnęłam niezależność? Skąd pani wie, że ktoś mi pomagał finansowo?

Lady Hallmere otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zaraz zamknęła je i wzruszyła ramionami.

- To chyba wszyscy wiedzą - odparła niedbałym tonem.

Może Eleanor coś jej powiedziała. Albo Susanna. Albo Anne. Albo nawet Joseph.

Ale w tej chwili Claudia poczuła się tak, jakby ktoś wziął duży młotek i przyłożył jej w głowę. Tylko że rzeczywiste uderzenie mogłoby zaćmić jej umysł, a tymczasem nagle wszystko stało się zupełnie jasne. Przypomniła sobie kilka rzeczy naraz.

Przypomniła sobie dziwny przypadek Anne, która zwróciła się do pana Hatcharda z prośbą o przyjęcie na posadę nauczycielki, gdy przedtem mieszkała w pobliżu posiadłości markiza Hallmere'a w Kornwalii.

Przypomniła sobie, że Susanna w wieku dwunastu lat została skierowana do jej szkoły jako uczennica charytatywna, a wcześniej zatrudniła się u lady Freyji jako pokojówka.

Przypomniła sobie ten dzień przed kilku laty, kiedy lady Freyja Bedwyn odwiedziła jej szkołę. Ale skąd w ogóle o niej wiedziała i jak ją znalazła?

Przypomniła sobie, co powiedziała jej Edna kilka tygodni temu: że lady Freyja wiedziała o napadzie na sklep jej rodziców i o ich śmierci - nim jeszcze Edna została wysłana do szkoły w Bath.

Przypomniła sobie, że przez wiele lat Anne i Susanna próbowały ją przekonać, że być może lady Freyja, markiza Hallmere, nie jest aż taka zła, jak się Claudii wydaje.

Przypomniła sobie, że to właśnie z jej szkoły lady Hallmere oraz jej szwagierka wybrały guwernantki dla swoich dzieci.

Przypomniła sobie...

Gdyby prawda faktycznie była dużym młotkiem, pomyślała, to na pewno już od dawna chodziłaby z głową wbitą pomiędzy ramiona.

- A więc to pani - powiedziała. Słowa, które wydobyły się z jej ust, były niewiele głośniejsze od szeptu. - To pani!

Lady Hallmere tylko uniosła arystokratyczne brwi.

- To pani - powtórzyła Claudia. - Pani była moim dobroczyńcą.

- O, do diaska! - zaklął Joseph.

- No i widzisz, co narobiłaś? -W głosie markiza Hallmere'a brzmiało rozbawienie. - Przysłowiowe szydło wyszło z przysłowiowego worka, Free.

- A więc to pani. - Claudia z przerażeniem wpatrywała się w swoją byłą uczennicę.

Lady Hallmere wzruszyła ramionami.

- Jestem bardzo zamożna - rzekła.

- Przecież kiedy otwierałam szkołę, pani była jeszcze małą dziewczynką.

- Wulf pod wieloma względami był bardzo surowym opiekunem

- wyjaśniła lady Hallmere - ale jeżeli chodzi o pieniądze, okazał się wyjątkowo postępowy. Każde z nas miało dostęp do swojego majątku już w bardzo młodym wieku.

- Dlaczego?

Lady Hallmere stuknęła dłonią o udo i Claudii wydawało się, że zdecydowanie brakuje jej w ręku szpicruty. Znowu wzruszyła ramionami.

- Nikt oprócz pani nigdy mi się nie sprzeciwił - odparła - dopóki nie poznałam Joshui. Nie mówię oczywiście o Wulfricku, bo to inna sprawa. W końcu to mój brat. Byłam chyba rozgoryczona, że matka i ojciec umarli i zostaliśmy sami. Chciałam, żeby ktoś zwrócił na mnie uwagę. Chciałam, żeby ktoś inny prócz Wulfricka zmusił mnie do przestrzegania zasad. Pani to zrobiła, rzucając u nas posadę. Ale pani wciąż żyła, panno Martin, w przeciwieństwie do mojej matki. Na pani mogłam się zemścić. Nie pojmie pani, jaką ogromną satysfakcję miałam przez lata, wiedząc, że jest pani ode mnie zależna, choć mnie nienawidzi.

- Wcale pani nie...

- Ależ tak, nienawidziła mnie pani.

- To prawda, tak było.

Joseph odchrząknął, a markiz Hallmere podrapał się po głowie.

- To była wspaniała zemsta - przyznała Claudia.

- Też tak zawsze sądziłam.

Spoglądały na siebie, Claudia z zaciśniętymi wargami, lady Hallmere

- niezbyt przekonująco udając wyniosłą nonszalancję.

- Cóż mogę powiedzieć? - spytała wreszcie Claudia. Czowała się po twornie zakłopotana. Tak wiele zawdzięczała tej kobiecie. I nie tylko ona, ale też wszystkie jej charytatywne uczennice, obecne i dawne. Gdyby

nie pomoc tej kobiety, Susanna skończyłaby marnie. Anne pewnie dalej mieszkałaby z Davidem w Kornwalii na skraju nędzy. Szkoła nie odniosłaby takich sukcesów.

O Boże, czy to możliwe, że zawdzięcza lady Hallmere absolutnie wszystko?

Chyba tak.

- Myślę, panno Martin - stwierdziła lady Hallmere - że powiedziała już pani wszystko, co trzeba, w tym liście, który kilka tygodnie temu przekazał mi pan Hatchard. Przyjmuję podziękowanie, choć tak naprawdę nie musi mi pani wcale dziękować. Żałuję, że teraz odezwałam się tak pochopnie. Wolałabym, żeby pani nigdy się o tym nie dowiedziała. W każdym razie nie musi pani czuć się w niczym dłużna. To by było bez sensu. Chodźmy, Joshuo, nasza obecność jest tu chyba *de trop*.

- Co właśnie próbowałem ci wcześniej zasugerować, kochanie - odpowiedział.

Claudia wyciągnęła prawą rękę. Lady Hallmere zerknęła na nią z wyniosłą miną i uścisnęła jej dłoń.

- No, no - powiedział Joseph, kiedy tamta dwójka już się oddaliła. -Widzę, że nasza sztuka jest pełna nieoczekiwanych zwrotów akcji. Ale o ile się nie mylę, nadal czekamy na twoją ostatnią kwestię, ukochana. No więc jak ona brzmi?

Odwróciła się twarzą do niego.

- Tylko głupcy wierzą w niezależność - wygłosiła. - Coś takiego chyba w ogóle nie istnieje. Nikt z nas nie jest zupełnie niezależny od innych. Potrzebujemy się nawzajem. - Wpatrywała się w niego z napięciem. - Czy ty mnie potrzebujesz?

- Tak.

- A ja potrzebuję ciebie - przyznała. - Och, Josephie, jakże ja cię potrzebuję! Moje życie zmieni się całkowicie i ta myśl przeraża mnie w równym stopniu dzisiaj, jak wtedy, gdy miałam siedemnaście lat. Ale skoro udało mi się przez to przejść, kiedy straciłam miłość, to nie cofnę się teraz, gdy ją znalazłam. Zrobię to. Wyjdę za ciebie.

Powoli uśmiech rozjaśnił mu całą twarz.

- A więc pora na epilog - oznajmił.

Ukląkł na trawie na jedno kolano i przybrał przesadzoną teatralną pozę na tle jeziora, po czym zawładnął jej dłonią.

- Claudio, moje najdroższe ukochanie - wyrzekł z patosem - czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Zaśmiała się - chociaż jej śmiech zabrzmiał podejrzenie łzawo.

- Wyglądasz jak pajac - stwierdziła - ale romantyczny pajac. I szalenie przystojny. Och, oczywiście, że zostanę twoją żoną. Przecież właśnie przed chwilą to powiedziałam. Wstawaj, Josephie, bo będziesz miał plamę z trawy na kolanie.

- No to mogę mieć plamy na obu - powiedział. - Dla symetrii.

I pociągnął ją w dół, tak że teraz oboje klęczeli na ziemi twarzą do siebie.

- Ach, Claudio - wyszeptał prosto w jej usta. - Czy można uwierzyć w takie szczęście?

- O, tak - zapewniła go. - Nawet trzeba. Za mniejszą cenę nie zamierzam zrezygnować z kariery.

- Nie, proszę pani. - Przypieczętował te słowa pocałunkiem.

25

Nigdy chyba Bath nie widziało równie świetnego dnia jak ten, kiedy panna Claudia Martin, właścicielka i dyrektorka Żeńskiej szkoły panny Martin w Bath brała ślub z markizem Attingsborough w kościele miejskiego opactwa.

Pośród gości tyle było utytułowanych głów, że - jak powiedział jakiś dowcipniś stojący w tłumie gapiów czekających na brukowanym dziedzińcu zaraz obok pijalni wód na przyjazd panny młodej - chyba w całej Anglii brakuje dziś arystokratów.

- I pewnie nikt za nimi nie tęskni - dorzucił, a jakaś tęga jejmość stojąca obok z wielkim koszem na ramieniu zdziwiła się, po co w takim razie w ogóle przyszedł popatrzeć.

Na liście gości znalazł się oczywiście każdy, kogo z markizem łączyły więzy pokrewieństwa. Prócz tego spora liczba przyjaciół i znajomych, łącznie z Bedwynami w komplecie, z wyjątkiem lady i lorda Rannulfów, którzy na dniach spodziewali się przybycia na świat nowego potomka. Księżę Bewcastle zgodził się, żeby księżna przyjechała razem z nim, bio-

rać pod uwagę fakt, że jak na razie tryskała zdrowiem, a poza tym Bath leżało niedaleko ich domu.

Ironia tej sytuacji nie umknęła uwagi Claudii.

I kiedy pokojówka Frances, przywieziona do szkoły wyłącznie w celu ułożenia włosów Claudii, tworzyła na jej głowie fryzurę, która miała być jednocześnie elegancka, ale nie przesadnie wymyślna, Claudia wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Biedna pokojówka musiała przerwać układanie loków, które dzisiaj miały zastąpić zwykły kok Claudii.

Susanna, Frances i Anne przyglądały się, stłoczone razem z nią w sypialni. Eleanor i Lily Walton już wcześniej wyszły do kościoła na czele długiego węża złożonego z uczennic charytatywnych i dziewcząt z internatu, poubieranych w najładniejsze sukienki i grzecznych jak aniołki. Dochodzące uczennice miały przyjść do kościoła z rodzicami. Nauczyciele niemieszkający w szkole też mieli dotrzeć na uroczystość.

- To chyba najbardziej absurdalne małżeństwo, jakie sobie tylko można wyobrazić - wysapała Claudia, nie mogąc przestać się śmiać. - Czegoś tak dziwnego nie wymyśliłabym nigdy w życiu.

- Absurdalne. - Susanna przeniosła spojrzenie na Frances i Anne.

- To chyba stosowne określenie. Claudia będzie brała ślub w obecności połowy towarzyskiego światka.

- A jej teściem będzie książę - dodała Frances.

- A mężem książęcy dziedzic - dorzuciła Anne.

Spojrzały po sobie z poważnymi minami, po czym też wybuchnęły śmiechem.

- Słowo honoru, to naprawdę świetny dowcip - przyznała Frances.

- Nasza Claudia będzie kiedyś księżną.

- To kara za wszystkie moje grzechy. - Claudia, ochłonawszy nieco, spozierała w lustro i objęła wzrokiem całą wspaniałość wykwintnej nowej sukni w ciepłym, brzoskwiowym kolorze i wdzięcznego kapelusika ze słomki, który pokojówka Frances właśnie mocowała na jej głowie nad burzą loków upiętych na karku. Słomkowy kapelusz na początku października!

Boże! Czy to złudzenie, czy rzeczywiście wygląda teraz o dziesięć lat młodziej niż jeszcze parę miesięcy temu? Na pewno złudzenie. Jednak wydawało jej się, że oczy ma większe, niż pamiętała, wargi pełniejsze, a policzki bardziej zaróżowione.

- Ale któżby się oparł urokowi Josepha? - powiedziała Susanna.
- Zawsze go lubiłam, odkąd Lauren mnie z nim poznała, a teraz jeszcze bardziej zyskał w moich oczach, skoro miał dość rozsądku, żeby się w tobie zakochać, Claudio.

- I któżby się oparł mężczyźnie - dodała Anne - który tak uwielbia swoje dziecko? A zwłaszcza niewidome i nieślubne dziecko.

- Całe szczęście, że mamy Luciusa, Petera i Sydnama - oświadczyła Frances. - Inaczej byłybyśmy o niego śmiertelnie zazdrosne, Claudio.

Claudia obróciła się na stołku. Pokojówka sprawnie uprzątnęła toaletkę i wyszła z pokoju.

- Czy to normalne - zapytała Claudia - że ślub budzi we mnie tyle sprzecznych emocji? Jestem taka szczęśliwa, że mogłabym fruwać, a z drugiej strony, jest mi tak smutno, że chyba się rozpłaczę.

- Ani się waż - ostrzegła Susanna. - Będziesz miała czerwone i spuchnięte powieki.

Tak jak wczoraj wieczorem. Zaczęło się od pożegnalnej kolacji w szkolnej jadalni, na której zostały również dochodzące uczennice. Potem były koncert-niespodzianka i podziękowania. Później do Claudii ustawiła się kolejka uczennic i nauczycieli, z których każdy chciał ją uściskać na pożegnanie i po raz ostatni zamienić z nią parę słów. A na koniec cztery przyjaciółki, razem z Lilą i Eleanor, zaszyły się w prywatnej bawialni Claudii - która już wkrótce będzie prywatną bawialnią Eleanor

- na długie godziny rozmów i wspominek.

- Mnie było tutaj bardzo dobrze - powiedziała teraz Anne. - A kiedy wychodziłam za Sydnama, wcale nie miałam pewności, czy będę z nim szczęśliwa. Ale jestem, i ty też na pewno znajdziesz szczęście z Josephem, Claudio. Już je znalazłaś.

- To zupełnie naturalne, że jesteś smutna - pocieszyła ją Frances. - Ja miałam Luciusa i obietnicę kariery śpiewaczej, kiedy wychodziłam za mąż, ale tutaj też byłam szczęśliwa. Tu był mój dom, tu zostawiałam moje najserdeczniejsze przyjaciółki.

Susanna podeszła do Claudii i uściskała ją ostrożnie, żeby nie popsuć fryzury i nie przesunąć kapelusza.

- Ta szkoła była mi domem i rodziną - oświadczyła. - Przyjęła mnie pod swój dach, kiedy miałam dwanaście lat i nie wiedziałam, dokąd pójść; tu zdobyłam wykształcenie i doświadczyłam miłości. Nigdy bym stąd nie

odeszła, gdybym nie spotkała Petera. Ale teraz nie żałuję, z oczywistego powodu, ale też dlatego, że nie zniosłabym, gdybym musiała zostać tu sama, bez was. Nie umiem ci powiedzieć, Claudio, jak bardzo się cieszę.

- Chodźmy już lepiej - pospieszała Anne. - Panna młoda nie powinna się spóźnić, a my musimy być w kościele przed nią. A jaką mamy śliczną pannę młodą. Ten kolor jest dla ciebie stworzony, Claudio.

- A ten kapelusik... po prostu przeuroczy - dorzuciła Susanna. Claudia z trudem powstrzymywała łzy, gdy przyjaciółki jedna po drugiej przytuliły ją i zeszły do powozu czekającego przed wejściem.

Kiedy już pojechały, naciągnęła rękawiczki i ostatni raz rozejrzała się po sypialni. Pokój opustoszał - jej kufry i walizy przewieziono już wcześniej. Weszła do bawialni, rozglądając się dookoła. Nie było tu już żadnych jej książek. To już nie był jej pokój.

Od tygodnia szkołę oficjalnie przejęła Eleanor. A od jutra placówka będzie nosiła nazwę Żeńskiej szkoły panny Thompson.

Ciężko jest pozostawiać za sobą całe życie. Kiedyś musiała to zrobić, a teraz czyniła to z wyboru. Tak chyba czuje się noworodek: porzuca bezpieczne, zaciszne wnętrze łona matki i wydostaje się na olbrzymi, nieznaną świat.

Ciężko jej było, chociaż całym sercem pragnęła tego nowego życia, nowego domu, który na nią czekał, tej bystrej niewidomej dziewczynki, która będzie jej córką, i tego dzieciątka, które urodzi się za ponad sześć miesięcy (jeszcze nie mówiła nikomu oprócz Josepha, który przyjechał wczoraj z Willowgreen), i tego mężczyzny, który wszedł w progi jej szkoły przed czterema miesiącami, a w jej sercu zagościł wkrótce potem.

Joseph!

Gdy zeszła na dół, służba stała już rzędem w korytarzu, żeby się z nią pożegnać. Jakimś cudem zdołała się nie rozkleić, kiedy podchodziła do każdego z osobna, żeby zamienić kilka słów, lecz większość służby płakała. Z wyjątkiem pana Keeble'a. On stał sztywno wyprostowany przy drzwiach, czekając, aż będzie mógł je przed nią otworzyć.

I nie wiedzieć czemu, właśnie pożegnanie z nim, z tym starym, wiernym, kościstym portierem, było dla Claudii najcięższe. Skłonił się przed nią, skrzypiąc podszwami butów. Ale Claudia nie mogła się zgodzić na takie oficjalne pożegnanie. Uściskała go i ucałowała w policzek, a potem energicznie skinęła mu głową, że może już otwierać drzwi. Na ulicy stangret Josepha czekał, żeby pomóc jej wsiąść do powozu.

Nie będę płakać, pomyślała stanowczo, gdy już zamknęły się za nią drzwi i powóz ruszył z miejsca, uwożąc ją z dala od szkoły, w której spędziła piętnaście lat swojego życia.

Nie będę płakać.

W opactwie czeka Joseph.

A z nim Lizzie.

I kościół pełen arystokratów.

Ta ostatnia myśl ją uratowała. Uśmiechnęła się sama do siebie, a potem wybuchnęła śmiechem, w chwili gdy powóz skręcał właśnie w długą i szeroką Great Pulteney Street.

Naprawdę, śmiechu warte.

Czyżby to był jeden z zarcików Boga? Jeśli tak, to rzeczywiście miał poczucie humoru.

Nie tak dawno temu, jak się Josephowi wydawało, stał przed ołtarzem u boku Neville'a, czekając na przybycie panny młodej. On był wtedy drużbą, a Nev panem młodym. Teraz role się odwróciły i Joseph wreszcie zrozumiał, czemu tamtego dnia kuzyn nie był w stanie ustać ani usiedzieć na miejscu i ciągle poprawiał sobie krawat.

To głupie, obawiać się, że Claudia się nie zjawi. Przecież zgodziła się za niego wyjść i pisała do niego codziennie - a on do niej - od lipca, z wyjątkiem tych dziesięciu dni w sierpniu, kiedy przyjechał z Lizzie do Bath. Spaliła zresztą za sobą mosty, bo sprzedała szkołę panie Thompson. I poleciła panu Hatchardowi, swojemu londyńskiemu agentowi, żeby rozglądał się za upośledzonymi dziećmi, które straciły dom.

A jakby tego wszystkiego było mało, żeby go uspokoić, wystarczyło mu przypomnieć sobie tę cudowną nowinę, z której zwierzyła mu się wczoraj. Jest w ciąży! Będą mieli dziecko. Wciąż jeszcze nie dotarło to w pełni do jego świadomości - chociaż wczoraj strofował ją przez całe trzydzieści sekund, zanim zamknął ją w potężnym uścisku. Powinna była mu powiedzieć wcześniej. Dobry Boże, gdyby o tym wiedział, zmusiłby ją, żeby za niego wyszła od razu, za specjalnym pozwoleniem biskupa, i do czorta z tym wielkim weselem, które armia kobiet z jego rodziny pod wodzą Wilmy zaplanowała, nie pytając go nawet o zdanie.

Dwa miesiące temu odbył się inny ślub za specjalnym pozwoleniem. Albo McLeith, albo Portia, albo też oboje opamiętali się po wyjeździe

z Alvesley. Zamiast do Szkocji pojechali do Londynu, gdzie oznajmili swoje zaręczyny Balderstonom i kilka dni później urządzili niewielkie, ale przyzwoite wesele.

Joseph czuł dziwne mrowienie w żołądku; Neville spojrzął na niego ze współczuciem.

Ale w tym momencie do kościoła weszła Claudia, więc odwrócił się w stronę drzwi, żeby razem z zebranymi gośćmi patrzeć, jak idzie ku niemu główną nawą.

Była piękna. Była... Jak to ona powiedziała o sobie kiedyś po tym, jak się kochali? Ach, tak. Była kobietą. Nauczycielką, kobietą interesu, przyjaciółką, kochanką - była nimi wszystkimi, ale zwłaszcza i przede wszystkim była po prostu kobietą.

Jak zwykle ubrana była prosto, schludnie i elegancko - z wyjątkiem tego nedorzecznie ślicznego kapelusika ze słomki, który tkwił na samym czubku jej głowy, przekrzywiony lekko naprzód. Uśmiechnął się - z powodu kapelusza, ale też do niej.

Ona rozpromieniła się w uśmiechu i zaraz zapomniał o kapeluszu.

Ach, Claudio!

Oboje zwrócili się do pastora.

- Najmilsi, zebraliśmy się tutaj... - rozległ się dźwięczny głos, który wypełnił cały kościół.

Ani się obejrzał, a już ceremonia dobiegła końca i oto byli małżeństwem, on i Claudia Martin - teraz już Claudia Fawcitt, markiza Attingsborough. Do końca życia. Dopóki śmierć ich nie rozłączy. Na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie.

Przez cały czas nie spuściła z niego wzroku, a usta znowu miała zaciśnięte w wąską kreskę.

Uśmiechnął się.

Ona także rozchyliła wargi w uśmiechu i promienie słońca, które już pochylało się ku jesieni, zatańczyły ciepłym blaskiem w jej oczach.

Złożyli podpisy w księdze i ruszyli do wyjścia wzdłuż nawy, mijając uśmiechniętych gości, którzy zaraz pojedą z nimi do sali bankietowej na weselny poczęstunek.

To Claudia zatrzymała się na wysokości drugiej ławki, gdzie pomiędzy Anne Butler a Davidem Jewellem siedziała Lizzie, sztywnie ubrana w sukieneczkę z różowej koronki, z satynową wstążką pod kolor we włosach.

Claudia pochyliła się nad głową przyjaciółki i szepnęła coś na ucho jego córce, a potem pomogła jej wstać.

I tak oto, na oczach połowy *beau monde*, wszyscy troje poszli przed siebie główną nawą, trzymając się za ręce; Lizzie pomiędzy nimi, z buzią rozpromienioną uśmiechem.

Pewnie znajdą się tacy, którzy będą zgorszeni, pomyślał Joseph. Ale jeśli o niego chodzi, to mogą iść w diabły. Widział, że jego matka się do nich uśmiecha, a Wilma ociera łzę z oka. Ojciec patrzył na nich z surową miną, ale z jego oczu biła miłość.

Uśmiechnął się do Claudii ponad głową Lizzie.

I ona nie przestawała się uśmiechać.

Wyszli na dziedziniec obok pijalni wód, a tam zastali tłum jeszcze większy niż w opactwie. Ktoś podniósł radosny okrzyk, ktoś inny się dołączył i wkrótce wszyscy wiwatowali na ich cześć. Dzwoniły dzwony opactwa. Promienie słońca przebijały zza chmur.

Kocham cię. Poruszył tylko ustami, ale oczy Claudii powiedziały mu, że ona rozumie i czuje tak samo.

Lizzie odchyliła do tyłu główkę i odwracała twarz od jednego z nich do drugiego, jakby ich widziała. Roześmiała się wesoło.

- Papa - szepnęła - i mama.

- Tak, skarbie. - Ucałował ją w policzek.

A zaraz potem, ku głośnej ucieście gapiów i tych spośród gości, którzy już zdążyli wydostać się z kościoła, pochylił się i ponad jej głowę pocałował Claudię prosto w usta.

- Moje dwa skarby - powiedział.

Oczy Claudii zalśniły od łez wzruszenia.

- Bardzo bym nie chciała w tej chwili zamienić się w fontannę - oświadczyła swoim „nauczycielskim” głosem. - Zabierz nas do powozu, Joseph.

Lizzie wtuliła główkę w jej ramię.

- Natychmiast - rzuciła Claudia tonem, którym pewnie przez ostatnie piętnaście lat przywoływała krnąbrne uczennice do porządku.

- Tak jest, proszę pani. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Nie, lepiej powiem inaczej: tak jest, milady.

Roześmiali się wszyscy troje, biegnąc przez dziedziniec, wśród tłumy życzliwych gapiów, a wreszcie przez szpaler utworzony przez kuzynów

Josepha oraz Bedwynów, którzy wymknęli się przed nimi z kościoła, z garściami pełnymi płatków kwiatów.

Nim dotarli do ulicy, gdzie stał powóz, Claudia miała już wymówkę, gdyby chciał ją spytać, czemu jej policzki są mokre od łez. Powiedziałyby, że to ze śmiechu.

Ale nie spytał.

Posadził Lizzie na jednym siedzeniu, a sam z Claudią zajął drugie. Objął ją za ramiona i gorąco ucałował.

- Co robisz, papo? - zapytała Lizzie.

- Całuję twoją mamę - odparł. - Pamiętaj, że ona jest w końcu moją żoną.

- Aha - powiedziała ze śmiechem. - To dobrze.

Claudia też się śmiała.

- Ludzie zobaczą - mówiła.

- Przeszkadza ci to? - Odsunął się, żeby na nią spojrzeć. Była tak piękna i pełna życia, że aż zapierało mu dech w piersiach.

- Ani trochę. - Położyła mu rękę na ramieniu i przyciągnęła go znowu do siebie, gdy powóz ruszył w drogę do sali bankietowej. - To najszczęśliwszy dzień w moim życiu, niech wszyscy o tym wiedzą.

Pochyliwszy się, chwyciła dłoń Lizzie, ucisnęła jej rączkę i oddała mu pocałunek.

On rozpostarł dłoń na jej brzuchu; zdawało mu się, że już się lekko zaokrągła. Oto tu była cała jego rodzina. Jego teraźniejszość i przyszłość. Jego szczęście.

„Miłość. Marzę o miłości i rodzinie - o żonie i dzieciach, które będą mi tak bliskie i drogie, jak bicie mego serca”.

Czy nie powiedział kiedyś przypadkiem tych słów?

Jeśli nie, to stanowczo powinien był to zrobić.

Tyle że już nie musiał gonić za tym marzeniem.

Bo właśnie się spełniło.